

MROCZNA TRYLOGIA AUTORA BESTSELLERÓW
Z LISTY „NEW YORK TIMESA”

DIABŁO®

WOJNA GRZECHU

KSIĘGA TRZECIA



FAŁSZYWY PROROK

RICHARD A. KNAAK

SPIS PROROKA

- TYTUŁOWA
- REDAKCYJNA
- DEDYKACJA
- PROLOG
- JEDEN
- DWA
- TRZY
- CZTERY
- PIĘĆ
- SZEŚĆ
- SIEDEM
- OSIEM
- DZIEWIĘĆ
- DZIESIĘĆ
- JEDENAŚCIE
- DWANAŚCIE
- TRZYNAŚCIE
- CZTERNAŚCIE
- PIĘTNAŚCIE
- SZESNAŚCIE
- SIEDEMNAŚCIE
- OSIEMNAŚCIE
- DZIEWIĘTNAŚCIE
- DWADZIEŚCIA
- DWADZIEŚCIA JEDEN
- DWADZIEŚCIA DWA

- DWADZIEŚCIA TRZY
- O AUTORZE

DIABLO[®]

WOJNA GRZECZY

KSIĘGA TRZECIA

FAŁSZYWY PROROK

RICHARD A. KNAAK

PRZEŁOŻYŁA

DOMINIKA REPECZKO

 **Insignis**

Tytuł oryginału
Diablo. The Sin War
Book Three: The Veiled Prophet

Copyright © 2016 by Blizzard Entertainment. All rights reserved.

Diablo i Blizzard Entertainment są znakami handlowymi i/lub zarejestrowanymi znakami handlowymi Blizzard Entertainment, Inc. w Stanach Zjednoczonych i/lub w innych krajach. Wszelkie pozostałe znaki handlowe w niniejszym dziele należą do ich poszczególnych właścicieli.

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Jakikolwiek występujące w niej nawiązania do wydarzeń historycznych, rzeczywistych osób i rzeczywistych miejsc również są fikcją.

Pozostałe imiona, nazwiska, postaci i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora i jakakolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.

Wszelkie prawa zastrzeżone, wraz z prawem do przedruku i publikacji niniejszej książki w całości lub fragmentach w jakiegokolwiek dostępnej formie.

Przekład

Dominika Repeczko | ragana.com.pl

Redakcja i korekta

Dominika Pycińska, Lidia Kowalczyk

Pracownia 12A | pracownia12a.pl

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN-13: 978-83-65315-30-4



Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków

telefon / fax +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)

[instagram.com/insignis_media](https://www.instagram.com/insignis_media) (@insignis_media)

Snapchat: insignis_media

Dla wszystkich moich czytelników
służących w siłach zbrojnych – prawdziwych bohaterów.

PROLOG



...I tak, po unicestwieniu Świątyni Trójcy i przywódcy kultu, Uldyzjan, syn Diomedesa, wraz ze swymi edyremami ruszył śladem ostatnich wiernych sekty. Płomień zemsty i sprawiedliwości płonął jasno, wypalając ostatki kultu Trzech.

Jednakże Katedra Światłości trwała nienaruszona, a misjonarze Proroka szybko zapełnili pustkę, jaka została po kaznodziejach Trójcy. Ni razu nie stawili czoła edyremom, ale pojawiali się natychmiast po przejściu Uldyzjana i jego akolitów, by pomóc w odbudowie i nieść pocieszenie.

Uldyzjan, skupiony na swej rosnącej potędze i przekonany, że Katedra nie utrzyma się wobec słuszności jego sprawy, nie zwracał uwagi na działania kapłanów Proroka, które uważał zresztą za mało istotne. Walczył dotąd z fanatykami i demonami, nie rozumiał zatem subtelnych posunięć anioła Inarius, którego wierni oglądali pod postacią urodziwego młodzieńca zwanego Prorokiem. Nawet smok Trag'Oul i rodzony syn Inarius, nefalem Rathma, nie zdawali sobie sprawy, że Inarius wspierał ich walkę przeciwko Trójcy.

Jeśli zgrzeszyli brakiem przenikliwości, to ten sam grzech popełnił i anioł, albowiem nie spostrzegł, iż walka o rząd dusz w świecie zwanym Sanktuarium przyciągnęła uwagę innych...

A owi „inni” mogli sami zapragnąć wygranej albo też zniszczyć cały świat śmiertelników.

I nikt, nawet Prorok czy sam Uldyzjan, nie zdawał sobie sprawy z tego, czym powoli stawał się syn Diomedesa...

Z Księgi Kalana
Tom dwunasty, arkusz pierwszy

JEDEN



Człowiek wewnątrz pentagramu zakrzyczał przenikliwie, gdy Zorun Tzin z wprawą użył magii, by zedrzeć skórę z kolejnego miejsca na ciele nieszczęśnika. Zgrabnie wycięty kawałek skóry, trzy na trzy cale, oderwał się równiutko, odsłaniając mięśnie i ścięgna. Strumyki krwi popłynęły po nagim ciele torturowanego na podłogę, poznaczoną już szkarłatem.

Posępny brodaty mag nie przejmował się plamami posoki na kamiennej posadzce. Zostanie zebrana później, dla innych celów, które w tej chwili zupełnie nie interesowały ciemnoskórego kedżanina. Rada Klanów zdołała skłonić magów do zaprzestania waśni na tyle długo, by nakazać Zorunowi odkrycie wszystkiego, co tylko możliwe na temat wędrujących fanatyków. Fanatyków o niewiarygodnej mocy.

I nie chodziło o to, że ci... ci edyremowie, jak się kazali nazywać, obrócili w pył potęgę Świątyni Trójcy. Klany magów z radością przyjęły wiadomość o upadku potężnej sekty, która dążyła do pozbawienia ich władzy i wpływów. Tymczasem to właśnie nieustanna walka o kontrolę leżała u podstaw pierwszych konfliktów między klanami.

Najbardziej jednak zaniepokoił magów fakt, że edyremowie byli tylko niewyszkolonymi wieśniakami. Farmerami, robotnikami, słowem – prostaczkami, a jednak ich przywódca obiecał im możliwości, które

magowie zdobywali w trudzie przez większość życia. I jakby tego było mało, edyremowie korzystali z tej mocy bez rozważenia, co mogło być tragiczne w skutkach. Zdecydowanie stanowili zagrożenie, które należało opanować. W tej kwestii magowie byli zgodni po raz pierwszy od wielu lat.

A któż lepiej nadawał się do powstrzymania tego zagrożenia, jak nie klany właśnie? Pod ich surowym nadzorem i przewodnictwem tajemnicze moce edyremów mogły zostać właściwie zbadane i wykorzystane.

– Zapytam raz jeszcze – głos Zoruna był chrapliwy i nieprzyjemny. – Widziałeś, jak ci obcy zburzyli świątynię gołymi rękami! Jakie słowa wyśpiewywali? Jakie czynili gesty?

– N-nieeee wi-i-em – skamlał więzień. – Przy-przysięgam!

Mężczyzna miał łysą czaszkę i pozostawał wciąż jeszcze w dobrej kondycji mimo ingerencji maga. Kiedyś należał do świątynnych strażników – był jednym z niewielu, którym udało się umknąć z rąk fanatyków. Zorun przez kilka tygodni wróżył i uciekał się do pomocy innych czarów, by znaleźć tego jednego delikwenta – tak głęboko ukryli się ostatni z kultu Trójcy.

– Przy-przysięgam! Nic takiee-ego nie rooo-bii-ili!

Jednym gestem mag zerwał kawałek skóry. Więzień zawył z bólu. Mag z niecierpliwością odczekał, aż jego ofiara ucichnie, i wrócił do przesłuchania.

– Chyba nie spodziewasz się, że uwierzę, iż oni tak po prostu zażyczyli sobie, by coś się stało. Magia nie działa w ten sposób. Wymaga skupienia, znajomości gestów i lat praktyki.

W odpowiedzi więzień tylko zaszlochał. Marszcząc brwi, Zorun Tzin począł przechadzać się wokół pentagramu. Ośmiokątna komnata, w której spędził ostatni dzień, przesłuchując byłego strażnika, była wysprzątana z perfekcyjną starannością. Każdy zwój, każdy pergamin, każdy artefakt ułożony został w odpowiednim miejscu na właściwej półce. Zorun wierzył, że czystość i porządek są nieodzowne, by odnieść sukces w sztuce

magicznej. W przeciwieństwie do niektórych swych kolegów po fachu nie pozwalał, by pochłonał go bałagan, a kurz i szkodniki zamieniły jego sanktuarium w chlew.

Sam kedżanin pozostawał również nienagannie schludny. Jego brązowa tunika o poszerzanych ramionach i luźne spodnie zawsze były świeże i czyste. Brodę miał przyciętą do stosownej długości, nawet rzednące siwe włosy starannie ułożył za pomocą olejku.

Być może właśnie z uwagi na to, jaki był i – co za tym idzie – jak żył, nie ustawał w wysiłkach, by poznać tajemnice fanatyków. Byli bowiem dlań synonimem niedbałości i nieporządku, a ich czary najwyraźniej opierały się na zachciankach i emocjach. Prawdę powiedziawszy, zanim jeszcze zlecono mu to zadanie, w tajemnicy badał kwestię fanatyków i ich magii. Oczywiście nikomu o tym nie wspomniał, w przeciwnym razie Rada mogła odmówić przyjęcia całej listy jego żądań, które obiecali spełnić, o ile odniesie sukces.

Nie, nie, tu nie mogło być żadnych wątpliwości. Zorun nie zawiedzie.

– Widziałeś przywódcę asceńczyków, tego Uldyzjana ul-Diomeda czy jak go tam zwa, prawda?

– Tt-tak! Tak! – krzyknął strażnik, niemalże z wdzięcznością, że wreszcie może udzielić odpowiedzi. – Widziałem! Błady! Bbb-był farmerem, tt-tak mówią.

– Rył w ziemi... – mruknął czarownik z odrazą. – Prawie jak zwierzę.

Mężczyzna wewnątrz pentagramu zacharczał, najpewniej na potwierdzenie słów maga.

– Mówi się, że w pojedynkę zawałił świątynię. Widziałeś to?

– Nnn-nie!

Ta odpowiedź tylko podsyciła gniew maga.

– W takim razie marnuję czas. – Machnął ręką, więzień gwałtownie wciągnął powietrze, a sekundę później począł się dławić. Próbował sięgnąć

dłońmi do szyi, która potwornie spuchła w okolicy grdyki. Jednak nawet gdyby mógł poruszyć rękami, i tak nie byłby w stanie powstrzymać Zoruna.

Ze zdławionym jękiem strażnik opadł bezwładnie na posadzkę. Zorun patrzył, jak ciało uderza o podłogę i nieruchomieje z rozrzuconymi na boki kończynami.

– Terulu!

Do komnaty, szurając nogami, wszedł kedżanin o głowie stanowczo zbyt małej w porównaniu do potężnego ciała. Miał na sobie jedynie prostą tunikę, a jego twarz przypominała małpią. I choć zwierzęta te otaczano czciami na nizinach, Zorun nie widział w nich nic świętego, tak jak i w swoim słudze. Terul sprawnie wykonywał proste polecenia, nie zadając przy tym żadnych pytań, i to właśnie dlatego czarodziej zdecydował się zabrać olbrzyma ze slumsów.

Terul, który nigdy nie nauczył się mówić, stękając i chrząkając, pochylił małą głowę w stronę swego pana.

– Ciało.

Zorun nie musiał mówić nic więcej. Sługa wiedział, co robić. Dźwignął zwłoki, jakby te nic nie ważyły, nie bacząc na krew, która zostawiła szkarłatne plamy na jego skórze.

Terul wyszedł, niosąc trupa. Pod Kedżanem ciągnęły się niezliczone kanały ściekowe, a wszystkie prędzej czy później wypływały zawartość do rzeki za murami miasta, tam zaś nieprzebyta dzicz, również nazywana Kedżanem, zajmowała się już odpadkami na swój sposób.

Zorun zerknął na kałużę krwi i czerwony szlak, jaki zostawił za sobą sługa. Wymruczał inkantację i wyrysował właściwe symbole, a potem z satysfakcją obserwował, jak karmazynowa ciecz płynie ku pentagramowi, nie zostawiając śladu na posadzce. Ilu członków Rady byłoby w stanie powtórzyć ten wyczyn? Dziesięć lat zajęło Zorunowi doskonalenie zaklęcia...

Skrzywił się. Bez wątpienia temu całemu Uldyzjanowi ul-Diomedowi wystarczyłoby po prostu zerknąć.

„To być nie może... albo, jeśli być musi, to ja powinienem władać taką mocą, nie jakiś głupi kmieć!”

Zorun złapał płaszcz i opuścił swe sanktuarium. Musiał odwiedzić kilka osób, żeby zebrać przedmioty niezbędne mu do pracy. Będzie to wymagało targów, które wolał zachować w tajemnicy przed swoimi pracodawcami. Sekrety czarownika były warte o wiele więcej niż złoto czy klejnoty. Miały wartość istnień.

I jeśli plan Zoruna się powiedzie, jednym z tych istnień będzie asceńczyk, Uldyzjan.

– Musisz porozmawiać z bratem. – W tonie Rathmy, zazwyczaj beznamiętnym, teraz zadźwięczały nuty niepokoju. – Staje się coraz bardziej nieuważny, w miarę jak manifestuje się jego moc.

– Co mogę mu powiedzieć, czego by jeszcze nie wiedział? – Mendeln wzruszył ramionami. Był zarazem podobny i zupełnie różny od swego rozmówcy. Rathma przewyższał wzrostem większość ludzi, a rysy jego twarzy były tak doskonałe, że można by je uznać za dzieło wyjątkowo utalentowanego rzeźbiarza. Skórę miał jaśniejszą, niż to bywa u żywych, a jej bladość podkreślała czarna opończa z kapturem.

Mendeln ul-Diomed natomiast, średniego wzrostu i przeciętnej urody, był synem farmera. Nie nadawał się jednak do tego, by pójść w ślady ojca. Szeroki nos sprawiał, że młodzieniec wydawał się brzydki przy swoim towarzyszu, a jego włosy sprawiały wrażenie jaśniejszych w porównaniu z głęboką czernią włosów Rathmy.

Jeśli jednak wziąć pod uwagę ich sposób mówienia czy ubierania się, byli bardziej braćmi niż Mendeln i Uldyzjan. Mendeln nosił identyczny strój jak Rathma, a jego skóra, choć wciąż lekko różowa, była bledsza niż u większości ludzi, szczególnie asceńczyków, którzy śniadą karnacją niewiele różnili się od mieszkańców nizin.

Jednak w podobieństwach między Rathmą a Mendelnem nie było nic zaskakującego. Ten pierwszy wybrał bowiem młodszego z synów Diomedesa na swego ucznia, pierwszego ze śmiertelników, który miał podążać ścieżką wytyczoną przez syna anioła i demona.

– Uldyzjan uważa się za bardzo praktycznego – kontynuował Mendeln.
– Kiedy pojawiły się pewne znaki świadczące o tym, że Trójca znów podnosi łby, skłoniły go, by raz na zawsze zniszczyć ich rodzaj. Dla niego to absolutnie logiczne, dla wielu innych również. Nawet ja dostrzegam w tym sens.

Płaszcz Rathmy załopotał, choć nie było wiatru. Mendeln zastanawiał się często, czy aby opończa nie żyje własnym życiem, lecz nigdy o to nie zapytał.

– W ten sposób pozostaje ślepy na działania mojego ojca – przypomniał mu nauczyciel.

Rathma był jednym ze Starożytnych, pierwszych dzieci ze związków aniołów z demonami, które urodziły się na świecie znanym jako Sanktuarium. Na jego pokolenie składało się potomstwo uciekinierów z Królestwa Niebios i Płonących Piekieł. Porzucili oni zmagania w wiecznym konflikcie i razem poszukali nowego życia. Znaleźli je, przynajmniej na jakiś czas, w miejscu, które samo stworzyli, ukrytym przed wzrokiem obu wielkich potęg. Jednak wspólny cel stał się przyczyną ich upadku. Zażyłość rodziła związki aniołów i demonów, a z nich narodziło się pokolenie Rathmy – pierwsi ludzie.

Początkowo dzieci wydawały się nieszkodliwe, lecz szybko zaczęły demonstrować moce, które w przeciwieństwie do możliwości rodziców miały nieograniczoną potencjał. Anioł Inarius, przywódca uciekinierów, uznał dzieci za ohydne wynaturzenie. Jego kompani ledwie zdołali go powstrzymać od natychmiastowego działania. W końcu zgodził się, by wszyscy uchodźcy udali się do swych oddzielnych sanktuariów i tam naradzili się co do losu dzieci.

Jednakże był wśród nich ktoś, kto podjął już decyzję. Kochanka Inariusza, Lilith, ruszyła śladem pozostałych demonów i aniołów i wymordowała ich jednego po drugim. W swym szaleństwie oraz ambicji widziała siebie jako zbawcę niezwykłych dzieci, a zatem jedyną, która ma prawo decydować o ich przeznaczeniu.

Jej przeznaczeniem było natomiast władać wszystkimi.

Jednakże poważnie nie doceniła Inariusza. Odkrywszy jej zdradę, anioł wygnał Lilith z Sanktuarium, po czym użył gigantycznego kryształu zwanego Kamieniem Świata, stworzonego, by ukryć istnienie Sanktuarium. Inarius zmienił strukturę artefaktu, a ten sprawił, że wrodzone moce dzieci zaczęły zanikać, aż stały się tak mizerne, że równie dobrze mogłoby nie być ich wcale.

Niektórzy z pokolenia Rathmy zaprotestowali... i zostali zmiążdżeni. Pozostali się rozproszyli. Sam Rathma został zmuszony do ukrywania się poza wymiarem śmiertelników. Większość jemu podobnych przepadła na przestrzeni stuleci, kolejne pokolenia dorastały w niewiedzy, że odebrano im ich dziedzictwo.

Ale czy na zawsze...?

Mendeln odwrócił się od Rathmy, rozważając jego słowa. Stali obaj w dżungli Kedżanu, daleko od obozu rozbitego przez akolitów Uldyzjana. Nikła woń dymu niesiona wiatrem pochodziła nie tyle z obozowiska, co z Urdżani, miasta oddalonego o pół dnia drogi na południe. Uldyzjan wyśledził tam kilku ostatnich kapłanów i pomniejszą świątynię, którą spalił do gołej ziemi.

– Mój brat jest boleśnie świadom anioła – odparł wreszcie Mendeln. – Tak samo zawsze będzie pamiętał Lilith.

Wbrew założeniom Inariusza, demoniczna kusicielka zdołała jakoś wrócić z wygnania. Anioł, zaprzątnięty bez reszty wtargnięciem przedstawicieli Płonących Piekieł do jego świata, przeoczył niespieszne i ostrożne manipulowanie Kamieniem Świata. Celem Lilith było obudzenie

potencjału w ludziach licznie zamieszkujących Sanktuarium, co stanowiło przeciwieństwo dążeń Inariusza. Córka Mefista wybrała sobie Uldyzjana i posługując się okrucieństwem oraz wzniecając pożądanie, obudziła uśpione w nim moce.

Koniec końców jednak nie zdołała przeciągnąć go na swoją stronę. Uldyzjan walczył z nią w głównej świątyni kultu Trzech i, choć jej ciała nie odnaleziono pod gruzami, które pozostały z dumnego niegdyś przybytku, wszyscy, nawet Rathma, przekonani byli, że Lilith wreszcie jest martwa. Uldyzjan pokochał ją jednak jako Lylię, urodziwą szlachciankę, i nie mógł uciec przed bolesnymi wspomnieniami.

– I za to mogę go tylko przeproszać. Wiedziałem, że moja matka jest zła, tak jak świadom jestem dwulicowości mego ojca... i przez pokolenia jedynie uciekałem przed nimi.

Rathma bynajmniej nie uciekał, ale Mendeln nie zaprzeczył tym samooskarżeniom.

– Raz jeszcze wspomnę mu o misjonarzach Katedry. Powiedziałaś, że spora ich liczba zmierza już w kierunku Urdżani, a my opuściliśmy miasto zaledwie wczoraj. To by znaczyło, że wyruszyli z Wielkiej Katedry, zanim my dotarliśmy do miasta.

– Nie po raz pierwszy tak się dzieje, Mendelnie. Mój ojciec wydaje się znać następny krok Uldyzjana, zanim twój brat o nim zdecyduje.

– O tym też mu powiem – obiecał Mendeln, lecz nie odchodził. Rozejrzał się, jakby spodziewał się, że z zielonej gęstwiny wyskoczy nań jakaś bestia.

– Nie ukrywam go – odparł Rathma, okazując nietypową dla niego frustrację. – Nie kłamię, gdy zapewniam cię, że nie wiem, gdzie przebywa twój przyjaciel Achilios. Zarówno ja, jak i Trag'Oul szukaliśmy go, lecz nie trafiliśmy na żaden ślad.

Mendeln nie podjął tematu, zostawił nauczyciela i odszedł. Rathma nie przywołał młodzieńca z powrotem, ten zaś, znając zwyczaje swego

mentora, był pewien, że nefałem rozwiął się wśród cieni.

Żaden z nich nie sformułował głośno swych podejrzeń odnośnie do zniknięcia Achiliosa. Raz tylko omówili rozmaite możliwości.

Mendeln niemal całkowicie stracił nadzieję. Jaki sens było walczyć o ocalenie świata, skoro świat miał się niedługo skończyć?

Mendeln nie miał wątpliwości w kwestii tego, co stało się z Achiliosem. Rathma nie wyczuł śladu obecności demona w miejscu, gdzie po raz ostatni widzieli łuczника. A istniały tylko dwa wyjaśnienia braku tych śladów. Po pierwsze Inarius mógł porwać Achiliosa, chcąc go wykorzystać przeciwko edyremom i ich przywódcy – prawdziwie ponura opcja. A jednak, choć ten scenariusz był straszny – szczególnie dla Serentii, istniało inne wyjaśnienie, przy którym pierwsze wydawało się nie najgorszym rozwiązaniem.

A co, jeśli Achiliosa porwał jakiś inny anioł?

Wszyscy wiedzieli, co to oznaczało. Już przed wiekami istnienie Sanktuarium przestało być tajemnicą dla Płonących Piekieł. Demony pozwoliły mu istnieć w nadziei, że zdołają wykorzystać świat ludzi w wiecznej wojnie przeciwko Królestwu Niebios. Świątynia Trójcy została powołana przez władców Płonących Piekieł – Najwyższych Złych, a ich celem było zawładnięcie rasą ludzką. Gdyby Inarius nie żywił osobistej urazy, bowiem postrzegał Sanktuarium i wszystko, co zawierało, jako swoją własność, ludzkość już dawno mogłaby wyruszyć do walki z aniołami.

Jeżeli Królestwo Niebios dowiedziało się już o istnieniu Sanktuarium, z pewnością będzie walczyć, by zawładnąć tym światem lub po prostu go zniszczyć, żeby nie został wykorzystany przez demony. Tysiące bytów, które przy tym szeszna, nie obchodziły żadnej ze stron.

„Musimy znaleźć Achiliosa, to absolutnie konieczne – powtarzał w duchu Mendeln, zмирzając w stronę obozowiska. – Konieczne dla dobra nas wszystkich”.

Rozmyślania przerwała mu brutalnie jakaś niewidzialna ściana, na którą wpadł. Rozmasowywał nos, gdy obok pojawiło się dwóch mężczyzn –

jeden ciemnoskóry mieszkaniec nizin, drugi o znacznie jaśniejszej karnacji. W porównaniu z tubylcami każdy asceńczyk wydawał się blady. Mendeln rozpoznał w tym drugim mieszkańca Party, skąd pochodzili pierwsi akolici Uldyzjana. Została ich około setka, kiedyś ta liczba była dużo większa. Niestety fakt, że ruszyli za Uldyzjanem pierwsi, oznaczał, że musieli stawić czoła najbardziej potwornym z niebezpieczeństw, zanim ich moce miały szansę obudzić się w nich naprawdę.

– Wybaczcie nam, mistrzu Mendelnie! – zawołał partanin. – Nie wiedzieliśmy, że to wy!

Drugi z edyremów potakiwał gorączkowo. Niezależnie od tego, czy pochodzili z dżungli, czy z wyżynnych lasów, niemal wszyscy członkowie trzódki Uldyzjana traktowali Mendelna z mieszaniną czci i strachu. Obawę budziło powołanie Mendelna, związane w znacznej mierze ze zmarłymi. Co do czci zaś... Mendeln wiedział doskonale, że brała się z prostego faktu, że jest bratem Uldyzjana.

Zrazu ku jego zdumieniu garstka przyszła doń po naukę, ale młodszy z synów Diomedesa nie cenił sobie zbyt ich zainteresowania. Żywili chorobliwą ciekawość względem niektórych aspektów... przynajmniej tak to sobie tłumaczył.

– Nie musicie przeproszać – zapewnił edyremów. – Wyszedłem z obozu, nie mówiąc nic nikomu. Wypełnialiście jedynie swoje obowiązki.

Otworzyli dla niego przejście, a gdy ich mijał, wymienili pełne ulgi spojrzenia. Udał, że tego nie zauważył.

Mendeln znalazł się nagle w miejscu wypełnionym magią – przekroczenie bariery niejako przeniosło go do innego świata. Barwne kule energii unosiły się tu i ówdzie, jakby szykowała się jakaś uroczystość. A jednak żadna z kul nie była na uwięzi, płynęły w powietrzu nad głowami tych, którzy je przywołali. W obozie nadal płonęły ogniska, lecz służyły przygotowaniu strawy, nie oświetleniu.

I to nie wszystko. Gdy Mendeln szedł przez obóz, nieustannie widział kolejne przejawy magii. Jeden ze smagłych mieszkańców nizin stworzył lśniący strumień energii, który owinał się wokół swego twórcy niczym wąż. Inny uniósł w powietrze kilka niewielkich kamieni i zmuszał je do tańca, jakby poruszały nimi wprawne dłonie żonglera. Jasnowłosa partanka stworzyła z niczego włócznie i celnie cisnęła nią w odległe drzewo. Włócznia przez chwilę trwała wbita w korę, a potem rozwiąła się w powietrzu. Kobieta zaś stworzyła następną.

Czary edyremów różniły się od siebie i rodzajem, i mocą, a także wprawą, z jaką je rzucano. To jednak zdawało się w żaden sposób nie przeszkadzać ludziom, którzy otaczali Mendelna. Ludziom o najróżniejszym pochodzeniu i profesji. Ale to, że szkolili się w sztuce niegdyś dostępnej jedynie nielicznym, niepokoiło Mendelna. Prości ludzie, do których i on się zaliczał, powinni spędzić życie na roli, a nie zostawać magami.

Patrzył, jak jeden z bardziej pomysłowych młodzików stworzył dla swego młodszego rodzeństwa – bowiem „armia” Uldyzjana składała się również z dzieci – intensywnie kolorowe motyle, które pofrunęły na wszystkie strony. Pod wieloma względami akolici jego brata byli naiwni, jeśli chodziło o moc, jaką władali. W najlepszym wypadku mieli ją za narzędzie – takie jak na przykład motyka – a nie za coś, co może zwrócić się przeciwko nim albo brutalnie kogoś okaleczyć.

„Może jestem zbyt surowy – myślał Mendeln. – Walczyli o to, w co wierzą, i byli zmuszeni zabijać tych, którzy chcieli ich zmienić w swoich niewolników i marionetki”.

A jednak niepokój nie mijał. Mimo wszystko Mendeln nie mógł pozbyć się wrażenia, że magię należałoby badać ostrożnie i jeszcze ostrożniej jej używać. Człowiek powinien dorastać do używania magii, szanować ją i uczyć się dostrzegać płynące z tego zagrożenia.

Nagle pojawiło się przed nim miękkie, kojące błękitne światło. Mendeln zawahał się, ale wreszcie postąpił w tamtym kierunku. Nie miał powodu obawiać się źródła tego blasku. W końcu to tylko Uldyzjan.

Nawet wśród wszechobecnej magii potrafił wyczuć obecność swego brata. Spora grupa edyremów otoczyła miejsce, które Uldyzjan wybrał sobie na spoczynek. Mendeln nie widział starszego brata, mógł jednak wyczuć, gdzie ten dokładnie jest. Bez wahania ruszył przez tłum, ludzie zauważyli go natychmiast i poczęli się przed nim rozstępować.

Zdołał przebić się do połowy, gdy wreszcie dojrzał brata.

Uldyzjan miał jasne włosy, potężną sylwetkę i wygląd farmera, którym w istocie był, szerokie ramiona, mocną szczękę i krótko przyciętą brodę. Surowa uroda starszego z braci pomagała mu trafiać do ludzi. Był jednym z nich, prostym człowiekiem. Wiódł godziwe życie, a potem doświadczył wielkiego cierpienia, gdy w czasie plagi stracił wszystkich swoich krewnych prócz Mendelna. Wtedy Uldyzjan zwracał się do kolejnych misjonarzy, szukając ratunku dla bliskich, ale otrzymał tylko puste obietnice, po których następowały sugestie co do datków. Po tej tragedii Uldyzjan zaczął żywić płomienną nienawiść do sekt, do Świątyni Trójcy i Katedry Światłości, nawet zanim kapłani zaczęli na niego polować.

Teraz siedział na pniu drzewa i szczerze przemawiał do wszystkich. Mendeln nie musiał słuchać, by wiedzieć, że brat stara się napełnić serca swojej trzódki odwagą, wyjaśniając, co oznacza pójście w jego ślady. Jego słowa miały wielką wagę, jednak Uldyzjan sam nie zawsze się do nich stosował. Ostatnimi czasy pozwalał, by jego niesamowite możliwości panowały nad nim, a nie odwrotnie.

Urdżani była tego najświeższym dowodem. Uldyzjan zamierzał pojmać kapłanów – nie wybić ich. Miał pytania dotyczące ich prawdziwych panów, władców Płonących Piekieł. A jednak gdy jeden z nich zaatakował edyremów w beznadziejnej próbie odwleczenia nieuniknionego – próbie,

która została bez trudu udaremniona – Uldyzjan w odwecie ze złością zaatakował.

Szczałki kapłanów rozrzucone zostały na kilka jardów, każdego bowiem coś rozsadziło od wewnątrz. Uldyzjan zachował się tak, jakby planował to od samego początku.

– Należeli do kultu Trójcy – uciął protesty Mendelna i nakazał spalić świątynię do fundamentów, żeby nie pozostał żaden ślad.

Teraz ten sam człowiek, który tak obojętnie rozdzierał ludzi żywcem i spalił ich świątynię, wesołym skinieniem głowy odprawił swych akolitów.

Blask przygasł, ale wciąż był dość jasny i widoczny.

Tylko jedna osoba została, Serentia, córka kupca Cyrusa, pierwszego, który zginął przez moce Uldyzjana. Nie była to wina starszego z synów Diomedesa, to Lilith bowiem zmanipulowała sytuację tak, by doprowadzić do tych strasznych rezultatów. Serentia była piękną kobietą o długich czarnych włosach i błękitnych oczach. Słońce opaliło jej niegdyś blade policzki. Nosiła luźne i powiewające szaty na wzór mieszkanek nizin. Nie rozstawała się z włócznią, którą zawsze trzymała w prawej dłoni, i jeśli cokolwiek stanowiło skazę na jej oszołamiającej urodzie, to – zdaniem Mendelna – wyraz zaciętej determinacji widoczny w jej rysach i oczach.

– Mendelnie. – Uldyzjan wstał i powitał brata, jakby nie widział go od kilku dni. – Gdzie byłeś?

– Za granicami.

– A – szeroki uśmiech starszego z braci przygasł nieco. – Kto to był tym razem? Smok czy jej potomek?

Mówiąc „jej”, miał oczywiście na myśli Lilith.

– Rathma, tak. Ostrzegał nas przed swoim ojcem...

Aura wokół Uldyzjana rozjarzyła się gwałtownie. Kilku najbliższych edyremów poderwało się przestraszonych, jednak wszyscy szybko odwrócili wzrok.

– Jak za każdym razem! Czy on myśli, że nie pilnuję Inariususa?! Rathma lepiej by zrobił, gdyby stanął u naszego boku, zamiast uciekać w ciemność po tym, jak wyszeptał kolejne strachliwe ostrzeżenie.

Blask przybierał na intensywności. Mendeln czuł, że i jego gniew rośnie, lecz starał się panować nad sobą.

– Wiesz, że ryzykował tyle co każdy z nas, Uldyzjanie... i nie powinieneś nienawidzić go tylko dlatego, że jest potomkiem Lilith. On sam żałuje tego bardziej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

Blask znów się zmienił. Uldyzjan odetchnął.

– Masz... masz rację. Wybacz. Ostatnie dni były wyjątkowo długie, czyż nie?

– Mnie zdaje się, że robią się dłuższe z każdym oddechem.

– Tęsknię za farmą.

– Ja też, Uldyzjanie. Nawet ja tęsknię.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwała Serentia.

– Jakież wieści o Achiliosie? – mruknęła, spoglądając na Mendelna spod przymrużonych powiek.

– Wiesz, że od razu bym powiedział, gdybym dowiedział się czegokolwiek.

Serentia uderzyła w ziemię drzewcem włóczni. To miejsce błysnęło na chwilę wyładowaniem czerwonej energii. Kobieta była najpotężniejsza ze wszystkich uczniów Uldyzjana. Część tej mocy brała się niestety z jej niepokoju o łucznika. Im dłużej go nie było, tym mniej ostrożna stawała się Serentia. To samo zresztą przytrafiało się i innym edyremom, i jedynie Mendeln, spoglądając na nich z boku, zdawał się to dostrzegać.

– Achilios znajdzie sposób, by do ciebie powrócić – wtrącił Uldyzjan. – Zobaczysz, Serri.

A jednak dziewczyna nie wyglądała na przekonaną.

– Gdyby był w stanie, już by stał obok nas.

– Poczekaj, a się przekonasz. – Położył jej dłoń na ramieniu, co jeszcze niedawno wywołałoby u niej natychmiastowy rumieniec. Serentia podkochiwała się w Uldyzjanie przez większość swojej młodości; jednak na krótko przed tym, jak demon Lucion zamordował Achiliosa, odkryła, że prawdziwie kocha ich dzielnego przyjaciela.

– I jak mówiłem – Uldyzjan zwrócił się do młodszego brata – mam baczenie na anioła. Co on może zrobić, czego wcześniej nie próbowałaś nam uczynić Trójca? Rathma ukrywa się tak długo, że ciężko mu pomyśleć, że...

Gdzieś na skraju obozu rozległ się krzyk, a potem podniosły się wściekłe okrzyki, które nie należały do edyremów.

Uldyzjan spojrział w niebo i zmarszczył brwi, sprawiał raczej wrażenie sfrustrowanego niż zaskoczonego.

– Mamy gości – oznajmił Mendelnowi i Serentii. – Wielu nieproszonych gości...

– Trójca? – spytała Serentia niemalże uradowana. Uniosła włócznie, jakby miała zamiar od razu nią cisnąć.

– Nie wiem, ale któż inny by to miał być? – Uldyzjan ruszył w kierunku zamieszania. – W każdym razie, ktokolwiek by to był, powitamy ich tak samo, jak zawsze witaliśmy ludzi Świętyni.

Dziewczyna uśmiechnęła się i Mendeln natychmiast przypomniał sobie, że ten wyraz twarzy miewała często, gdy była opętana przez Lilith. Serentia, nie ociągając się, pobiegła za Uldyzjanem i Mendeln wkrótce został z tyłu.

Nie zrobił ani kroku, choć nie unikał walki. W miarę jak odgłosy starcia przybierały na sile, Mendeln zastanawiał się, kto mógł przypuścić ów desperacki i nieoczekiwany atak. To raczej nie byli ludzie Trójcy, zakładając, że kult w ogóle byłby w stanie zebrać jakieś znaczące siły i rzucić je do walki. Jednak jeśli nie Trójca za tym stała, to musiał być Inarius, nikt inny nie przychodził Mendelnowi do głowy. Choć przecież tak

otwarte i proste zagranie nie pasowało do anioła. Rathma niejednokrotnie wspominał, że jego ojciec wystrzegał się oczywistych działań, zamiast tego manipulował wydarzeniami, by toczyły się zgodnie z jego wolą...

Mendeln zaklął i dołączył do pozostałych. Bez względu na to, czym wydawał się być ów atak z pozoru, miał jeszcze jeden ukryty cel, o wiele bardziej przerażający. I być może za późno już było, by przeszkodzić w jego realizacji...

DWA



Uldyzjan bez cienia strachu udał się na skraj obozowiska. On i ci, którzy poszli za nim, niejednokrotnie byli atakowani w tak podstępny sposób. Lilith udało się czarami ukrywać Strażników Pokoju Świątyni i jeszcze bardziej nikczemnych morlu, póki nie znaleźli się tuż przy Uldyzjanie i jego ludziach. Jednak nawet wtedy edyremom udało się pokonać wroga.

Uldyzjan wziął pod uwagę, że przemierzali dżunglę, i wystawił strażę na tyle liczną, by nawet w razie kolejnego podstępnego ataku ze strony przeciwnika centrum obozowiska pozostało bezpieczne. Ta ostrożność się opłacała.

Edyremowie stali rzędem zwrócenii w stronę lasu. Spomiędzy drzew wylewali się nie odziani w lśniące zbroje, zdyscyplinowani inkwizytorzy Katedry, a horda ludzi odzianych w proste stroje, podobnych do armii Uldyzjana. Uzbrojeni byli nie tylko w miecze, ale i widły, siekiery oraz rozmaite narzędzia, które służyły im za broń. Krzycząc i wrzeszcząc z wściekłością, uderzyli na edyremów.

– To nie są kultyści Trójcy ani Katedry! To są zwykli ludzie – Serentia stwierdziła to, co wszyscy widzieli. Uniosła włócznię. – To niemożliwe! To musi być jakaś iluzja, mająca wytrącić nas z równowagi.

Ta sugestia miała swoje podstawy, bowiem iluzje zdawały się przychodzić przedstawicielom potężnych sekt równie łatwo jak oddychanie. Uldyzjan odepchnął wątpliwości i wyciągnął do przodu lewą rękę.

Teren przed nim eksplodował czystym dźwiękiem z taką siłą, że przetoczył się przez szeregi atakujących, jakby byli niczym. Mężczyźni i kobiety poleciali na wszystkie strony, wpadali na drzewa albo znikali gdzieś w gęstwinie. Umierali z krzykiem, ale to nie powstrzymało Uldyzjana przed ponownym uderzeniem.

Serentia zaś wycelowwała i cisnęła włócznią. Grot przebił jednego mężczyznę i przeszedł przez niego, by zgładzić tego, który biegł za nim. Gdy obaj padli na ziemię, zakrwawiona włócznia wróciła do ręki Serentii.

Pozostali edyremowie bynajmniej nie zostawili walki swym przywódcom. Kolejny z atakujących zapłonął gwałtownie. Wpadł na dwóch swoich i oni też zajęli się ogniem. Wszyscy trzej powodowali zamieszanie w szeregach atakujących, pozostali bowiem uciekali przed choćby dotykem żywych pochodni.

Gdzie indziej świetliste kule podnosiły napastników i zrzucały ich na towarzyszy. Węże energii owijały się wokół gardeł i zaciskały na tyle mocno, by dławić oddechy.

Edyremowie korzystali też ze zwykłych sposobów obrony, na przykład z łuków, ale nawet wtedy ich moc dochodziła do głosu. Strzały kierowane wolą zawsze trafiały dokładnie w serca wrogów.

Po stronie atakujących również byli łucznicy, ale ku zaskoczeniu Uldyzjana włączyli się do walki dość późno. Rozległy się świsty i pierwsze pociski leciały już ku edyremom. Umiejętności wrogich łuczników pozostawiały sporo do życzenia, jednak obrońców obozu było tak wielu, że napastnicy nie musieli doskonale celować.

Nie czyniąc nawet gestu, Uldyzjan przejął kontrolę nad strzałami. Zawróciły i pognały w stronę drzew.

Jedna po drugiej trafiły zbliżających się do obozu przeciwników. Sześciu mężczyzn padło jednocześnie, a każdy z nich miał przebite gardło.

Zasadzka zmierzała ku klęsce. Co najwyżej kilku edyremów odniosło niewielkie rany. Uldyzjan nauczył swych strażników tworzenia tarcz, których nie mogła sforsować broń śmiertelników. A tego, ku jego zdumieniu, atakujący w ogóle nie wzięli pod uwagę. Im dłużej trwała walka, tym większą zyskiwał pewność, że przeciwnicy są tymi, na kogo wyglądają: prostymi wieśniakami i farmerami jak on sam. Należeli do ludzi, którzy zwykle chętnie dołączali do edyremów, a nie chcieli ich wybić.

A jednak atakowali z zajadłością coraz bardziej naznaczoną desperacją. Większość z nich była ciemnoskóra jak toradżanie i ich kuzyni. Uldyzjan dostrzegł też jasnoskórych mieszkańców nizin oraz wojowników o karnacji tak jasnej, że można ich było uznać za jego pobratymców. Pochodzili zapewne z obszaru, do którego zaliczała się też i północna część stolicy, innego niż Lylija, będąca ludzkim awatarem Lilith. Uldyzjan nie widział nikogo takiego w czasie swej wędrówki przez dżunglę.

Jednakże to podobieństwo nie uchroniło jasnoskórych przed losem swych ciemniejszych kompanów. Uldyzjan odpłacił im za zasadzkę po stokroć – śmiercią. Ciało przybywało w sposób zarazem groteskowy, jak i haniebny. On sam nie miał pojęcia, jak położyć kres temu starciu. Napastnicy nie przestawali atakować, a i edyremowie, pewni zwycięstwa, nie mieli zamiaru zakończyć tej rzezi.

Gdzieś za nim rozległy się słowa w nieznanym mu języku. Kątem oka dostrzegł bladą poświatę dochodzącą z tego samego kierunku.

Jeden z martwych napastników poderwał się niczym szarpnięta za sznurki marionetka. W pierwszej chwili makabryczna postać wydawała się gotowa do ataku na edyremów, gdy nagle odwróciła się, stając twarzą w twarz ze swymi niedawnymi kompanami.

Drugie i trzecie ciało uczyniły to samo. Po chwili dołączyło do nich kilka kolejnych.

Pierwszy zrobił krok w stronę atakujących. Widok kroczących umarłych okazał się wystarczający, by złamać ducha walki napastników. Najpierw jeden, potem kilku, aż wreszcie wszyscy uciekali w panice. Uciekali, nie patrząc nawet gdzie, chcieli jedynie umknąć przed atakiem armii ożywieńców.

Kilku edyremów posłało za uciekającymi kule ognia albo kawałki pni, lecz i do nich zaczęła docierać potworność tego, co właśnie się wydarzyło. Teren wokół obozu zasłany był ciałami i to jedynie atakujących. Obrońcy zaczęli wznosić triumfalne okrzyki.

Uldyzjan odwrócił się do młodszego brata, to on bowiem mrucał słowa w dziwnym języku. Mendeln wyglądał równie ponuro, co podniesione przez niego trupy. W dłoniach zaciskał sztylet o niepokojącym wyglądzie, który był chyba wyrzeźbiony z... kości, zapewne nawet nie słoniowej. Mendeln trzymał broń zwróconą w dół ostrzem, które było źródłem złowieszczej poświaty.

Naraz młodzieniec odwrócił sztylet rękojeścią w dół i wypowiedział pojedyncze słowo.

Od strony drzew rozległo się głuchoe łupnięcie. Uldyzjan zerknął przez ramię i zobaczył, że podniesione zwłoki teraz zwaliły się wśród pozostałych. Niektórzy z edyremów odruchowo wykonywali znak Trójcy albo Świątyni, ciężko było pozbyć się starych nawyków nawet w obliczu ponurej prawdy o obu sektach.

– Musiałem coś zrobić – wypalił Mendeln. – Sytuacja stawała się tragiczna i haniebna.

– To oni nas zaatakowali. Urządzili zasadzkę, o ile sobie przypominasz. – Uldyzjan protestował, ale tak naprawdę nie mógł winić brata za to, że ten chciał położyć kres rzezi. – Dostali, na co zasłużyli.

– Być może...

Uldyzjan znał już ten ton i słysząc go, za każdym razem czuł się bardziej zirytowany.

– Może i wyglądali jak my, nie wierz jednak pozorom, Mendelnie. Jeśli nie są pionkami Świątyni, służą Inariusowi.

– Szkoda, że nie możemy ich przepytać – wtrąciła Serentia, trącając jedno z ciał. – Edyremowie stali się naprawdę dobrzy, Uldyzjanie. Nikt tu nie został przy życiu.

– Bo i nie miał zostać. – Tym razem starszy z braci sam poczuł się zaskoczony chłodem w swoim tonie. – Choć rzeczywiście dobrze by było mieć kogoś, kto potrafiłby nam powiedzieć, jak do tego doszło. Potrafili się ukryć, więc dysponowali mocą, a jednak walczyli jak zwykli wieśniacy czy rzemieślnicy... – Dotarło do niego, co próbował przekazać mu Mendeln. – To nie ma sensu. Powinni byli wiedzieć, że rozerwiemy ich na strzępy. Rozeszło się już, czego dokonaliśmy w Toradzy i w innych miastach, gdzie znaleźliśmy kościoły Trójcy.

– Mogę?

Fakt, że to właśnie Mendeln gotów był w jakiś sposób wyjaśnić zagadkę tego ataku, zaniepokoił Uldyzjana bardziej, niż ten chciałby przyznać.

– Co?

– Pozwól, że rozejrzę się wśród pokonanych, żeby wybrać. – Mendeln ściszył głos, żeby nie usłyszeli go edyremowie oczekujący rozkazów. – A potem poleć pozostałym, żeby zaczęli przygotowywać ciała do spalenia albo pochówku.

– Wybrać? – Serentia pobladła. – Co masz na myśli, mówiąc „wybrać”? Wybrać do czego?

– Do przepytania, oczywiście.

Uldyzjan próbował zachować niewzruszony wyraz twarzy, gdy rozkazał swoim ludziom, żeby zajęli się poległymi.

– Idź – dodał szeptem do brata. – Wybierz dwóch... tylko dwóch. Pomogę ci przenieść ich tam, gdzie nikt nam nie przeszkodzi.

– Mogę nie trafić na tych, którzy będą znali odpowiedzi. Byłoby lepiej, gdybym mógł przepytac jeszcze kilku...

– Dwóch, Mendelnie! Dwóch. Powiedz ludziom, żeby ich nie dotykali. Ani jednego więcej.

Młodszy z braci westchnął.

– Zrobię, jak mówisz. Najlepiej zatem pójdę od razu.

Serentia odczekała chwilę, aż Mendeln wystarczająco się oddali.

– Kocham go jak przyjaciela i niemalże brata i martwię się. Ta nieustanna zabawa magią, która ma związek z umarłymi, to nic dobrego.

– Też mi się to nie podoba, ale jak na razie nie uczynił niczego złego. Ocalił życie wielu z nas, w tym moje.

– I sprowadził do mnie Achiliosa, nawet jeśli tylko na chwilę... – Jej oczy zwilgotniały.

– Pilnuję Mendelna, nie myśl sobie. Jeśli on albo ten przeklęty Rathma zrobią cokolwiek niewłaściwego, nie ścierpię tego, Serri. Nie odpuszczę. Nawet własnemu bratu.

Mówił to otwarcie, nawet bardziej, niż Serentia mogłaby przypuszczać. Jeśli to, czym zajmował się Mendeln, popchnęło go do jakichś upiornych czynów, o jakich Uldyzjan nawet bał się myśleć, będzie musiał położyć temu kres. Na zawsze, o ile to okaże się konieczne.

Nie będzie miał innego wyboru.

Nie mogli całkowicie ukryć przed edyremami zamiarów Mendelna, ale Uldyzjan i Serentia zrobili wszystko, by odwrócić uwagę pozostałych, podczas gdy młodzieniec wybrał dwa ciała odpowiednie do swych celów. Chwilę później Uldyzjan pomógł bratu usunąć zwłoki z pola widzenia. Serentia pozostała w obozie – miała zamiar dopilnować, by nikt nie zapuścił się przypadkowo w stronę, gdzie znajdowali się obaj bracia.

– To wystarczy – oznajmił młodszy z nich.

Odciągnęli zwłoki do miejsca, które Mendeln uznał za dogodne. Stali na niewielkiej polance, oddalonej od obozu o jakieś dziesięć minut marszu.

Wciąż nie dość daleko, jak na gust Uldyzjana. Obok przepływał strumień, nad nimi splatały się gałęzie drzew o niezliczonych liściach. Gęsta dżungla zasłaniała braci przed wzrokiem edyremów, a jednak kilku co bardziej wrażliwych mogło zauważyć mroczną energię, jaką wzywał Mendeln. Nie można było temu zaradzić. Mendeln od razu uprzedził brata, że jeśli Uldyzjan spróbuje w jakikolwiek sposób ukryć czy osłonić to, co dzieje się na polanie, może to wpłynąć na odpowiedzi, jakie otrzymają.

Mendeln starannie ułożył ciała tak, by leżały jedno obok drugiego. Ich prawe dłonie spoczywały na sercu, a lewe na czole.

– Dlaczego tak? – wyrwało się Uldyzjanowi.

– Rathma i Trag’Oul nauczyli mnie, że dusza dotyka zarówno umysłu, jak i serca. Zamierzam wezwać dusze tych dwóch, a to wzmocni moje wezwanie. To nie jest właściwie konieczne, ale... ułatwi sprawę, a wiem, że chcesz, bym skończył z tym jak najszybciej.

– Tak bym wolał.

Mendeln skinął głową, po raz kolejny unosząc kościane ostrze. Uldyzjan czuł, że w klindze jest coś nienaturalnego, jakby pochodziła z innego świata. Odrzucała go, a zarazem wiedział, że on i jego ludzie wiele jej zawdzięczają. Za jej pomocą Mendeln wysłał w objęcia śmierci dziesiątki morlu w trakcie ostatecznej bitwy z kultystami Trójcy. Tylu ludziom ocalało życie to dziwne ostrze...

A jednak w Uldyzjanie wszystko się burzyło, gdy tylko klinga znajdowała się gdzieś blisko. Była związana ze śmiercią i z tym, co leżało poza ostateczną granicą życia, a akurat tam żaden człowiek nie powinien się zapuszczać.

Mendeln pochylił się nad piersią pierwszego ze zmarłych, kierując ku niej ostrze sztyletu. Za życia ów poległy był mężczyzną w średnim wieku, zapewne farmerem. Łysiejący, z lekka zaokrąglony, choć jego ramiona wciąż były mocne. Wyglądał, jakby zasnął.

Mendeln trzymał czubek ostrza bezpośrednio nad sercem. Uldyzjan wstrzymał dech, jego brat tylko rysował w powietrzu runy. Płonęły oślepiającą bielą, by po chwili zgasnąć i nabrać barwy przytłumionego srebra. Mendeln nakreślił ich pięć.

Potem zaczął kreślić runy nad czołem zmarłego, aczkolwiek tym razem znaki były inne. Skończywszy, zajął się drugimi zwłokami, kobiety, może dwudziestoletniej. Miała szczupłe ciało i ostre rysy, a według Uldyzjana nie dość lat, by być zamieszaną w takie wydarzenia. „Czy naprawdę była taka, jaką się wydawała?” – pytał sam siebie. Jeśli tak, to wszystko stawało się naprawdę niepokojące.

– Cofnij się, proszę.

Gdy starszy brat wykonał polecenie, Mendeln stanął u stóp dwojga poległych. Teraz trzymał sztylet w górę. Z jego ust popłynęły słowa w tajemniczym języku, którego nauczył się dzięki Rathmie, a Uldyzjanowi włosy podniosły się na karku.

Nad zwłokami zaczęły pojawiać się niewielkie wyładowania magicznej energii. Nie przerywając inkantacji, Mendeln przykląkł i sięgnąwszy przed siebie, dotknął czubkiem sztyletu dłoni mężczyzny, ułożonej na jego sercu.

Uldyzjan przyglądał się cienkiej szkarłatnej strużce płynącej do ostrza. Nie spodziewał się już zobaczyć krwi. Jednak zanim zdążył wydusić choćby słowo, Mendeln to samo zrobił z dłonią kobiety. Ku zaskoczeniu starszego z braci, lśniące ostrze nie miało ani jednej plamki.

Mendeln powiedział coś jeszcze i zamilkł. Nie czekali długo. Nad ciałami poczęła formować się nienaturalna mgła. Wypuściła macki, z których kilka sięgnęło ku okrwawionym dłoniom zmarłych.

Plamy krwi rozlewające się na ich rękach skurczyły się, jakby wyschły gwałtownie albo... zostały zaabsorbowane.

– Mendelnie...

Młodszy brat uciszył Uldyzjana gestem, podejmując swoją inkantację. Coraz więcej na wpół skrzepniętej krwi znikało, aż w ranach nie zostało jej

już ani kropli.

I w tej samej chwili mgła nad ciałami zaczęła przybierać kształt. A właściwie dwa kształty...

Jeden przypominał męską sylwetkę, drugi mógł być kobiecą.

Bracia stali w milczeniu, Uldyzjan oczekiwał jakichś wskazówek od Mendelna. Mgliste postaci zagęściły się jeszcze tylko odrobinę, co najwyraźniej wyprowadziło z równowagi tego drugiego.

– Powinienem osiągnąć lepsze rezultaty – złościł się na siebie Mendeln.
– Powinny być wyraźniejsze, bardziej przypominać siebie za życia!

– Odpowiedzą na nasze pytania? – wtrącił niecierpliwie Uldyzjan. – Czy nie to jedynie nas interesuje?

– To interesuje nas najbardziej. – Mendeln pokręcił głową, wciąż niezadowolony ze swoich osiągnięć, po czym skierował sztylet ku męskiej sylwetce. – Pod jakim imieniem byłeś znany?

Początkowo słyhać było jedynie świst wiatru, po chwili świst zmienił się w słowa.

– Hadeen... Hadeen...

– Skąd pochodzisz? – pytał dalej Mendeln, usatysfakcjonowany pierwszą odpowiedzią.

– Toradza... Toradza...

– Z Toradży? – Uldyzjan zmarszczył brwi. – Tak daleko stąd?

– No, jest to pewna odległość. – Mendeln musiał zgodzić się z bratem. – Czym się zajmowałeś? Byłeś uczniem Świątyni Trójcy?

Cień zawahał się, jakby pytanie okazało się zbyt skomplikowane.

– Uprawiałem ziemię, siałem zboże... jak mój ojciec, i dziad, i mój...

– Dość, powiedz o Trójcy! Byłeś ich sługą?

– Nie...

– Kłamie, Mendelnie. W przeciwnym razie po co wędrowałby tak daleko w tak podłych zamiarach?

Młodszy z braci wzruszył ramionami.

– Dlaczego więc zaatakowałeś nas wspólnie z innymi, skoro nie służysz Trójcy?

Cień ponownie się zawahał.

– By ocalić ziemię... ocalić cały Kedżan...

Ta odpowiedź wydała się Uldyzjanowi czystym absurdem.

– Chciał ocalić Kedżan... przed nami? To my próbujemy wszystkich ocalić!

– Cierpliwości, cierpliwości. – Choć Mendeln uspokajał brata, sam też nie mógł zrozumieć odpowiedzi ducha. Podrapał się po brodzie i zwrócił do cienia kobiety. – Teraz ty. Jakie nosisz imię?

– Vidrisi...

– I przybyłaś bronić Kedżanu przed tymi w obozie?

Odpowiedź uzyskali natychmiast i była ona druzgocąca.

– Tak...

– Co cię do tego skłoniło? – zapytał Mendeln szybko, zanim Uldyzjan zdążył się wtrącić. – Co sprawiło, że dołączyłaś do tej grupy?

– Wiedzieliśmy... wiedzieliśmy, że musimy to zrobić...

– Nie! Pytam o... pytam o to, kto pierwszy to zasugerował.

Cień nie odpowiedział. Oba duchy straciły ów zarys kształtu, jaki dotychczas nadało im zaklęcie. Mendeln zaczął szybko mamrotać coś niezrozumiałego.

– O co chodzi? – Uldyzjan żądał odpowiedzi. – Co się dzieje?

– Nie teraz! – Jego brat wyrysował w powietrzu kilka symboli, skupiając się na żeńskim cieniu. Mgła znów nabrała kształtów, nawet wyraźniejszych niż przedtem.

Jednak duch Hadena znów stał się mgłą, a potem rozwiął całkowicie.

– Tego utraciłem – podsumował ze złością. – Ale ona wciąż jest związana czarem. Kto kazał wam ruszyć do bitwy? Kto was wysłał?

Duch nie odpowiadał, lecz też się nie rozwiewał. Mendeln skreślił kilka kolejnych run i wypowiedział półgłosem kilka kolejnych słów.

– Pamiętam... – odezwał się wreszcie duch. – Pamiętam misjonarza... Mówił, że to takie tragiczne... Co uczynili fanatycy... tylu niewinnych zginęło...

– Niewinnych?! – wypalił Uldyzjan. – Niby Trójca?!

– Tylu niewinnych... pochwyconych przez zło czynione przez fanatyków i zdradzieckie postęпки Trójcy... Pamiętam, jak misjonarz lamentował... jak bardzo chciał, by można było coś z tym zrobić...

– Dość! – rozkazał cieniowi Mendeln, duch jednak nie odchodził.

Bracia popatrzyli na siebie.

– Rathma ostrzegał, że jego ojciec będzie poruszał się poza sceną wydarzeń, obracając ich rezultat na swoją korzyść – przypomniał młodszy.

Uldyzjan rzucił mu wrogie spojrzenie, aczkolwiek nie był zły, że Mendeln wspomniał Rathmę i jego ostrzeżenia po raz kolejny. Był wściekły na siebie, nie docenił bowiem przebiegłości i skrupulatności Inariusza.

– Anioł zwraca wszystkich przeciwko nam, prawda? Wszędzie, gdzie walczyliśmy, zjawiali się jego misjonarze i gdy tylko ruszyliśmy dalej, opatrywali rannych, karmili głodnych i wypełniali im głowy kłamstwami o tym, jacy jesteśmy źli!

– I choć się staraliśmy nie skrzywdzić niewinnych, nasze ręce nie są całkowicie czyste. Inarius na pewno postarał się, by te smutne chwile były wszystkim, co dostrzegali ludzie, których zostawiliśmy za sobą.

Uldyzjan zaklął. Nie mógł zaprzeczyć słowom Mendelna. A miał nadzieję, że mieszkańcy Toradży i innych miast przynajmniej poznali i zrozumieli prawdę o Świątyni i Katedrze. Nie oczekiwał, że pokochają go za to, co zrobił, ale spodziewał się przynajmniej szacunku.

Jednak podejrzliwość, jak sobie właśnie uświadomił, leży w ludzkiej naturze, i tę podejrzliwość słudzy Proroka podsycili kłamstwami.

Poczuł żar narastający w piersi tak szybko i z taką mocą, że zupełnie odebrał Uldyzjanowi rozsądek. Zrozumiał, jakim był głupcem, zakładając, że Inarius pozwoli mu zachować kontrolę nad wydarzeniami. Jednym

sprytnym posunięciem anioł wygrał niemal całą bitwę. Wzbudził w zwykłych ludziach taki gniew i determinację, że byli w stanie ruszyć przez dżunglę, by walczyć z przeciwnikiem, z którym tak naprawdę nie mogli się mierzyć.

To przerażało Uldyzjana.

Żar przybrał na sile. Uldyzjan nie dawał rady tłumić tego uczucia ani chwili dłużej.

Wbił spojrzenie w ciała.

Mendeln uskoczył w ostatnim momencie. Ogień wybuchł nagle i pochłonał zwłoki w mgnieniu oka. Płomienie urosły, liznęły najbliższe drzewa. Okolica błyskawicznie zamieniła się w piekło, podsycane wściekłością Uldyzjana.

Cień kobiety rozwiął się przy wtórze żalostnego zawodzenia. Uldyzjan poczuł, że ktoś łapie go za ramię. Dobrą chwilę trwało, zanim dotarło do niego, że młodszy brat krzyczy mu do ucha.

– Przestań! Przestań, zanim podpalisz całą dżunglę!

Uldyzjan nie chciał się zatrzymać, im więcej płomieni szalało wokół, tym lepiej się czuł. Z niejaką pogardą strząsnął z siebie dłonie brata.

Wtedy coś uderzyło go w pierś i zalała go nowa fala cierpienia. Spojrzał w dół i zobaczył strzałę tkwiącą mu w klatce piersiowej. Na skraju świadomości zarejestrował, że nie jest to zwykła strzała. Znał ten układ lotek.

Była też pokryta ziemią.

Uldyzjan upadł.

Zabójca przeskoczył przez gęste zarośla z gracją najszybszego z drapieżników. Zanim jeszcze puścił cięciwę, był już w ruchu. Nie dlatego, że chciał się ukryć. I tak odgadną, że to on, choćby po ziemi oblepającej promień.

Achilios biegł. Nie z własnej woli, coś go do tego zmuszało. Wypuścił strzałę, tak jak mu nakazano, ale nie wykonał zadania do końca. W żadnym

razie.

Była jeszcze Serentia...

Miał regularne, ostre rysy i uważano go za przystojnego w czasie, gdy miało to jeszcze jakieś znaczenie. Jasnowłosa, szczupły, a przy tym umięśniony, jak przystało na dobrego myśliwego, który musi być szybki, Achilios podobał się niejednej dziewczynie w Seram. Dla niego jednak liczyła się tylko jedna. Wtedy też wydawało mu się tragedią, że Serentia woli Uldyzjana.

Śmierć zmieniła jego punkt widzenia.

Zatrzymał się i nasłuchiwał przez chwilę, oparłszy księżycowo bladą dłoń na pniu drzewa. Nie usłyszał niczego, co mogłoby zapowiadać pogoń. Achilios w ludzkim odruchu potarł podbródek. A potem skierował wzrok, dla którego dzień i noc były tak samo jasne, na drobiny ziemi pokrywające skórę na wierzchu dłoni.

W nagłym ataku wściekłości cisnął łuk i zaczął otrzepywać rękę. Choć czuł, że strąca ziemię, jego dłoń wcale nie stała się czystsza. Druga zresztą też nie. Nie widział swej twarzy, jednak był pewien, że i ona ubrudzona jest ziemią, podobnie jak całe jego ciało i brązowo-zielony strój. Achilios wyglądał, jakby dopiero co wygrzebał się z grobu. Bez względu na to, jak bardzo starał się oczyścić, drobiny gleby trzymały się niczym przyklejone.

A teraz sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, bo nie tylko jego ciało było brudne, ale i sumienie.

Właśnie zastrzelił swojego najlepszego przyjaciela i choć nie z własnej woli, to i tak nie umniejszało to jego straszliwej winy. Kto inny wydał polecenie, jednak Achilios nie znalazł w sobie sił, żeby się sprzeciwić. Wyczekał na odpowiedni moment, wymierzył i choć jego umysł krzyczał doń, by nie oddawał strzału albo naumyślnie chybił, Achilios był posłuszny swemu panu.

Podniósł łuk i spojrział przez ramię. Czy światło, które dostrzegł za sobą, pochodziło z obozu, czy też była to łuna pożaru wznieconego przez

Uldyzjana w gniewie? Nie miało to znaczenia. Skoro Achilios je widział, znaczyło, że był zbyt blisko. Musiał uciekać.

„Dokąd biegnę? Gdzie?”

Znajdował tylko jedną odpowiedź, a tej akurat nie śmiał nawet brać pod uwagę. Miał biec tak daleko, aż zniknie niebezpieczeństwo, że ktoś odkryje jego obecność. Nie dalej. Nakazano mu trzymać się w pobliżu, lecz nie za blisko. W końcu następna miała być Serentia. Następna...

Porażony tą straszliwą myślą myśliwy chciał krzyknąć, lecz z jego ust nie dobył się żaden dźwięk. Przyczyną nie była jednak szeroka rana ziejąca w jego szyi. Magia, która pozwoliła mu powstać z grobu, dała mu też głos, w tym momencie odebrany przez panującego nad Achiliosem.

I tak, nie mając innego wyboru, łucznik podjął bieg. Tempo wykończyłoby nawet silnego konia, ale skoro Achilios nie musiał oddychać, bez wysiłku pokonywał dystans. Unikał gałęzi, prześlizgiwał się między drzewami, przeskakiwał nad zwalonymi pniami z łatwością, jaką nie mógł się poszczycić za życia.

A jednak nie czuł nawet najłżejszego ruchu powietrza, odmówiono mu nawet cienia ulgi.

I nagle, bez ostrzeżenia, stanął. Nie z wyboru. Za to tak gwałtownie, że niemal się wywrócił. Wiedział jednak doskonale, dlaczego zatrzymano go w sposób tak nagły. Znalazł się na końcu niewidzialnej smyczy. Wystarczyło, że odwrócił się i spojrzał przez ramię, by to potwierdzić – nie widział już łuny ani obozowych świateł.

Śmierć nie pozbawiła go przynajmniej znajomości dosadnego słownictwa. Teraz, gdy znalazł się już dość daleko, by znów móc mówić, zaklął siarczyście. Dźwięk nie mógł ponieść się do Uldyzjana, najpewniej tylko zwierzęta słyszały łucznika, ale była to jedna z niewielu przyczyn, dla której Achilios czuł się niemal żywy.

Ledwie jednak zdołał wypowiedzieć kilka słów, gdy rozjarzyło się przed nim nienaturalnie błękitne światło. Achilios znów zaklął. Spróbował

wyciągnąć strzałę, choć wiedział, że grot to za mało.

Wśród światła pojawiła się postać o skrzydłach będących wiciami energii, zakuta w srebrzysto-błękitny napierśnik. Reszta pozostała niewyraźna.

– Wykonałem... twój podły rozkaz... – głos łucznika był zgrzytliwy. – Pozwól mi umrzeć...

– *Pójdź...* – polecił mu przybysz i skinął dłonią w rękawicy.

– Zrobiłem, coś mi nakazał! – powtórzył Achilios. Uniósł łuk ze strzałą nałożoną na cięciwę. – Użyłem tego, by zabić mojego najlepszego przyjaciela! Brata pod każdym względem poza krwią! – Łucznik roześmiał się chrapliwie. – Krew... teraz on jest cały we krwi...

Skrzydlaty nie okazał ani cienia współczucia. Achilios był tak zdesperowany, że naciągnął cięciwę i strzelił. Pocisk poszybował dokładnie tam, gdzie chciał, ku szyi, tuż nad krawędzią napierśnika.

Ale tak jak i poprzednim razem, gdy próbował zabić swego prześladowcę, strzała przeleciała przez cel. Achilios znów zaklął. Jego przeciwnik sam zaczarował pociski, by te mogły zabić Thonosa, wielkiego demona o niezliczonych mackach. Wciąż były otoczone czarami umożliwiającymi przebicie się przez wszelkie ochronne czary, którymi mógł otoczyć się Uldyzjan.

Achilios przez chwilę miał nadzieję, że podziałają też przeciwko skrzydlatemu.

Świetlisty powtórzył swe polecenie tak, jakby nic się nie stało.

– *PÓJDŹ... DALEKO NAM JESZCZE DO KOŃCA.*

Dla Achiliosa oznaczało to tylko jedno.

– Tylko nie ona! Nie Serentia...

Jego usta zamknęły się wbrew jego woli. Nogi poruszyły się same, a ramiona opadły. Łuk zwiślał w dłoni, całkowicie bezużyteczny.

Nie mógł zrobić nic innego, jak tylko udać się za aniołem w głąb dżungli.

TRZY



– Uldyzjanie!

Mendeln pochwycił brata, zanim ten upadł na ziemię. Serce młodszego z braci wypełniła panika, jakiej nie czuł od chwili, gdy umierali ich rodzice. Patrzył, jak krew wylewa się z rany. Nawet jeśli grot nie przebił serca, niewiele do tego brakowało.

Uldyzjan zadygotał. Patrzył niewidzącym wzrokiem gdzieś w korony drzew i sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć.

W myślach odtwarzał wszystkie nauki Rathmy, ale żadna z nich nie wydawała się odpowiednia. Znał zaklęcie, które pozwoliło mu ponownie przyłączyć do ciała ramię, które stracił w walce ze sługusami Trójcy, ale tutaj było ono na nic. Uldyzjan i pozostali edyremowie byli przekonani, że Mendeln się uleczył, nikt nie zdawał sobie sprawy, że kończyna nie była żywa, lecz ożywiona. Tak samo martwa jak Achilles, poruszała się tylko za sprawą magii.

Mendeln nie zdołałaby przymocować utraconej kończyny, gdyby czekał z tym dłużej niż godzinę. Jeszcze chwila i już niczego nie zdołałby uczynić.

Ale ten czar, który tylko nieświadomym wydawał się leczeniem, nie mógł pomóc Uldyzjanowi.

Mendeln nie chciał ożywić starszego brata, tak jak uczynił to z Achiliosem.

Pomyślał o Serentii. Dziewczyna dysponowała mocą niemal tak wielką jak Uldyzjan i być może zdoła go ocalić.

„Gdzie ona jest?” – zapytał Mendeln sam siebie. Przecież ona pierwsza musiała wyczuć, co się stało. Dlaczego jeszcze edyremowie nie tłoczą się nad swoim przywódcą?

Uldyzjan odkaslnął krwią i jego ciałem wstrząsnęły jeszcze silniejsze drgawki.

Strzała stanęła w płomieniach i drzazgi rozsypały się po przesiąkniętej krwią koszuli Uldyzjana. Z rany wypłynęła ciecz, w której Mendeln rozpoznał pozostałości grotu. A gdy wypłynęło już wszystko, rana poczęła się kurczyć i kurczyć... aż w końcu całkiem się zamknęła.

Uldyzjan zakaszał, tym razem jednak jedynie po to, by oczyścić gardło. Otworzył oczy.

Mendeln gwałtownie nabrał powietrza.

– Uldyzjanie! To być nie może! Byłeś... byłeś...

– Gdzie...? – zachrypiał starszy z braci z wysiłkiem, po czym spróbował raz jeszcze. – Gdzie... gdzie on jest?

– Kto?

– A... Ach-Achilios...

Dopiero w tym momencie Mendeln pomyślał o tym, skąd wzięła się strzała. Nie wypuszczając brata z uścisku, rozejrzał się, próbując dostrzec coś między drzewami. Niczego jednak nie zobaczył.

Nagle dotarło do niego, jak straszne oskarżenie wygłosił właśnie jego brat.

– Niemożliwe! To z pewnością była jakaś sztuczka Inariusza albo Trójcy. Achilios nigdy by...

Uldyzjan z wysiłkiem dźwignął się na nogi, zadziwiając młodszego brata mocą regeneracji.

– Strzała należała do Achiliosa, Mendelnie, jestem tego pewien. Nie mam cienia wątpliwości i ty też nie powinienes. On ją wypuścił. Zamierzał zabić mnie szybko.

Mendeln wciąż nie chciał uwierzyć, że ich przyjaciel miał jakikolwiek udział – nawet wbrew swej woli – w zabójstwie Uldyzjana.

– Gdyby to był on, byłbyś martwy. W najgęstszym lesie Achilios umiał trafić ze stu kroków dowolne stworzenie w samo serce. Było blisko, to prawda, ale...

– Achilios chciał mnie zabić – upierał się Uldyzjan, lecz nagle jego mina stała się łagodniejsza. – Ale masz rację, nie chybiłby, gdyby tego nie chciał.

Pożar, który wzniecił Uldyzjan, sięgnął koron drzew. Mendelna cały czas zdumiewało, że ogień nie ściągnął żadnego z edyremów, i wtedy zobaczył, jak jego brat gasi płomień jednym machnięciem ręki. Tylko poczerwiałe pnie drzew świadczyły o tym, co się tu wydarzyło.

– A więc to przez ciebie – stwierdził. – To za twoją sprawą nikt, nawet Serentia, nie przybył nam na pomoc!

Uldyzjan z ponurą miną badał swoją pierś w miejscu, gdzie trafiła go strzała. Jego prawa dłoń rozjarzyła się blaskiem, gdy przesuwał ją nad plamami krwi. Mendeln aż pokręcił głową zaskoczony. Nie tylko plamy zniknęły bez śladu, nawet rozdarcie w tunice naprawiło się samo.

– Początkowo musiałem zadbać, by nikt do nas nie dołączył, gdy będziesz wzywał zmarłych. Nie chciałem, żeby ktokolwiek to zobaczył. I tak już się ciebie boją.

Mendeln nie do końca uwierzył, że chodziło jedynie o roztoczenie nad nim ochrony, postanowił jednak na razie o tym nie wspominać.

– A kiedy trafiła cię strzała?

– Zakładałem, że zniknie... ale ten, który zmienił Achiliosa w zabójcę, widocznie sobie tego nie życzył.

– Inarius?

Uldyzjan roześmiał się ponuro i zawrócił w stronę obozu.

– Nie wierzysz w to, tak samo jak ja, prawda? To do niego nie pasuje. Ktoś inny, równie potężny, to już bardziej prawdopodobne...

Na te słowa Mendeln poczuł, jak chłód ścina mu krew.

– Wiesz, że jeśli masz rację, jesteśmy zgubieni.

– Jeden anioł, dwa czy setka... co za różnica – odpowiedział spokojnie Uldyzjan, nie zwalniając kroku. – Wszystkie pokonam. Wszystkie, co do jednego.

I kiedy Mendeln patrzył na plecy odchodzącego brata, wiedział, że ten naprawdę tak myśli.

Serentia stała na granicy obozu z partaninem Jonasem u boku. Gdy Uldyzjan zbliżył się do obozu, Saron, ponury toradzanin, który wraz z Jonasem pełnił funkcję przybocznego przywódcy, dołączył do czekających.

– Coś się tam wydarzyło? – chciała wiedzieć Serentia. – Poczułam coś takiego...

– Mendeln skończył swoją pracę i tyle. Kosztowało to trochę więcej, niż się spodziewaliśmy.

– Uzyskaliście odpowiedzi? – naciskała.

– To sprawka Katedry – odpowiedział Uldyzjan, spoglądając gdzieś poza dziewczyną i jej towarzyszami. – Inarius zjednał sobie ludzi i zaczął rozpowszechniać podłości. Próbuje zwrócić całe Sanktuarium przeciwko nam.

Jonas zmarszczył brwi. Saron miał nadal ponurą minę – nie rozchmurzył się od czasu, gdy jego kuzyn poległ z rąk kultystów Trójcy. On i Tomo byli sobie bardzo bliscy, bliźsi chyba nawet niż Mendeln i Uldyzjan.

– Powinniśmy ruszyć na Katedrę, na ich największą świątynię, mistrzu – stwierdził.

– Co do tego nie ma wątpliwości. – Serentia skinęła głową. – Uderzyć w samo serce, zanim zrobi się jeszcze gorzej. Nie możemy postąpić tak

samo jak z kultem Trójcy, czyli metodycznie wycinać, Inarius nam na to nie pozwoli.

Uldyzjan rozważał ich słowa, mimowolnie pocierając się tam, gdzie jeszcze niedawno czerwieniała rana. Mendeln, który dołączył do grupy, chrząknął coś niezrozumiale.

– Nie – postanowił Uldyzjan po chwili. – Jeszcze nie. Musimy najpierw odwiedzić jeszcze jedno miejsce, zanim ruszymy na Inarius. Tylko jedno.

– Co masz na myśli, mistrzu Uldyzjanie? – spytał Jonas.

– Stolicę... Pójdziemy do Kedżanu, by spotkać się z przywódcami klanów magicznych.

Wieść o decyzji przywódcy szybko rozeszła się między edyremami i w obozie zapanowała atmosfera podniecenia. Wielu z nich nigdy jeszcze nie odwiedziło Kedżanu. Teraz zaczęli rozprawiać o tym, jakie jest to miasto. Ci, którzy w nim byli, starali się, jak mogli, opisać Kedżan pozostałym, ale z tego, co słyszał Uldyzjan, każdy zapamiętał stolicę inaczej.

Starszy z braci postanowił nie tłumić entuzjazmu swoich akolitów, choć młodszy żywił w tym względzie pewne zastrzeżenia – tak jak i Serentia. Ta dwójka miała całkiem uzasadnione obawy co do konfrontacji z klanami magów, które, jak na razie, nie mieszały się do religijnego konfliktu.

Uldyzjan poniekąd podzielał te obawy, lecz zarazem czuł się pewny. Magowie nie byli najwyraźniej pionkami Katedry, a więc mogli stać się sprzymierzeńcami edyremów. A jeśli nie, to i tak zrobią wszystko, by umniejszyć wpływy sekty.

Warto było zaryzykować, a skoro Kedżan leżał właściwie po drodze do sanktuarium Inarius, nie musieli nawet zbyt nadkładać drogi.

Jego armia wiernych wyruszyła o brzasku, bez wysiłku maszerując przez zieloną gęstwinę. Gdy trzeba było pokonać rzekę, cóż łatwiejszego niż magicznie spleść ze sobą zwalone pnie drzew i stworzyć most? Co bardziej uzdolnieni po prostu przefruwali ponad wodą. Kiedy zarośla

stawały się nieprzebyte, czyż nie prościej było, by kilku edyremów ruszyło przodem i dosłownie przetarło szlak?

Uldyzjan w żaden sposób nie powstrzymywał swoich ludzi przed takimi demonstracjami. Im pewniejsi, im bardziej przyzwyczajeni do własnych możliwości, tym większa szansa, że przetrwają starcie, a tym samym wygrają.

Natomiast Mendeln patrzył na te popisy wyraźnie niezadowolony, nic przy tym nie mówiąc, co właściwie satysfakcjonowało Uldyzjana.

Przez pierwsze dwa dni edyremowie pokonali spory dystans. Wciąż mieli długą drogę przed sobą, ale wedle obliczeń Uldyzjana, jeśli będą podróżować w tym tempie, dotrą do celu, zanim Inarius zbierze kolejne oddziały i rzuci je do walki z edyremami.

A jednak Uldyzjan codziennie zmuszał swoich ludzi do odrobinę szybszego marszu... i jeszcze szybszego... i jeszcze trochę...

Czwartego dnia o zmierzchu dotarli do brzegu rzeki i rozpoczęli przeprawę. Uldyzjan zachowywał wyjątkową czujność i natychmiast wystawił wartę.

Jego ostrożność jednakże wydawała się być nieuzasadniona. Nie zostali zaatakowani, przeprawa też odbyła się bez wypadków. Kiedy ostatni z edyremów znalazł się na drugim brzegu, Uldyzjan nakazał wszystkim iść dalej, a sam stał i rozglądał się, używając nie tylko wzroku.

Niczego nie znalazł.

Nie było sensu, by marnować ostatnie chwile przed zapadnięciem zmroku na oddalenie się od tak doskonałego źródła świeżej wody. Uldyzjan, z oporami wprawdzie, jednak zarządził postój. Jak zawsze ustalił granice obozu, a potem, mając w pamięci niedawny atak, wystawił dodatkowe warty nieco dalej. Wszyscy strażnicy utrzymywali kontakt za sobą nawzajem.

Uldyzjan wciąż jednak czuł niedosyt i wezwał Saroną.

– Weź jeszcze cztery osoby do pomocy i nieustannie patrolujcie sam obóz. Użyjcie umysłów. Musicie wychwycić wszystko, szczególnie wrażenia, odczucia, które wydadzą wam się w jakikolwiek sposób dziwne i nietypowe.

– Tak, mistrzu. Rozumiem doskonale. – Toradzanin skłonił się i odszedł wykonać polecenie.

Uldyzjan obiecał sobie, że po kilku godzinach wyśle Jonasa i kilku innych, by zmienili grupę Sarena. Chciał, żeby wszyscy strażnicy mieli wypoczęte umysły.

Z każdą upływającą godziną Uldyzjan powoli dochodził do wniosku, że być może zareagował przesadnie. Im bliżej byli stolicy, tym bardziej odczuwał ciężar spoczywającego na nim zadania. Możliwe, że spotkanie z klanami skłoni magów, by choćby tymczasowo sprzymierzyć się z Inariussem. Lepszy wróg, którego choćby pozornie znali, niż Uldyzjan dysponujący nieznanymi i nieprzewidywalnymi mocami.

Musiał przekonać magów, że znajdują się w o wiele gorszej sytuacji, gdy edyremowie zostaną pokonani.

Na to jednak trzeba było poczekać, aż dotrą do celu. Uldyzjan wreszcie poddał się zmęczeniu. Zasypiał z myślą o wszystkich środkach ostrożności, które podjął. Wynikały tylko z nerwów...

Oślepiająco jasne światło wybuchło mu przed twarzą... Początkowo było to jedyne, co widział, po czym jego oczom ukazała się emanująca blaskiem postać. Istota znacznie wyższa od człowieka szła pewnym krokiem w stronę Uldyzjana, napierśnik lśnił w świetle skrzydeł płonących całą tęczą intensywnych barw.

Gdy się zbliżył, zmienił się w przywódcę Katedry Światłości, Proroka.

– Uldyzjanie ul-Diomedzie – powiedział głosem brzmiącym jak muzyka. Srebrzysto-błękitne oczy zdawały się patrzeć wprost w duszę Uldyzjana, a ten miał wrażenie, że nic nie ukryje przed tym wzrokiem. – Moje zbłąkane dziecię...

Uldyzjan poderwał się na nogi i spojrzał w doskonale piękną twarz Proroka, wolną od najmniejszej skazy, zmarszczki czy choćby śladu zarostu, otoczoną złotymi lokami, które spływały na ramiona.

– Nie jestem jednym z twoich wiernych i z pewnością nie twoim dzieckiem!

– Nie – zgodził się cudowny młodzieniec, odsłaniając w pięknym uśmiechu idealne zęby. – Jednakowoż jesteś dzieckiem dziecka, dziecka i tak po kilkakroć, a początek tej linii dał mój bardziej jeszcze zagubiony syn, który teraz nazywa siebie Rathmą.

Uldyzjan już wcześniej słyszał o swym pokrewieństwie z aniołem. Nawet jeśli rzeczywiście takie istniało, to czuł się równie związany z Inariuszem jak ze zwierzętami, które kiedyś hodował. Jeśli Prorok liczył, że wspominając o tym pokrewieństwie, życzliwiej usposobi do siebie Uldyzjana, to bardzo się mylił.

– Nie próbuję odwołać się do twych uczuć – odparł Inarius z zaskakującą dokładnością. – Przychodzę do ciebie, gotów ofiarować ci rozgrzeszenie, nawet teraz. Nie musisz podążać tą drogą grzechu, nie musisz dalej grzeszyć, mój synu. Wciąż mogę ci wybaczyć.

Uldyzjan uznałby te słowa za zwykłą bezczelność, gdyby nie fakt, że nie tylko nie mógł dotrzeć do żadnego z edyremów, więcej nawet – w ogóle nie potrafił odnaleźć obozu. Był całkowicie otoczony światłem swego adwersarza. Gdy cofnął się o krok, nic się nie zmieniło. Nawet ziemię pod nogami pochłonęła ta nieziemska emanacja.

– Widzisz – mówił dalej Inarius, rozkładając przy tym ręce w ojcowskim geście – nie ma powodu, by kontynuować ten rozlew krwi. Wynik jest bowiem przesądzony. Poza tym nie do końca jest to twoja wina. Ta, której imienia nie należy wymawiać, zwiodła cię na manowce. Popełnione przez ciebie błędy wynikały z twej własnej niedoskonałości, nic poza tym. Jesteś śmiertelny, jesteś słaby. I nie mówię tego, by cię obrazić, wszyscy ludzie są słabi. Dlatego trzeba prowadzić ich ku światłu.

Nie tyle słowa anioła, ile coś w samej istocie Proroka sprawiało, że Uldyzjan nade wszystko pragnął uwierzyć. Podobnie czuł się, gdy stanął przeciwko Lucionowi, który nosił wtedy maskę przywódcy Świątyni Trójcy. Tylko że wpływ Inariususa był tysiącrotnie silniejszy. Uldyzjan poczuł przemożne pragnienie, by paść na kolana i prosić o wybaczenie...

„Ale czego...? – zastanowił się nagle, a płomień gniewu szybko strawił zachwyty, jaki budził w człowieku anioł. – Nie prosiłem o to!”

– Furia to kochanica demonów, mój dobry. Poddać się jej oznacza porzucić rozsądek i serce.

– Oszczędź mi tych słów. Coś z nimi zrobił?! Gdzie reszta?!

Prorok z aprobatą skinął głową.

– Troska... To aspekt dobra. Słusznie, że troszczysz się o tych, którzy poszli za tobą, bowiem twoja decyzja ich też może skazać na potępienie.

Serri! Mendeln! Jonas! Saron! Uldyzjan nie znajdował ani śladu po żadnym z nich.

Rzucił się na Inariususa, przyzywając całą swą moc. Jednak Proroka nie było tam, gdzie spodziewał się go Uldyzjan. Anioł stał tuż obok i obojętnie patrzył na upadek swego przeciwnika.

– Gniew prowadzi jedynie do wstydu i nieszczęść, Uldyzjanie ul-Diomedzie. Nie tylko powali cię w błoto, ale pozostaniesz na zawsze tym błotem uwalany.

Uldyzjan podniósł się, wpatrując w anioła. Spodziewał się, że przeciwnik stanie w płomieniach, które nawet jeśli go nie zrzną, to przynajmniej zetrą z jego doskonałej twarzy ten uśmieszek samozadowolenia.

Nic się jednak nie stało.

– Widzisz, jakie masz szanse, drogie dziecko. Czeka cię tylko śmierć i potępienie, tak samo twoich bliskich, o ile nie zaczniesz szukać przebaczenia. Kroczone dalej tą ścieżką grzechu, a skażesz wszystkich. Tego pragniesz? Takiś próżny?

– Nawet jeśli jestem zarozumiały, to daleko mi do ciebie – splunął Uldyzjan. – Nie jesteśmy twoją własnością, tak jak nie byliśmy własnością Luciona czy Lilith. To nie twój świat, lecz nasz! Nasz!

Uśmiech zniknął z twarzy Proroka.

– To ja wykułem ten świat z surowych mocy pozyskanych z miejsca Stworzenia! Ja wyrzeźbiłem ziemię i napełniłem morza. Wszystko istnieje tylko dzięki mnie. Wszystko zależy od mojego kaprysu... W tym także ty, moje dziecko.

Zanim Uldyzjan zdołał odpowiedzieć, wokół niego rozbrzmiały głosy. Początkowo myślał, że to Serentia i pozostali edyremowie, ale wtedy coś poruszyło od dawna pogrzebane wspomnienie... Szczególnie jeden żeński głos.

– *Mój biedny Uldyzjan! Taki zagubiony, taki gniewny! Pozwól mi cię pocieszyć...*

Przełknął łzy, odruchowo poszukał wzrokiem osoby, która wymawiała te słowa.

Z przeciwnej strony dobiegł go dziecięcy śmiech. Uldyzjan obrócił się na pięcie.

Jego matka... Jego mała siostrzyczka...

Katem oka dostrzegł jakiś cień. Na ile Uldyzjan mógł się zorientować, był to masywny mężczyzna, równy mu wzrostem. Później pojawił się kolejny cień, też mężczyzny, niższego i młodszego.

– Tyle poświęciłeś, by ich ocalić, moje dziecko, i choć ciała ich zawiodły, dostąpili zbawienia. Aliści teraz obawiają się, że nie będziesz mógł do nich dołączyć, albowiem zdecydujesz odrzucić moje światło. I na zawsze już pozostaniecie rozdzieleni...

Po twarzy Uldyzjana płynęły łzy. W myślach znów widział powolną i nad wyraz bolesną śmierć swoich krewnych. Chociaż odrzucał nauki rozmaitych misjonarzy i ich puste obietnice, w głębi duszy miał nadzieję, że

jego rodzice i rodzeństwo odnaleźli spokój w miejscu, do którego trafili po śmierci.

I nagle zastanowił się nad słowami Inariususa. Dlaczego, dysponując tak wielką mocą, taką potęgą, anioł nie zaproponował Uldyzjanowi, że zwróci życie jego krewnym? Nie taką namiastkę, jaką Mendeln dał Achiliosowi, lecz prawdziwe życie?

Czy dlatego, że nie mógł? A jeśli nie mógł, w takim razie nie był tak potężny, za jakiego chciał uchodzić.

Tym samym przywołanie cieni – najpewniej do cna fałszywych – w oczach człowieka było czynem ze wszech miar odstręczającym. Inarius wyrwał na powierzchnię uczucia, których Uldyzjan nie chciał doświadczyć już nigdy więcej. Pustkę, rozpacz, gorycz...

Wykorzystując te emocje, Uldyzjan z rykiem zaatakował Proroka. Pozwolił, żeby ból po utracie rodziny zawładnął nim całkowicie, by bez reszty zagłuszył wszelkie wahanie, jakie odczuwał wcześniej na myśl o uderzeniu w anioła swą pełną mocą.

Oślepiające światło przygasło nieco... i to wszystko. Świętoszkowata twarz Inariususa nawet nie drgnęła. Mimo że niczego właściwie nie zrobił, Uldyzjan poczuł się tak wyczerpany, że mógł już tylko osunąć się na kolana.

– Zdecydowałeś się trwać w grzechu – podsumował Prorok beznamiętnie. – Nie jestem w stanie pomóc ci inaczej, jak tylko kładąc kres twojej egzystencji, moje dziecko.

I z tymi słowy Inarius zniknął.

A wraz z jego zniknięciem światło przygasło tak gwałtownie, że Uldyzjan czuł, jak połyka go ciemność. Nie myślał jednak o sobie, ostatnie myśli poświęcił swym najbliższym, wydało mu się, że znów są przy nim.

– Matko... – zachrypiał. – Ojczy...

Nagle poderwał głowę i odkrył, że leży pośrodku obozu, otoczony przez śpiących edyremów. Poczuł na twarzy lekki powiew wiatru, dżungla

rozbrzmiewała odległymi odgłosami nocy.

Uldyzjan zadrżał.

„To nie mógł być sen! Nie mógł...”

Wbił palce w ziemię i dźwignął się na nogi. Bolały go wszystkie mięśnie, jakby rzeczywiście zmierzył się z aniołem. Gdyby jednak tak było, wokół z pewnością nie panowałyby taka cisza. Obóz byłby w rozsypce.

„To był tylko zły sen – upewnił sam siebie Uldyzjan. – Tylko koszmar... nie ma się czym martwić”.

Nagle zawadził spojrzeniem o miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżał... Spalona ziemia ciągnęła się na jard.

„Jakże stosownie” – uznał Zorun Tzin, zakończywszy wróżbę. Wryty na ziemi siedmioboczny wzór wciąż jeszcze blado lśnił resztkami energii. Mag pozwolił, by kryształ na złotym łańcuchu, którego użył do czarów, wciąż kołysał się nad wzorem, sam zaś popatrzył ku zielonej ścianie dżungli.

„Jakże stosownie, że sam do mnie przychodzi, ten cały Uldyzjan ul-Diomed”.

Kedzanin wstał i kopnięciem zniszczył wzór, posyłając w powietrze resztki magicznego osadu razem z ziemią. Zerknął przez ramię na swych towarzyszy. Poza Terulem, niosącym pochodnie i topór, Zorunowi towarzyszyło kilku zbrojnych w luźnych czerwonych szatach i złotych napierśnikach, charakterystycznych dla strażników Rady Klanów. Strażnicy zostali przydzieleni magowi przez jego „pracodawców”, zapewne ich zadaniem było raczej pilnowanie Tzina niż pomaganie mu w wykonaniu zadania. Rada i teraz nie zmieniła swojego postępowania. Nie ufała nawet temu, którego sama wyznaczyła.

Zorun zaśmiał się cicho. Obawy Rady nie były bezpodstawne.

Krzaki przed nimi poruszyły się, jakby przedzierało się przez nie jakieś duże stworzenie. Mag wrzucił kryształ do sakiewki przy pasie i przygotował inkantację. Terul mruknął i przesunął się do przodu, żeby

chronić swego pana. Strażnicy dobyli broni, ale pozostali na swoim miejscu.

Z ciemności wypadł mężczyzna. Miał około trzydziestu lat, kiedyś musiał być silny i gibki, niewątpliwie należał też do wyższej kasty. Teraz jednak czarne plamy, podobne do śladów spalenizny, pokrywały jego ciało i twarz i wyglądał, jakby od wielu dni nie miał w ustach nic do jedzenia i picia. Wciąż jeszcze można było dostrzec w rysach ślady dawnej urody, a jego oczy spoglądały przesywająco, ale w taki sposób, że Zorun uznał, iż człowiek ten jest bliski szaleństwa.

Obłąkany... albo dotknięty zarazą.

– Zatrzymaj się! – rozkazał przybyszowi, poczynając gestykulować jedną ręką. – Nie podejdiesz bliżej.

Mężczyzna spojrzął gdzieś za maga. Uśmiechnął się odrażająco. Dopiero wtedy Zorun i jego towarzysze dostrzegli, że mężczyzna ma czarne dziąsła i zaledwie pieńki zębów.

– Postaraj się... bardziej – zachrypiał.

Zorun rozpoczął inkantację i mężczyzna padł na ziemię.

Kilku ze strażników ruszyło ku niemu, jednak mag powstrzymał ich gestem. Nie martwił się o nich, lecz o siebie. Jeśli przybysz był nosicielem jakiejś choroby, Zorun nie życzył sobie, by jego towarzysze się zarazili.

Istniał prosty i łatwy sposób na odkrycie prawdy. Zorun sięgnął do kolejnej sakiewki i wydobyl z niej niewielkie pudełeczko, które nosił przy sobie od czasu, gdy ostatnia plaga dotknęła stolicę. Zawierało zmieloną kość jednej z ofiar zarazy. Ciało zostało spalone, żeby usunąć skażenie, lecz kość pamiętała chorobę i jeśli obcy cierpiał na coś podobnego, proszek pofrunąłby ku niemu pod wpływem stosownego czaru.

Mrucząc zaklęcie, mag wysypał odrobinę proszku na dłoń. Żółtawy pył zadrżał, jakby chciał polecieć w powietrze... i znieruchomiał.

Nie mieli do czynienia z plagą. Zorun już miał porzucić zwłoki nieznanego jako mało ważne, gdy łachmany tamtego zwróciły jego

uwagę.

– Terul! Daj pochodnie bliżej niego!

Sługa wykonał polecenie. Na wszelki wypadek Zorun pilnował, by osiłek stanął pomiędzy nim a ciałem.

Szaty należały do akolity Świątyni Trójcy i z tego, co mógł dostrzec mag, były strojem wysokiego rangą kapłana.

Uznawszy, że warto zaryzykować, Zorun odwrócił się do Terula.

– Obróć go – polecił.

Olbrzym odłożył topór i wielką dłonią pochwycił trupa za ramię.

Nagle dłoń kapłana zacisnęła się na nadgarstku sługi. Klecha otworzył oczy...

Z pomrukiem obrzydzenia Terul uwolnił rękę. Po czym pan i sługa odczekali, aż ciało obcego ponownie znieruchomieje, a gdy tak się stało, Zorun gestem nakazał Terulowi dokończyć, co zaczął. Olbrzym nawet się nie zawahał. Jednym ruchem przewrócił kapłana na plecy.

Teraz Zorun mógł dokładniej przyjrzeć się pozostałościom szat. Należały one do wyznawcy Dialona. Mag swego czasu studiował dogłębnie Świątynię Trójcy – trzeba przecież znać swoich wrogów – i teraz szybko odnalazł znaki świadczące o tym, że kapłan służył w głównej świątyni.

– Szkoda, żeś umarł – mruknął do ciała. – Ciekawe, co byś mógł nam powiedzieć o asceńczyku.

Nieboszczyk miał na szyi łańcuch, którego wcześniej nie zauważyli. Zorun użył patyka, poluzował łańcuch i unióś zawieszony na nim medalion świadczący o randze zmarłego kapłana.

– Powinienem chyba wiedzieć, jak ci na imię... niech pomyślę. – Korzystając z rozmaitych źródeł, kedżanin dowiedział się, kim byli najważniejsi kapłani Świątyni Trójcy, śledził też wszelkie zmiany w polityce sekty. Szczególnie intrygował go arcykapłan Mefisa, nijaki Malik, póki nie dotarły doń wieści, że ten zniknął i najprawdopodobniej nie żyje. Zorun nie był głupcem, w kulcie Trójcy było coś więcej, niż można by

wnioskować z ich kazań – ciemna strona, którą wedle podejrzeń maga reprezentował właśnie ów Malik.

Ten biedny głupiec nie był Malikiem. Zorun skorzystał ze swej niezwykłej pamięci i znalazł właściwe imię.

– Nazywałeś się... Durram. Tak, właśnie, Durram.

Stojący obok Terul stęknął gardłowo. Zorun nie zwrócił uwagi na olbrzyma.

– Byłbyś dla mnie prawdziwą skarbnicą informacji – stwierdził, wstając.
– Gdybyś tylko zdołał pożyczyć trochę dłużej.

Obutą w sandał stopą mag wepchnął trupa w gęste krzewy. Fakt, że kapłan znalazł się tak daleko od głównej świątyni, a zarazem tak blisko Uldyzjana ul-Diomedą, wydał się Zorunowi nad wyraz interesujący. Uważał, że nawet Terul, gdyby miał dość czasu, dostrzegłby związek pomiędzy jednym a drugim. Wszystko wskazywało na to, że Durram, wbrew zdrowemu rozsądkowi, okolicznościom i warunkom, śledził asceńczyka na piechotę.

– Godne podziwu, nawet jeśli głupie – stwierdził mag sam do siebie. – Mądrzej byłoby zadbać pierwszej o własne życie. Chodź, Terulu, skończyliśmy tutaj.

Olbrzym, który cały czas wpatrywał się tępo w nieboszczyka, teraz posłuchał bez wahania. Podniósł topór i zarzucił sobie na ramię. Cała grupa na powrót dosiadła koni i zagłębiła się w dżunglę.

Ale zanim otoczyły ich drzewa, Terul zerknął na ciało nieszczęsnego Durrama.

Zerknął... i na ułamek chwili jego twarz wykrzywił uśmiech.

CZTERY



Następnego dnia Uldyzjan, milczący i ponury, zmusił edyremów do szybkiego marszu. Nie wyjaśnił nikomu przyczyn swego nastroju, a nikt, nawet Mendeln, nie ośmielił się pytać. Uldyzjan nie przejmował się tym, że jego młodszy brat z pewnością podejrzewa coś potwornego. Najważniejsze było – teraz bardziej jeszcze niż wcześniej – by jak najszybciej dotrzeć do stolicy i spotkać się z klanami magów.

Po raz pierwszy jednak Uldyzjan obawiał się, że nawet ich pomoc nie wystarczy, by zmierzyć się z tym, co nań czekało. W jego odczuciu Inarius dowiódł aż nadto dobitnie, jak niewiele w porównaniu z nim znaczy człowiek. Przy aniele bladła nawet potęga Lilith. A jednak Uldyzjan nie miał innego wyboru, jak tylko zmierzyć się ze swym niebiańskim przeciwnikiem. Zmierzyć się i najpewniej polec szybko i haniebnie.

Za to edyremowie nie napotkali tego dnia na swej drodze większych przeciwności niż niezbyt obfity deszcz. Początkowo powitali go z radością, przyniósł bowiem nieco chłodu, jednak w krótkce deszcz ustał, a wilgoć pozostała. Partanom coraz trudniej było utrzymać tempo, a nawet ci, którzy wcześniej mieszkali w rejonie dżungli, słabli szybciej, niżby sobie życzył ich przywódca.

Kiedy jednak wieczorem rozbijali obóz, to ze świadomością, że dnia następnego będą już mogli zobaczyć, choćby z wierzchołków drzew, odległe iglice Kedżanu. Ta myśl odrobinę pocieszyła Uldyzjana.

Kładł się spać przekonany, że tej nocy również będzie go dręczył ten sam straszliwy koszmar, ale nawiedzały go jedynie bliżej nieokreślone sny. Obudził się w nastroju o wiele lepszym. Swej ludzkiej naturze zawdzięczał, że im więcej czasu mijało od spotkania z Inariusem, tym mniej wydawało się ważne. Wciąż jednakże miał zamiar przedstawić swą propozycję magom i innym przywódcom, gdy tylko wraz z edyremami dotrze do miasta.

Późnym rankiem natknęli się na widok, który ucieszył większość edyremów. Szeroka, wyraźnie często uczęszczana droga przecinała dżunglę. Saron i kilku innych potwierdzili, że to szlak wiodący wprost pod bramy Kedżanu.

Uldyzjan nie widział powodu, by nie mieli dalej wędrować drogą. Edyremowie podzielili się na kolumny, a Uldyzjan Mendeln i Serentia stanęli na ich czele.

– Teraz wyglądamy jak armia szykująca się do ataku – skomentował młodszy z braci.

– Nie dano nam wyboru.

– Nie, i żałuję, że tak się stało.

Uldyzjan wzruszył ramionami i zmrużył oczy, przypatrując się ludziom nadchodzącym z naprzeciwka. Była to niewielka karawana. Trzy wozy o półokrągłych drewnianych dachach. Każdy oznaczony znakiem, który Saron rozpoznał niemal natychmiast.

– Kupiec Fahin, mistrzu. A przynajmniej jego wozy. To jeden z najbogatszych kupców na nizinach.

– Znam to imię – wtrąciła Serentia. – Jego ludzie handlowali z moim ojcem. Kiedyś spotkałam nawet samego Fahina.

Wozom towarzyszyli konni strażnicy. Ich przywódca dostrzegł tłum maszerujący w ich stronę i gestem nakazał żołnierzom przejść na czoło

karawany. Tymczasem wozy próbowały zawrócić.

– Musi rzeczywiście być bogaty – stwierdził Mendeln. – Żeby znaleźć tylu ludzi chętnych poświęcić się dla jego towarów.

Konni nie atakowali, rozciągnęli szyk na szerokość drogi. Ich manewr był oczywisty. Dostanie się do wozów kosztowałoby życie niejednego bandyty, za jakich niewątpliwie mieli grupę naprzeciwno.

– Zawróćcie! – krzyknął kapitan, młodzieniec o orlim, ostrym nosie i bliźnie przecinającej podbródek. – Zawracajcie albo posmakujecie naszych ostrzy!

– Nie jesteśmy rabusiami – odpowiedział Uldyzjan, unosząc ręce w pokojowym geście.

– Wiemy to, asceńcyku! Dotarły nas wieści o twych zbrodniach w Toradzy i innych miastach. Nie dostaniesz naszego pana, nawet gdybyśmy mieli zginąć w jego obronie!

– Fahin jest w wozie? – Serentia położyła dłoń na ramieniu Uldyzjana. – Gdybym mogła z nim porozmawiać, może zyskalibyśmy sojusznika, zanim dotrzemy do bram miasta. W Parcie to zadziałało...

Jej sugestia była więcej niż rozsądna, ale najpierw musieli jakoś sobie poradzić z nadto gorliwym kapitanem i jego ludźmi.

Uldyzjan podchwycił pełne potępienia spojrzenie oficera.

– Nie chcę rozlewu krwi – powiedział cicho, rozkładając przy tym ramiona.

Konie strażników, szczególnie te pośrodku szyku, skierowały się nieco niepewnie ku brzegom drogi. Wyglądało to trochę jak makabryczny taniec. Strażnicy poczęli kląć, krzyczeć, na próżno próbując zawrócić swoje wierzchowce.

Kapitan pierwszy zrozumiał, co zrobił Uldyzjan.

– Atakować! Atakować tego tu! – wrzasnął ile sił w płucach.

Jednak choć on i jego towarzysze próbowali zmusić konie do biegu, zwierzęta uporczywie szły na boki. Mimo wysiłków oficera w szyku

utworzyła się wyrwa,

– Mendelnie, poczekaj tu ze wszystkimi. Serentio, chodź, porozmawiamy z mistrzem Fahinem.

Para minęła strażników, którzy nie mogli zatrzymać ich w żaden sposób. Niewidzialne bariery stworzone przez Uldyzjana uwięziły konnych po obu stronach drogi.

Pierwszy z wozów zawrócił, pozostałe dwa jeszcze nie zdołały. Uldyzjan gestem zwrócił uwagę pierwszego z woźniców.

– Który wóz wiezie szanownego Fahina?

– Śśś-środkowy.

Uldyzjan podziękował skinieniem głowy i poprowadził Serentię. Strażnik siedzący na koźle obok woźnicy próbował cisnąć w nich włócznią, jednak zbyt późno zorientował się, że przyrosła mu do dłoni, i upadł na furmana. Obaj zwalili się na ziemię, ale Uldyzjan zadbał o ich bezpieczeństwo. Wiedział, że nie będą mieli szans na porozumienie z kupcem, jeśli którykolwiek z jego ludzi zginie albo zostanie ranny.

Przeszli z Serentią na tył wozu, gdzie znajdowały się drzwi. Otworzyły się natychmiast posłuszne woli Uldyzjana.

Z wnętrza wyskoczył na nich strażnik.

Nie wychylił się dalej niż na stopę, a już leciał z powrotem. Uldyzjan posłał go na przeciwległą ścianę. Strażnik wylądował dość miękko i natychmiast odkrył, że nie może się ruszyć.

Po lewej stronie poruszył się ciężki mężczyzna z kolczykiem w nosie. Kiedyś czarne włosy teraz znaczyły siwe pasma, skórę miał jaśniejszą niż Saron, jednak wciąż o wiele ciemniejszą niż dwójka przybyszy, którzy stanęli przed nim.

– Dopadliście mnie – oznajmił godnie. Mimo tuszy i dość ekstrawaganckiego stroju, ozdobionego taką ilością złota, że zdaniem Uldyzjana wyżywiłaby się za to cała wioska przez rok, Fahin nie sprawiał wrażenia człowieka skupionego tylko na dogadaniu sobie. Wydawał się

wciąż wrażliwy na potrzeby innych. Co nie znaczyło jednak, że dostrzeże prawdę. Aczkolwiek kolejne słowa kupca podniosły Uldyzjana na duchu.

– Nie krzywdźcie moich sług, pozwólcie im odejść, a ja jestem wasz.

– Nikogo nie skrzywdzimy – obiecał mu były farmer. – Nazywam się Uldyzjan ul-Diomed i przysięgam na mój honor, że twoi ludzie są bezpieczni. Przyszliśmy porozmawiać, nic więcej.

Kupiec spojrział na nich spod uniesionych niedowierzająco brwi. Serentia wysunęła się przed swego towarzysza.

– Szanowny Fahinie, pamiętacie może mego ojca, Cyrusa z Seram? – zapytała, pochylając się do wnętrza wozu. – W przeszłości często mieliście okazję załatwiać z nim interesy.

– Seram... Seram... Znam tę wioskę, imię Cyrus też brzmi znajomo. – Kedżanin zamknął oczy, rozmyślając. – Prawy człowiek, pamiętam. Miał liczne potomstwo, to błogosławieństwo, jak mniemam – skinął głową, otwierając oczy. – Tak, znam Cyrusa z Seram... I ty jesteś jego córką?

– Spotkaliśmy się, gdy byłam jeszcze dzieckiem, szanowny Fahinie. – Serentia zawahała się na moment. – Pamiętam... pamiętam, że mieliście, panie, najpiękniejszego białego konika. Miała taką jedwabistą, gęstą grzywę, i tylko w jednym miejscu nie była biała. Miała taką malutką plamę nad okiem i klaczka wyglądała, jakby nad czymś myślała...

– Sherah – mruknął Fahin z szerokim, prawdziwie dziecięcym uśmiechem. – Ach! Niemalże o tym nie wspominałem w ciągu ostatnich lat! – Z zachwytu aż klasnął. – Mogłaś wprawdzie dowiedzieć się o Sherah od kogoś innego, ale ponieważ ja o niej zapomniałem, myślę, że jesteś tym, kim utrzymujesz. – Nie był już tak uradowany. – Co to miałyby oznaczać, nie mam pojęcia. Słyszałem o asceńczyku prowadzącym straszliwą armię poprzez kraj...

– Nikt nie musi się nas obawiać – przerwał mu Uldyzjan, odsuwając na bok Serentię. – O ile tylko nie służy Świątyni albo Katedrze.

– Może to być? Mógłbym uwierzyć w to, co mówicie o Trójcy, doszły mnie słuchy o tajemnych rytuałach, pogłoski dotarły nawet do stolicy. Jednakowoż ani jedno złe słowo nie padło na temat Proroka, który nawołuje do pokoju z tobą mimo tego, co wydarzyło się w Toradży i innych miastach.

– Nawołuje, a zarazem miesza w umysłach ludzi, starając się ich przekonać, by nas zgładzili. Nie mogę w żaden sposób udowodnić mych słów, lecz mam nadzieję, że dasz mi, panie, szansę przedstawić swoje racje... Dla dobra nas wszystkich.

Kupiec zatoczył ręką krąg.

– Porwaliście swą publikę. Nie mogą uczynić nic innego, jak tylko słuchać.

– Nie tego oczekujemy od ciebie, panie – skrzywił się Uldyzjan. Pomysł, którego dotąd nie wyjawiał żadnemu ze swych towarzyszy, wydawał się być jego jedyną szansą. – Wysłuchaj mnie, szanowny Fahinie. Czy byłbyś skłonny posłuchać, co mam do powiedzenia, jeśli w pojedynkę stanę przed tobą i władcami Kedżanu? Czy oni by się na to zgodzili? Sam pójdę do Kedżanu... – gestem uciszył Serentię, która próbowała protestować. – Oddam się pod twoją opiekę. Ja jeden. Czy oni... czy ty, panie, dasz mi szansę, bym wyjawiał wam prawdę?

Kupiec odchylił się nieco. Uldyzjan nie dostrzegł podstępny w oczach Fahina, starał się jednak pamiętać, że ten człowiek całe swoje życie spędził, handlując.

– Twoi... ludzie musieliby pozostać w odległości dwóch dni od bram – oznajmił kupiec. – Podejdą bliżej i miasto będzie spodziewało się natychmiastowego ataku. – Wskazał Serentię. – Ona też może pójść z tobą, jeśli sobie tego życzysz. To byłoby do przyjęcia.

– Pójdę sam.

– Nie pozwolę ci pójść do stolicy samemu – zaprotestowała gwałtownie dziewczyna. – Pójdę...

Uldyzjan pokręcił przecząco głową.

– Musisz dopilnować reszty. Nikt inny nie da rady. Nie będą się dobrze czuć w towarzystwie Mendelna.

– To weź go ze sobą! Wiesz, że chętnie pójdzie z tobą!

Uldyzjan już przemyślał tę ewentualność.

– Magów też może zaniepokoić. Nie zaryzykuję. Nic mi nie będzie – łypnął na kupca – o ile tylko szanowny Fahin tak mówi.

– Jeśli ja zabiorę cię do Kedżanu, nic ci nie będzie, Uldyzjanie. – Fahin podniósł się niezwykle sprawnie, jak na człowieka tej tuszy. – Pozwólcie, że zawiadomię tych, którzy mi towarzyszą, że wracamy do domu. Trzeba też będzie uspokoić kapitana Aztuhla.

Pełen wdzięczności Uldyzjan skłonił się nisko.

– Dziękuję. I przepraszam, że zakłóciłem twą podróż, panie.

– Wyruszyłem w drogę z powodów osobistych, nie w interesach. Myśleliście, że jestem nędznikiem, który posiada zaledwie trzy wozy? Może byłbym bardziej zmartwiony, gdyby przyszło mi zawracać ich dwadzieścia, ale nie tych kilka. – Gestem odrzucił pomoc przy wysiadaniu, a gdy już znalazł się na zewnątrz, spojrzał za siebie. – Och! Mój nieszczęsny strażnik!

Uldyzjan uwolnił zbrojnego. Strażnik z westchnieniem zsunął się po ścianie, aż usiadł. Gapił się na asceńczyka, jakby ten miał dwie głowy.

„Zapewne większość kedżan patrzeć będzie z taką miną – doszedł do wniosku Uldyzjan – a wszystko to wskutek nienawiści Inariusza”.

Kapitan Aztuhl okazał się wyjątkowo uparty, jednak koniec końców to jego pracodawca podejmował decyzje. Z drugiej strony edyremowie też nie szczędzili protestów. Nikomu z nich nie podobał się pomysł, że ich przywódca miałby sam udać się do stolicy, ale podobnie jak kupiec, Uldyzjan również nie miał zamiaru dyskutować o swoich decyzjach.

W trakcie powrotu do Kedżanu Fahin miał stanąć na czele, natomiast Uldyzjan – jechać przy wozie. Kupiec postanowił zasiąść na koźle obok

woźnicy. Nie chciał, by jego ludzie uznali, że się czegoś obawia. Uldyzjan rozumiał i doceniał tę postawę. Kapitan Aztuhl trzymał się blisko, gotów reagować, gdyby asceńczyk zrobił coś, co choćby w najmniejszym stopniu mogło być uznane za zagrożenie.

To Fahin powiadomił edyremów, gdy znaleźli się w odległości dwóch dni od miasta. Saron i inni potwierdzili niechętnie, choć Uldyzjan nie pytał ich o zdanie. Przez ten krótki czas wspólnej podróży nabrał szacunku do kupca. Los wreszcie uśmiechnął się do syna Diomedesa. Gdy Fahin przedstawi asceńczyka władzom, była szansa, że wysłuchają przybysza.

– Z uwagi na skłonność do kłótni, jaką prezentują klany magów, najszuszniej będzie spotkać się z księciem Ehadem. Młody książę umocnił ostatnio swą pozycję. Zyskał poparcie gildii i nawet magowie zwracają uwagę na jego słowa – wyjaśnił wcześniej Fahin.

– O co chodzi z tą waśnią klanów? Jak bardzo jest niebezpieczna?

– Swego czasu, synu, nie było dnia, żeby nie znaleziono potwornie zmasakrowanego ciała. Do chwili obecnej nikt spoza klanów nie zdołał rozwiązać tajemnicy niektórych zgonów, tak straszliwe były szczątki. Dziś jednak sytuacja się poprawiła, o ile za lepszą możemy uznać sytuację, gdzie stado hien walczy o padlinę. Sprawdzają się nawzajem, czekają na jakąkolwiek szansę, by wykorzystać słabość przeciwnika, i wtedy znów poleje się krew.

Uldyzjan zastanawiał się, czy z magów będzie jakikolwiek pożytek, tak bardzo byli pochłonięci zwalczaniem siebie nawzajem.

– Jest jakaś szansa, żebym mógł z nimi porozmawiać?

– Jeśli uważasz to za konieczne, to i owszem. Rada nadal dba, by to, co osiągnęli, przetrwało, nawet jeśli poszczególni jej członkowie szukają tylko okazji, żeby wbić sobie nawzajem nóż w plecy. Muszą być posłuszni księciu, bo jego dziedzictwo sięga czasów sprzed ich panowania, a zagrożenie dla magii, którą tak czczą, zjednoczy nawet największych rywali.

– Jednak pozwolili, by Świątynia i Katedra urosły w siłę i osłabiły ich wpływy.

Fahin przyznał Uldyzjanowi rację, ale nie poprzestał na tym.

– Urosły w siłę tak szybko, że nawet ja się zastanawiam, jak to możliwe – dodał. – Magowie zostali zaskoczeni, a gdy już zrozumieli, co się dzieje, nic nie mogli zrobić. – Z tymi słowami kupiec wychylił się z kozła i niemal puknął Uldyzjana w pierś. – Nie popełnili tego błędu co do ciebie.

– Nie widziałem żadnego z nich.

– Bo tego sobie nie życzyli. Pamiętaj, Uldyzjanie, nawet jeśli oferujesz im pokój czy przymierze, twoje plecy pozostaną odsłonięte.

Wprawdzie były farmer doceniał rady swego przewodnika, uznał jednak, że Fahin go nie docenia. Po starciu z demonami i kapłanami magowie byli niebezpieczeństwem, z którym liczył się cały czas, a więc był na nie przygotowany. Tylko Inarius naprawdę go niepokoił.

Uldyzjan przemówił jeszcze do edyremów, bo uważał, że powinien uspokoić ich, zanim wyruszy do stolicy. Uczynił to też dla tubylców – obóz jego ludzi znajdował się w niewielkiej odległości od dwóch wiosek. Po drodze spotykali coraz więcej wozów i podróżnych, niektórzy mijali ich zaniepokojeni, kilku gwałtownie zawróciło w stronę miasta. Fahin zagadywał wesoło do tych, do których mógł, starając się zapewnić wszystkich, że ludzie maszerujący za nim to nie armia... Nawet jeśli było wręcz przeciwnie.

Mendeln wciąż jeszcze towarzyszył bratu, gdy pozostali edyremowie dawno już zawrócili.

– Wiesz, że nawet Serentia nie zdoła zatrzymać tych ludzi, gdy tylko poczują, że coś poszło nie tak? – szepnął bratu przy pożegnaniu. – Umrą za ciebie, tak jak już umierali. I ja też się nie zawaham.

– Rozmawiałeś z Rathmą? Powiedział coś na ten temat?

– Nie rozmawiałem z nim od ostatniego razu... I przez to jeszcze bardziej się o ciebie niepokoję. Rathma nie zamilkłby bez powodu.

Uldyzjan nie podzielał wiary swego brata w Starożytnego.

– Nie mogę nic nie robić tylko dlatego, że on się nie pojawił. Nie możemy się zatrzymać, Mendelnie. To teraz nasza walka, jego dni dawno przeminęły.

Mendeln tylko skinął głową i poklepał brata po ramieniu.

Karawana Fahina szybko zniknęła edyremom z oczu. Samotny Uldyzjan przestał być już tak interesujący dla tych, którzy mijali ich na drodze. Szybko też zrozumiał, dlaczego nikogo nie dziwiło jego blade oblicze. Z naprzeciwka jechały wozy należące do kupca z Tulisam, niewielkiego miasta położonego niedaleko Seram. Uldyzjan nie przedstawił się napotkanym rodakom, bowiem kilka uwag przewodnika, potężnego, łysego mężczyzny o imieniu Larius, odnosiło się do przebywającego wciąż na wolności mordercy kapłanów. Niemniej były farmer i tak z radością usłyszał i zobaczył kogoś ze swoich rodzinnych stron.

– W mieście spotkasz jeszcze więcej swoich rodaków – zapewnił go Fahin. – Kedżan nie przypomina miejsc, które odwiedziłeś na równinach. Wszyscy ludzie, nawet ci z za morza, prędzej czy później trafiają do stolicy. Bardzo możliwe, że spotkasz kogoś, kto cię zna...

Te słowa na chwilę odciągnęły uwagę Uldyzjana od spotkania z księciem i magami, wyobraził sobie bowiem, że spotyka któregoś z braci Serentii. W przeciwieństwie do ich siostry, mogli okazać Uldyzjanowi dużo mniej chęci wybaczenia śmierci ojca. Sam Uldyzjan wciąż jeszcze nie mógł się pogodzić ze śmiercią Cyrusa i bardzo żałował, że wskutek okoliczności i działań Lilith musiał doczekać tak tragicznego dnia.

Minęli nie jeden, ale dwa zbrojne patrole. Kupiec wezwał je do siebie i wyjaśnił, że edyremowie są pielgrzymami, Uldyzjan zaś ich przywódcą, i dzięki swym wpływom powstrzymał żołnierzy, przynajmniej chwilowo, przed wypytywaniem ludzi w obozie.

– Jak tylko porozmawiamy z księciem Ehadem, zapewne wyśle tych żołnierzy, którzy będą w stanie utrzymać porządek i nie dopuścić do

jakichkolwiek nieporozumień – zapewnił Fahin towarzysza.

Kupiec wolał wygody własnego wozu niż te zaoferowane przez zajazdy. Wyjaśnił, że nie bardzo ma ochotę dzielić z innymi podróżnymi łóżko i tego, co w nim byli uprzejmi zostawić. Jego decyzja odpowiadała Uldyzjanowi, aczkolwiek były farmer nie miał zaufania do zajazdów zupełnie z innych powodów.

Gdy Uldyzjan walczył z Trójcą, Fahin trzymał cały czas rękę na pulsie, ponieważ posiadał swoje faktorie w każdej większej osadzie i w kilku mniejszych.

– Nie będę cię zwodził, że ta cała sprawa ze Świątynią na mnie nie wpłynęła – wyjął swemu towarzyszowi. – Dlatego też niecierpliwie wyczekuję twoich rozmów z miastem. Miałbym zapewniony pokój i dobrobyt, jakich życzy sobie każdy porządny człowiek.

– I każdy dobry kupiec też?

– Dokładnie. – W oku Fahina pojawiły się błyski.

Noc była ciepła i bezwietrzna. Fahin oferował Uldyzjanowi nocleg na swym wozie, lecz ten odmówił grzecznie, nie lubił bowiem sypiać w zamknięciu. Znalazł sobie miejsce niedaleko wierzchowców, licząc, że zwierzęta wyczują, iż ktoś się zbliża, i ostrzegą go w porę. Fahin trochę krzywo patrzył na ten wybór, ale Uldyzjan urodził się i wychował na farmie, dla niego bliskość zwierząt i ich zapach były znajome oraz dawały poczucie bezpieczeństwa.

Sen jednak nie nadchodził. Uldyzjan odkrył, że dziwnie się czuje daleko od Serentii, Mendelna i wszystkich edyremów. Dotąd rozstawali się tylko wtedy, gdy ktoś inny – na przykład Lilith – zdołał go odciągnąć. Odległość osłabiała też połączenie między nimi.

Kapitan Aztuhl przechodził obok, obrzucając Uldyzjana spojrzeniem pełnym nieufności.

– Byłoby lepiej, gdybyś trzymał się blisko wozów, asceńczyku.

– Tu mi dobrze.

– Jak sobie chcesz. – Kapitan rzucił mu jeszcze jedno ponure spojrzenie i odszedł.

Uldyzjan nie zwrócił większej uwagi na brak manier oficera. Spodziewał się, że w stolicy czeka go bardziej obcesowe traktowanie, nie było to jednak nic, z czym nie byłby gotów sobie poradzić.

Wciąż nie mógł zasnąć. Z niejakim zniecierpliwieniem zaczął się więc przyglądać drzewom nad głową w nadziei, że to go wreszcie uśpi. Wśród podobnych wężom gałęzi wił się bluszcz. Uldyzjan wiedział, że w gąszczu nie kryją się żadne drapieżniki, a nawet gdyby było inaczej, nie przejąłby się zbytnio.

Drzewa tworzyły zwarty baldachim nad tą częścią drogi. Niektóre gałęzie sięgały tak nisko, że niemal dotykały dachów wozów.

Uldyzjan powoli zaczął się uspokajać. Ludzie kupca już się położyli, tylko straż patrolowała okolicę. Dwa niewielkie ogniska płonęły dla bezpieczeństwa. Gałęzie szeleściły usypiająco. Uldyzjan wreszcie zamknął oczy...

I nagle dotarło doń, że gałęzie się ruszają, choć nie ma wiatru.

Poderwał się na nogi.

– Kapitanie...!

Gałęzie wszystkich pobliskich drzew sięgały w dół, chwytaly wozy, konie, ludzi. Jeden ze strażników krzyknął, gdy cisnęły go w gęstwinę dżungli. Rzuciły wierzchowca na wóz, który został na drodze. Z dachu zostały drzazgi.

Kapitan Aztuhl uwolnił się ciosami miecza i porwał głównię z ogniska. Odegnął kilka gałęzi, ale już sunęły ku niemu kolejne.

Gniewnym spojrzeniem mierząc drzewa, które atakowały kapitana, Uldyzjan użył mocy, by oderwać od nich konary. Okaleczone drzewa zadygotały i znieruchomiały. Na Aztuhla posypały się połamane gałęzie.

Uldyzjan odwrócił się ku najbliższemu z wozów, w którym nocował Fahin. Zacisnął pięść i szarpnął.

Drzewa zatrzęsły się z wysiłku, próbując odzyskać władzę nad konarami. Cokolwiek rozpętało ten chaos, władało przepotężną magią. A jednak z jakiegoś powodu Uldyzjan nie miał wątpliwości, że to nie było dzieło Inariususa. To nie pasowało do anioła. Mimo całej potęgi i biegłości w czarach Uldyzjan wyczuwał w tym, co się działo, pewną niezgrabność.

Ale zręczny czy nie, atak niewątpliwie był śmiertelny. Ktoś najwyraźniej obserwował i czekał, zdołał przy tym ukryć się przed przywódcą edyremów.

Wóz Fahina wreszcie znieruchomiał. Uldyzjan zmarszczył brew, a atakujące pojazd gałęzie poczęły odpadać. Czerniały, jakby spalone, drżały i rozsypywały się w drzazgi.

Lecz choć Uldyzjan zniszczył mnóstwo konarów, wciąż było ich zbyt wiele. Usłyszał krzyk kolejnego ze strażników. Nie widział też nigdzie ostatniego z trzech wozów. Konie popędziły przed siebie w panice.

– Uważaj! – Kapitan Aztuhl skoczył i zbił z nóg Uldyzjana.

Brakujący wagon rąbnął w ziemię, prawie dokładnie tam, gdzie przed chwilą znajdowali się obaj. Kiedy Uldyzjan uwalniał się z uścisku kapitana, zrozumiał, że wóz by weń trafił, nawet gdyby oficer nie skoczył mu na ratunek. Niemniej był wdzięczny żołnierzowi za troskę. Tak czy inaczej niewiele brakowało.

– Musisz pomóc mi wydostać ojca z wozu! – Aztuhl łapczywie chwycił powietrze. – Proszę!

– Ojca? – Ostatni wóz należał do Fahina. – Czy chodzi ci...

– Nie jestem dzieckiem z jego żony – wyjaśnił kapitan pospiesznie. – Ale po jej śmierci przyjął mnie do swego domu i uznał.

Nie musiał mówić nic więcej. Uldyzjan pospieszył do wozu, ktoś już próbował kopniakami wyważyć drzwi. Kiedy wyleciały z zawiasów, ukazała się krągła sylwetka kupca.

– Ojczy! – krzyknął kapitan. – Uważaj...

Ostrzeżenie przeszło w charkot. Uldyzjan odwrócił się błyskawicznie i zobaczył, że pnącza, pochwyciwszy oficera za gardło, powlekły go w gęstwinę.

– Aztuhl! – krzyknął boleśnie kupiec.

Jednak nawet Uldyzjan nie mógł temu zaradzić. Machnął ręką w kierunku, gdzie zniknął kapitan, ale choć dziesiątki gałęzi opadły, posłuszne jego woli, żadna nie trzymała Aztuhla.

– Nie można już mu pomóc! Przykro mi! – Uldyzjan pochwycił kupca.

– To... to... – Oczy kupca wypełniły się łzami, nie był w stanie wykrztusić ani słowa więcej.

Kiedy Uldyzjan starał się wyprowadzić Fahina poza zasięg gałęzi, dotarło do niego, że cały czas postępował źle. Walczył z czarem, a powinien szukać czarownika. Tyle się działo, że nie zdołał pomyśleć ani przez chwilę. Przyszedł czas to zmienić.

Ciągnąc za sobą Fahina, Uldyzjan począł umysłem przeszukiwać okolicę. W pierwszej chwili niczego nie dostrzegł, ale przecież nie pierwszy raz jego przeciwnik używał takich sztuczek. Uldyzjan zaczął przetrząsać te miejsca, gdzie nieobecność jego niewidzialnego wroga była aż nadto wyraźna.

Tam! Miejsce było tak spokojne i nieruchome, że musiało ukrywać czarownika. Uldyzjan skupił swą wolę, próbując rozerwać osłonę przeciwnika.

– Uldyzjanie! Tam...

Coś ciężkiego uderzyło go w tył głowy. Zmąciło myśli. Zachwiał się. Nie był w stanie uwierzyć, że tak prosty manewr, by zakraść się za jego plecami, powiódł się przeciwnikowi.

– Ty podły łajdaku!

Przed oczyma Uldyzjana zamajaczył Fahin dobywający z za pasa bogato zdobiony, całkiem jednak przydatny sztylet. Obawiając się o życie

towarzysza, syn Diomedesa chciał go pochwycić, lecz chybił. Fahin zniknął gdzieś z tyłu.

Uldyzjan chciał się odwrócić, ale jego reakcje były dziwnie spowolnione. Nie tylko uderzono go w głowę, zrozumiał, do tego jeszcze otumaniono zaklęciem.

W desperacji spróbował wypalić to, co miało nad nim władzę. Trochę rozjaśniło mu się w głowie. Usłyszał walkę.

Fahin zaskowytał. Ktoś zaśmiał się gardłowo i ciało upadło tuż przy Uldyzjanie. Jego zaś za kołnierz pochwyciły czyjeś potężne ręce. Uldyzjan spojrział w bok, spróbował uderzyć, ale coś mu przyciśnięto do piersi, i znów nie mógł się skoncentrować. Stracił czucie w całym ciele.

Przed jego twarzą pojawiła się groteskowa sylwetka. Głowa zbyt mała w stosunku do ciała, tylko oczy w niej płonęły inteligencją i bystrością nieustępującą Uldyzjanowi, o ile nie większą.

– Kolejny krok – mruknął potwór, szczerząc się podle. Wielgachne usta kaleczyły słowa. – O krok bliżej...

Przycisnął Uldyzjanowi dłoń do czoła.

PIĘĆ



Zorun Tzin cieszył się ze swojego sukcesu niemal jak dziecko. Miał nadzieję, że użycie tego konkretnego czaru – starannie splatanego miesiącami, zupełnie w innym celu – spowoduje dość zamieszania, by odwrócić uwagę asceńczyka, jednak nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że odniesie taki sukces. Zaprawdę, moc jego była większa, niż myślał.

Zabici nie martwili go ani trochę. Wiedział dokładnie, kto podróżował karawaną, i spodziewał się reperkusji, ale nikt nie powiąże zgonu kupca Fahina z magiem. Prędzej winą obciążą Uldyzjana ul-Diomeda – Zorun jeszcze tego dopilnuje. W końcu plotki o wielkiej mocy i gwałtownej naturze asceńczyka były powszechnie znane.

No i fakt, że to Zorun Tzin pojmał renegata, będzie tym bardziej imponujący... O ile mag w ogóle powie o tym Radzie. Głowę miał pełną myśli o zdobywaniu coraz większej mocy. Mocy tak potężnej, że wszyscy inni magowie będą mu się kłaniać.

Z tego, co zdołał wyczuć, nie przetrwał ani jeden świadek. Wszystko poszło zgodnie z planem. Ukradkiem obserwował Uldyzjana przez kilka ostatnich dni i spotkanie asceńczyka z kupcem było dokładnie tym, na co

mag liczył. Asceńczyk z własnej woli oddalił się od swego stada i zapoczątkował ciąg wydarzeń, jakiego wyczekiwał Zorun.

Dla pewności jednak mag zwrócił się do strażników.

– Jedźcie i upewnijcie się, że nikt nie przeżył. Szybko!

Posłuchali, choć z oporem. Wyraźnie nie podobało im się to, co uczynił. Zorun obserwował, jak pospieszili do porozbijanych wozów. Znów myślami wrócił do tego, co mógłby uczynić, mając moc, jaką ponoć władał asceńczyk. Z tym że wtedy oczywiście musiałyby się pozbyć strażników.

Krzaki zaszeleściły i z gąszczu wyłoniła się zwalista postać wlokąca coś za sobą. Zorun natychmiast rozpoznał małą główkę Terula.

– A! Masz go! Wspaniale, Terulu!

Sługa chrząknął i przyniósł bezwładne ciało swemu panu. Zorun ośmielił się wreszcie wezwać światło i przyglądał się asceńczykowi z bliska.

– Nic ciekawego. Kmieć, jak mówili. A jednak cenniejszy od złota, czyż nie, Terulu?

Ale gigant patrzył gdzieś ponad ramieniem swego pana. Brzydka gęba wykrzywiła się, a grube brwi zmarszczyły w wyraźnym namyśle.

– Może niedobrze, oni wracają – powiedział nagle, wysilając się na najbardziej chyba złożone zdanie, jakie Zorun usłyszał z ust olbrzyma.

Bezpardonowy komentarz Terula tylko umocnił Zoruna w przekonaniu, że skłaniał się ku słusznym rozwiązaniom. Mag obrzucił wzrokiem odległe sylwetki strażników, przeszukujących pobożowisko. Podjął decyzję.

– Tak. Ciekawym, czy dam radę podjąć czar...

Schylił się w stronę wzoru, który wcześniej wyrysował na ziemi. Część rysunku sam zniszczył, nastąpiwszy nań w którymś momencie, jednak szybko temu zaradził. Poprzedni wysiłek wyczerpał go niemal do cna, a jednak poczuł, że wciąż ma tyle siły, by wykonać to ostatnie zadanie.

Uniósł laskę nad wzorem i począł gestykulować. Tak przygotował czar, by zaklęcie nie wymagało żadnej inkantacji, ponieważ wszelkie dźwięki

mogły przyciągnąć uwagę przeciwnika albo, jak teraz, celu.

Runy wyrzeżane na lasce zaśniły łagodnie. Chwilę później rozjarzyły się też i linie wzoru.

Od strony rozbitych wozów dał się słyszeć szelest liści. Nic w zachowaniu strażników nie wskazywało na to, że to zauważyli.

Zorun wyszeptał jedno słowo:

– Jata.

Tak jak wcześniej pnącza i gałęzie, które drzewa zdołały zachować, sięgnęły ku ziemi. Ze śmiertelną celnością pochwyciły sześciu żołnierzy. Pierwszy nie miał nawet szansy krzyknąć. Pnącza owinęły się wokół jego ust i gardła, a gałęzie powlekły go w gęstwinę. Ten stojący obok odwrócił się...

Gałęzie złapały. Zdołał krzyknąć i zaalarmować pozostałych. Jeden skoczył na pomoc towarzyszowi, ale ten już unosił się nad ziemią.

Dowódca straży wskazał w stronę Zoruna. Czterej pozostali rzucili się w kierunku maga z wiadomym zamiarem. Jednak dwóch zdążyło zrobić zaledwie krok, a już pochwyciły ich gałęzie, trzeci zaszedł niewiele dalej. Cięli mieczami, próbując się uwolnić, ale rośliny okazały się silniejsze.

Ostatni zniknął oficer. Przeklinał Zoruna słowami, które nawet mag uznał za wyjątkowo plugawe. Wtedy pnącza okręciły mu się wokół szyi i zadusiły go na śmierć.

Drzewa powlekły szczątki poza zasięg wzroku maga i jego sługi. W głębi lasu zajmą się nimi zwierzęta i nie zostanie po żołnierzach ani śladu. Oczywiście ich śmierć Zorun rzuci na Uldyzjana. Asceńczyk nie będzie przecież w stanie protestować.

Mag, usatysfakcjonowany, opuścił laskę i stopą zmazał wzór na ziemi. Zachwiał się nagle, wysiłek okazał się nadmierny nawet dla niego.

Na szczęście Terul był tuż obok i zdołał podtrzymać swego pana. Przy pomocy olbrzyma Zorun wspiął się na konia. Potem sługa zajął się wciąż nieprzytomnym jeńcem.

Zorun Tzin upił nieco wina z bukłaka i skinął głową. Nocna praca przyniosła im prawdziwie godne owoce. Pojmał swą ofiarę łatwiej, niż się spodziewał. Przysiągł sobie na przyszłość oceniać własną wielkość z mniejszą pokorą.

Przysiągł też nie przyznawać się Radzie do swych sukcesów. Miał zamiar powiedzieć, że Uldyzjan go oczekiwał, potem w swym szaleństwie zgładził kupca, jego ludzi i szlachetnych strażników Rady. W oczach Rady będzie to wyglądało na porażkę, co ich niewątpliwie ucieszy, ale Zorun będzie znał prawdę i tylko to miało znaczenie. W końcu dlaczego miały im oddawać tak cenną nagrodę, skoro jedyne, do czego są zdolni, to się o nią kłócić? Lepiej, żeby Uldyzjan ul-Diomed został w rękach tego, który najlepiej wie, jak wykorzystać jego możliwości.

Zorun zawrócił konia.

– Jedziemy, Terulu! – rozkazał słudze, który też już siedział w siodle, oczekując zarazem, że tamten zajmie się luzakiem objuczonym nieprzytomnym asceńczykiem. Bez trudu wjadą do stolicy niezauważeni nawet przez Radę, mag był w końcu samym Zorunem Tzinem.

– Konie strażników – zaburczał Terul.

– Hm? – Mag po raz kolejny zdumiał się bystrością swego sługi. Terul ponownie miał rację, należało coś zrobić z dodatkowymi końmi. Rada mogłaby się zdziwić, jakim cudem zwierzęta przetrwały nietknięte, skoro jeźdźcom się to nie udało.

Oczywiście łatwiej było rozwiązać ten problem niż wszystkie poprzednie. Zorun wyciągnął z sakiewki niewielką rurkę, przyłożył do ust i dmuchnął.

Koń przed nim szarpnął się i upadł, zamieniając się w stertę. Dwa kolejne rozpadły się równie łatwo. Zanim ktokolwiek natknie się na nie, rozczłonkowane ciała zgniją i rozpadną się jeszcze bardziej. Będzie to wyglądało, jakby okrutny Uldyzjan ul-Diomed pozabijał wierzchowce, tak

jak i ludzi. To tylko uprawdopodobni historię, którą Zorun już układał dla głupców z Rady.

– To wystarczy, prawda, Terulu? Rada Magów doceni, że postarałem się ocalić tyle, ile zdołałem, nie sądzisz, Terulu?

Terul mruknął twierdząco.

Zmęczony, lecz zadowolony z siebie Zorun Tzin ruszył z powrotem do miasta. Terul złapał za wodze konia niosącego Uldyzjana, raz jeszcze uśmiechnął się na widok nieruchomej postaci i ruszył w ślad za magiem.

W miejscu, które nie było miejscem, to, co wydawało się lśniącymi gwiazdami, zawirowało ponad intensywną, czarną pustką. Gdyby ktoś był tam i widział owe gwiazdy, w każdej dostrzegłby lśniącą niczym lustro łuskę. A w każdej z nich zobaczyłby moment swego życia. Od samego początku do dorosłości... A może i do samego końca. Życie każdego, kto urodził się w Sanktuarium, widoczne było wśród łusek.

Łusek istoty, którą można by nazwać smokiem, ale była jednak czymś znacznie więcej.

Smok nazywał się Trag'Oul i istniał od chwili, gdy zbiegłe anioły i demony ukształtowały ten świat. Esencja stworzenia, którą ukradły, by stworzyć Sanktuarium, zawierała istotę smoka. Urósł w miarę, jak rósł świat, jego los związany był zarówno z Sanktuarium, jak i z ludźmi, którzy je teraz zamieszkiwali.

Dlatego też, i również dlatego, że wiedział, jakim zagrożeniem są dla Sanktuarium wojska Królestwa Niebios i Płonących Piekieł, z pewnym wahaniem przyjął na swego ucznia syna samego Inariusza. Nazwał go Rathmą, po tym jak Starożytny odrzucił imię nadane mu przy narodzinach – Linarian. Trag'Oul z zadowoleniem odkrył w Rathmie pojętnego ucznia i podzielił się z nim wiedzą, niedostępną nawet aniołom i demonom. I kiedy Rathma się uczył, obaj przez wieki całe starali się zapobiec, by Sanktuarium utraciło coś, co Trag'Oul nazywał Równowagą. Równowaga oznaczała balans, w jakim znajdował się świat. Gdyby świat zwrócił się ku

czystemu złu, oznaczałoby to straszliwe zniszczenie, zaś zwrot w kierunku przeciwnym – ku całkowitemu dobru – oznaczałby stagnację i rozkład. Równowaga, gdzie dobro i zło istniały obok siebie i żadne nie zyskało przewagi, była najlepszym i jedynym wyborem.

Zachowanie Równowagi oznaczało przede wszystkim ukrycie przed Królestwem Niebios istnienie całego świata, który został już odkryty przez władców Płonących Piekieł. Demony trzymane były w szachu nie tylko dzięki wysiłkom Inariusza, ale i dzięki staraniom smoka. Gdyby jednak anioły też weszły do rozgrywki...

– *Rathmo, porozmawiajmy* – oznajmił Trag'Oul w ciemności.

I nagle przed zmieniającymi położenie gwiazdami stanęła postać otulona czarną opończą.

– Jestem.

– *Musimy przygotować się na niewyobrażalne.*

– Musimy? Nie jestem jeszcze przekonany w tym względzie.

Był to jeden z prawdziwie nielicznych momentów w egzystencji smoka, gdy ten poczuł się zaskoczony.

– *Jakże możesz tak myśleć?*

Opończa Rathmy załopotana wokół niego, jakby stanowiła przedłużenie wzburzonych myśli.

– Jeśli Królestwo wie o istnieniu Sanktuarium, dlaczego nie zaroilo się tu od jego żołnierzy? Zwleknięcie z atakiem nie miałooby sensu.

– *Obserwują pilnie Inariusza i wysłanników Płonących Piekieł, oceniając ich pozycje.*

– Istotnie, byłoby to całkiem rozsądne... o ile wykluczemy z równania myśliwego Achiliosa. Wiesz przecież, że usiłował zgładzić Uldyzjana.

– *Dlatego najprawdopodobniejszym wyjaśnieniem jest to, że twój ojciec przejął kontrolę nad łuczniakiem. Nie pojmuje, do czego zmierzasz.*

Gwiazdy zmieniły swoje położenie i ponownie ułożyły się w długi węzowy kształt istoty z legend.

– To nie był mój ojciec. Wiem to z całą pewnością. Wiem, gdzie jest i co robi. To nie on.

– *Wracamy zatem do przekonania, jakoby Królestwo Niebios świadome było istnienia Sanktuarium.*

– Tudzież jeden tylko z czcigodnych rycerzy Królestwa.

– *Jeden tylko?*

Gwiazdy poruszyły się, gdy Trag'Oul rozważał tę myśl.

– *Jeden tylko? Jeden, który przybyłby tu w tajemnicy, zamiast natychmiast powiadomić Radę Angiris o zdradzie Inariususa? Nie masz takiego.*

– Jest jeden. Ten, który najbliższy był memu ojcu, bliski jak brat rodzony, choć takiego nigdy nie miał. Tak, mógłbym nazwać go stryjem, Tragu, albowiem jeśli wziąć pod uwagę, że obaj są aniołami, można powiedzieć, że byli też braćmi.

– *Nie możesz mówić o Tyraelu.*

Zamilkli obaj na chwilę, jakby spodziewali się, że anioł zjawi się przed nimi, usłyszawszy swoje imię. Wreszcie Rathma odezwał się głosem tak cichym, że człowiek ledwie mógłby go usłyszeć:

– Tak, Tyrael. Jestem przekonany, że Anioł Sprawiedliwości przybył osobiście, by osądzić zbrodnie swego brata... a tym samym Sanktuarium.

Uldyzjan się obudził. A przynajmniej w ten sposób mógł najlepiej opisać zmianę swego stanu. Tak naprawdę czuł się zawieszony gdzieś pomiędzy przytomnością a jej utratą. Cały świat kołysał się mu przed oczami irytująco, przez co Uldyzjan nie był w stanie skoncentrować wzroku.

Ale mimo dezorientacji jednego był pewien.

Inarius go pochwycił.

Uldyzjan był przekonany, że nikt inny nie mógłby dokonać tego tak łatwo... tym bardziej zaskoczył go stojący przed nim mężczyzna. Był ciemnoskóry, brodę miał długą i wypielęgowaną. Leczący jego oczy

natychmiast przykuły uwagę, przesywały bowiem mgłę spowijającą umysł jeńca.

– Słyszysz mnie, Uldyzjanie ul-Diomedzie? Słyszysz? Sprawilem, żeś leżał bez przytomności przez całą drogę powrotną, więc teraz powinieneś odzyskać zmysły na tyle, by odpowiedzieć.

Uldyzjan chciał odpowiedzieć, ale miał wrażenie, że język nie mieści mu się w ustach, szczeka za nic nie chciała się poruszyć. Udało mu się tylko skinąć głową, co wyraźnie usatysfakcjonowało brodacza w długich szatach.

– Świetnie! Wiedz zatem, że to jam cię pojmał. Ja, wielki Zorun Tzin!

Powiedział to tak, jakby więzień powinien znać owo imię, i zaskoczył go całkowity brak reakcji ze strony tamtego. Pociągnął nosem lekceważąco i kontynuował swoją przemowę.

– Wszyscy się ciebie obawiali, a tymczasem dałeś się pojmać nader łatwo. Aż się zastanawiam, czy wart byłeś tego całego zachodu, wszystkiego, com uczynił, wszystkiego, com zdradził...

Uldyzjan raz jeszcze chciał coś powiedzieć – ponownie bez skutku.

– Niedługo przemówisz, zapewniam, mój przyjacielu! Muszę się wiele o tobie dowiedzieć, zanim zdecyduję, co należy uczynić.

Za plecami czarownika pojawiła się wysoka postać. Z jakiegoś powodu olbrzym przykuł uwagę Uldyzjana bardziej niż sam porywacz.

Zorun zerknął przez ramię.

– Terulu! Przynieś mi tę małą szkatułkę z trzeciej półki. Migiem!

Sługa odszedł, żeby wypełnić polecenie, ale najpierw spojrział Uldyzjanowi w oczy. Ten zaś zapragnął przemówić, wiedział jednak, że jego wysiłki są próżne.

– Wygląd Terula cię odrzuca? – zapytał mag, mylnie interpretując reakcję Uldyzjana. – On powinien być najmarniejszym z twych problemów, asceńczyku... Ja jestem najpoważniejszym!

Podniósł laskę, którą więzień dopiero teraz zauważył, i wymamrotał kilka słów. Niektóre runy na lasce zapłonęły jasno.

Uszy Uldyzjana wypełniło echo krzyku, ale dopiero po chwili zorientował się, że to on sam krzyczy. Ból gwałtownie szarpał jego ciało, jakby każdy cal skóry był powoli odrywany.

– To tylko odczucie – wyjaśnił Zorun – choć wkrótce stanie się rzeczywistością. Ta demonstracja miała cię przekonać, byś bez zwłoki odpowiadał na pytania, które zechcę ci zadać. Rozumiesz?

– T-tak.

Do Uldyzjana ledwie dotarło, że odzyskał mowę. Teraz tylko ból miał znaczenie. Świat wciąż tańczył mu przed oczyma i Uldyzjan nie mógł skupić się ani na swym ciemńycielu, ani na niczym innym. Nadal nie był w stanie zobaczyć, gdzie się znajduje. Udało mu się dostrzec jedynie fragment kamiennej podłogi pod sandałem maga.

Machnięciem laski Zorun sprawił, że ból ucichł. Gigant Terul wrócił z wyczekiwaną przez jego pana szkatułką – Zorun otworzył ją, gdy wciąż jeszcze była w rękach sługi.

Zorun zajrzał do środka i coś wyjął. Trzymając ów przedmiot w zamkniętej dłoni, nakazał Terulowi zamknąć szkatułkę.

– Odłóż na właściwą półkę – polecił.

Gdy gigant wyszedł, mag odwrócił się do swego więźnia i zaprezentował przedmiot z pudełeczka.

Uldyzjan zachłysnąłby się, ale zaklęcie znów zamknęło mu usta. Wiedział dokładnie, co leży na dłoni czarownika... zapewne lepiej niż sam Zorun.

Był to niewielki odłamek kryształu. Z podobnego stworzony był Kamień Świata.

Czy rzeczywiście pochodził z monstrualnego artefaktu, tego Uldyzjan nie potrafił już określić. Wiedział jedynie, że takiego kryształu nie widział nigdzie indziej. Jeśli był to naprawdę okruch Kamienia Świata, to być może

Lilith, któryś ze Starożytnych albo inny demon bądź anioł wykradli go z jaskiń pod górą. A może był to kawałek tych unoszących się kryształów, które nieustannie zderzały się ze sobą, albo skradziono go w czasie tworzenia Sanktuarium.

Jednakże w tej chwili liczyło się tylko to, że okruch znalazł się w rękach Zoruna Tzina.

– Wyczuwasz moc w tym kamieniu? Interesujące. Być może jest w tobie coś więcej, niż mówiła Rada. Podoba ci się mój kamyczek? Zdobyć go kosztowało mnie tuzin istnień, a dekadę przed tym, jak uświadomiłem sobie jego istnienie, kosztował dwakroć tyle. Wszystkich wielkich magów lub ich wysłanników. Jest prastary, tyle wiem... I bardzo przydatny do moich zaklęć, o czym się zaraz przekonasz.

Kucnął. Uldyzjan podążył za nim spojrzeniem i po raz pierwszy dostrzegł linie jakiegoś wzoru wykreślonego kredą. Najpewniej ten właśnie wzór trzymał go na uwięzi. Zorun umieścił kryształ na jednym z symboli, który zapłonął pod dotknięciem kamienia.

– Najlepiej, jeśli będziesz współpracował – oznajmił mag, wstając. – Kamień zwiększy ten efekt, którego sobie zażyczę, w tym również twoje cierpienie.

Mag podniósł laskę. Runy znów się rozjarzyły.

Uldyzjan krzyczał. Teraz wydawało mu się, że ktoś wywraca go na drugą stronę. Na nic się zdały wszelkie jego próby odparcia bólu.

Męczarnia ustała równie szybko, jak się rozpoczęła. Uldyzjan zwiesiłby bezradnie głowę na piersi, gdyby tylko mógł.

Kedzanin zaśmiał się krótko.

– To, czego wrazenie miałeś przed chwilą, asceńczyku, można naprawdę ci uczynić. Mogę sprawić, by twoje wnętrze stało się twoim zewnętrzem. Kamień jest na tyle potężny, bym mógł tego dokonać. Wiem, bo już to sprawdziłem. – Zamilkł, pozwalając, by słowa zapadły głęboko w otumaniony umysł Uldyzjana. – Po prawdzie, to całkiem nietrudne...

W tym momencie w polu widzenia Uldyzjana pojawił się Terul. Zorun nie był wcale zadowolony, ale pozwolił słudze przekazać niecierpiące zwłoki wieści.

– Na górze – wybełkotał Terul. – Szaty...

Na twarzy maga odmalowało się zrozumienie.

– Członkowie Rady? O to ci chodzi?

Małeńka główka Terula zakołysała się potakująco.

Zorun targnął swą nieskazitelną brodę.

– Nie mogli przyjść w sprawie strażników, już przecież przyjęli do wiadomości wyjaśnienia dotyczące ich śmierci. Powiedzieli ci, po co przyszli? – Tym razem Terul tylko wzruszył ramionami. – Imbecyl! Dureń! Muszę zająć się tym natychmiast! – Parskając z irytacji, gestem przegonił Terula. Zanim jednak wyszedł, zatrzymał się, by odezwać się do więźnia: – Dzięki temu zyskasz chwilę, by uporządkować wszystkie informacje, które mi przekażesz, asceńczyku. Sugeruję, żebyś przygotował je sobie, zanim wrócę. Pytania padną natychmiast po tym.

Mag zniknął z pola widzenia. Terul odprowadził swego pana spojrzeniem.

I wtedy zaszła w olbrzymie dziwne zmiany. Wyraz brzydkiej twarzy zmienił się na bardziej świadomy. Jego oczy znów błysnęły niesamowitą inteligencją, dokładnie tak, jak to się Uldyzjanowi wydało już wcześniej.

Terul schylił się i pochwycił leżący na wzorze kamień. Groteskowe rysy wykrzywiły się w wyrazie chciwej pożądlivosti. Z bliska Uldyzjan dostrzegł kilka dziwnych zmian, jakby wypalonych przy lewym uchu giganta. Wyglądały na świeże.

– Mefisto się do mnie uśmiecha – zadudnił olbrzym, spoglądając na więźnia. Teraz mówił z większą ogładą, w sposób bardziej wyedukowany, co stało w sprzeczności z rozmiarem mózgu, jaki mógł mieścić się w tak niewielkiej głowie.

Zza drzwi musiał dobiec jakiś dźwięk, którego Uldyzjan nie słyszał, bo Terul znieruchomiał i zerknął w tamtą stronę. Najwyraźniej jednak zaraz doszedł do wniosku, że to nic istotnego, bo znów skupił się na więźniu. Zajrzał pojmanemu głęboko w oczy i Uldyzjan zyskał pewność, że Terul był kimś więcej, niż domyślał się jego pan.

I zapewne daleko bardziej niebezpiecznym niż mag.

– Nawet to ciało, z całą jego siłą, wypali się zbyt szybko – oznajmił Terul. – Myślałem, że wytrzyma o wiele dłużej, no cóż, może to brak odpowiedniego mózgu ma z tym coś wspólnego. Na tyle interesujące, by warto było zgłębić ten temat. Oczywiście później.

Uldyzjan nie miał pojęcia, o czym olbrzym mówi, zdołał jednak zrozumieć tyle, że nie podobały mu się sugestie przebijające przez te słowa. Próbował skupić się na swej mocy, ale wzór Zoruna nadal spowijał mu umysł mgłą. Zakłęcie pozwalało jedynie słuchać i niewiele więcej.

– Biedy Durram – kontynuował wielkolud. – Dał mi więcej, niż śmiałem oczekiwać, wiedziałem, że nie zdołam cię dogonić, bez względu na to, jak szybko biegłem przez dżunglę. Chciałem dogonić cię przed stolicą, wiedziałem, że tam pójdziesz, ale przez to, że tyle wymagałem od ciała kapłana, szybciej je zużyłem.

Terul wciąż się krzywił, gdy przemawiał tym niepokojącym tonem osoby dobrze wykształconej. Obserwując jego mimikę, Uldyzjan doszedł do wniosku, że dostrzega w niej coś znajomego. Niestety jego umysł spętany zaklęciem nie był w stanie ustalić co.

Olbrzym najwyraźniej błędnie odczytał minę Uldyzjana.

– Nie obawiaj się powrotu tego głupca. Jego arogancja, którą podsyciłem, zwiększając moc jego czarów, sprawiła, że zostawił więcej śladów swych zbrodni, niżby przypuszczał. – Przechylił głowę. – I nie myśl, że marnuję czas, gawędząc z tobą, zapewne zauważyłeś, że wzór pod twoimi stopami zmienia się właśnie stosownie do moich potrzeb.

Uldyzjan czuł przemieszczające się wokół niego potężne siły. Pętały jego wolę i umysł jeszcze silniej, tak że nie zdołałby chyba zauważyć nawet całej armii wpadającej do pomieszczenia.

Teraz istniał dlań jedynie paskudny gigant. Nikt inny poza podstępny sługą... który przemawiał do więźnia, jakby znali się o wiele dłużej niż te kilka krótkich chwil, jakie razem spędzili.

I w jakiś niewytłumaczalny sposób Uldyzjan był pewien, że tak jest w istocie. Po raz kolejny szarpnął się w magicznych węzłach, próbując uczynić cokolwiek.

Jedna z kosmatych brwi Terula powędrowała do góry.

– Jakaż siła... Suka dobrze przemyślała swój ruch, gdy wybrała ciebie, to jej muszę przyznać.

Te słowa podsyciły obawy Uldyzjana do niebotycznych rozmiarów. Terul mówił o Lilith, nikim innym. Tylko skąd mógł wiedzieć o jej istnieniu?

Uldyzjan z wysiłkiem przypominał sobie, co olbrzym mówił wcześniej, że użył kapłana o imieniu Durram... Użył jego ciała. A to by oznaczało, że to nie był wcale Terul, nawet nie żywa istota, tylko jakiś zły duch, który opętał olbrzyma.

Nie, nie opętał. Bo to by sugerowało, że gdzieś tam, głęboko, sługa wciąż istnieje. A z tego, co Uldyzjan widział i rozumiał, ta istota pochłonęła duszę Terula. Nie, nic już nie pozostało z prawdziwego Terula poza pustą skorupą ciała.

I teraz ten nikczemny cień chce zrobić to samo z Uldyzjanem.

Dokładnie w tej chwili oczy olbrzyma rozszerzyły się w wyrazie zadowolenia.

– Tak! Wszystko gotowe! – uśmiechnął się ohydnie do Uldyzjana. – Dzięki kamieniowi i odpowiednim zmianom w zaklęciu nie będę musiał się martwić, że się wypalisz. Znów stanę się całością! W twoim ciele stworzę

nowy kult i ja, tylko ja jeden, będę tam najwyższym Pierwszym! Mefisto mnie wynagrodzi! Być może uczyni nawet panem całej ludzkości.

Ten ton znów wydał się Uldyzjanowi znajomy. Wspomnienie znajdowało się tuż-tuż...

– A noszenie twego ciała z pewnością będzie daleko wygodniejsze niż założenie czyjejs skóry, powiedzmy, takiego Etona z Party.

Uldyzjanowi udało się otworzyć usta. Wszystko teraz nabrało strasznego sensu.

Terul roześmiał się, widząc, że więzień nareszcie go rozpoznał.

– Tak, chciałem, żebyś mnie poznał, Uldyzjanie, zanim cię pochłonę.

Były farmer potrząsnąłby z niedowierzaniem głową, gdyby tylko mógł. Jedynie powrót z martwych Lilith albo jej brata byłby dlań straszniejszy.

Terul został pożarty przez arcykapłana Mefista... Malika.

SZEŚĆ



Serentia poczuła, jak niepokój uderza w nią niczym błyskawica. Plan Uldyzjana się nie powiódł. Była tego pewna.

Jednak fakt, że od początku nie bardzo się jej ów plan podobał, skłonił dziewczynę do zastanowienia. Nie miała prawa sprzeciwiać się jego decyzjom tylko z powodu swych podejrzeń. To było zaledwie przeczucie, nic więcej...

Jednak była przecież edyremem, a takie przeczucia w wypadku edyremów zapowiadały nadciągającą katastrofę.

Poszukała Mendelna, przekonana, że on, najlepiej ze wszystkich, będzie umiał rozważyć jej obawy w stosowny analityczny sposób. Znalazła go tam, gdzie zazwyczaj – w najbardziej odległym zakątku obozu. Z trójką innych edyremów, partaninem i parą z nizin rozmawiał o jakiejś Równowadze i o tym, że śmierć to tylko przejście do kolejnego etapu. Z jednej strony Serentii podobała się koncepcja, że jej ojciec i matka wciąż gdzieś istnieją i może nawet z daleka dbają o córkę. Była też wdzięczna tej mocy, która pozwolił Mendelnowi przywrócić jej Achiliosa, aczkolwiek nie do końca tak, jak dziewczyna by sobie tego życzyła.

Ale z drugiej strony pewne aspekty odnalezionej przez Mendelna ścieżki działały Serentii na nerwy. Szczególnie te związane ze zwłokami i grobami.

Jak również uwagi Mendelna, że nigdy nie jest sam, nawet gdy był sam. Z tego, co Serentia zrozumiała, przyciągał duchy niedawno zmarłych. Niezbyt to apetyczna koncepcja.

Popatrzył na nią, zanim jeszcze zdążyła go zawołać. Z powagą odesłał swych równie poważnych uczniów. Przeszli obok niej w milczeniu. Zauważyła, że w ślad za bratem Uldyzjana zaczęli ubierać się w czerń.

– Przyszli z pytaniami – wyjaśnił Mendeln. – Ja tylko staram się na nie odpowiadać... ale nie w tej sprawie przyszłaś, wiem.

– Uldyzjan...

– Uldyzjan został pojmany – przerwał jej z twarzą spowitą mrokiem.

– Też coś poczułeś? – zaniepokoiła się. – Skąd wiesz? Co masz dokładnie na myśli?

– Uspokój się. Oto, co wiem. Karawanę zaatakowano jakimś plugawym zaklęciem. Wszyscy poza nim zostali wymordowani. Ten, który rzucił czar, szukał właśnie jego.

Ta wiadomość była straszniejsza od tego, co wyobrażała sobie Serentia.

– Kiedy się o tym wszystkim dowiedziałeś? – powtórzyła. – Ja dopiero teraz poczułam zagrożenie.

– Szanowny Fahin mi powiedział – odparł Mendeln, wzruszając ramionami.

Serentia znów poczuła chłód, jaki czasem przenikał ją w obecności młodszego z synów Diomedesa.

– Mistrz Fahin też?

– Wszyscy... wszyscy poza Uldyzjanem.

– A on? To magowie go pojмали?

Zgarbił się nieco – widomy znak, że niezbyt dobrze czuł się ze swoją wiedzą.

– Jeden z nich. Zginęli też ludzie, którzy mieli służyć czarownikowi.

Ta wiadomość sprawiła Serentii niejaką przyjemność.

– Przynajmniej nie wszyscy łajdacy uniknęli kary.

– Ich też wymordował ten, który pojmał Uldyzjana.

– Ależ to bez sensu!

Mendeln tylko pokręcił głową.

– Niestety to ma sens, dlatego tak czy inaczej, chciałem odprawić tamtych i poszukać cię.

Spróbowała się zastanowić. Należało coś zrobić, i to szybko.

– Wiesz, dokąd zabrano Uldyzjana?

– Jest w mieście. Ten mag ma znaczne możliwości, nazywa się Zorun Tzin. Tyle się dowiedziałem. Duchy nie wiedzą nic więcej, bo przybyły prosto do mnie.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego wciąż do ciebie przychodzą? – zapytała z narastającą irytacją.

– Bo tak to już jest – ponownie wzruszył ramionami.

Serentia zrezygnowała. Teraz właściwie liczyło się tylko uratowanie Uldyzjana... O ile nie było na to zbyt późno.

– Zabrali go do miasta, mówisz.

– Tak, najpewniej do siedziby tego Zorun Tzina, ale gdzie ona jest, nie wiedziały nawet duchy strażników.

Tego się spodziewała. Wiedziała też, że nie mogą po prostu iść i zażądać od klanów, by wydały jednego ze swoich przywódców. Była pewna, że wtedy Uldyzjan zniknąłby jeszcze szybciej i nie można by go było odnaleźć.

– Musimy udać się do miasta – stwierdziła stanowczo. – Tyle wiem.

– Owszem, ale pozwól, że zwrócę ci uwagę, że jeśli wyruszymy, pozostali podążą za nami. – Wskazał na obóz. – Podejrzewam, że nawet teraz co niektórzy, na przykład Saron, dzielają twój niepokój.

– Dobrze! Powiemy im to, co mi powiedziałaś, i pomaszerujemy do Kedżanu. Zmusimy klany magów czy kogo tam, żeby go znaleźli, albo

pożalują. Uldyzjan chciał tylko porozmawiać, a oni tak go potraktowali!

– Tak dużą grupę uznają za zagrożenie, Serentio. Pomyślą, że to atak na stolicę.

Dziewczyna była niewzruszona.

– I nie pomyślą się, jeśli nie oddadzą go nam całego i zdrowego! Co w tym złego? Nie zrobiłbyś tego dla niego?

Mendeln westchnął głośno.

– Nie, wolałabym tylko, żebyśmy mieli jakiś inny wybór. Zrobimy, jak mówisz.

– I dobrze! – Odwróciła się od niego. – Lepiej nie marnujemy czasu i chodźmy zawiadomić pozostałych.

Zostawiła Mendelna i od razu zaczęła wołać Sarona i Jonasa. Mendeln obserwował ją przez chwilę, wreszcie ruszył jej śladem, kręcąc głową z niechęcią.

– To się dobrze nie skończy – mruknął pod nosem. – To się dobrze nie skończy...

To był Malik... ten sam Malik, który bezdusznie i okrutnie obdarł władcę Party i jego młodego syna ze skóry, żeby jedną przywdziać samemu, a w drugą oblec morłu. W ten sposób oszukał Uldyzjana i wciągnął go w pułapkę. Malik, który służył Mefisowi, czyli tak naprawdę demonowi Mefisto. Malik, który był prawą ręką Luciona i przerażającym kapłanem Trójcy.

Malika spotkała sprawiedliwość, gdy nieświadom, z kim zadziera, zaatakował Lilith ukrywającą się pod maską Lylii i poległ. Mimo to jego dusza przetrwała przywiązana zaklęciem przez Mendelna do kawałka kości. Mendeln wykorzystał kość w walce z Lilith, córka Mefista była bowiem jedyną istotą, której Malik nienawidził bardziej niż Uldyzjana. Duch kapłana wykonał zadanie, przeprowadzając Uldyzjana przez pułapki głównej świątyni.

Kiedy jednak w pewnym momencie polecił Uldyzjanowi cisnąć fragmentem kości, ten posłuchał, przekonany, że jest ku temu powód. Kość uderzyła w czoło kapłana o imieniu Durram.

Okoliczności i Lilith nie pozwoliły Uldyzjanowi ani chwili poświęcić poszukiwaniu kości. W końcu uznał, że duch Malika został pogrzebany w ruinach świątyni. Teraz zrozumiał, jak tragicznie się pomylił.

Ta pomyłka będzie go kosztować istnienie, podczas gdy jego ciało i moc posłużą człowiekowi, który był wcieleniem zła.

– My, a raczej ja będę daleko, zanim ten głupiec Zorun tu wróci. Łatwo było zrobić dziury w historii od samego początku pełnej dziur. Od kiedy przejąłem ciało olbrzyma, manipulowałem myślami Zoruna, wykorzystując jego próżność. Wyobraził sobie, że to jego żalosne moce pozwoliły mu ująć cię tak łatwo! A zdołał to zrobić, bo ja, który znam cię tak dobrze, do tego doprowadziłem. Poznałem wszystkie luki w twojej zbroi i wykorzystałem je. – Gęba Terula rozjaśniła się wesołością. – I wszystko poszło tak gładko, że nawet ja byłem zdumiony!

Uldyzjan słuchał. Nic więcej nie mógł zrobić, był to jego jedyny atrybut. Malik twierdził, że czas ma po swojej stronie, ale im uważniej słuchał go więzień, tym chętniej kapłan się przechwalał, zupełnie jak Zorun Tzin, nieskończenie dumny z siebie.

Uldyzjan był świadom niebezpieczeństwa płynącego z władania tak potężnymi umiejętnościami. Sam padł ofiarą przekonania o własnej wielkości, i to nie raz. Cała podróż z nieszczęsnym Fahinem była tego ponurym przypomnieniem. Po raz kolejny Uldyzjan uwierzył, że jest nieomylny i niepokonany. Wszystko tak doskonale zaplanował... a przynajmniej tak wówczas myślał. Teraz uważał za wyjątkową zuchwałość, wręcz niedorzeczną, pomysł, że mógłby po prostu wejść sobie do stolicy wschodniej części świata i domagać się prawa do rozmowy z jego przywódcami, a przy tym ani przez chwilę nie obawiać się żadnego podstępu czy też reakcji.

– Tak, ja będę umiał wykorzystać nasze ciało o wiele lepiej. – Terul... nie, Malik zacisnął mocniej dłoń na kryształach i postąpił o krok w stronę jeńca. Paskudnie wredny uśmiech wykrzywił mu gębę. – A teraz, czy jest coś, co chciałbyś wyznać, mój synu, zanim dam ci ostateczne zapomnienie?

Uldyzjan próbował pozbyć się mgły z umysłu, jednak obawiał się, że na to już zbyt późno. Zmiany, jakie Malik wprowadził we wzorce zaklęcia, nie pozwoliły mu odzyskać jasności myśli. Była to zatem desperacka nadzieja, ale jedyna, jaka pozostała Uldyzjanowi.

– Nic? No cóż, zacznijmy zatem. – Malik dotknął kryształem piersi więźnia i rozpoczął cichą inkantację...

Uldyzjan poczuł ciepło wlewające się weń z kamienia. Początkowo uznał to za część zaklęcia, ale wtedy mgła utrudniająca mu myślenie zaczęła się rozwiewać. Jego siła powróciła...

Zmiana nie umknęła uwadze Malika. Zmarszczył brwi.

– Co się...?

Nie zdołał powiedzieć nic więcej. Tak jak wtedy w dżungli z Mendelnem, Uldyzjan pozwolił, by przejęły nad nim władzę surowe emocje. Nie miał zresztą czasu na wybór innej drogi.

Wściekły pomarańczowy blask eksplodował z jego piersi w miejscu, gdzie dotknął jej kamień.

Gigant zawył, gdy ognisty podmuch spalił jego skórę, ściągnął i wszystko, co pod nimi. Groteskowe rysy stały się jeszcze bardziej karykaturalne, gdy nieokiełznana energia oderwała z twarzy olbrzyma usta i powieki. Oczy rozplynęły się w oczodołach, szczęka otworzyła się bezwładnie.

Dręczyciel Uldyzjana upadł bezładnie.

W tym samym czasie rozwiązał się również czar trzymający Uldyzjana. Niestety były farmer, udęczony i wycieńczony nie tylko torturami Zoruna, ale i własnym wysiłkiem, zwałił się na kamienie posadzki. Nie był

przygotowany na ten upadek, który nie tylko okazał się bolesny, ale też ogłuszający.

Uldyzjanowi wydało się jeszcze, że słyszy głosy – albo tylko jeden – bez końca dźwięczące mu w głowie. Przetoczył się na bok i jego wzrok padł na spalone zwłoki. Zwęglone palce jednej dłoni zadrgały i przez moment obawiał się, że Malik przetrwał, jednak ciało pozostało nieruchome.

Uldyzjan nie był pewien, czy zdoła powtórzyć ów wyczyn z Zorunem Tzinem czy kimkolwiek innym, kto wszedłby do komnaty. Teraz chciał już tylko jednego – znaleźć się jak najdalej od siedziby maga. Daleko...

I zniknął.

Zorun nie miał pojęcia, dlaczego trzech najwyższych rangą członków zbrojnego ramienia Rady pofatygowało się do jego siedziby, skoro podważali wszystko, co tylko mówił, jakby z góry wiedzieli, że będzie kłamał. Nie wyczuł żadnego zaklęcia odkrywającego prawdę. Wiedział zresztą, że ci trzej, nawet wysoki i patykowaty Nurzani, nie mieli takiej mocy, by rzucić czar, którego on, Zorun Tzin, nie byłby w stanie odbić.

Stało przed nim trzech magów w pomarańczowo-brązowych oponczach, o wysokich i spiczastych kapturach, które były strojem egzekutorów prawa. Twarzy Ketusa prawie nie było widać w cieniu kaptura, mag miał bowiem ciemną skórę. Tylko w jego oczach połyskiwała przebiegłość. Amolia, wywodząca się od kolonistów asceńczyków, których potomstwo zasiedlało dzisiaj północną część stolicy, wyglądała przy swym kompanie niczym biały duch. Skórę miała koloru kości słoniowej i Zorun wiedział, że nawet dzień spędzony w pełnym słońcu nie może tego zmienić.

– Gildia kupców nalega na przeprowadzenie pełnego śledztwa dotyczącego śmierci mistrza Fahina – wyrecytowała gładko magiczka. – A my oczywiście popieramy te dążenia.

Zorun spodziewał się tego. Niektórzy z jego rywali korzystali ze szklaków kupieckich, by zebrać przedmioty potrzebne im w pracy. Śmierć

Fahina nie zaszkodziła specjalnie Zorunowi, lecz z pewnością wpłynęła negatywnie na działania niejednego z członków Rady.

Ale przecież udzielił im już odpowiedzi, które powinny wszystkich usatysfakcjonować, poinformował ich o swej „porażce” i żądzy krwi Uldyzjana. Wyjątkowo łatwo wymyślało mu się kłamstwa, co zresztą powiedział Terulowi.

Dlaczego więc teraz sam miał problemy z wymyśloną przez siebie historią?

– Chętnie zrelacjonuję wszystkie fakty raz jeszcze, kiedy zostanie przeprowadzone przesłuchanie – odparł, wiedząc, że nie może powiedzieć niczego innego. Do czasu przesłuchania dziury w jego opowieści, które zaczęły pojawiać się jak za sprawą czarów, zostaną stosownie załatwane.

– Uznaj, że przesłuchanie prowadzone jest teraz – mruknął Ketus.

Wychudzony Nurzani, z którego mocą nie bez powodu Zorun się liczył, uniósł kościstą dłoń. Wokół drzwi siedziby na chwilę rozjarzyła się żółta aura.

– Na mocy głosowania Rady – zadudnił mag – otrzymaliśmy prawo formalnego zbadania twoich czynów, drugi synu Liova Tzina.

Zorun wiedział, że przywołanie imienia jego sławnego ojca nie oznaczało niczego dobrego. Nurzani wyraźnie nie obawiał się obrazić przesłuchiwanego i dawał mu do zrozumienia, że nie jest ani swym słynnym przodkiem, ani nawet jego pierworodnym.

Zaskoczony Zorun gorączkowo zastanawiał się, co powiedzieć, jednocześnie marząc, by coś, cokolwiek, odciągnęło uwagę trójki egzekutorów.

I wtedy cały budynek zadygotał. Z półek pospadały fiołki i inne artefakty, umieszczone na honorowych miejscach w pokoju publicznym – jak kedżanie określali pomieszczenie, do którego wprowadzano gości. Zorun nie musiał patrzeć na pozostałych magów, by mieć pewność, że i oni poczuli gwałtowny prąd nieokiełznanej i prawdziwie potężnej energii, jaka

emanowała przez ściany. Nawet pozbawiony talentu sprzedawca uliczny by ją poczuł.

Z tym że on wzięłby natychmiast nogi za pas, a nie ruszył w stronę źródła tej siły.

Jednakże Zorun nie miał wyboru. Coś niewyobrażalnego wydarzyło się poniżej i jedyną szansą na wyjście z tej sytuacji było odkrycie, co się stało, przed pozostałymi.

– Zorunie! – zawołała Amolia, próbując utrzymać równowagę. – Nie pozwolono ci odejść!

Ale Tzin zignorował ją i umknął drzwiami prowadzącymi do wnętrza domostwa, które natychmiast zatrzasnął zaklęciem. To mogło dać mu zaledwie kilka dodatkowych minut, ale w tym wypadku to minuty o wszystkim przesądzały. Schodząc po schodach prowadzących do jego prawdziwego sanktuarium, próbował odgadnąć przyczyny owej niewyjaśnionej katastrofy. Terul niczego by nie dotknął. Był bity wystarczająco często i mocno, by zrozumieć, że pod żadnym pozorem nie należy dotykać niczego, czego pan mu dotknąć nie polecił. Jednak mag podejrzewał, że coś poszło nie tak ze wzorem, który więził asceńczyka, i w jakiś sposób olbrzym miał w tym swój udział. Jeśli nie, znaczyło to, że Uldyzjan sam zerwał magiczne pęta.

Być może wszystkie historie, które Zorun słyszał, tak naprawdę nie oddawały sprawiedliwości potędze asceńczyka?

Zorun nie mógł w to uwierzyć. Ale czy istniało inne wyjaśnienie?

Pchnął drzwi u dołu schodów, trzymając uniesioną laskę, by w razie konieczności rzucić jakiś czar ochronny. Okazało się to niepotrzebne. Komnata była natomiast w stanie całkowitej ruiny. Wszystkie skarby, narzędzia, magiczne przedmioty i artefakty, które Zorun gromadził przez lata, zostały zmienione w popiół lub stopione.

Ale co gorsza, magiczny wzór został rozerwany, a po więźniu nie było ani śladu.

Zorun zaklął. Bez Uldyzjana nie miał jak targować się z Radą. Jego głowa już niemal spoczywała na katowskim pieńku, a takiego obrotu spraw w żadnym razie się nie spodziewał. W końcu był Zorunem Tzinem! Niewielu mogło się z nim mierzyć w pojedynkę.

Ale ci trzej, którzy reprezentowali potęgę Rady...

Wyczuł, że się zbliżają. Przeszli przed pierwsze drzwi. Będą musieli jeszcze pokonać niewidzialne przeszkody na schodach. To dawało Zorunowi kilka chwil więcej... Tylko na co?

Wspomniał drogocenny kryształ, ale nie dostrzegł go na pozostałościach wzoru. Zapewne asceńczyk zrozumiał, ile wart jest ten kamień, i go zabrał.

Tzin popatrzył na żalosne szczątki swego sługi. Niemał splunął na ciało, ponownie obwiniając Terula o to, że miał choćby i nieświadomy udział w upadku swego pana... A wtedy zauważył, że palce jednej dłoni poruszyły się lekko.

Olbrzym wciąż żył, choć ledwie, a w dłoni trzymał magiczny kryształ.

Zaskoczony tym uśmiechem szczęścia – faktem, że Terul opierał się śmierci – Zorun przykucnął przy olbrzymie. Kryształ wyrównywał szanse. Jak do tego doszło, tego Zorun nie wiedział, ale było to przysłowiowe ostrze brzytwy, którego chętnie się uchwycił.

Nie wzdragając się ani przez chwilę przed dotknięciem spalonego ciała, mag spróbował uwolnić cenny odłamek.

I gdy wreszcie zdołał zacisnąć na nim palce, spalona dłoń Terula mocno zamknęła się na nich i na kamieniu.

Zorun jęknął. Świat wokół niego zapłonął. Coś wyskoczyło z tych płomieni – potworny czarny kształt, który istniał dzięki czystej nienawiści. Nienawiści do jednego człowieka, co mag wyczuł po niewczasie. Do asceńczyka, Uldyzjana ul-Diomedę.

I z tą myślą wielki Zorun Tzin został pochłonięty.

Do komnaty wpadło troje magów, gotowych natychmiast wymierzyć karę ewidentnie winnemu członkowi ich profesji... Lecz za drzwiami znaleźli

jedynie zniszczenia. Całe pomieszczenie zostało spustoszone przez straszliwą magiczną energię. Dowodem na jej potęgę były zwłoki nieszczęśnika, w którym rozpoznali przygłupiego sługę Zoruna.

Ale po winnym, Zorunie Tzinie, nie został nawet ślad.

Amolia unosiła się w komnacie, z wprawą przepatrując wszystkie półki i zakamarki. Nurzani pochylił się, żeby zbadać resztki wzoru, Ketus zaś oglądał zwłoki sługi i laskę zaginionego maga.

– Na półkach nie pozostało nic cennego, one same nie zasłaniają żadnego ukrytego przejścia – oświadczyła Amolia, gdy już obejrzała całą komnatę. – Kąty i cienie też nie skrywają drogi ucieczki, którą ujawniłyby moje czary.

– Ten wzór był zaprojektowany, by nie tylko utrzymać kogoś niezwykle potężnego – zahuczał Nurzani – ale i by zakłócić jego zdolności koncentracji. Ktoś jednak zmienił układ linii, i to niezgodnie z naukami klanów.

– Zorun próbował czegoś niezwykłego?

– Tych kilka linii tutaj niespotykanych jest w naszej sztuce. Przypominają mi... Trójkę.

Amolia zbliżyła się i pochyliła na fragmentem wzoru, wskazanym przez Nurzaniego.

– Podejrzewaliśmy, że pojmał jednego czy dwóch ocalałych, żeby ich przesłuchać... – Los członków sekty był najzupełniej obojętny klanom, o ile tylko nie rzucał cienia na opinię magów. – Być może jeden z nich uciekł.

– Zorun Tzin, cokolwiek by o nim powiedzieć, bez trudu poradziłby sobie z kapłanem Świątyni – prychnął chudzielec.

– W rzeczy samej. Ketusie, nic nie powiesz?

Ciemnoskóry mag wciąż pochyłał się nad zwłokami.

– To oczywiście Terul, ale jest w nim coś dziwnego. Zupełnie jakby umarł przed wieloma dniami, a nie kilka chwil temu.

– Półgłówek otworzył nam drzwi. Nie wyglądał wtedy na martwego. Ketus uśmiechnął się ponuro.

– Może jego mały mózdzek nie zarejestrował tego faktu?

Amolia trąciła ciało czubkiem sandała. Część klatki piersiowej Terula zapadła się do środka.

– Ucierpiał bardziej niż całe to miejsce. Był celem ataku.

– Olbrzym byłby najmniejszym problemem jakiegokolwiek więźnia – odparł Ketus, po czym wzruszył ramionami. – Ale zgadzam się, że był celem.

Nurzani mruknął z dezaprobatą, co skupiło na nim uwagę pozostałej dwójki.

– I nikt poza mną nie zwrócił uwagi na najważniejszą wskazówkę, którą mamy przed sobą?

Amolia spojrzała nań spod przymrużonych powiek.

– I co to niby jest?

– Zorun Tzin zostawił swoją laskę. A ta laska to gratka dla każdego maga, jednak Zorun Tzin ją zostawił. Dlaczego?

Pozostali magowie nie umieli odpowiedzieć na to pytanie... I fakt ów zaniepokoił całą trójkę.

Oris przepelniał prawdziwie matczyne niepokój, gdy po raz setny tego dnia przechodziła obok pięknie rzeźbionych podwójnych drzwi. Pozostawały nieodmiennie zamknięte, nawet dla broniących ich strażników. Od kilku dni Prorok nie opuszczał swych prywatnych komnat, a taka sytuacja nie została opisana w żadnym z dzienników, które prowadziła siwowłosa kapłanka i jej poprzednicy. Prorok nigdy dotąd tak się nie izolował i dlatego serce Oris pełne było obaw.

– Ani tobie, ani jemu nic nie przyjdzie z tego, że będziesz się tak martwić – usłyszała głos Gamuela. Kapłan maszerował marmurowym korytarzem niczym wojownik, którym był, zanim Prorok nie pokazał mu światła. Gamuel był nieco młodszy od Oris i krócej piastował swój wysoki

urząd, ale był pod każdym względem równie oddany co kapłanka. – Z pewnością ma istotne powody, by robić, co robi, a jeśli uzna nas za godnych, kiedy wyjdzie, a wyjdzie na pewno, sama się przekonasz, jak niemądre były twoje obawy.

– Ale chyba mógłby dać nam znać, jak się miewa, żebyśmy z kolei mogli ukoić wszelkie obawy wiernych – odpowiedziała Oris.

Nie próbowała ukryć swej miłości, swej jak najbardziej cielesnej miłości do swego pana.

Kiedy przybyła do Katedry, była piękną kobietą, nawet teraz w jej owalnej twarzy można było dostrzec ślady dawnej urody. Jednak Prorok patrzył na nią jak na resztę swego stadka. Jak na jedno ze swych dzieci.

Oris nigdy nie wyjawiała Gamuelowi swych podejrzeń, że serce ich przywódcy należało kiedyś do kobiety, która okazała się go niegodna. Oris była pewna, że to był powód, dla którego Prorok nie wybrał jej, gdy była młoda. Teraz, kiedy przypominała bardziej swoją babkę, istniało tysiąc innych gorzkich przyczyn.

Nadal jednak go kochała, miłością żony, matki i babki, i każdy kłopot, jaki według niej mu ciążył, próbowała wziąć na swoje barki.

Gamuel ujął ją grzecznie pod ramię, żeby nie zawstydzić w obecności strażników.

– Jeśli o wiernych chodzi, pojawiło się kilka kwestii, które należałoby pilnie omówić.

Udało mu się odwrócić uwagę Oris – na powrót stała się weteranką, którą w rzeczywistości była.

– Armia wieśniaków? Przegrupowała się?

– W pewnym sensie, lecz jak sama wiesz, byli tylko konieczną ofiarą, by przekonać ludzi o prawdziwej naturze fanatyków.

Zatrzymali się oboje, by zmówić krótką modlitwę za tych, którzy polegli daremnie, atakując Uldyzjana ul-Diomedę i jego akolitów. Prorok zapewnił

swych kapłanów, że polegli będą mieli zapewnione honorowe miejsce w naukach Katedry.

– O co więc chodzi? – spytała Oris, skończywszy modlitwę.

– Wiedzieliśmy, że asceńczyk zamierza rozmawiać z klanami magów, gildiami, a może nawet księciem, ale coś się wydarzyło i przepadł, zostawiając za sobą jedynie trupy.

Kapłanka skinęła ponuro głową.

– Myślałam, że Prorok...

– Być może. Powie nam, kiedy uzna za stosowne. Teraz nie jest to ważne. Ważne, że ludzie asceńczyka wiedzą już, że zaginął, a ten jego tłum jest o dwa dni od bram stolicy!

Oris zatrzymała się w pół kroku. Zajrzała w twarz swego postawnego towarzysza i zrozumiała, że ten nie przesadza. Natychmiast spojrzała na rzeźbione drzwi.

– On musi się dowiedzieć! Nie pozwoli im przecież pomaszerować na stolicę! Musi wyjść i powiedzieć nam, co robić!

Stali tak, pochwyceni jej słowami, licząc, że Prorok otworzy wrota swego odosobnienia i uspokoi ich skołatane głowy jakimś błyskotliwym planem.

Drzwi jednak pozostały zamknięte.

SIEDEM



Uldyzjan nie miał pojęcia, gdzie się znalazł, ani jak tu trafił. Wiedział tylko jedno: musi iść. Wysilek, jaki pozwolił mu pokonać Malika, jak również to, co wycierpiał z rąk Zoruna Tzina, uczyniły Uldyzjana podobnym do jednego z ożywionych trupów Mendelna.

Mgliście docierało do niego, że wokół, na ulicy chyba, są jacyś inni ludzie, w stronę których się kierował. Mieli ciemnoskóre oblicza, nie jak w domu. Gdzie był? W Kedżanie? Tak, na pewno. To była stolica.

Stolica. Z kim miał się tu spotkać? Nie z magami. Uldyzjan nie ośmieliłby się ponownie oddać w ręce magów. W tej chwili jawili mu się równie podstępni co Świątynia Trójcy albo Katedra Światłości.

Z kim zatem? Musiał być tu ktoś. Szlachetny Fahin. Wspominał o kimś. Kto...?

Księżę. Pamiętał księcia. Amrin? Nie. Emrad? Ehmada.

– Ehmada – wyszeptał. – Potrzebuję Ehmada, księcia...

Mijał sklepy i stragany z jakimiś tłustymi potrawami. Od czasu do czasu wpadał na innych przechodniów.

Większość kedżan udawała, że Uldyzjan nie istnieje, aczkolwiek paru wymamrotało pod nosem coś nieprzychylnego, gdy ich mijał.

Na pierwszy rzut oka odziany w łachmany Uldyzjan zdawał się błąkać bez celu wąskimi alejkami stolicy. Powłóczył nogami, wędrując to tu, to tam. I choć sam nie zdawał sobie z tego sprawy, szedł dokładnie tam, gdzie iść należało.

Dwa białe konie cofnęły się, gdy obcy wynurzył się z cienia przed nimi. Szkolone nie tylko, by ciągnąć powóz, ale i by bronić tego, który nim podróżował, stanęły na tylnych nogach, unosząc przednie kopyta.

Żadne jednak nie trafiło celu. Gdy Uldyzjan zauważył zwierzęta, oba stanęły nienaturalnie spokojne. Cofnęły się nieco i czekały.

Woźnica, który wcześniej pokrzykiwał na nie, teraz mruknął coś zadowolony, przekonany, że to jego wysiłki pozwoliły mu odzyskać kontrolę nad końmi. Zza żołnierza stojącego z dłonią na kole złotego rydwanu wychylił się urodziwy młodzieniec w złotym napierśniku, ciekawy powodów zamieszania. Głębokie ciemnobrązowe oczy zatrzymały się na asceńczyku na drodze.

Woźnica, o wiele mniej zainteresowany, uniósł bat, by przepędzić żebraka czy może szaleńca. Ale pan przytrzymał mu rękę.

– Książę... Książę Ehmada – zdołał powiedzieć Uldyzjan, słaniając się na nogach.

– Jam jest – odparł tamten tonem pełnym pewności siebie płynącej z młodości.

– Mistrz Fahin... kazał was odnaleźć... – Uldyzjan zaczynał odzyskiwać jasność myśli, lecz wciąż był śmiertelnie wyczerpany.

– Mistrz Fahin. – Książę spoglądał z namysłem. – Sehkarze, pomóż mu wsiąść.

– Panie mój – odezwał się woźnica tonem ponurego protestu. – Chybnym pomysłem było wyruszać na tę przejażdżkę bez ochrony straży, ale żeby pozwalać, by ten... kimkolwiek jest... znalazł się tak blisko waszej książęcej osoby...

– Rób, co mówię, Sehkarze.

Mrucząc coś protestująco, Sehkar oddał wodze swemu panu i wychylił się, by pochwycić Uldyzjana. Tamten spojrzał na niego z obawą, a potem podniósł wzrok na księcia. Ehmada skinął mu uprzejmie głową, co uciszyło niepokój Uldyzjana.

– Chodź tu! – rozkazał Sehkar, chwytając Uldyzjana za ramię.

Wokół nich poczynął gromadzić się tłum.

Arogancja żołnierza sprawiła, że Uldyzjan zapłonął nagłym gniewem. Wbił w Sehkarę ponure spojrzenie, przywołując swe moce.

W tym samym momencie odezwał się książę.

– Traktuj go z szacunkiem, Sehkarze! – rozkazał.

Woźnica zwolnił uścisk, a Uldyzjanowi udało się poskromić gniew.

Z pomocą Sehkara dołączył do księcia wewnątrz powozu. Ehmada sam pomógł mu wsiąść.

– Dziękuję... – powiedział Uldyzjan słabo.

Ehmada przyglądał mu się uważnie.

– Nie jesteś żebrakiem. Te sińce wyglądają na robotę kogoś innego. Wspomniałeś Fahina. Znałeś go?

Uldyzjan nagle poczuł, jakby cały świat spoczął na jego ramionach.

– Byłem tam, gdy... gdy umarł.

– Ty... – Książę uśmiechnął się lekko. – Wygląda na to, że szczęście się do mnie uśmiechnęło, skoro przez przypadek wpadłem na ciebie.

– To nie szczęście. Chciałem was znaleźć, panie.

Książę rozejrzał się.

– Rzeczywiście! Myślę, że lepiej będzie, jak porozmawiamy w pałacu. Zabierz nas tam, Sehkarze.

– Chętnie i bezzwłocznie – mruknął żołnierz. Strzelił z bata i gdy konie ruszyły, ściągnął wodze, nakazując zwierzętom skręcić.

Tłum cofnął się przed książęcym rydwanem. Książę pomachał ludziom, którzy natychmiast zaczęli wiwatować. Uldyzjan widział, że ich radość i entuzjazm były prawdziwe. Kochali swego młodego władcę.

Ciekawe, co by zrobili, gdyby wiedzieli, kogo ich księżę ma w powozie.

Sehkar raz jeszcze strzelił z bata i huknął na konie. Rydwan potoczył się szybciej, zostawiając za sobą rozradowany tłum.

Zanim jednak to się stało, Uldyzjan przez mgnienie dostrzegł znajomą twarz. Twarz, której nie spodziewał się zobaczyć wśród tłumu.

Ponurą fizjonomię Zoruna Tzina.

„ON... ON...”

Inarius siedział w całkowitej ciemności, zamknięty w komnatach, z których korzystał jako Prorok. Siedział w wyściełanym jedwabiem fotelu i patrzył w przestrzeń. Spoglądał ku miejscu, które przestał nazywać domem całe wieki temu...

„ON... TEN ROBAK, KTÓREGO UWIODŁA...”

Nie przybrał postaci Proroka, pozostał – mniej więcej – we własnej. Nie obawiał się, że ktoś go odkryje. Armia jego akolitów nie zdołałaby wyważyć tych drzwi, a nawet ktoś o nietoperzym słuchu nie dosłyszałby z komnaty nawet najcichszego dźwięku.

„ULDYZJAN... TEN POMIOT DURNIA ZWANEGO DIOMEDESEM... OŚMIELIŁ SIĘ TO UCZYNIĆ...”

Inarius pozostawał w bezruchu od chwili, gdy powrócił ze swej wyprawy do snów śmiertelnika, ale teraz poderwał się, rozkładając skrzydła w świetlistej furii, wyciągnął ramiona targany słusznym gniewem na ostatni z grzechów owego śmiertelnika.

„ON... TEN ULDYZJAN... OŚMIELIŁ SIĘ SPRAWIĆ MI BÓL!”

To powinno być niemożliwe, a jednak się stało. Wtargnąwszy do snów śmiertelnika, Inarius manipulował nimi bez trudu. Sprawił, by człowiek uwierzył, że jego moce są znikome. Zrobił to, by dać Uldyzjanowi szansę, aby ten błagał o przebaczenie i możliwość powrotu do wiernego stada anioła.

Ale zamiast nabrać rozsądku, ten grzesznik ośmielił się go zaatakować. Jego! I choć Uldyzjan trwał w przekonaniu, że atak ten był bezowocny,

w rzeczywistości udało mu się przeszyć Inarius i na jedną chwilę zakłócić rezonans anioła.

Przez ten krótki moment Inarius wedle wszelkich standardów ludzkich był martwy.

I choć nie był śmiertelny, doświadczył pustki wszechświata bez niego i to wstrząsnęło nim do głębi. Nigdy, nawet w trakcie walki przeciwko siłom Płonących Piekieł, nie był równie bliski takiego losu. Och, zdarzało mu się czuć ból, szczególnie gdy zmagał się z demonami, ale teraz doświadczył czegoś zgoła innego, i to za sprawą zwykłego człowieka!

Uldyzjan ul-Diomed musi zostać ukarany za swój grzech. Jego życie musi zostać unicestwione, jego istnienie przeklęte przez wszystkich, a potem wszelka pamięć o jego umiejętnościach – wymazana z pamięci pozostałych śmiertelników. To była najłagodniejsza kara za to, czego się dopuścił.

A edyremowie muszą podzielić jego los. Inarius rozważał wcześniej rozmaite sposoby przywrócenia akolitów Uldyzjana do swej owczarni, kiedy ten zostanie okiełznany, ale oni zostali skażeni plugastwem podobnie jak Linarian, a nawet gorzej. Jakichkolwiek zmian dokonała Lilith w Kamieniu Świata, ich owocem było coś bardziej obmierzłego nawet niż ich syn.

Nie można zapomnieć, że Uldyzjan sam zmienił Kamień Świata w sposób, zdałoby się, niemożliwy. Inarius zawahał się na to wspomnienie. Chciał przekonać śmiertelnika do swej sprawy między innymi dlatego, by ten odwrócił zmiany, jakich dokonał w krystalicznej strukturze artefaktu. Anioł był nie tylko związany z artefaktem i czerpał z jego niewyobrażalnej mocy, przez co każda próba osiągnięcia celu spełzała na niczym. Właśnie dlatego potrzebował tego śmiertelnego głupca.

„NIE... ON MUSI UMRZEĆ... MUSI BYĆ JAKIŚ INNY SPOSÓB NA UZDROWIENIE KAMIENIA... NAWET JEŚLI MIAŁBYM

ZACZYNAĆ OD POCZĄTKU, GDZIE JEDYNIEMU KAMIENIOWI I JA
ISTNIELIBYŚMY W CAŁYM SANKTUARIUM...”

Tysiące pomysłów ukarania śmiertelnika za jego zbrodnie przewinęły się przez myśli Inarius. Wszystkie jednakże miały jedną i tę samą wadę. Anioł musiałby stanąć z Uldyzjanem twarzą w twarz, a nie widział żadnego powodu, by to zrobić. Uldyzjan był istotą daleko gorszą niż Inarius, gorszą niż robak pełzający w pyle. Nie istniała konieczność, by Inarius kochał się kontaktem z istotą tak podłą. I nie miało to nic wspólnego z nieoczekiwanym bólem, spotkanie z Uldyzjanem było poniżej godności anioła, i tyle.

A skoro zadanie to było poniżej jego godności...

Inarius popatrzył na rzeźbione drzwi i uniósł nagle dłoń w gwałtownym geście.

Drzwi otworzyły się na oścież.

„GAMUELU, MÓJ UMIŁOWANY SŁUGO, PRZEMÓWIĘ DO
CIEBIE...”

Potężny kapłan wypuścił z dłoni zwój, który czytał, i pospiesznie opuścił swą komnatę. Od czasu swej rozmowy z Oris pilnie śledził sprawy związane ze stolicą, czuł bowiem, że Prorok tego by oczekiwał.

Ku swemu zdumieniu drzwi do prywatnych komnat swego pana zastał szeroko otwarte. Strażnicy oddali mu honory, gdy tylko się zbliżył. „Przebudzenie” ich pana i w nich także wlało nowego ducha.

– Gamuelu! – Oris wypadła z innego korytarza. – Zostałam właśnie powiadomiona przez straż. Kiedy...

– Nie mogę teraz rozmawiać. Prorok mnie wezwał.

Spojrzała na niego zmieszana.

– Wezwał ciebie? A co ze mną? Nie słyszałam go.

– Wiem tylko, że mnie wezwał i że wezwanie było naglące – odparł z największą cierpliwością, na jaką było go stać. – Wybacz, Oris, naprawdę muszę do niego pójść.

Kapłanka nie zaprotestowała, ale też nie zwolniła. Wyraźnie miała zamiar dołączyć do Gamuela w trakcie audiencji, a on nie próbował protestować. Prorok nakaze kapłance wyjść, jeśli nie będzie życzył sobie jej obecności.

Dotarli do drzwi. Gamuel przekroczył próg. Oris chciała wejść za nim, ale zatrzymała się, jakby uderzyła w niewidzialną ścianę. Próbowwała zrobić krok naprzód, zamiast tego jednak zrobiła krok w tył.

Gamuel spojrzał na Oris ze współczuciem. Prorok oznajmił swą wolę. Wezwanie było tylko dla Gamuela.

Drzwi zamknęły się przed pełną niedowierzania twarzą Oris. Gamuel zmusił się, by przestać myśleć o kapłance. Wątpił, by Oris w jakikolwiek sposób uraziła Proroka. Ich pan miał widocznie sprawy, które wedle jego mniemania należało omówić sam na sam z Gamuelem.

Złotowłosey młodzieniec czekał na swego sługę nie na szeszlangu, jak to miał w zwyczaju, lecz stojąc pośrodku komnaty. Jego poza była w oczach Gamuela nie tyle swobodna, ile raczej – pozą kogoś, kogo trapią poważne myśli. Przynajmniej tak odczytałby kapłan każdego innego śmiertelnika.

Prorok splótł dłonie za plecami i spoglądał niecierpliwie na swego sługę podchodzącego żwawym krokiem.

Gamuel prędko przykląkł na jedno kolano i kornie pochylił głowę.

– Wybacz mi mą opieszałość, wielki Proroku! Chciałbym być niczym wiatr, ale zbyt jestem niedoskonały...

– Wszyscy mamy swe wady, moje dziecko – odparł złotowłosey. – I gdy ulegamy naszym słabościom, staramy się zadośćuczynić, czyż nie?

– W każdy możliwy sposób! Przysięgam!

Prorok dotknął lekko ramienia kapłana, a ten powoli uniósł wzrok.

– Jesteś człowiekiem wielu talentów, Gamuelu. Niejednego też doświadczyłeś w swoim życiu, choć ludzki żywot jest tak krótki.

– Szedłem niejedną ścieżką – przytaknął mężczyzna. Nie lubił wspominać swej przeszłości, szczególnie lat, gdy był żołnierzem, a bywało

też, że najemnikiem.

– Nawet jeśli ścieżki te wiodły cię z dala od światła, to pomogły ukształtować takim, jakim jesteś dzisiaj.

Te słowa poruszyły Gamuela, bowiem wciąż jeszcze nosił w sercu poczucie winy za dawne uczynki. Każdego dnia starał się wieść żywot zgodny z naukami Proroka, jego samego biorąc sobie za przykład.

– Powstań, moje dziecko.

Gamuel posłuchał.

Prorok obrzucił go spojrzeniem pełnym dumy.

– Dobrze, mój synu, swego czasu biegły byłeś w sztuce wojennej.

– Przykry to czas był dla mnie. Próbuję zapomnieć...

Na te słowa Prorok spojrział na swego kapłana karcąco. Gamuel natychmiast opuścił głowę.

– Kłamstwo ci nie przystoi. Nadal ćwiczysz w samotności swej prywatnej komnaty, a potem modlisz się o moje wybaczenie. Wciąż jesteś wojownikiem w każdym calu, dokładnie jak tego dnia, gdy cię znalazłem.

– Przepraszam... Tak mi wstyd...

– Dlaczegoż? Katedra ma swych inkwizytorów. Czy oni są tak różni?

– Panie, wiesz, com czynił... jako wojownik – odparł Gamuel, starając się wyglądać godnie. – Moje grzechy przewyższają te inkwizytorów i ich żołnierzy razem wziętych!

– A jednak to ty stoisz u mego boku, czyż nie?

– To cud, którego niegodzien.

Prorok obdarzył go przepięknym uśmiechem.

– A chciałbyś poczuć się bardziej godnym? Dowieść swej wartości ponad wszystkich innych?

Gamuel zrozumiał, dlaczego został wezwany sam jeden. Prorok miał dlań specjalne zadanie! Jego oczy rozświetliło uniesienie. Nie śmiał marzyć o takim honorze.

– Oddam życie i duszę, jeśli trzeba będzie!

– Jak winienes, moje dziecię, i być może tak się stanie. To nie jest łatwe zadanie. I ufam, że nic nie zawróci cię z tej drogi.

– Nic, przysięgam! Nic! Powiedz mi tylko, panie, co muszę zrobić!

Prorok złożył dłonie tak, że zetknęły się koniuszkami palców.

– Daruję ci chwałę i honor osobiście pozbawić życia grzesznika Uldyzjana ul-Diomedą.

Choć były to proste słowa, zrozumienie ich zabrało Gamuelowi chwilę. I kiedy dotarło doń, co ma być jego zadaniem, na twarz wypłynął mu wyraz fanatycznej determinacji.

– Przyniosę ci jego głowę!

– Jego śmierć wystarczy. Jesteś doskonale przygotowany do tego zadania dzięki czarom, jakich cię nauczyłem, jednak przede wszystkim dzięki temu, czego nauczyło cię życie.

Gamuel wyprostował się, promieniejąc.

– Uznaj zadanie za wykonane, wielki Proroku! – powiedziała, ale po chwili zawahał się na moment. – Wybacz mi pytanie, o wielki... ale przez tyle czasu Oris i ja nalegaliśmy na takie rozwiązanie, a tyś, panie, zabraniał...

– A teraz nie zabraniam.

Ta odpowiedź wystarczyła oddanemu ze wszech miar kapłanowi. Pochylił się i ucałował dłoń Proroka.

– Stanie się, jak sobie życzysz, panie.

I ponieważ trwał w ukłonie, nie zobaczył, jak twardnieją rysy cudownie pięknej twarzy młodzieńca.

– Tak, dopilnuję tego, Gamuelu, dopilnuję...

Mendeln razem z Serentią przewodził edyremom, gdy maszerowali ku stolicy, ale nie miał wątpliwości, że gdy przyjdzie co do czego, to jej rozkazów posłuchają. To mu nawet odpowiadało – nie czuł się dobrze, stojąc na czele armii.

Pierwszego dnia nie napotkali żadnego oporu. Wioski leżące na trasie ich marszu wyludniały się, zanim jeszcze do nich dotarli. I to cieszyło Mendelna, bowiem mało niebezpieczeństwo, że ucierpi ktoś niewinny. Młody człowiek nie miał jednak wątpliwości, iż to się wkrótce zmieni. Nie było przecież takiej możliwości, by ludzie opuścili stolicę. I niektórzy z nich na pewno zrobią co w ich mocy, by doszczętnie wyrząść edyremów.

Okazało się jednak, że konfrontacja czeka ich wcześniej niż pod murami stolicy. Konny patrol, jaki napotkali, liczył sobie około setki zbrojnych i według Mendelna powstał z dwóch lub trzech mniejszych oddziałów. Żołnierze mieli ponure twarze, najwyraźniej zdawali sobie sprawę, że jest ich zaledwie garstka w porównaniu do przeciwnika, nie zamierzali się jednak cofnąć.

Podobnie jak wtedy, gdy spotkali oddział szlachetnego Fahina, i tym razem dowódca patrolu nakazał im zawrócić.

– Nie chcemy uczynić nikomu krzywdy. – Ton Serentii jasno sugerował, że w zaistniałych okolicznościach polecenie kapitana uważa za absurdalne. – Zejdźcie nam z drogi.

Kedzanie nie posłuchali.

– Na mocy prawa nadanego mi przez dostojne władze rozkazuję wam rozejść się albo poddać!

Jonas i kilku innych, stojących z nim w pierwszym szeregu, parsknęło pogardliwym śmiechem. Serentia uśmiechała się ironicznie.

Mendeln zaczął się niepokoić.

– Nie ma powodu do obaw, kapitanie – zapewnił, wychodząc przed Serentię. – Gdybym mógł...

Jeden z żołnierzy z impetem zleciał z konia. Edyremowie powitali jego upadek śmiechem.

Kapitan w mgnieniu oka dobył miecza.

– Aresztować ich!

I rozpętało się piekło. Konni ruszyli do szarży. Edyremowie pędzili im na spotkanie. Mendeln obrócił się ku Serentii, licząc, że pomoże mu powstrzymać rozlew krwi, ale ona pierwsza rzuciła się do walki.

– Nie! To nie powinno się stać! Zaprzepaścimy wszystkie szanse na pokojowe odzyskanie Uldyzjana!

Niestety tylko Mendeln był tego zdania. Edyremowie kolejny raz dali się ponieść emocjom. Jak Uldyzjan w dżungli, zamiast kontrolować swoje moce, pozwolili, by to one przejęły kontrolę nad nimi.

Kedzanie za to zapłacili. Setka konnych była niczym dla tysięcy edyremów. Mendeln nie musiał nawet patrzeć, by wiedzieć, że żołnierze rozrywani są na strzępy, sami nie czyniąc krzywdy przeciwnikowi.

Zdesperowany, rzucił się ku Serentii. Tylko ona była w stanie zmusić edyremów do posłuszeństwa, ale najpierw musiał zmusić ją, by posłuchała głosu rozsądku.

Tylko dzięki temu, że edyremowie unikali go instynktownie, dotarł do dziewczyny bez przeszkód.

Pochwyił ją za ramię i pociągnął w tył.

Furia Serentii go przeraziła.

– Mendeln, głupcze! Puść mnie! Natychmiast!

– Serentio! Patrz, co się z tobą dzieje! Z wami wszystkimi!

Gdy to mówił, jeden z żołnierzy krzyknął straszliwie. Jego głowa i ramię pofrunęły w powietrze.

– Jesteście jak bestie, nie ludzie!

– Sami są sobie winni! Sami...

Duchy otaczały Mendelna nieustannie, więc dawno już przestał zwracać na nie uwagę, z wyjątkiem przypadków, gdy chciał uzyskać od nich jakąś odpowiedź. One także rzadko odzywały się niepytane.

Teraz popłynęło ku Mendelnowi tak intensywne poczucie zagrożenia, i to od wielu duchów, że nie tylko nie puścił Serentii, jak się domagała, ale gwałtownie przyciągnął ją ku sobie.

Przeznaczona dla dziewczyny strzała chybiła. Zamiast tego wbiła się w ramię Mendelna z taką siłą, że rzuciła go na ziemię.

Dopiero wtedy Serentia się opamiętała. Pochwyciła go, chcąc podtrzymać, lecz pociągnął dziewczynę za sobą. Edyremowie, pozbawieni przywódców, parli niepowstrzymanie naprzód.

– Mendelnie! – Próbowала złagodzić jego upadek własnym ciałem.

Mendeln nie miał niesamowitych mocy swego starszego brata, za to posiadał inne możliwości. Wykorzystał nauki Rathmy, by zmienić rozdzierający go ból w tępe pulsowanie.

– N-nic mi nie będzie, Serentio.

– Dopilnuję, żeby żołnierz, który do ciebie strzelił, słono za to zapłacił.

Mocniej chwycił ją za ramię.

– Nie oszukuj się. Ta strzała nie była przeznaczona dla mnie.

– Nie, ale trafiła cię, bo chciałeś mnie ocalić. – Oczy płonęły jej gniewem.

– Słuchaj! Mówiłem: nie oszukuj się. Popatrz na tę strzałę, która nie powinna w żadnym razie ci zagrozić, i może być tylko jeden powód, że stało się inaczej.

Spojrzała, naprawdę spojrzała, i zadrżał jej podbródek. Potrząsnęła głową przecząco.

Podobnie jak Mendeln bez trudu rozpoznała strzałę wykonaną przez Achiliosa.

– On nigdy by... Nigdy by nie spróbował mnie zgładzić... Ciebie też nie!

– Spróbowałby. – Mendeln złapał za pióro i przyzywając na pomoc wszystko, czego nauczył się od Rathmy i smoka, zaczął wyciągać strzałę. – Już próbował zabić Uldyzjana.

Gdy wyciągnął grot, Serentia przycisnęła dłoń do rany, która zasklepiła się tak szybko, że Mendeln, mimo że znał potęgę dziewczyny, i tak sapnął z zaskoczenia.

Wokół nich wszystko zaczęło się uspokajać. Dla żołnierzy było definitywnie za późno. Mendeln opłakiwał w duchu ten potworny błąd. Jakże teraz mogą stanąć przed władcami Kedżanu?

Lecz na rozwiązanie tego problemu przyjdzie jeszcze czas.

Serentia klęczała przy boku przyjaciela, wciąż nie mogąc uwierzyć w potworną zdradę ukochanego.

– Nigdy by tego nie zrobił! Nie Uldyzjana!

– Zrobił. Tej nocy, gdy wynieśliśmy dwa ciała poza granicę obozu... – Mendeln skrzywił się na samo wspomnienie. – To cud, że Uldyzjan przeżył.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, jakim strzelcem jest Achilios. Bez trudu trafiłby go w samo serce. Ja miałem szczęście, nie byłem jego celem, i dlatego skończyło się na tej... niegroźnej ranie.

– A Uldyzjan?

– Gdyby strzała trafiła w serce, zginąłby na miejscu. Achilios jakimś cudem chybił. A on nigdy nie chybia... No, chyba że chce.

Te słowa znacznie poprawiły nastrój Serentii.

– No widzisz? Dla mnie zrobiłby to samo!

– Dziękujemy opatrności, że nie musieliśmy się przekonać, czy masz rację. Zresztą to nie usprawiedliwia tego, że próbował, prawda?

– Przecież ocalił nas w walce z gigantycznym demonem! Dlaczego teraz próbuje nas pozabijać?

– Nie on... Ktoś inny. Moim zdaniem anioł, i to nie Inarius.

Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Nieprawdopodobne! Nie ma takiej istoty!

– Bardziej niż prawdopodobne, obawiam się, szczególnie prawdopodobne dla Rathmy i Trag'Oula, którzy ostatnio jakoś podejrzanie unikają kontaktu. Bardzo chciałbym wiedzieć to co oni.

– Czy ten... anioł współdziała z Inariusem?

Mendeln poczuł się wreszcie na tyle dobrze, by wstać, co uczynił, korzystając z pomocy Serentii. Raz jeszcze popatrzył na strzałę.

– Wątpię, a przynajmniej nie bezpośrednio. Jest prawdziwą tajemnicą, a nie mamy wiele czasu na jej rozwiązanie, szczególnie teraz, gdy zbliżyliśmy się do Kedżanu.

Serentia rozejrzała się. Dopiero w tym momencie dotarło do niej, że wokół zapanowała cisza. Wiedziała, co to oznacza dla setki żołnierzy.

– Nie można było temu zaradzić, Mendelnie! Nie można było!

– Tyle jest rzeczy, którym „nie można zaradzić” – odpowiedział niemal z goryczą. – Tak wiele. Co się dzieje z edyremami, z Uldyzjanem i z tobą, Serentio? Widziałem, jak ta moc odbiera mu rozsądek, tak jak stało się z tobą i pozostałymi. Im bardziej oswajacie się ze swoją mocą, tym bardziej przejmuje ona nad wami kontrolę.

– Bzdury! – W jej głosie nagle zadźwięczał gniew, i to gniew na Mendelna. – Może po prostu trochę nam zazdrościsz?!

Widział podobny wyraz twarzy chwilę przed tym, jak edyremowie ruszyli na żołnierzy. Dlatego też szybko skierował uwagę Serentii na inny temat.

– Wiesz dobrze, że Achilios za nic nie chciałby cię zabić, że tę strzałę... – trzymał pocisk przed twarzą dziewczyny; gniew w jej oczach zgasł, zastąpiony smutkiem i tęsknotą – tak naprawdę wymierzył w ciebie ktoś inny. Inny anioł, jestem tego pewien.

– Ale Achilios chybił – przypomniała mu z dumą. – Mimo wszystko nie uczynił krzywdy żadnemu z nas!

– W rzeczy samej... I jak myślisz, co na to ów anioł? – Mendeln starał się nie wyobrazać sobie łucznika. – Co zrobi z nim anioł w odwecie za tę porażkę?

Twarz Serentii zrobiła się biała jak śnieg.

Achilios czuł się rozdarty między uczuciem ulgi a niepokoju. Nieoczekiwana reakcja Mendelna sprawiła, że łucznik nie zdołał trafić, co

było możliwe, mimo iż całą swą istotą pragnął czegoś wręcz przeciwnego. Zorientowawszy się, że Uldyzjan przeżył, Achilios zrozumiał, że stało się tak tylko dzięki jego determinacji. I w tym była cała jego nadzieja, gdy rozkazano mu strzelić do Serentii.

Czyn Mendelna sprawił, że myśliwy nie musiał już modlić się, by jego przypuszczenia okazały się prawdziwe.

I tym razem Achilios umknął, zanim jeszcze grot sięgnął celu. Błyskawicznie znalazł się w gąszczu dżungli, choć prowadziły go jeszcze bardziej kręte ścieżki niż poprzednio. Edyremowie zbliżali się do rejonów coraz gęściej zaludnionych, a to oznaczało, że osady pojawiały się w najmniej oczekiwanych miejscach. Tymczasem ani Achilios, ani ten, który się nad nim znęcał, nie życzyli sobie zostać dostrzeżeni.

Gdy tylko Achilios pomyślał o aniele, poczuł, jak jego nogi zwalniają. Zatrzymał się chwiejnie w takiej gęstwinie, że ciemno tu było niemal jak w nocy.

Ciało przestało być mu posłuszne. Zastanawiał się, czy znowu stracił przytomność, jak to się zdarzało w przeszłości. Dla kogoś martwego utrata przytomności była czymś ze wszech miar niepokojącym. Achilios obawiał się, że obudzi się pogrzebany albo na stosie pogrzebowym.

Kiedy minęła minuta, a on się ani ruszył, stracił cierpliwość. Wiedział, że atak na tę istotę był chybionym pomysłem, ale nie dbał o to. Został już zmuszony, by targnąć się na dwoje najdroższych mu ludzi. Cóż bardziej potwornego mógł mu anioł uczynić?

„Potwornego”, „anioł” – ironia zestawienia tych dwóch słów nie umknęła łucznikowi.

W tej samej chwili obok niego rozjarzył się znajomy oślepiający blask.

– Niech... będzie! Wykonałem... twoje przekłete... zlecenie... ale ktoś cię przechytrzył! Widziałem, gdym uciekał, i piekielnie dobrze wiem... że ty też!

– BRAT ULDYZJANA JEJ NIE OCALIŁ.

– Co? – Łucznik poczuł panikę. – Nie! Widziałem, grot chybił! Ona żyje! Musi...

Wśród światła ukształtowała się postać nieziemskiego wojownika. Płonąca energia emanująca z jego oczu w niewytłumaczalny sposób pozwalała się domyślić, że świetlisty rycerz spogląda na myśliwego ze współczuciem.

– NIE ZROZUMIAŁEŚ. ONA ŻYJE, ALE TO NIE ON JĄ OCALIŁ. TO BYŁEŚ TY, ŁUCZNIKU, TAK JAK I POPRZEDNIO.

Żadna odpowiedź nie ucieszyłaby Achiliosa bardziej. Uśmiechnął się szeroko, a ten widok zmroziłby krew w żyłach każdego śmiertelnika.

– Ja to zrobiłem? Pokonałem cię więc! – wykonał zwycięski gest. – Zabij... zabij oboje... Tak rozkazałeś... A ja nie posłuchałem!

Mówiąc to, spodziewał się, nie, liczył na to, że anioł rozgniewa się tak bardzo, że położy kres istnieniu nieumarłego. Tym samym nie mógłby wymagać od łuczника, by ten podjął kolejną próbę.

Lecz żaden niebiański ogień nie spopielił Achiliosa. Zamiast tego światło wokół skrzydlatej istoty przygasło nieco. Anioł przechylił głowę.

– NIE. NIE POSŁUCHAŁEŚ... I TO MOŻE WSZYSTKO ZMIENIĆ.

OSIEM



Pałac składał się z czterech budynków otaczających piątą, kilkakrotnie większą. Każdy miał na dachu niewielką ozdobną iglicę. Główne wejście stanowił szeroki portyk z wieloma kolumnami, do którego prowadziły liczne, równie szerokie stopnie.

Po każdej stronie miedzianych wrót wznosiło się po sześć kolumn. Każda z nich została wyrzeźbiona na kształt zwierzęcia, jakie czcili starożytni budowniczy, włączając wielkie koty zamieszkujące dżunglę i ogromne stworzenia o chwytnych nosach, wykorzystywane przez mieszkańców nizin do dźwigania ciężarów.

Uldyzjana wprowadził do pałacu księżę, który wyraźnie nie dorównywał swym poddanym w zachwytach nad własną osobą. Uldyzjan podziwiał ów brak zadufania i zarozumialstwa, szczególnie że młody władca niewątpliwie cieszył się miłością poddanych.

Być może były farmer nie zwróciłby uwagi na skromność księcia, gdyby nie to, że gdy przemierzali korytarze o ścianach mistrzowsko wymalowanych w sceny z życia mieszkańców dżungli, Ehad wesoło poinformował swego gościa:

– W rzeczywistości nie mam w Kedzanie żadnej władzy. To klany magów i gildie, takie jak kupiecka, tu rządzą. Gdyby chcieli, mogliby tu

przyjść i zażądać mojej głowy!

Uldyzjan wątpił, by było to aż tak proste. Rywale Ehmada z pewnością wznicieliby takie powstanie, że nawet klany magów nie zdołałyby go stłumić. A jeśli wziąć pod uwagę szlachetnego Fahina, to wśród przedstawicieli gildii i klanów byli tacy, którzy gorąco wspierali młodego władcę.

Czarnowłose dziewczę w bluzce z głębokim dekoltem i zwiewnym, przejrzystym spodniem wybiegło boso na spotkanie, by powitać księcia. W delikatnych dłoniach niosła niewielką tacę, a na niej srebrny kielich.

Ehmad uśmiechnął się do niej; ona zachichotała w odpowiedzi. Jednak zamiast się napić, Ehmad oferował kielich Uldyzjanowi.

– Coś mi wygląda, że tobie bardziej się to przyda.

Uldyzjan nie miał siły protestować i z wdzięcznością przyjął napitek. W kielichu było słodkie wino, jakie zwykle się pijać w stolicy, a przynajmniej tak słyszał. Spragniony, osuszył kielich trzema łykami.

Księżę odebrał naczynie z rąk swego gościa i oddał służącej.

– Kaylei, przynieś nam herbaty i owoców na Balkon Króla Chadaki.

– Tak, księżę – dziewczyna ukloniła się nisko i szybko wycofała.

Uldyzjan nie widział zbyt wielu strażników na korytarzach, Ehmadowi nie towarzyszył zaś ani jeden. Księżę szedł z Uldyzjanem jak ze starym przyjacielem, a nie obcym, którego poznał dopiero przed chwilą. Przywódca edyremów doszedł do wniosku, że młody władca jest albo bardzo lekkomyślny, albo niezwykle odważny... albo i to, i to.

Tymczasem młodzieniec nie przestawał go zaskakiwać.

– Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie ciebie, Uldyzjanie ul-Diomedzie.

Nagle cała ta uprzejmość i przyjazne traktowanie wydały się Uldyzjanowi fałszem. Oskoczył do tyłu, jak najdalej od księcia. Nieliczni strażnicy zareagowali natychmiast, rzucili się ku swemu panu z włóczniami naszykowanymi do ataku.

– Nie! – powstrzymał ich Ehmad. – Wracajcie na miejsca!

Zbrojni wykonali rozkaz bez wahania, co świadczyło o posłuchu, jaki książę miał wśród swych żołnierzy, on sam tymczasem nie spuszczał ciemnych oczu ze swego gościa.

– Te moje żarty kiedyś mnie zabiją, tak mi matka powtarzała. Sądząc po wyrazie twej twarzy i tym, że dłonie jarzą ci się niczym stopione żelazo, tym razem byłem bliższy spełnienia tej przepowiedni, niżbym sądził.

Uldyzjan spojrział na swe dłonie i zorientował się, że książę bynajmniej nie przesadza. Jego ręce jarzyły się pomarańczowo i promieniowały żarem.

– Przepraszam – powiedział, w myślach nakazując dłoniom, by ostygły. Lecz tak się nie stało.

Książę, nieświadom prób Uldyzjana, uznał, że to znak jego nieufności.

– Wiedziałem, kim jesteś, gdy tylko cię zobaczyłem. Fahin o to zadbał.

– Fahin? – Uldyzjan skoncentrował się bardziej. Żar emanujący z jego rąk począł słabnąć, aż zgasł zupełnie. Ciepło rozwiało się chwilę później.

– Nie wiedziałeś? Fahin wysłał parę ptaków-posłańców tej nocy, gdy zgodził się przyprowadzić cię do miasta. Chciał, żebym został uprzedzony o twym przybyciu. – Młodzieniec posmutniał. – Był wiernym poplecznikiem i równie wiernym przyjacielem...

Uldyzjan spojrział po sobie.

– Wiedziałeś, kim jestem, choć wyglądam jak żebrak?

– Zajrzałem ci w oczy. Fahin nie mylił się co do nich. – Ehmud nie wyjaśnił, co miały znaczyć te słowa, zamiast tego wskazał korytarz po prawej. – Chodźmy na Balkon Króla Chadaki.

Wyszli na ogromny taras z widokiem na północną część miasta. Ozdobiony był – zgodnie z tym, czego spodziewał się Uldyzjan – wizerunkami chadak, dużych małych człekokształtnych, żyjących w okolicznej dżungli. Nie były to jedyne małe obdarzone czcią w Kedzanie, ale te uznawano za najbystrzejsze. Uldyzjan słyszał już niejedną legendę o ich królu, którego błazenady i figle stanowiły cenne lekcje na temat dumy i władzy.

Mozaikowa podłoga ułożona z sześciokątnych kawałków przedstawiała przygody króla. Poręcze również rzeźbione na kształt wizerunków małego króla, który usiłuje, czasem na próżno, usiąść w pozie pełnej namysłu. Na balkonie ustawiono siedziska z brązu, miękko wyściełane. Uldyzjan ucieszył się na ich widok. Złapał nieco wiatru w skrzydła, gdy odnalazł księcia Ehmada, ale teraz opadł już z sił. Ciężko usiadł w najbliższym z foteli.

– Wybacz, powinienem zaoferować ci łóżko i sen – stwierdził książę.

– Nie ośmieliłbym się teraz zasnąć.

– Wszyscy ludzie potrzebują snu, nawet ty, jak miemam.

– Nie teraz... – A jednak fotel stawał się wygodniejszy z chwili na chwilę.

Ehmad wzruszył ramionami i przysiadł na kamiennej poręczy balkonu. Popatrzył na swego gościa z powagą.

– Co stało się z mistrzem Fahinem?

To pytanie rozbudziło Uldyzjana. Zebrał się w sobie i opowiedział księciu wszystko, co zapamiętał. Oczy księcia zrobiły się ogromne, gdy usłyszał o magicznym ataku, i przybrały kształt szparek, gdy Uldyzjan opowiadał o śmierci kupca.

– Mam... źródła, które twierdzą, że to ty jesteś odpowiedzialny, mój przyjacielu. Źródła, które usłyszały o tym od magów.

– Nigdy nie skrzywdziłbym szlachetnego Fahina ani nikogo z pozostałych. Zrobił to jeden z nich, mag, Zorun Tzin.

Książę nie okazał zdziwienia, słysząc to imię.

– Znam Zoruna Tzina. Jest niczym szakał między ludźmi. Zbyt długo już zwaśnione klany wykorzystywały go do zadań, którymi nie śmiały brukać sobie rąk. – Kedżanin uważniej przyglądał się rozmówcy. – To przerażający człowiek.

Uldyzjanowi mag przypomniał o czymś czy raczej o kimś straszniejszym.

- Są bardziej przerażający od Zoruna Tzina.
- Tak, na przykład ty, skoro uciekłeś z jego sanktuarium.

Służąca wróciła do nich, niosąc herbatę i owoce. Obie tace ustawiła na niewielkim stoliku przy fotelu Uldyzjana.

- Proszę. Jedzcie i pijcie, panie, wedle woli.

Uldyzjan nie protestował, wgrzyzł się w owoc, zaryzykował też nieco herbaty. Spodziewał się, że napój będzie gorący, że zdumieniem jednak odkrył, iż herbata jest chłodna i pachnie niczym nektar.

- Herbata tayian – wyjaśnił książę. – Pomoże ci odzyskać siły.

Uldyzjan nalał sobie kolejną filiżankę.

- Co więc z Zorunem Tzinem? – zapytał.

– Z tego, co mówisz, klany będą musiały same radzić sobie z bestią, którą cię poszczuły. Fahin miał wśród nich przyjaciół i sojuszników. Zorun Tzin stanie się wyrzutkiem wśród swoich. Nie powinienes się już nim przejmować.

Uldyzjan przypominał sobie ów przelotny widok. Tzin najwyraźniej szedł za nim przez ulice miasta, a w jego oczach lśniła nienawiść do syna Diomedesa, nienawiść niemal tak głęboka jak...

Uldyzjan wyprostował się gwałtownie. Filiżanka wysunęła mu się z palców i roztrzaskała na posadzce.

- Nie...

- Jesteś niezdrów? – Ehmud pochylił się z niepokojem.

Uldyzjan wstał.

- Wasza wysokość, muszę rozmawiać z klanami, natychmiast!

– Prosiłem o stawiennictwo ich i główne gildie, przyjacielu, niemal natychmiast po tym, jak przeczytałem wieści od Fahina. Chwilę to potrwa...

Jego gość słuchał go jednym uchem. „Jak mogłem nie zauważyć tego wcześniej?” – wyrzucał sobie w duchu Uldyzjan, nie bacząc na to, że tylko jego moc pozwoliła mu pozbierać się po tym, czego doświadczył z rąk

maga. Tak, widział twarz Zoruna Tzina w tłumie... Ale oczy należały do Malika.

– Nie rozumiesz, książę! – niemal krzyknął. – To nowe zagrożenie dla magów i muszą o nim wiedzieć, zanim on znowu spróbuje przejąć któregoś z nich!

– Przyznaję, że się pogubiłem. Nie mam pojęcia, o czym mówisz...

– My także nie – dobiegł ich układny kobiecy głos. – Za to z pewnością chcemy posłuchać... Przynajmniej na razie.

Obaj mężczyźni odwrócili się ku trójce przybyszów, którzy nie mogli przecież po prostu wejść na taras za ich plecami. Uldyzjan przyjął postawę obronną. Nie miał wątpliwości, kim było tych troje.

Książę Ehmada, śmiało czy może lekkomyślnie, stanął między nimi a swym gościem.

– Nurzani – przywitał kościstego mężczyznę, który wyglądał jak ktoś, kogo Mendeln mógłby przywołać spod ziemi. – Witaj, Ketusie – zwrócił się do drugiego, bardziej podobnego cieniowi niż człowiekowi. A ostatnie słowa skierował do kobiety, która odezwała się pierwsza: – I jak zawsze rad jestem tobie, piękna Amolio...

Amolia zaledwie nieznacznie skinęła głową.

Gdy zsunęła dziwaczny spiczasty kaptur, Uldyzjan ledwo powstrzymał się przed wciągnięciem powietrza ze świstem, bowiem kobieta była tak podobna do Lylii, czyli człowieczego przebrania Lilith, jakby była jej rodzoną siostrą.

Zauważyła, jak się w nią wpatruje, i płomień w jej oczach ostrzegł go przed wszelkimi pochopnymi działaniami.

– Ty jesteś Uldyzjan ul-Diomed.

– Jam jest – odparł, nie odprężając się przy tym ani odrobinę. Wystąpił przed swego gospodarza. Nie chciał, by i Ehmada zapłacił słoną cenę za okazaną Uldyzjanowi przyjaźń.

– Książę nas przedstawił– odpowiedziała magiczka. Jej towarzysze nie zdjęli kapturów. – Wspominałeś zdrajcę i mordercę Zoruna Tzina.

Uldyzjan obrzucił ich po kolei uważnym spojrzeniem, lecz nie potrafił powiedzieć, które z tej trójki było najbardziej niebezpieczne.

– I owszem. Muszę ostrzec klany...

– Ostrzeżesz nas, to jakbyś ostrzegł ich. Jeśli chcesz rozmawiać z klanami, mówisz do nas.

Nie tego pragnął Uldyzjan, ale nie miał wyboru. Najpierw należało ostrzec magów przed niebezpieczeństwem, które zagrażało im w ich własnych szeregach. To mogło stworzyć jakąś podstawę dla sojuszu przeciwko Katedrze.

– Znaleźliście Zoruna Tzina? – spytał.

– Powinno być oczywiste, że nie.

– Chodziło mi o to, kiedy widzieliście go po raz ostatni.

– Ostatnio wiedzieliśmy go – Amolia zerknęła na swych towarzyszy, a potem ciągnęła – chwilę przed tym, jak umknął do swych tajemnych komnat pod ziemią. Coś musiało się tam wydarzyć i uznaliśmy, że miało związek z tobą.

– Miało, lecz nie taki, jak podejrzewacie. Tzin miał sługę, olbrzyma.

– Terula. Widzieliśmy, co z niego pozostało. To twoje dzieło?

Uldyzjan nie śmiał zaprzeczyć.

– Ale nie z powodów, które podejrzewacie. To coś nie było już Terulem. Nie wiem, od jak dawna, choć podejrzewam, że przejął ciało olbrzyma już wtedy, gdy Zorun Tzin postanowił zamordować mistrza Fahina i jego ludzi.

– Potwierdzasz, że Zorun Tzin się tego dopuścił? – zapytał Nurzani głębokim, dudniącym głosem. – Tak podejrzewaliśmy.

– Tak, to on... Jednak nie dokonał tego zupełnie sam. Pomógł mu ten, który przejął ciało olbrzyma. Znaliście go jako Malika.

Amolia zmarszczyła brwi.

– Arcykapłana Obrządku Mefisa? Malika, który wedle naszej wiedzy jest martwy?

Uldyzjan przytaknął niechętnie.

– Martwy... ale wciąż śmiertelnie niebezpieczny.

Wyjaśnił im, co stało się z Malikiem i jak wezwali ducha arcykapłana. Opisał swoje zdumienie, gdy Terul przyznał, że jest martwym kapłanem i wrócił, by się zemścić, oraz swoją desperacką walkę.

Nie wspomniał jedynie o kamieniu, niepewny, czy chce o tym dyskutować z magami.

– A jak to się ma do Zoruna Tzina? – spytał podobny do cienia Ketus. – Mówiłeś, że zabiłeś wielkoluda.

– Tak sądziłem... Teraz jednak myślę, że Malik przetrwał w ciele Terula wystarczająco długo. Widziałem Zoruna Tzina na ulicy zaraz po tym, jak księżę mnie odnalazł... Tylko teraz jestem przekonany, że to nie były jego oczy.

Nurzani pochylił się ku Amolii.

– Wspomnij porzuconą laskę, jakby nie miała żadnego znaczenia. Kapłan by jej nie potrzebował.

– Czyny Malika doskonale są znane klanom – wtrącił Ketus – ale żeby przenosić się z ciała do ciała, to już brzmi niewiarygodnie!

Amolia rzuciła Uldyzjanowi wrogie spojrzenie.

– To nie umiejętności kapłana umożliwiły mu oszukać przeznaczenie po raz pierwszy, lecz wątpliwej słuszności czyn dwóch braci... Ale tak, sądzę, że Malik może w splugawiony i wypaczony sposób nadal korzystać z tego, co mu zaoferowali.

– Ciała nie wytrzymują zbyt długo – zauważył Uldyzjan. – Ile może wytrzymać ciało Zoruna Tzina?

– Tzin był magiem o wyjątkowych umiejętnościach i wyjątkowych skłonnościach do podejmowania niewłaściwych decyzji – stwierdziła Amolia. – Jednakże, gdy brać pod uwagę właściwości fizyczne jego ciała,

to nie byłby moim pierwszym wyborem, gdybym znajdowała się w sytuacji, w której znajduje się Malik, jak utrzymujesz.

– Niczego nie utrzymuję. Mówię samą prawdę! Jeśli twoi ludzie znajdą Zoruna, powinni za wszelką cenę unikać dotykania go. – Uldyzjan przypomniał sobie coś jeszcze. – I niech wypatrują czarnych plam. Pojawiają się na ciele, gdy ono się wypala...

Spodziewał się, że troje magów zareaguje natychmiast, ale Amolia tylko spojrziała na swych towarzyszy. Stali wszyscy w milczeniu, przyglądając się sobie nawzajem.

I nagle, bez żadnego uprzedzenia, Ketus zniknął.

– Przekazaliśmy twoje obawy co do Zoruna Tzina – oznajmiła Amolia. – Teraz powróćmy do pytania, co zrobić z tobą, Uldyzjanie ul-Diomedzie. – Zmrużyła groźnie oczy. – No właśnie, co...

I nagle wokół asceńczyka pojawiła się szmaragdowa sfera.

Ciało nie rokowało najlepiej. Malik wiedział, że nie wytrzyma zbyt długo już w chwili, gdy je przejął, ale nie miał wtedy innego wyboru. Utrzymał się w ciele martwego olbrzyma o wiele dłużej, niż sam uznałby za możliwe. Mefisto niewątpliwie się doń uśmiechał, gdy głupi mag sięgnął po kamień.

Malik wciąż trzymał kryształ w dłoni. Nie sądził, by dane mu było dość czasu, aby skorzystać z mocy kamienia przy obejmowaniu następnego ciała. Zresztą, kto powiedział, że następna jego ofiara będzie warta tego, by zatrzymać ją na zawsze?

Tylko Uldyzjan zaspokajał wymagania Malika w tym względzie.

Kapłan trzymał się w cieniu, używając tego, co mógł, z własnych czarów, by ukryć się przed wzrokiem magów. Ciężko mu było splatać zaklęcia w tym ciele, bo jego poprzedni użytkownik korzystał ze zgoła odmiennych mocy. Z biegiem czasu Malik by się dostosował, a czasu akurat mu brakowało.

Musiał znaleźć Uldyzjana. Żadne inne ciało nie będzie wystarczająco dobre.

Minął beczkę, na pokrywie której zgromadziło się nieco wody. Wiedziony ponurym przecuciem zerknął w tę nędzną namiastkę zwierciadła. Odbicie było zniekształcone, ale na tyle wyraźne, by kapłan dostrzegł czarną plamę przy uchu.

– Tak szybko... – mruknął głosem Zoruna Tzina. Ledwie zaczął używać tego ciała! Pierwsze zmiany pojawiły się na skórze olbrzyma po dwóch dniach, a młode ciało Durrama wytrzymało tygodnie, zanim zaczęło się psuć. – Z każdym kolejnym trwa to krócej – uzmysłowił sobie. – Muszę szybko cię dopaść, Uldyzjanie.

Najpierw jednak musiał znaleźć swą ofiarę i uciec z miasta pełnego magów, którzy uważali go za renegata. Malik natychmiast potrzebował nowego ciała i to takiego, które wytrzyma dłużej niż ciało Zoruna Tzina. Nic mu nie da przenoszenie się do kolejnego nosiciela, który zużyje się niemal natychmiast.

Przecucie skłoniło go do wejścia głębiej w cienie. Chwilę później w uliczkę skręciła postać otulona opończą, trzymająca w dłoni laskę. Niewątpliwie był to jeden z kamratów Tzina.

I jakby tego było mało, u przeciwległego końca alejki pojawił się drugi mag. Ten też miał laskę. Obaj powoli zbliżali się ku sobie, podczas gdy Malik utknął w połowie drogi między nimi.

Ale nieumarły kapłan czuł się bezpieczny w ciemności. Od razu zdołał właściwie określić obu mężczyzn i wiedział, co robić. W końcu był sługą Mefista, czyż nie?

Wykreślił w powietrzu właściwe symbole i wycelował palec w kierunku maga po lewej.

W tej samej chwili mężczyzna go dostrzegł.

– Stój, Zorunie Tzinie! Jesteś moim więźniem! – wrzasnął, unosząc laskę na wysokość ramienia.

Niewzruszony Malik wskazał palcem drugiego maga. Ten również natychmiast uniósł laskę.

– Za wiele sobie wyobrażasz, harakaski psie! Jest mój!

– Świnio z Sarandesz! Jak wszyscy tego klanu próbujesz ukraść nagrodę, zamiast zasłużyć na nią uczciwie!

Ruszyli na siebie, jakby Malika w ogóle tam nie było. Mag z klanu Harakas machnął laską w stronę sarandeszanina. Tamten skontrował atak. Laski zwały się w błysku uwolnionej energii.

– Wpełnij z powrotem do swej dziury z błotem, sarandeszaninie!

– Wcisnę ci te słowa do plugawej gęby, harakasańczyku!

Sarandeszanin potarł runę jarzącą się na jego lasce. Wokół jego przeciwnika zaczęła formować się czerwona aura.

Drugi mag natychmiast przykrył dłonią runę na swojej lasce. Wokół czerwonej aury pojawiła się złota i szybko pochłonęła tę pierwszą.

Obaj magowie ryknęli wściekle i skoczyli na siebie, używając siły fizycznej na równi z magiczną. Walczyli niczym wściekle koty, świat dla nich przestał istnieć, liczyła się tylko wzajemna nienawiść.

Tymczasem Malik wymknął się po cichu z zaułka. Moc jego pana, Władcy Nienawiści, po raz kolejny okazała się najsilniejsza. Magowie albo pozabijają się nawzajem, albo rozdziela ich pobratymcy. Tak czy inaczej, zamieszanie posłużyło Malikowi.

Potrzebował czegoś więcej. Przemykając kolejnymi uliczkami, intensywnie się zastanawiał. Świątynia Trójcy legła w gruzach, nie mógł stamtąd spodziewać się pomocy. Jego pan, Lucion, przestał istnieć za sprawą Uldyzjana...

Nagle Malik przeklął własną głupotę. Był w Kedżanie. W stolicy. Nie był sam.

Miasto w swym obecnym kształcie wznoszono przez kolejne pokolenia, a następcy często budowali na konstrukcjach wzniesionych przez poprzedników. Obecni mieszkańcy stolicy niewiele wiedzieli o przeszłości swego domu, Malik wręcz przeciwnie, wiedział mnóstwo.

Wejście, którego poszukiwał, pozostawało całkowicie schowane przed tymi, którzy tamtędy przechodzili. Po części z powodów estetycznych, po części z uwagi na bezpieczeństwo. Głębia poniżej pozostawała mroczna i niebezpieczna, do tego zamieszkała przez niewyobrażalne istoty. Minione dni Kedżanu można było tu odnaleźć w resztkach skradzionych skarbów i zwłokach śmiałków.

Bez najmniejszego trudu Malik znalazł dźwignię ukrytą w ozdobnej kolumnie przy końcu uliczki. Dźwignia miała zaledwie cal. Zazgrzytała ze starości, ale poddała się wreszcie.

Część chodnika przy kolumnie opadła, a Malik bezzwłocznie wskoczył do dziury. Kamień jednak nie wrócił na swoje miejsce, kapłan więc sam przesunął kamień, zamykając zejście za sobą. Ponieważ ciała Zoruna Tzina brakowało silnych mięśni, Malik musiał się zdrowo natrudzić. Mag bez wątplenia nie przywiązywał takiej wagi do sprawności fizycznej, jaką Malik zwykł za życia.

Kiedy kapłan zamknął już przejście, zszedł po wiekowych kamiennych stopniach do pogrążonej w mroku komnaty, skąd dobiegał szum płynącej wody.

Malik przywołał niewielką kulę światła, które wydobyło z ciemności strumień wzburzonej wody, szerokiej jak ulica ponad nim. Wiedział, że kanały są głębokie i że człowiek mógł tu przepaść bez śladu.

Świadom, że wciąż jest ścigany, Malik ruszył w głąb labiryntu tuneli. Ciągnęły się pod całym niemal Kedżanem, rzadko jednak zaglądali tu ci, którzy żyli na powierzchni. Zdarzało się to właściwie tylko wtedy, gdy jakaś straszna przeszkoda sprawiała, że podnoszący się poziom wody zagrażał ulicom. Klany z pewnością będą wzdragać się przed szukaniem tu swego zbiega z odmiennych i daleko bardziej śmiertelnych powodów.

I właśnie dla jednego z tych powodów Malik zszedł do owego piekielnego miejsca.

Szczury, węże i inne szkodniki umykały wystraszone światłem. Niektóre z tych stworzeń nie miały nawet oczu, bo od pokoleń rozmnażały się w mroku.

Coś wypłynęło na powierzchnię wody niedaleko Malika. Zatrzymał się i przyjrzał znajomemu kształtowi.

Zwłoki pływały tu chyba od tygodni. Większość tkanek zniknęła, ale wciąż zostało ich dość, by utrzymać nieboszczyka w całości. Był to mężczyzna w średnim wieku, zamożny, czego można było domyślić się po resztkach stroju, zapewne padł ofiarą napadu. Między tymi, którzy odważyli się zejść do kanałów, przeważali bandyci.

Niedaleko przed sobą Malik usłyszał dwa głosy, których ton wskazywał na sprzeczkę. Po akcencie przypisał kłócących się mężczyzn do niższej kasty. Ich sprzeczka dotyczyła najwyraźniej podziału łupów: pierścienia i wysadzanej drogimi kamieniami broszy.

– Pierścień biorę ja – oznajmił jeden. – Ja obciąłem palec, więc pierścień jest mój!

– Nigdy w życiu! Broszę ciężko będzie sprzedać! Bierz broszę. Powiedziałeś, że będzie miał złoto! Nie ma złota, więc to ja zasłużyłem na pierścień.

Stara miedziana lampa postawiona na wystającej cegle oświetlała dwóch obdartusów. Obaj znieruchomieli, gdy zza rogu wyłonił się Malik.

– Kto to? – warknął ten, który obciął palec z pierścieniem. Był niewysoki, żyłasty, brakowało mu kilku zębów, zdobył za to w życiu kilka blizn. Wydawał się być w dobrym stanie.

Jego partner, wyższy i nieco tęższy, wyraźnie cierpiał z powodu wczesnego stadium choroby, która ostatecznie pożre jego ciało.

– Chcę te sandały – zaskrzeczał, pokazując obuwiu Malika.

Ten ani drgnął, póki dwaj obwiesie nie znaleźli się tuż-tuż. Wtedy nagle wbił sztywne palce w gardło wyższego z bandytów, podczas gdy lewą ręką chwycił żyłastego za pierś. Pierwszy zatoczył się na porośniętą mchem

ścianę, oburącz łapiąc się za gardło. Drugi znieruchomiał pochwycony magią Malika.

Kapłan sięgnął do sakiewki i wyjął z niej fragment kryształu. Wcisnął kamień w dłoń bandyty i zacisnął palce tamtego. Potem już tylko przerzucił swą wolę do ciała stojącego przed nim...

I nagle patrzył na obwisłą twarz Zoruna Tzina.

Mag wpadł Malikowi w ramiona. Kapłan wrzucił ciało w ciemne fale. Plusk odbił się stłumionym echem od starożytnych kamiennych ścian.

Wyższy z bandytów wciąż się dusił. Wytrzeszczone oczy wbił w tego, którego uważał za swego partnera, i błagalnym gestem prosił o pomoc.

Malik z nieludzką siłą przycisnął zbira do ściany i dobył sztyletu zza paska swego nowego gospodarza.

– Nie dość dobre dla mnie – szepnął do dławiącego się bandyty. – Ale wystarczające dla tego, kogo szukam.

Podniósł sztylet i wyciął wijącemu się mężczyźnie płytki i prosty wzór na piersi. W dół popłynęły wąskie strumyki krwi.

Skończywszy, kapłan włożył ostrze między zęby, zmienił chwyt, żeby wsunąć fragment w samo centrum wzoru.

Bandyta zaczął wrywać się ze zdwojoną siłą. Malik niemal wypuścił odłamek kamienia, co go zirytowało. Zmusił swą ofiarę, by spojrzała mu prosto w oczy. Pochwycony spojrzeniem złodziej znieruchomiał. A Malik zaczął mrużyć pod nosem.

Nagle usłyszał jakiś bulgot. Nie spuszczał wzroku z bandyty, ale zaczął mówić szybciej.

Bulgot przybrał na sile i zbliżył się do miejsca, gdzie stał kapłan. Kątem oka Malik zerknął ku unoszącemu się na wodzie ciała Zoruna Tzina.

Zwłoki podskoczyły raz i drugi, po czym ze świstem zniknęły pod wodą.

Malik podjął inkantację. Naraz w tunelu zrobiło się zimno. W mdłym świetle lampy widać było ulotne obłoczki oddechów Malika i bezradnego

bandyty.

Coś wynurzyło się gwałtownie z ciemnych wód kanału. Znacznie górowało nad kapłanem.

Malik odwrócił się bez wahania i stanął twarzą w... twarz z istotą o barwie kości, przypominającą meduzy z wewnętrznego morza, jednak o wiele, wiele większą. Ze środka przezrzystej masy spoglądały wyłupiaste blade ślepie.

Poniżej zwisał gąszcz wiotkich macek, w które zaplątane były kawałki mięsa i innych, bliżej nieokreślonych rzeczy. Jednak widok ten nie był w połowie nawet tak makabryczny jak ten wewnątrz pozbawionej kości góry, stanowiącej ciało potwora. Tam bowiem powoli rozpuszczał się zewłok będący niedawno jeszcze Zorunem Tzinem.

Wraz z kroplami wody spływającymi z cielska bestii spadały też fragmenty stroju maga.

– Rozumiesz tajemny język, demonie! Odpowiedziałeś na wezwanie.

Stwórz zbulgotał nisko.

– Moim panem jest Mefisto, brat twego pana... Diabło...

I znów demon zbulgotał w odpowiedzi. W tej chwili z ciała maga pozostało jedynie kilka kości, w tym czaszka.

– Wedle paktu Trzech musisz poddać się mej władzy, być posłusznym mojej woli! Rozumiesz?

Kilka wiotkich macek poruszyło się, co Malik uznał za odpowiedź twierdzącą. Uśmiechnął się.

– Trzeba ci jednak lepszej ofiary. O tym również stanowi pakt. Żywej ofiary, nie tej żalosnej martwej przystawki, którą połknąłeś.

Setki macek zadygotało gwałtownie.

– Jest twój. – Malik odstąpił w bok.

Demon wyciągnął macki ku bandycie. Gdy pierwsza z nich dotknęła zbira, kapłan go puścił.

Odzyskawszy nagle możliwość ruchu, rzezimieszek wrzasnął i spróbował się uwolnić. Ale był niczym mucha pochwycona w pajęczą sieć. Im mocniej się miotał, tym bardziej oplątywały go macki, a ich poszarpane brzegi bez trudu przecinały ciało.

Malik przyglądał się cierpliwie, jak demon wciąga wrzeszczącą ofiarę w głąb swego galaretowatego ciała. Przy wtórze wilgotnego mlaśnięcia stwór pochłonął złodzieja. Mimo uszkodzonego gardła rzezimieszek wrzeszczał jeszcze dobrych kilka sekund. Jednak gdy jego skóra zaczęła znikać, znieruchomiał wreszcie.

Gdy demon strawił swą ofiarę, Malik odezwał się doń raz jeszcze:

– Teraz jesteś prawdziwie związany. Twoja magia jest moją magią. Najpierw dasz mi moc, by to ciało przetrwało dłużej niż poprzednie. – Nie zamierzał niczego wyjaśniać demonowi, bo stwór widział Malika takim, jakim ten był naprawdę. – To da mi czas.

Bestia zamachała potwierdzająco mackami.

Malik wykrzywił się w uśmiechu godnym swej dawnej postaci.

– A wtedy ponownie rozpoczniemy poszukiwania Uldyzjana ul-Diameda.

DZIEWIĘĆ



Rozwścieczony dwulicowością magów Uldyzjan obrzucił ich groźnym spojrzeniem. Szmaragdowa sfera rozprysnęła się, skruszona jego wolą. On zaś postąpił krok naprzód, gotów do konfrontacji.

Oczy Amolii rozszerzyły się ze zrozumieniem.

– To wszystko, co tu macie w Kedzanie? – zapytał ze złością. – Oszustów i zdradę?

Ketus wykonał kilka gestów. Na ramionach Uldyzjana osiadł szron, który chwilę później stał się twardszy niż skała.

Ale to wciąż było nie dość. Uldyzjan, coraz bardziej rozgniewany, wzruszył ramionami.

Ten ruch, wzmocniony mocą, posłał odłamki lodu w powietrze.

– Przestańcie! – rozkazał im wszystkim książę Ehmad. – Przestańcie natychmiast!

Ku zdumieniu Uldyzjana magowie znieruchomieli.

Książę ponownie stanął między nimi a swoim gościem. Gniewnym spojrzeniem raczył głównie dwójkę magów.

– Pałac został ogłoszony miejscem neutralnym, droga Amolio – przypomniatł im młodzieniec. – Żaden mag nie rzuci zaklęcia na innego maga. Atakując go, naruszyliście z siedem zasad.

– Nie należy do żadnego z klanów – odpowiedziała jasnowłosa czarownica. – Przymierze go nie dotyczy.

– Jesteś pewna?

Amolia łypnęła na Ketusa, który przechylił głowę.

Nie odpowiadali księciu, lecz żadne nie ponowiło ataku na Uldyzjana.

– Wybacz, proszę, mistrzu Uldyzjanie. – Ehmada odwrócił się w stronę swego gościa. – To był błąd w ocenie sytuacji.

Uldyzjan widział to zgoła inaczej, ale z uwagi na księcia skinął tylko głową.

– Chciałby porozmawiać z Radą Magów i wiodącymi gildiami. Czyż nie tak, Uldyzjanie? – kontynuował władca.

– W rzeczy samej.

– Amolio, czy nie uprościłoby to rozmowy i nie zapewniło jaśniejszych odpowiedzi, gdyby Uldyzjan stanął przed nimi z własnej woli?

Kobieta odpowiedziała jedynie uprzejmym kiwnięciem głowy.

– Prosiłbym więc, żebyś pomogła to zorganizować, przynajmniej gdy chodzi o klany. Wiem, z kim rozmawiać, jeżeli chodzi o gildię. Uldyzjan może przemówić do obu w tym samym czasie, w ten sposób nie zrani niczyich uczuć.

Ketus prychnął rozbawiony, słysząc ów ostatni komentarz, ale ucichł natychmiast pod gniewnym spojrzeniem Amolii.

– I tak jak szlachetny Fahin wcześniej – mówił dalej Ehmada, udawszy, że nie zauważył zachowania magów – tak teraz ja mianuję się opiekunem Uldyzjana i zapewnię mu wszelaką ochronę, jaką może dać moje imię.

– I wierzysz, że to wystarczy? – mruknęła czarownica.

– Myślę, że to wszystko, co było do powiedzenia. – Księżę założył ramiona na piersi.

Ketus zeszytniał. Amolia, choć na niego nie patrzyła, zdawała się natychmiast wyczuć zmianę, jaka zaszła w magu.

– Myśleli, że go mają. – Mag spoglądał w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. – Ale szczur wymknął im się z pułapki!

– Odnaleźli go tak szybko?! – Uldyzjan był pod wrażeniem, mimo że magowie nie odnieśli sukcesu.

– Żaden zbuntowany mag nie ukryje się przed klanami w tym mieście – wyjaśniła arogancko Amolia. – Każdy z nich zgodził się przekazać część swojej istoty, która jest przechowywana na wypadek takiej sytuacji. Takie przypadki jak Zoruna Tzina miały już miejsce w przeszłości.

– To brzmi dość ryzykownie. A co, jeśli jeden z członków Rady zadecyduje, że chce mieć Kedżan dla siebie?

– Potrzeba trzech czwartych Rady, by otworzyć drogę do miejsca, gdzie owe części są przechowywane. Żadna katastrofa ani zdrada nie mogą im zagrozić.

Uldyzjan nie zamierzał się wyklócać, ale miał wrażenie, że magowie niezbyt wielką wiarę pokładają w sobie nawzajem, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę ich nieustanne waśnie. Gorzej nawet – teraz, gdy niemal dopadli Malika w ciele Zoruna Tzina, kapłan poszuka sobie innego nosiciela, kogoś, kto nie będzie należał do plemienia magów.

– Zobaczmy, czego będzie życzyć sobie Rada – powiedziała wreszcie Amolia. – Nie zdziwcie się jednak, jeśli nie zechcą wysłuchać prostego farmera, który będzie im mówił, co mają, a czego nie mają robić ze swoimi umiejętnościami.

– Nie miałem tego zamiaru – warknął Uldyzjan.

Żaden z magów mu nie odpowiedział. Stali tylko przez chwilę nieruchomo, a potem... zniknęli.

Księżę Ehmada westchnął z ulgą.

– Niech będą dzięki opatrności! Obawiałem się, że jeśli nie przestaniecie się sprzeczać, cały ten balkon wyleci w powietrze.

– Ze swej strony bardzo przepraszam.

Władca zbył te słowa machnięciem ręki.

– Spróbuj dokończyć sprawę z klanami i gildiami bez dalszego rozlewu krwi. Tylko o to cię proszę, asceńczyku.

– I tylko tego pragnę – odparł syn Diomedesa, skłaniając głowę.

Zapadła już noc, a tymczasem nie słyhać było żadnych wieści dotyczących Zoruna Tzina ani też spotkania z magami. Książę zapewniał Uldyzjana, że to ostatnie wynika z typowych dla magów kłótni, tym razem o to, jak najlepiej podejść do sprawy.

– Będą się wadzić o to czy o tamto, żeby koniec końców osiągnąć ten sam wynik, jaki by osiągnęli, nie sprzecząc się wcale. Podobnież sprawa ma się z gildiami, które wciąż mi jeszcze nie odpowiedziały.

Polowanie na zbuntowanego maga również nie przynosiło żadnych rezultatów. Poza tym pierwszym razem Zorun Tzin – czy raczej Malik – nie dał się już zobaczyć. Uldyzjan upatrywał w tym dowodu, że nieumarły kapłan zdobył nowe ciało. Teraz mógł już być każdym.

Nietrudno było wyjaśnić to księciu – daleko trudniej wymyślić rozwiązanie dla tego problemu. Ehmada zapewnił, że przekaze informacje Amolii i pozostałym, ale Uldyzjanowi to nie wystarczało. Wiedział, że Malik po niego przyjedzie... A to znaczyło, że każdy na drodze nieumarłego kapłana mógł stać się jego ofiarą.

Ehmada sprzeciwił się propozycji swego gościa, że ten poszuka schronienia gdzie indziej.

– Po pierwsze, jeśli ten straszliwy duch nie dowie się, że opuściłeś pałac, i tak przyjdzie cię tu szukać. Po drugie, jeśli opuścisz pałac, klany mogą uznać to za pretekst, by ogłosić, że nie znajdujesz się już dłużej pod moją opieką. To prawdziwi oportuniści, szlachetny Uldyzjanie.

– Twe słowa, panie, każą mi wątpić w sens jakichkolwiek układów z nimi. Zastanawiam się, czy w ogóle można im zaufać.

– O, można. Jeśli przysięgną, dotrzymają słowa. Musisz tylko uważnie sformułować przysięgę.

Ehmad zostawił Uldyzjana pogrążonego w niewesołych myślach. Książę umieścił swego gościa wśród takich luksusów, jakich ten dotąd nie zaznał, nawet goszcząc w domostwie mistrza Etona w Parcie. Okrągłe, obite aksamitem łoże było nieprawdopodobnie miękkie, nad nim zaś wisiał wspaniały baldachim, tkany w sceny z dżungli. Rozmaite rośliny i zwierzęta tworzyły cudownie uspokajający widok, w każdym zaś rogu widniały dwie skrzyżowane włócznie.

Wystrój komnaty był w oczach prostego farmera raczej krzykliwy. Płomienne czerwienie i oranże, przeplatane złotem, kontrastowały żywo z barwami lasu. Tam, skąd pochodził Uldyzjan, ludzie nie mieli wiele czasu na ozdabianie swych domów; zbyt zajęci byli uprawianiem ziemi, by pozwoliła im przetrwać.

Po prawej, przez dwa duże, bogato zdobione okna można było podziwiać panoramę północnej części miasta. Cieniutka zasłona łagodnie tłumiła światło wpadające do środka. Uldyzjan nauczył się już, że stolica nigdy nie zasypia, tu zawsze coś się dzieje. Zdumiewało go, że ludzie byli w stanie dalej żyć swoim życiem, szczególnie biorąc pod uwagę niezwykle ważne, a przy tym śmiertelnie niebezpieczne wydarzenia, które nie tylko były udziałem Uldyzjana, ale i od niego brały swój początek.

Jego myśli popłynęły ku Mendelnowi, Serentii i pozostałym. Z jakiegoś powodu, w miarę jak ubywało dnia, Uldyzjan niepokoił się o nich coraz bardziej. Zupełnie jakby działo się coś złego, ale co – nie potrafił powiedzieć. Obawiał się sięgnąć ku nim. Wciąż istniała możliwość, że w obozie wszystko było dokładnie tak jak w chwili, gdy odchodził. Próby kontaktu mogły wtedy jedynie wzbudzić obawy edyremów co do bezpieczeństwa swojego przywódcy. A on nie chciał, by działali pochopnie. Jeśli cokolwiek zagroziłoby szansom na zebranie klanów i gildii oraz uzyskaniu ich poparcia w działaniach przeciwko Katedrze, byłaby to prawdziwa katastrofa.

Lecz niepokój wciąż go dręczył. Po dłuższych rozważaniach Uldyzjan postanowił sięgnąć tylko do Serentii. Chciał w miarę swych możliwości zapewnić dziewczynę, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nie miał zamiaru martwić jej wieścią o powrocie Malika. Przynajmniej nie teraz.

Gdy zaczął wołać Serentię, jedno ze świateł na zewnątrz wyjątkowo go rozpraszało. Gdziekolwiek by się obrócił, ciągnęło ku sobie jego spojrzenie.

Rozwiązanie było proste. Uldyzjan wstał, by zasłonić cięższe kotary. Pochwycił jedną i zamarł. Patrzył w odległe światło, próbując odgadnąć, skąd ono pochodzi. Jego źródło znajdowało się bardzo daleko, dalej niż Uldyzjan myślał na początku. Chyba nawet poza murami miasta. Co mogło świecić tak jasno i tak daleko od pałacu?

I wtedy coś jakby warknięcie sprawiło, że podskoczył. Spojrzał za siebie, ale niczego nie zobaczył. Stał jakiś czas w postawie obronnej, aż w końcu uznał, że to tylko jego wyobraźnia.

Dopadło go zmęczenie. Przestał myśleć o odległym świetle, o Serentii, o wszystkich edyremach i po prostu zwałił się na łóżko. Przetoczył się na plecy i marząc już tylko o śnie, zapatrzył na wzory na baldachimie.

Jednak wrócił myślami do Serentii i edyremów i poczuł się winny. Spróbował się otrząsnąć i ponownie skupić na dziewczynie. Gapiąc się na baldachim, wyobraził sobie, że to ta sama dżungla, gdzie zapewne teraz obozowali edyremowie.

Im bardziej się koncentrował, tym wyraźniejszy stawał się obraz nad jego głową, aż stał się niemalże prawdziwy. Uldyzjan słyszał już odgłosy dżungli i wyobrażał sobie, że są tam prawdziwe zwierzęta. Dobiegało go ich nawoływanie. Widział siebie niedaleko obozu edyremów.

W pewnym momencie zamknął oczy, a potem otworzył je gwałtownie, gdy obok zaryczał wielki kot.

Uldyzjan zobaczył, że otacza go dżungla, ale nie ta, którą tak dokładnie sobie wyobrażał. Stał wśród dziwnego, jaskrawego gąszczu. Drzewa były

dziwacznie jednakowe, szczególnie gdy spojrzano się na liście. Nie potrafił określić źródła światła, ale wokół było jasno jak w dzień.

Sekundę później dostrzegł wielkiego lśniącego kota, który szykował się do ataku.

Uldyzjan machnął ręką, lecz jego moc była jakby przytłumiona. Zaledwie odsunął drapieżnika, zamiast jednym gestem posłać go w powietrze.

Z lewej dobiegł go kolejny pomruk. W ostatniej chwili zdążył uskoczyć i uniknąć ataku drugiego kota.

Oba drapieżniki natychmiast odwróciły się ku niemu. Spróbował przywołać kulę ognia, ale bezskutecznie. Musiał cofać się, przedzierać przez tę dziwną roślinność, żeby uciec przed kłami i pazurami.

Ledwie jednak zagłębił się w gąszczu, gdy wielgachna pancerna bestia z długimi kłami po obu stronach pyska niemal rozdeptała Uldyzjana. Siłą rozpędu potoczyła się ku drapieżnym kotom, a te natychmiast umknęły jej z drogi.

Uldyzjan gapił się na zwalnijące zwierzę. Zdziwiło go nie tyle to, że lśniło dokładnie tak jak wielkie koty, ile fakt, że było tej samej dziwnej barwy. Wszystkie trzy stworzenia były złote, połyskiwały przerywaną pomarańczową linią na krawędziach, a na bokach piersi miały jaskrawoczerwone znaki w kształcie liści.

Zanim jednak zdołał coś z tego zrozumieć, jeden z kotów rzucił się do ataku. Uldyzjan wiedział, że tym razem nie ucieknie, przygotował się więc na uderzenie.

Kot okazał się zaskakująco lekki, ale i tak obaj potoczyli się na ziemię. Zęby kłapnęły o ciele przed twarzą Uldyzjana, ten zaś, wychowany wśród zwierząt, natychmiast zauważył kolejną anomalię.

Kot nie oddychał. Z jego pyska nie dobywało się najlżejsze nawet tchnienie, nawet cień odoru, tak przecież charakterystycznego dla drapieżników.

Pazury rozdarły Uldyzjanowi pierś. Mężczyzna gwałtownie wciągnął powietrze. Coś dziwnego płynęło z ran, jakby wstążki, jakby materiał, który miał obrazować krew.

I wtedy Uldyzjan zrozumiał wreszcie, gdzie się znalazł. Odepchnął kota na bok i szybko się rozejrzał. Jego obawy się potwierdziły, gdy zobaczył wokół takie same dziwne drzewa i liście. Nie widział nieba. Bo tutaj niebo nie istniało.

Był w gobelinie.

Jak do tego doszło – nie wiedział i nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bowiem drugi kot i rogata bestia ruszyły do ataku. Przypomniawszy sobie o nienaturalnej lekkości swych przeciwników, Uldyzjan z całej siły kopnął kota i przeskoczył nad bestią.

Cień spadł mu na plecy. Szpony rozorały kark. Ptaszysko, podobne kolorem do poprzednich stworzeń, przeleciało obok. Było niemal tak wielkie jak drapieżne koty. Zawróciło, szykując się do ponownego ataku. Uldyzjan zrobił krok i niemal wpadł w szczęki groźnego rzeczno-jaszczura, którego pierwszy raz widział, jeszcze wędrując z edyremami. Paszcza pełna wielgachnych zębów sięgnęła do jego nogi. I choć mężczyzna podejrzewał, że drapieżnik nie ma prawdziwego przełyku, nie zamierzał tego sprawdzać. Z trudem zdołał przetoczyć się poza zasięg kłapiących szczęk.

Wrzaski innych zwierząt wypełniły jego uszy. Ze wszystkich stron szły na niego stworzenia z gobelinu. Uldyzjan zobaczył długiego złowrogiego węża, dzikie małpy, rosłe niczym ludzie, antylopy ze skręconymi spiralnie rogami.

Zobaczył coś jeszcze. Swą ostatnią nadzieję. Popędził jak mógł najszybciej, w biegu odepchnął węża i kopnął kolejnego jaszczura.

Tam! Stały dokładnie tam, gdzie zapamiętał. Długie złote włócznie. Ledwie zdołał pochwycić jedną z nich, gdy zanurkował nań następny

latający drapieżnik. Uldyzjan przywitał bestię silnym ciosem włóczni, która zwała ptaszysko na ziemię. Bestia zaskrzeczała i zdechła.

Uldyzjan wyciągnął ostrze z truchła i błyskawicznie odwrócił się, by stawić czoła kolejnej bestii. Koń, który szykował się do ataku, teraz cofnął się gwałtownie, prychając. Pancerna bestia za Uldyzjanem w ogóle nie zwolniła – nie bacząc na włócznię, nadal na niego szarżowała.

Mężczyzna wykorzystał broń niczym tyczkę, by wskoczyć na grzbiet zwierzęcia, a gdy ono uniosło ku niemu głowę, przebił niechroniony łeb włócznią.

Bestia zwała się z charkotem, wrywając przy tym Uldyzjanowi broń z ręki. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko skoczyć po drugą, która wciąż wisiała tam, gdzie ją zostawił.

Potężna łapa pochwyciła jego dłoń, zanim ta zamknęła się na drzewcu. Uldyzjan zobaczył porośnięte sierścią oblicze, będące karykaturą człowieka.

Wielgachna mała owinęła długie ramiona wokół Uldyzjana i ścisnęła. Powietrze wyrwało mu się z płuc z jękiem.

„To wszystko jest nierzeczywiste – powtarzał sobie w duchu. – Nie jestem uwięziony w gobelinie!”

Ale skąd miał wiedzieć, czy na pewno nie? Wszystko wokół świadczyło o czymś przeciwnym.

Lecz bez względu na to, jak było naprawdę, Uldyzjan miał pewność, że wciąż powinien móc władać swą mocą. Nie dostrzegał powodu, dla którego miałoby być inaczej.

Próbował wykoncypować coś prostego, acz skutecznego. I jak wcześniej, przyszedł mu na myśl ogień. Jednak przy poprzedniej próbie nie udało mu się wykrzesać nawet iskry.

Jaki jednak miał inny wybór? Skoncentrował się mocniej niż kiedykolwiek. Ogień. Pragnął ognia...

I nagle dżungla wokół stanęła w płomieniach.

Ogień nie był taki, jakiego Uldyzjan podświadomie się spodziewał. Płomienie nie osmaliły drzew, nie zwęgły krzewów, wypalały w nich dziury, jakby rośliny zrobione były z materiału.

Atakujące Uldyzjana stwory zareagowały jak normalne zwierzęta i w panice rzuciły się do ucieczki. Kilka pochwyconych w płomienie spłonęło w ten sam dziwny sposób co drzewa. Ogień wypalał w nich dziury. Szczególnie niepokojące jednak było to, że zwierzęta uciekały, dopóki nie potraciły nóg albo i całego ciała. Dopiero wtedy były naprawdę „martwe”.

I choć płomienie odstraszyły drapieżniki, to zarazem stworzyły nowe zagrożenie. Łapczywie pochłaniały nierealną dżunglę. Uldyzjanowi została do ucieczki jedynie niewielka przesieka, o ile ucieczka w ogóle była możliwa.

Nie tracił jednak nadziei. Usatysfakcjonowany faktem, że jego moce znów są pełne, skupił się na swym pokoju. Był przekonany, w bliżej niewytłumaczalny sposób, że wciąż znajduje się w komnacie, a cała dżungla jest jedynie iluzją. Jeśli coś mu groziło, to tam, nie tu. Tu zagrażał jedynie ogień, a ten był wytworem Uldyzjana i przezeń kontrolowanym.

Gdy tylko o tym pomyślał, płomienie cofnęły się posłusznie. W tym samym momencie utkana dżungla straciła na wyrazistości i poczęła się rozwiewać. Mężczyzna, choć zadowolony z sukcesu, nie przestawał się koncentrować. Był pewien, że w realnym świecie grozi mu niebezpieczeństwo.

Nagle znalazł się z powrotem w komnacie. Stał przy oknie, ściskając w dłoni brzeg zasłony, którą chciał odgrodzić się od przenikliwego światła. Dotarło doń, że jego oczy bez mrugnięcia wpatrywały się w owo światło.

Wiedział też, że nie jest sam.

Rzucił się w bok, gdy cień przybrał kształt mężczyzny dorównującego mu wzrostem, lecz o wiele mocniej zbudowanego. Twarzy tamtego

Uldyzjan nie widział, bo choć nieproszony gość znalazł się w smudze światła, cień przesłaniał jego rysy.

Syn Diomedesa dostrzegł dwa zakrzywione noże, każdy o ostrzu długim na stopę. Zalśniły w świetle padającym przez okno. Nie miał żadnych wątpliwości co do ich przeznaczenia. Zamaskowany przeciwnik ciął nimi raz po raz.

Uldyzjan uniósł pięść, wyobrażając sobie kulę energii. Zmaterializowała się niemal natychmiast i od razu pomknęła w stronę tajemniczego wroga.

Chwilę później rozprysnęła się na wszystkie strony niczym deszcz iskerek i wyparowała, nie czyniąc żadnej szkody.

Widząc tę porażkę, przeciwnik Uldyzjana roześmiał się okrutnie. Natychmiast rzucił się do ataku z wzniesionym ostrzem, Uldyzjan zaś, zaskoczony ochroną spowijającą tajemniczego wroga, nie zdołał zablokować ciosu.

Nóż przeciął jego ubranie i wykreślił straszliwą linię na ciele. Asceńczyk stęknął boleśnie. Udało mu się cofnąć poza zasięg drugiej klingi, ale kiedy spróbował się uleczyć, rana oparła się jego wysiłkom.

– Heretyku! – zagrzmiął napastnik. – Twoja demoniczna magia jest niczym wobec jego wspaniałej potęgi!

To była aż nadto czytelna wskazówka, kto stoi za tym zdumiewającym atakiem. Inarius dobrze to wszystko zaplanował.

Uldyzjan wiedział, że mógłby obrócić pałac w gruzy, nie odnosząc przy tym żadnych obrażeń, ale nie zdołałby wtedy ochronić kogokolwiek innego, w tym księcia Ehmada. Niewątpliwie Inarius doszedł do podobnych wniosków, tym samym związał ręce swemu przeciwnikowi. Zabójca nasłany przez anioła był dobrze chroniony, sam Inarius dowiódł natomiast, że jego moc jest o wiele większa od tej, którą dysponuje śmiertelnik.

A może jednak nie? Zabójca próbował osaczyć Uldyzjana, ten zaś zastanawiał się intensywnie, dlaczego anioł przysłał sługę, zamiast wrócić samemu. Uznał, że przeciwnik nie jest wart, by zajmować się nim

osobiście? To wydawało się mało prawdopodobne, albowiem to anioł bez dwóch zdań osłaniał swojego wysłannika. Inarius trzymał się z dala od walki, a jednocześnie brał w niej czynny udział.

Dlaczego? Dlaczego po prostu nie zmiażdżył Uldyzjana?

Czyżby dlatego... że nie mógł?

Uldyzjan uderzył plecami o ścianę. Gdy zastanawiał się nad pobudkami anioła, wyszkolony zabójca zapędził go dokładnie tam, gdzie chciał.

Ostrza uderzyły z obu stron jednocześnie. Każde poruszało się po takim łuku, że niemożliwe było śledzić je jednocześnie. Uldyzjan zablokował jedno, które wydało mu się groźniejsze, a wtedy zabójca zatopił drugie w jego brzuchu.

Uldyzjan jęknął, gdy klinga zatonęła w jego ciele. Tajemniczy napastnik zaśmiał się zadowolony.

– Błogosławiony Prorok! – triumfował zabójca. – Heretyk jest martwy!

Nie mylił się. Uldyzjan czuł charakterystyczny chłód śmierci rozchodzący się po jego ciele. Nie docenił anioła.

I choć był pewny, że umiera, nie poddał się, walczył z tym przerażającym chłodem, walczył i... wygrał. Chłód cofnął się z jego ciała do dłoni, gdzie pozostał. W człowieku znów zatętniło życie. Uldyzjan nadal jednak osuwał się po ścianie, pozwalając przeciwnikowi uwierzyć, że zwyciężył.

Zabójca pochylił się z nożami gotowymi do kolejnego ciosu, co byłoby już tylko zbędną siekaniną. Zadał poprzedni cios tak celnie, że nie było potrzeby uderzać ponownie. A jednak napastnik wciąż zdawał się mieć ochotę, by zatopić ostrza w swojej ofierze. Uniósł je wysoko...

Uldyzjan zebrał w dłoniach chłód śmierci, dar Inarius, przycisnął obie do piersi zaskoczony nożownika i posłał weń ów wieczny ziąb.

Zabójca krzyknął rozpaczliwie, gdy śmierć ofiary wypełniła jego ciało. Noże z brzękiem upadły na posadzkę. Mężczyzna zaś zacisnął dłonie na brzuchu, tam, gdzie trafił swego przeciwnika.

Uldyzjan poczuł, że resztki zimna ulatniają się z jego palców. Odsunął się od nożownika, odruchowo sięgając dłonią do swojej rany, i odkrył, że wreszcie się zamknęła.

Zabójca przytrzymał się zasłony, odwrócił w stronę odległego światła.

– Wielki Proroku, Ga-Gamuel cię zawiódł! Wybacz!

Uldyzjan uświadomił sobie, że jego niedoszły zabójca może być źródłem wiedzy o Inariusie. Wyciągnął dłoń ku niemu, ale światło ponownie przyciągnęło jego wzrok.

Tym razem blask oślepił Uldyzjana tak mocno, że stracił równowagę. Odwrócił głowę od Gamuela i okna.

Nagły powiew gwałtownego wiatru szarpnął zasłonami, które przesłoniły światło. Odzyskawszy wzrok, Uldyzjan znów sięgnął w stronę nożownika...

Był w komnacie sam.

Rzucił się do okna i spojrział w dół. Nic jednak nie wskazywało na to, że zjadły Gamuel zdecydował się dokonać gasnącego żywota na bruku poniżej. Strażnicy na stopniach wiodących do pałacu też stali nieporuszeni, jakby nie wydarzyło się nic niepokojącego.

Uldyzjan poczuł, że nogi się pod nim uginają. Wrócił do łóżka, gdzie uważnie zbadał baldachim. Tak jak podejrzewał, tkanina nie miała ani śladu spalenizny. Zresztą w całej komnacie nie było żadnych śladów świadczących o tym, że miał tu miejsce jakiś atak albo że Uldyzjan zabił swego napastnika. Dywan przy łóżku był wprawdzie skopany, a ubranie Uldyzjana przecięte, ale samo to nie mogło świadczyć, że cokolwiek się tu wydarzyło.

Choć Uldyzjan nie miał najmniejszego zadrapania na ciele, wiedział, że nie wyobraził sobie tych zmagani. Nie mógł ich tylko udowodnić, stając przed Radą Klanów. Nie był w stanie dowieść ich nawet Ehmadowi, mimo że księżę akurat mógłby uwierzyć w opowieść asceńczyka.

Uldyzjan ponownie spojrział z uwagą w okno. Wciąż widział światło, które prześladowało go wcześniej, teraz jednak było znacznie bardziej stłumione. Wiedział doskonale, czym było i gdzie znajdowało się jego źródło. W końcu okna komnaty wychodziły na północ.

W kierunku Katedry Światłości.

U stóp Proroka leżało ciało. W pozycji, w jakiej przeniósł je jego czar. Gamuel skonał, zanim zdołał przeprosić swego pana. Co dziwniejsze, najemnik przemieniony w kapłana i z powrotem w zabójcę nie został tak po prostu zabity. To, co mu się przytrafiło, było o wiele bardziej skomplikowane niż proste zabójstwo. Nawet Inarius w trakcie stuleci swego istnienia nie widział czegoś takiego.

Gamuel nie doświadczył własnej śmierci, ale śmierci Uldyzjana.

I choć aniołowi wydawało się to niemożliwe, prawda była taka, że Uldyzjan miał umrzeć od ciosu, przekazał swą śmierć zabójcy. Cisnął swoją agonią w Gamuela, a ten nie mógł zrobić nic innego, jak tylko jej się poddać.

Inarius zmarszczył brwi. Powodem tego był zarówno los kapłana, jak i jego porażka. Pionek Lilith dokonał niemożliwego. A to znaczyło, że Inarius będzie musiał zmienić całą swą strategię. Niebezpieczeństwo, jakie zawsze widział w nefalemach, czy też edyremach, jak sami siebie nazywali, stało się realne.

– W TAKIM RAZIE... JEŚLI MUSZĘ OCZYŚCIĆ SANKTUARIUM Z WSZELKIEGO ISTNIENIA, BY POŁOŻYĆ KRES TEJ OHYDZIE I WYNATURZENIU... NIECHAJ TAK BĘDZIE.

W niezwykłym przejawie wściekłości machnął dłonią w stronę ciała sługi.

Zwłoki Gamuela zmieniły się w marmur, a potem rozsypały w pył, który rozwiął się niemal natychmiast, choć nie było wiatru.

Inarius odwrócił się, już nie pamiętał o swym poległym zabójcy.

– NIECH TAK BĘDZIE – powtórzył zimno. – NIECH BĘDZIE.

DZIESIĘĆ



Do murów Kedżanu mieli dotrzeć następnego dnia, a jednak ani Serentia, ani żaden z edyremów nie byli w stanie wyczuć Uldyzjana, a tym bardziej skontaktować się z nim. Mendeln, który miał innego rodzaju połączenie ze swoim bratem, uważał, że wyczuwa obecność Uldyzjana w mieście, lecz to wszystko.

Miał swoją teorię na temat tych kłopotów, związaną z klanami magów. Uważali stolicę za swoją domenę. Im bliżej miasta, tym bardziej Mendeln wyczuwał magiczne energie, gromadzące się wokół Kedżanu przez całe pokolenia. Czary nałożone na czarach, z których wiele miało ukrywać pracę magów przed ich rywalami, ale także przed nadmierną ciekawością Katedry i Trójcy. Czy magom udało się osiągnąć ten ostatni cel, można było dyskutować, ale niewątpliwie ich zaklęcia wprawiały edyremów w konsternację. Wielu spośród towarzyszy Mendelna obawiało się, że jego starszy brat został pojmany, a może nawet zginął, i ani on, ani Serentia nie potrafili podważyć tego przekonania.

Wszystko wskazywało na to, że armia Uldyzjana po prostu zaatakuje stolicę, jeśli nie zdoła dowiedzieć się czegoś konkretnego o losie przywódcy.

Mendeln nawet nie chciał wyobrazić sobie, jak wiele krwi zostanie wtedy przelane. Pochwyceni pomiędzy magami a edyremami niewinni będą umierać setkami.

A on sam nie mógł w żaden sposób temu zapobiec.

Wioski na trasie ich marszu zastawiali całkowicie opustoszałe. Skorupy, będące kiedyś domami, wydawały się Mendelnowi bardziej upiorne niż cmentarze, bo powinny tętnić życiem. Wszystko tu było nie tak...

Bliżej stolicy Mendeln wyczuwał żołnierzy, w większości kryjących się w oczekiwaniu na atak. I choć było ich wielu, nie stanowili siły zdolnej chociażby spowolnić edyremów. Mendeln nie wychwytał wśród obrońców miasta jakichś znaczących śladów magii.

Serentia próbowała zaprowadzić porządek w szeregach edyremów, ale nawet przy wsparciu Jonasa i Sarena przychodziło jej to z coraz większym trudem. Świadom, że jego obecność bardziej szkodzi, niż pomaga, Mendeln odłączył się od pozostałych i skręcił do najbliższej wioski. Wiedział, że nie powinien wędrować samotnie, ale zawsze lepiej mu się myślało bez towarzystwa. Nie był też tak do końca sam, bo jak zwykle szło jego śladem kilka cieni – tym razem były to duchy przypadkowych ludzi, zmarłych niedawno w stolicy. Zdążył już je nawet przepytąć, lecz nie dowiedział się niczego istotnego. Byli to prości ludzie, którzy ciężko pracowali, by pozostać przy życiu tak długo, jak tylko mogli.

Mendeln szedł od jednego pustego domu do drugiego. Czasem zaglądał w okna, nie tyle dlatego, że interesował się życiem tubylców, ile z powodu tęsknoty za własną przeszłością.

Uśmiechnął się krzywo pod nosem. W Seram nieraz marzył o tym, by zostać farmerem, nieraz śnił o podróżach do egzotycznych miejsc, jakie widywał na mapach mistrza Cyrusa.

Trącił coś przypadkowo czubkiem buta. Podniósł ów przedmiot z umiarkowanym zainteresowaniem. Dziewczęca lalka. Jej włosy pofarbowano na ciemny brąz, zapewne miała przypominać swą

właścicielkę. Mendeln wspomniał swoją najmłodszą siostrę, która zmarła w trakcie plagi. Odkąd pozyskał nowe umiejętności, zastanawiał się, czy zdołałby wezwać jej ducha. Lecz zawsze w końcu odrzucał tę myśl. Siostrzyczka nie żyła. Jego rodzice nie żyli. A on pragnął, by spoczywali w spokoju.

Nie chciał, żeby się dowiedzieli, czym stali się Uldyzjan i on sam.

Odłożył lalkę w to samo miejsce w nadziei, że jeśli w jakiś sposób uda się uniknąć rozlewu krwi, dziewczynka będzie mogła odzyskać swoją zabawkę. Kiedy się wyprostował, poczuł, że nie jest sam. Rozejrzał się między pustymi domostwami i... zobaczył Achiliosa. Myśliwy trzymał w dłoniach łuk ze strzałą na cięciwie i patrzył na dawnego przyjaciela.

Mendeln zareagował instynktownie. Dobył kościanego sztyletu z taką szybkością, że zaskoczył nawet nieumarłego łucznika, i wymruczał kilka słów, których nauczył go Rathma.

Achilios cofnął się w cień na ułamek chwili przed tym, gdy kościane zęby uderzyły w miejsce, gdzie stał. Mendeln zaklął i wdarł się do jednego z domów, po czym wysłał otaczające go duchy, by sprawdziły, gdzie podział się łucznik.

Ale gdy odpłynęły, Achilios sam udzielił mu odpowiedzi na to pytanie.

– Nie zrobię ci krzywdy... – wychrypiął. Najwyraźniej stał po drugiej stronie ściany, o którą opierał się Mendeln. – Wyjdź... Porozmawiajmy.

Mendeln odwrócił sztylet i wyszeptał inne zaklęcie.

Zanim zdołał je dokończyć, coś świsnęło mu koło ucha i utknęło z głośnym stuknięciem w desce jednej ze ścian. Strzała wpadła przez okno o kilka stóp od Mendelna, który padł na klepisko, by po chwili ostrożnie przeczołgać się na tył domu. Potem zaczął splatać kolejny czar.

Ściana frontowa wraz z oknem, przez które strzelał Achilios, eksplodowała na zewnątrz. Mendeln usłyszał wściekłe warknięcie i przekleństwo. Sam rzucił się do tylnych drzwi i popędził w dżunglę. Dwa duchy, młodzieńca, który umarł na syfilis, i starszej kobiety zmarłej

z powodu słabego serca, poinformowały go, właściwie niepotrzebnie, że wybuch nie powalił Achiliosa.

Mendeln złapał oddech i przeklął własne zawahanie. Znał przecież czary, które o wiele lepiej mogły zadziałać w przypadku istoty, którą był teraz jego dawny przyjaciel, i to zadziałać ostatecznie. A jednak nie potrafił się zmusić, by z nich skorzystać. To w końcu był Achilios, nawet jeśli ścigał Mendelna w wyraźnie zabójczych zamiarach, to ten ciągle miał nadzieję uwolnić nieumarłego.

Szlachetne zamiary, które jak nic doprowadzą do śmierci młodszego z synów Diomedesa.

Kolejny duch, tym razem szlachcianki, która wolała zażyć truciznę, niż żyć w małżeństwie z o wiele starszym, a przy tym brutalnym mężczyzną, zmaterializował się w odpowiednim momencie, by poinformować, z której strony zbliża się Achilios. Mendeln natychmiast ukrył się w gęstych krzewach za domem – nie słyszał wprawdzie łucznika, ale wiedział, że ten jest gdzieś blisko.

I rzeczywiście – chwilę później usłyszał jego ochrypły głos.

– Mendelnie... Przyszedłem porozmawiać... Nie trzeba... tego! Wyjdźmy obaj...

W odpowiedzi Mendeln wyrysował w powietrzu wzór i posłał go w stronę, skąd dobiegał głos łucznika.

– Na... gwiazdy! – zachrypiał Achilios. W tej samej chwili rozległ się rumor jakby niewielkiego trzęsienia ziemi.

Mendeln nie mógł zobaczyć rezultatów swego zaklęcia, ale mógł je sobie wyobrazić. Ziemia wokół nieumarłego Achiliosa podniosła się, jakby chciała go pochwycić i ponownie złożyć do grobu. Mendeln sam opracował ten czar na podstawie czegoś, co pokazał mu Trag'Oul. Cierpiał na myśl, że robi to swemu staremu przyjacielowi, lecz nie chciał dać łucznikowi możliwości wypuszczenia kolejnej strzały.

Ziemia nadal przesypywała się głośno, Mendeln zaś pobiegł w stronę odległego obozu. Nie był zadowolony, że prowadzi łucznika ku Serentii, ale tam Achilios nie będzie tak skory do ponowienia ataku... A przynajmniej taką Mendeln miał nadzieję. Czuł, że nie może się zatrzymać.

Utwierdził się jeszcze w tym przekonaniu, gdy chwilę później śmignęła obok niego kolejna strzała. Grot wbił się głęboko w drzewo, a gdy Mendeln dotknął swego ramienia, odkrył spore rozdarcie w rękawie. Pół cala brakowało, żeby strzała przebiła mu ramię.

Znów pomyślał o Serentii, o tym, co może się stać, jeśli Achilios spróbuje raz jeszcze ją zabić. Łucznik tak łatwo pokonał rzucone nań zaklęcie, że niewątpliwie musiała wspierać go potężna moc.

Mendeln wątpił, by miał jakiegokolwiek szanse w walce z aniołem, lecz zdecydował, że raczej zaryzykuje, niż po raz kolejny narazi przyjaciółkę. Zgrzytając zębami, skręcił tam, gdzie drzewa rosły gęściej. Może i dzikie ostępy były domeną Achiliosa, ale ciemność należała do Mendelna.

Przebiegł jeszcze kilka jardów, byle dalej od wioski i obozu, a potem przywarł do drzewa. Przycisnąwszy kościany sztylet do piersi, począł splatać czar. I choć wciąż żywił braterskie uczucia do łucznika, zmusił się, by zobaczyć w Achiliosie to, czym był naprawdę – chodzącym trupem. Istniały zaklęcia, które pozwalały kierować takimi zwłokami. Mendeln wykorzystał je w starciu z armią wieśniaków, wysłanych przez Inariusza. Jednak w wypadku Achiliosa zamierzał wykorzystać odwrotność takiego zaklęcia i wysłać łucznika z powrotem w zaświaty.

W teorii powinno zadziałać. W praktyce...

Bardziej wyczuł, niż usłyszał zbliżającego się Achiliosa. Zaskoczyło go, jak cicho porusza się myśliwy. Za życia łucznik, choć niewiarygodnie dobry w tym, co robił, nie był w stanie poruszać się całkowicie bezszelestnie. Musiał na przykład oddychać.

Mendeln dokończył splatanie zaklęcia. Miał jedną, jedyną szansę, by użyć tego czaru. Do tego potrzebował stanąć twarzą w twarz z łucznikiem,

ale gotów był zaryzykować. To musiało się skończyć. Achilios dwukrotnie chybił, lecz raczej wątpliwe, by nadal strzelał niecelnie. Jego pan na to nie pozwoli.

Żeby Serentia i Uldyzjan przeżyli – o ile jego brat był jeszcze na tym świecie – Achilios musiał umrzeć... raz jeszcze.

„Podniosłem cię z grobu i do grobu cię odeślę... Obyś wybaczył mi jedno i drugie!”

Coś działo się po jego lewej stronie. Zauważył, bo duchy go ostrzegły. Pan Achiliosa tym razem nie zamierzał dopuścić do porażki.

Od ciemności oderwał się cień.

Mendeln porzucił pień drzewa, wyciągnął ku cieniowi kościany sztylet skierowany ostrzem w dół. Białe światło wyłowiło z mroku pokrytą ziemią twarz Achiliosa. Wyraz tej twarzy był obojętny... pozbawiony życia.

I ku przerażeniu Mendelna, łucznik po prostu wypuścił strzałę.

Mendeln wiedział, że już jest martwy. Z takiej odległości nawet o wiele gorszy strzelec trafiłby swą ofiarę prosto w serce. Niemniej Mendeln i tak spróbował dokończyć zaklęcie. Nawet jeśli sam nie miał już szans, mógł jeszcze ochronić Serentię i Uldyzjana.

Grot drasnął Mendelna w szyję i wbił się w pień drzewa, przy którym przed chwilą stał. Mężczyzna zamilkł w pół słowa i zakrył dłonią bolesną, choć płytką ranę.

Achilios opuścił łuk.

– Powinieneś... zginąć... wiesz.

Te słowa sprawiły, że Mendeln się zawahał. Łucznik powiedział prawdę. Mendeln wspomniał słowa swego starszego brata, że myśliwy chybił specjalnie. Chciał wierzyć, że Uldyzjan miał rację, ale próba zabicia Serentii wzbudziła w młodszym z braci wątpliwości co do tej teorii. Kiedy Achilios przyszedł po niego, Mendeln uznał, że trzeciego ułaskawienia nie będzie.

A jednak było, na co Achilios sam zwrócił uwagę.

– Nie bardzo mogę w to uwierzyć – odpowiedział wreszcie Mendeln – że marnowałabyś tyle czasu, nie do końca zabijając swoje ofiary.

Nieumarły zaśmiał się sucho.

– To był czysty wysiłek woli... ani trochę... szczęścia... już za pierwszym... razem. Bardziej... nawet w jej... wypadku. – Gdyby jasnowłosego łucznik mógł uronić łzę, mówiąc o Serentii, na pewno teraz by to zrobił. – A ty... ty jeden... potrzebowałeś... trzech strzał... bo jesteś tak piekielnie uparty!

– Co masz na myśli? – Mendelnowi coraz trudniej przychodziło skupienie, żeby rozpocząć mroczny czar od początku. Gdyby nie chrapliwy głos, ślady ziemi na twarzy i świadomość tego, że pod kołnierzem koszuli myśliwego ziejże paskudna dziura, Mendeln czułby się jak w trakcie jednej z niezliczonych rozmów, jakie prowadzili jeszcze w Seram.

– Przyszedłem... porozmawiać. A ty... to bardzo utrudniasz. W końcu... strzeliłem... żeby pokazać, że... gdybym chciał... cię zabić, to mógłbym... bez trudu. Nie... zwróciłeś uwagi.

– Zaistniały pewne okoliczności, które być może pamiętasz. Kiedy pojawiłeś się ostatnio, to tylko po to, żeby wrazić strzały w Uldyzjana i w Serentię. Jakoś nie przekonałeś mnie, że cokolwiek się zmieniło.

Łucznik potrząsnął głową, odsłaniając przy tym ohydny ranę na szyi.

– Wystrzeliłem więc... drugi raz... żeby pokazać... że zabiłbym cię... albo choćby zranił... gdybym tylko chciał.

Mendeln opuścił sztylet.

– Nie jestem do końca przekonany.

– Nie... Najwyraźniej nie jesteś. – Rysy twarzy Achiliosa ściągnęły się nagle. – Próbowaleś... mnie pogrzebać... Mendelnie. Przez chwilę... chciałem cię... zabić.

Sztylet znów powędrował do góry.

– A teraz?

– To trwało... tylko... przez chwilę... a i tak tego... nie zrobiłem.

W głosie łucznika dźwięczała taka szczerść, że Mendeln wreszcie upuścił sztylet na ziemię.

– Uciekłeś? Dlatego teraz wróciłeś?

– Nie... nie uciekłem. On... zmienił... zdanie.

– Co to znaczy?

– Miałem... Miałem zabić was wszystkich... Przede wszystkim Uldyzjana... i Serentię... z powodu tego, czym się stajecie.

Tego akurat Mendeln domyślił się sam.

– I?

– Teraz... teraz... życzy sobie... czegoś wręcz przeciwnego.

– Życzy sobie czegoś przeciwnego? No to we mnie raczej nie wzbudza zaufania! I kim jest ten on? Poza tym, oczywiście, że jest aniołem!

– Kimś... kto... może być naszą... jedyną nadzieją... w walce z Inariusem. – Łucznik spojrzął ponad ramieniem przyjaciela, a Mendelnowi włoski poniosły się na karku. – Jedyną nadzieją.

– O ILE TO JESZCZE MOŻLIWE – rozległ się głos podobny do Inariusowego. – ALBOWIEM ZDAJE SIĘ, IŻ JEDEN Z TRZECH WŁAŚNIE POJAWIŁ SIĘ W TYM ŚWIECIE.

Mendeln obrócił się błyskawicznie, stając twarzą w twarz z aniołem. W jakiś sposób natychmiast zrozumiał, że to nie Inarius, choć byli do siebie niezwykle podobni.

Ale o wiele istotniejsze było to, co anioł mówił, nie to, jak wyglądał.

– Jeden z Trzech? – powtórzył Mendeln. W głowie miał gonitwę myśli, jedyną znaną mu trójkę stanowiły duchy przewodnie Świątyni Trójcy, które w rzeczywistości były... – Nie! – gwałtownie potrząsnął głową. – Nie mówisz chyba...

Anioł niemal niezauważalnie przytaknął.

– TAK, JEDEN Z WŁADCÓW DEMONÓW PRZYBYŁ DO SANKTUARIUM.

Nie tak miało być. Od niepamiętnych czasów wszystko szło po myśli Inarius. Gdy nieśmiało pojawiał się jakiś niewielki kłopot, anioł zajmował się tą kwestią z zabójczą skutecznością, która zdumiałaby nawet jego pobratymców. Nauczył się tego, popełniwszy jeden niemądry błąd, jakim była wiara w kłamliwe słowa kochanki. Od tamtych ohydnych wydarzeń Inarius nie pozwolił, by najbliższe nawet sprawy wymknęły mu się spod kontroli.

Do teraz.

Anioł, wciąż w postaci Proroka, przemierzał swe prywatne komnaty. Emocje szalały w nim na podobieństwo nawałnicy. Dręczyła go niepewność, jakiej nie zaznał od stuleci.

Oris przyszła, szukając Gamuela, nie wiedziała bowiem, że z kapłana nie pozostał nawet pył na posadzce. Inarius poświęcił jej chwilę zaledwie, a uwagi prawie wcale. Jego bezlitosna uwaga, że o Gamuelu należy zapomnieć, powlekła policzki Oris bladością, ale nie zwrócił na to większej uwagi. Ludzkie problemy zdawały się trywialne w porównaniu z jego troskami.

Noc powoli zbliżała się do świtu. I choć Inarius był nieśmiertelny, te kilka minionych godzin tylko wzmogło przepełniający go niepokój. W przeszłości nie zdarzyła się jeszcze sytuacja, która wymagałaby z jego strony czegoś więcej niż kilku chwil uwagi. Teraz potrafił myśleć tylko o swych ostatnich porażkach.

„TO JAKAŚ POMYŁKA! – powtarzał sobie nieustannie. – TO JAKAŚ POMYŁKA. TO NIE MOJA WINA!”

Śmiertelnik Uldyzjan poradził sobie z Trójcą tak, jak Inarius chciał. Następnym krokiem powinien być upadek anielskiego pionka. Agenci Inarius tak wielu ludzi zwrócili przeciwko edyremom, że powinno to raz na zawsze położyć kres tej ohydzie.

Jednak to nie powstrzymało Uldyzjana... I ten szedł po Inarius... Szedł po niego...

Zerknąwszy na precudowną panoramę, która stanowiła ułomne wyobrażenie wspaniałości Królestwa Niebios, Inarius drgnął silnie. Mógłby przysiąc, że jedna z postaci się poruszyła. Anioł zrobił krok w tył, przyglądając się namalowanym kształtom.

Nie, nic nie mogło się ruszać. To tylko jego wyobrażenia...

Twarz Proroka ściągnęła się w grymasie wściekłości. W tej samej chwili rozplynęły się jego lęki, rozwiały niczym popiół na wietrze – bo w rzeczywistości nie były wcale jego.

– Teraz cię rozpoznałem – powiedział swym ludzkim głosem. – Twoje gierki na mnie nie działają, demonie! Zapomniałeś, z kim masz do czynienia!

– *Ze zdrajcą, kłamcą i mordercą* – odparł głos, który mimo zapewnień Inariusza przejął anioła nieprzyjemnym dreszczem. – *Zupełnie, jakbym miał do czynienia z jednym z moich braci.*

– Jak zawsze bezczelny. – Inarius wypatrzył najciemniejszy z cieni i odwrócił się w tamtą stronę. – Niespotykane bezczelny.

Cień się poruszył, nabrał kształtu.

Inarius nawet nie drgnął, gdy kształt ten okazał się uskrzydłonym wojownikiem, którego znał tak dobrze.

– Nie jesteś Tyraelem, a ja się go nie obawiam.

– *Czyżby? Dlaczegoż więc go przypominam?*

– Boś głupcem, demonie.

Odpowiedział mu śmiech. „Anioł” postąpił naprzód i znów zmienił postać. Teraz stał się człowiekiem. Ale nie byle kim. Był Uldyzjanem ul-Diomedem.

Prorok obnażył zęby w grymasie.

– I znów głupiec. Masz jakiś powód, by stanąć przede mną, zrób to we własnej postaci.

Cień urósł gwałtownie, pochłaniając fałszywego Uldyzjana, którego kształt począł się rozmywać. Demon stał się mniej wyraźny i o wiele mniej

ludzki. Stał się w tej samej mierze wyobrażeniem, co istotą, a Inarius po raz kolejny poczuł przyływ niepokoju, choć nie dał tego po sobie poznać.

Anioł wiedział, że jego wierni doświadczali teraz lęków, jakich nawet się nie spodziewali. Straż przy drzwiach jego sanktuarium zapewne dygotała ze strachu, o ile zbrojni jeszcze nie porzucili swych posterunków. Niejeden z kapłanów padł niewątpliwie na kolana, modląc się, by ciemność dotykająca jego duszy zniknęła jak najszybciej.

Nie wiedzieli, że tak naprawdę mieli szczęście. Demon, który odwiedził Inarius, był zdolny do czegoś niewyobrażalnie gorszego, jednak – podobnie jak anioł – nie ośmielił się całkowicie odsłonić.

Byli przecież tacy, których obawiał się nawet Władca Grozy, Diabło.

Istota wśród cieni górowała nad Inariusem. Kształt demona przypominał zwyrodniałe połączenie człowieka i zwierzęcia, ale to jego twarz budziła największy lęk. Nieustannie się zmieniała. Przez chwilę Inarius widział czaszkę z rogami. Z oczodołów i spomiędzy szczęk wypływała krew. Zaraz potem ujrzał topiącą się głowę, pożeraną nieustannie przez czarne muchy i ogromne larwy. Ten odrażający widok zastąpiły gadzie i zarazem kobiece rysy, przypominające innego demona znanego Inariusowi.

Wtem fizjonomia Lilith zniknęła i Prorok znów patrzył w twarz drugiego anioła. Skrzywił się, a demon roześmiał się i zmienił ponownie. Teraz pusty cień spoglądał na anioła, co z niewytłumaczalnych przyczyn niepokoiło Inarius, bardziej niż jakakolwiek z form nieproszonego gościa.

– *Czy tak lepiej, o Proroku?*

Inarius postanowił zignorować kpinę.

– Kiedy spotkaliśmy się poprzednio, Władco, zgodziliśmy się, że będzie to po raz ostatni.

– *Zawsze są kolejne ostatnie razy, Inariusie. Aczkolwiek nie tak często jak kiedyś.*

– A jaki jest powód twego przybycia?

Kształt demona wciąż się zmieniał, choć już w mniejszym stopniu, jakby demon nie posiadał ostatecznej formy. Każda zamiana, choćby najmniejsza, trącała jakąś strunę w głębi Inarius, aczkolwiek anioł skrzętnie ukrywał swe emocje. Diabło karmił się nawet najmniejszymi z lęków.

– *Powód mojego przybycia jest prosty. Nazywa się Uldyzjan.*

– A, oczywiście. Ty i twoi bracia włożyliście tyle wysiłku w stworzenie Świątyni Trójcy! Ostrzegałem, że upadnie.

– *Ale nie za twoją sprawą.*

Tym razem przyszedł czas na kpinę ze strony anioła.

– *Takiś pewien? Może przyjrzyj się dokładniej.*

Wyczuł wściekłość demona i lęk pochwycił go w swoje szpony. Lecz teraz Inarius wiedział już, że to dzieło Diabło, i osłonił się przed mocą mrocznego Władcy.

Kosztowało go to sporo wysiłku, ale odniósł sukces.

Gdyby byli ludźmi, zapewne wyglądałoby jak wycieńczeni walką przeciwnicy, którzy potrzebują zaczerpnąć oddechu i wrócić do sił.

Inarius wiedział, jak potężny jest Władca Grozy, wiedział też, że udało mu się obronić po części dlatego, że Diabło starał się ukrywać przed swoimi wrogami. I to pozwoliło aniołowi domyślić się, skąd tak nagła wizyta.

– A więc w tym rzecz – mruknął teraz już bardziej pewny siebie. – Obawiasz się, że wszystko stracisz. Władca Grozy się boi!

– *Niczego się nie boję!* – odpowiedziała pustka będąca obecnie twarzą Diabło. – *Nie bardziej niż ty!*

– *Wszystko idzie wedle mojego życzenia...*

Zbrojne w pazury łapy zazgrzytały na nieskazitelnym marmurze, gdy demon postąpił ku swemu rozmówcy. Rozległy cień puchł i kłębił się wokół niego. Jakimś sposobem, choć nawet nie miał oczu, zajrzał prosto do umysłu Inarius.

– *Posmakowałem twego strachu, aniele. Nie miałbym czym się pożywić, gdyby to, co mówisz, było prawdą. Ten śmiertelnik, ten Uldyzjan, stał się czymś więcej, niż ośmielilibyśmy się przypuszczać. Zagroza naszym planom względem Sanktuarium!*

Inarius mimowolnie zmarszczył brwi.

– Dwóm całkowicie odmiennym planom, że ci przypomnę.

– *Ale ze wspólnym ogniwem.* – Diabło pochylił się ku swemu rozmówcy. Przez moment z pustki jego twarzy wyłoniły się rysy tego drugiego anioła, a potem znów utonęły w nicości. – Żaden z tych planów nie stanie się rzeczywistością, jeśli ten śmiertelnik nadal będzie podążał tą drogą.

Prorok odwrócił się od swego nieproszonego gościa, nie ze strachu jednak. Zbyt wyraźnie dostrzegał rację władcy demonów i nie mógł po prostu odrzucić jego słów.

Choć Inarius nierzadko groził, że wymaże wszystko, co istnieje w Sanktuarium, i rozpocznie pracę od początku, w rzeczywistości nie chciał się do tego posuwać. Zbyt długo kształtował ów świat zgodnie ze swoim upodobaniem. Sanktuarium stało się zbyt... wygodne.

Demony pragnęły Sanktuarium, szczególnie żyjących w nim ludzi z innych, bardziej podstawowych powodów. Widzieli w nich wojowników zdolnych przechylić szalę odwiecznego konfliktu na korzyść Płonących Piekieł.

A jak powiedział Diabło, Uldyzjanowi udało się przekroczyć ze swymi edyremami wszelkie granice możliwości. Okazali się silniejsi, niż Inarius mógłby przypuszczać, i jeśli nadal będą się rozwijać, już wkrótce ani on, ani demony nie będą mieli żadnej władzy nad ludźmi.

„TAK BYĆ NIE MOŻE!” – pomyślał anioł z wściekłością. Odwrócił się z powrotem w stronę demona, który czekał cierpliwie.

– Oferujesz sojusz.

Władca Grozy roześmiał się chrapliwie.

– *W twoich ustach brzmi to jak rzecz nie do pomyślenia, aniele! Z tego, co pamiętam, zdarzało ci się już zawierać sojusze z takimi jak ja, i to nie raz.*

Temu Inarius zaprzeczyć nie mógł. Choć tym razem uznał, że przewaga zostanie po jego stronie. Wyciągnął wnioski z popełnionego niegdyś błędu, dostał nauczkę od Lilith.

A przy jej przebiegłości nawet Diabło wypadła blado. Pakt można interpretować rozmaicie. Diabło niewątpliwie spróbuje.

Z gracją wynikającą z wprawy Prorok usadowił się na swej ulubionej sofie. Zupełnie jakby przyjmował jednego z suplikantów, nie pana demonów. Natychmiast wyczuł gniew znieważonego Diabła, ale wiedział że Władca Grozy potrzebuje zasobów, jakimi dysponował Inarius, potrzebuje Katedry Światłości dla swych demonicznych planów.

I anioł ciekaw był też, co demon ma do zaoferowania.

– Wysłucham cię.

Władca Grozy wyraźnie musiał powstrzymać gniew, ale odpowiedział.

– *Dzięki jednemu z mych sług dowiedziałem się o kimś, kto chętnie nam pomoże. Po prawdzie jest już blisko Uldyzjana i pragnie jego krwi... czy raczej ciała.*

– Ciała?

– *Tak... i skoro to ma być jego nagroda, będzie kluczem do wyeliminowania śmiertelnika, który stanowi zagrożenie.*

– Jaki pożytek będziemy mieć z kolejnego demona?

Diabło mruknął zde gustowany ignorancją anioła.

– *To nie demon, choć jego umysł jest prawdziwie demoniczny. Jest człowiekiem... a może był. Sam skazany jest na porażkę, lecz prowadzony przez nas obu musi odnieść sukces.*

– Śmiertelnik przeciwko śmiertelnikowi? – Inarius dostrzegł ironię tego rozwiązania. Nadto jeśli człowiek był pionkiem w rękach Diabła, to o wiele

łatwiej będzie nim później manipulować. – Kim jest ten człowiek, który już nie jest człowiekiem?

– *Znałeś go doskonale... Kiedy był arcykapłanem Mefisa.*

Mefis. Mefisto. O tak, Inarius wiedział, o kim mówił Diabło.

– Malik? – Pozwolił, by na jego ludzką twarz wypłynął lekki uśmiezek.

– Malik.

– *Tak.* – Diabło pozwolił, by jego własna twarz, ta mniej niepokojąca, nabrała wyrazistości i odpowiedziała uśmiechem.

JEDENAŚCIE



Mendeln coś ukrywał, tyle Rathma zdołał wyczuć. Gdy zmaterializował się między maszerującymi edyremami – co wystraszyło niemałą ich część – poczuł, że umysł jego ucznia jest częściowo przed nim zamknięty.

Natychmiast sięgnął myślami do Trag'Oula, by go o tym poinformować.

– *Już wiem – odparł smok. – I bez względu na to, jakim sposobem wzniosł tę barierę, jest ona odporna i na moje próby.*

– *Przecież to niemożliwe!* – Rathma nie znał sposobu, dzięki któremu śmiertelnik, nawet tak utalentowany jak jego uczeń, mógłby osiągnąć coś takiego.

– *Nie ma takiego sposobu – zgodził się smok. – Dla niego.*

Rathma zauważył też, że Mendeln ze wszystkich sił stara się go zignorować. A to rozwścieczyło Starożytnego bardziej, niż sobie wyobrażał.

– Mendelnie ul-Diomedzie, musimy porozmawiać.

– *Już prawie jesteśmy pod murami Kedżanu – odparł tamten, zerknąwszy przez ramię. – Rozmowa będzie musiała poczekać. Staram się wymyślić, jak uniknąć wojny.*

– Rozlew krwi pomiędzy edyremami a klanami magów jest praktycznie bez znaczenia w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa.

– Nie, jeśli ta krew należy do Uldyzjana! – warknął Mendeln z niezwykłą jak dla niego gwałtownością.

Ta reakcja tylko upewniła Rathmę, że działo się tu o wiele więcej, niż jego uczeń gotów był mu wyjawić. Starożytny miał bardzo ponure podejrzenia, co to mogło być.

– Porozmawiamy, synu Diomedesa, i to teraz.

Mendeln zatrzymał się. Edyremowie przezornie odsunęli się na bezpieczną odległość, podczas gdy nauczyciel i uczeń mierzyli się spojrzeniami.

– Porozmawiamy?! Kiedy to tobie wygodne, jak zawsze! – wypalił ten drugi. – Kiedy ja potrzebuję porozmawiać, ciebie nie ma! Kiedy potrzebuję odpowiedzi, oferujesz mi jedynie zagadki!

Coś tu było bardzo nie w porządku. Rathma począł badać okolicę swą mocą. Ostrożnie przeszukiwał dżunglę, starając się myśleć przebiegle jak ojciec.

I wreszcie dojrzał to, co, jak sądził, Mendeln przed nim ukrywał.

Śladem armii edyremów szedł Achilios.

– Rozumiem – mruknął Rathma, nie zmieniawszy wyrazu twarzy. – Wybacz, że nie pojąłem twojego problemu.

Mendeln sięgnął ku niemu.

– Nie! To nie...

Ale Rathma już zniknął, by pojawić się wśród zieleni tuż za plecami łucznika.

– Przykro mi, że muszę to zrobić, Achiliosie – oznajmił.

Niemal zbyt późno zorientował się, że myśliwego nie ograniczają te same prawa co żywych. Zanim jeszcze Rathma skończył mówić, Achilios odwrócił się ze strzałą na cięciwie. Brzęknęła Starożytnemu koło ucha, rozpraszając go całkowicie. Tego właśnie chciał Achilios, bowiem nie zaatakował ponownie, tylko zniknął w gęstwinie.

Jeśli jednak sądził, że to powstrzyma Rathmę, srodze się pomylił. Starożytny był już lepiej przygotowany do ewentualnego starcia. Znów rozpląnął się w powietrzu. Wyraz upiornej nieco twarzy myśliwego, gdy Rathma zmaterializował się przed nim, mógłby być nawet zabawny, gdyby nie okoliczności. Achilios otworzył usta i natychmiast sięgnął do noża u pasa.

– *Nie.*

Ten dźwięk sprawił, że obaj znieruchomieli. Rathma był zdumiony stokroć bardziej niż Achilios, który słyszał ów głos w ciągu ostatnich dni. Starożytny obrócił się wokół własnej osi. A gdy nie zobaczył tego, który się odezwał, poczuł rosnący gwałtownie niepokój.

Obrócił się ku łucznikowi i wbił weń płonące spojrzenie. Wyraz twarzy Achiliosa powiedział Rathmie wszystko.

– To on... – szepnął Starożytny. – To on.

Zanim zdołał wykrztusić coś jeszcze, od strony edyremów dobiegły go krzyki. Rathma popatrzył w tamtym kierunku.

Niebo przybrało niepokojący odcień zieleni.

Rathma ponownie spojrzał na Achiliosa, łucznik stał z niezmiennym wyrazem martwej twarzy. Starożytny zawahał się, po czym zniknął.

Pojawił się przy Mendelnie – od razu zrozumiał, że to, co widzi, nie może mieć naturalnych przyczyn.

Zieleń nieba miała żywy odcień właściwy owadom – dokładniej: modliszkom. Rathma nigdy jeszcze nie widział tylu owadów w jednym miejscu. Modliszki z natury żyły przecież samotnie, te zaś roiły się w ilościach, którym nie dorównywały największe nawet skupiska szarańczy. Nadciągały od strony stolicy i Rathma nie potrzebował mądrości stuleci, by wiedzieć, że to nie zbieg okoliczności. Pozostawało pytanie, kto był za to odpowiedzialny. Klany magów czy może jego ojciec?

Albo nowy pan Achiliosa.

Jednak w tej chwili nie miało to większego znaczenia. Rój niemal dotarł do edyremów i modliszki zaczęły rosnać. Osiągnęły już stopę i wciąż stawały się coraz większe.

Choć niewątpliwie ów widok zaskoczył edyremów, nie stali i nie czekali bezczynnie. Serentia krzyknęła i cisnęła włócznię w kierunku roju. Wokół broni rozjarzyła się ognista aura, która pochłonęła najbliższe owady. Ponad tuzin zmieniło się w popiół.

Towarzyszący Serentii edyremowie poszli w ślady dziewczyny, atakując na rozmaite sposoby, tak by zniszczyć jak największą liczbę modliszek. Kule energii, fale dźwięku – wykorzystywano wszystko, co niszczyło modliszki dziesiątkami.

Rathma szybko zauważył, że choć zwłoki owadów poczęły zaścielać okolicę, rój nie malał. Przeciwnie, zdawał się rosnać.

Dłużej nie zwlekając, wezwał tego, który mógł lepiej zrozumieć to, co się działo.

– *Tragu, widzisz to?*

– *Wyczułem początki i szybko sprawdziłem, co się dzieje* – odparł smok natychmiast.

– *To nie jest robota klanów, prawda?* – spytał Rathma, sposobiąc się do walki.

– *Nie... Tego dokonała moc znacznie potężniejsza.*

Trag'Oul nie musiał mówić nic więcej, Rathma wszystko zrozumiał.

Począł szukać Mendelna i szybko odkrył, że brat Uldyzjana zniknął. Starożytny nie wierzył, że jego uczeń byłby w stanie zdradzić pozostałych, ale żadne inne wytłumaczenie nie miało sensu.

Coś jeszcze go zaniepokoiło. Sięgnął myślami do miejsca, gdzie zostawił łuczника, lecz i jego nie znalazł.

– *To dywersja... To wszystko to tylko dywersja.*

Żeby się upewnić, zlustrował uważnie pole walki. Edyremowie atakowali i atakowali, lecz modliszki wciąż nadciągały. Tylu owadów nie

mogło być w całym Sanktuarium, a jednak ich nie ubywało. Stworzenia lądowały pomiędzy żołnierzami, kasały i drapały, ale nie czyniły nikomu większej krzywdy, nawet najmłodszym i najstarszym. Owady nadlatywały w takich ilościach, żeby ludzie byli w stanie sobie z nimi poradzić. By nękać edyremów i nie pozwolić im iść dalej.

Uniemożliwić dotarcie do Kedżanu.

Rathma nie musiał pytać dlaczego. Wiedział, że jeśli Mendeln nie przeniósł się jakimś sposobem do stolicy, to na pewno był w drodze.

Cóż takiego mógł chcieć od Mendelna anioł, któremu teraz najwyraźniej służył młodszy z braci?

Istniał tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć. Rathma ostatnim spojrzeniem obrzucił pole walki i udał się do Kedżanu.

Uldyzjan spróbował nawiązać kontakt z Mendelnem i Serentią, ale ponownie trafił na bliżej nieokreśloną barierę. Czuł się rozdarty – z jednej strony pragnął udać się do nich natychmiast, z drugiej jednak nie mógł zapomnieć, co mogliby zyskać wszyscy ludzie, nie tylko edyremowie, jeśli powiedzie mu się w stolicy.

Jego nadzieje na sukces wydawały się całkiem uzasadnione. Tego dnia odwiedził go bowiem ksiązę Ehmad.

– Nie mamy zbyt wiele czasu, Rada Magów zgodziła się na spotkanie z tobą, ale musi do niego dojść zaraz po zachodzie słońca. Nie później – poinformował swego gościa.

– Skąd ten nagły pośpiech?

– Jestem tylko zwykłym księciem – odparł młody władca ironicznie, wzruszając ramionami. – Cóż mogę wiedzieć o sprawach magów?

Uldyzjan domyślał się, że Ehmad wie o wiele więcej, niż mówi, ale nie zamierzał dociekać.

– A gildie?

– Też tam będą. Takie szybkie zgromadzenie obu stron świadczy o ich zainteresowaniu tobą.

Uldyzjan poczuł nagłe łomotanie w głowie, lecz gdy podniósł dłoń do skroni, wrażenie minęło. Książę wydawał się zaniepokojony.

– Czy źle się czujesz, przyjacielu?

– Nie... Nic mi nie jest. – Było coś dziwnie znajomego w owym wrażeniu, jakby pochodziło od kogoś, kogo Uldyzjan znał bardzo dobrze. Mendelna? Serentii? Któreś próbowało się z nim skontaktować?

Zanim miał czas się nad tym zastanowić, uderzyło go odczucie czyjejs obecności. Mag Ketus zmaterializował się tuż przed Uldyzjanem.

– Zorun Tzin jest martwy.

Początkowo Uldyzjan nie był pewien, czy mag mówi o człowieku, czy o duchu, który zamieszkał w jego ciele.

– Ślad Zoruna Tzina prowadził do kanałów pod miastem. Znaleźliśmy pozostałości jego magii, ale rozwiąła się w jednym, konkretnym miejscu. To oznacza, że przestał on istnieć.

– A Malik? Co z Malikiem?

– Ducha, o którym mówiłeś, nie jesteśmy w stanie odszukać w żaden sposób. Uważamy, że gdy zginęło ciało Zoruna Tzina, duch podzielił jego los.

Uldyzjan nie mógł w to uwierzyć.

– Musi być jakiś sposób, by zyskać pewność.

– Rada Magów wykorzystała wszystkie dostępne jej sposoby na odszukanie ducha. Potwierdzili, gdzie Zorun dokonał żywota, i nie znaleźli śladu po istocie, jaką opisywałeś. – Ketus uśmiechnął się, idealnie białe zęby stanowiły ogromny kontrast w porównaniu z jego prawie niewidoczną twarzą. – Może tobie powiedzie się lepiej.

To brzmiało bardziej jak wyzwanie niż sugestia. Jednak Uldyzjan świadom tego, jak wielkim zagrożeniem był Malik, nie mógł odmówić.

– Zabierzesz mnie do miejsca, gdzie po raz ostatni trafiliście na ślad Zoruna Tzina? Wolno ci to zrobić?

– Oczywiście.

– Zostały zaledwie trzy godziny do zachodu słońca – przypomniał im Ehmad. – Radziłbym się nie spóźnić.

– Nie obawiajcie się – prychnął mag. – Dopilnuję, żeby asceńczyk wrócił na czas i w jednym kawałku. Przekona się, że Rada i gildie stanowią większy problem niż ten jego Malik, uwierzcie mi.

– Trzeba to zrobić. – Uldyzjan zwrócił się do swego gospodarza. – Uwierz mi, książę. Poprzednio nie sprawdziłem, czy aby na pewno skołał. Jeśli Malik skrzywdzi kogoś w trakcie tego pościgu za mną, będę za to w znacznej mierze odpowiedzialny.

– Niechaj więc przodkowie czuwają nad tobą. – Skłonił się Ehmad.

Ketus znów prychnął pogardliwie, wyraźnie nie miał zbyt wielkiego poszanowania dla spraw takich jak godne zachowanie.

– Możemy iść czy pragniecie pogwarzyć sobie jeszcze chwilę?

Umiejętności maga zrobiły na Uldyzjanie wrażenie, sam czarownik dużo mniejsze. Wydawał się być typowym aroganckim przedstawicielem swego rodzaju, co nie najlepiej wróżyło spotkaniu z Radą.

Im szybciej wrócą, tym bardziej Uldyzjan się ucieszy.

– Zabierz mnie.

Ketus posłuchał, dotykając jego piersi.

Przeniesienie nastąpiło w mgnieniu oka. Stanęli w alejce gdzieś pośrodku miasta. Wokół wznosiły się wysokie, wyraźnie zaniedbane budynki.

– Sądziłem, że przeniesiemy się do tuneli – stwierdził Uldyzjan.

Ketus cofnął dłoń. Po raz pierwszy Uldyzjan zauważył medalion, który nosił jego towarzysz. Runy wyrzeżane w błękitnym kamieniu gasły właśnie, zmieniając barwę ze złotej na kolor stłumionego brązu. Uldyzjan zrozumiał, że patrzy na odpowiednik laski.

– Nie należy schodzić w dół na ślepo – wyjaśnił Ketus z kpina. – Tunele to najstarsze miejsce w Kedzanie. Niektórzy twierdzą, że zostały

zbudowane na długo przed tym, zanim powstało miasto, zanim pojawił się człowiek.

– A kto miałby je zbudować?

Zakapturzony mag nastąpił na niewielki wzór wyryty w kamieniu ulicy. Uldyzjan ze zdumieniem zobaczył, jak część kamienia przesuwa się, odsłaniając zardzewiałe metalowe szczeble, wbite głęboko w ścianę.

– Mówią, że anioły i demony.

Z tymi słowy Ketus zniknął w dziurze. Uldyzjan, nie zwlekając, poszedł w jego ślady.

Kiedy zeszli nieco niżej, kamień nad nimi wrócił na swe miejsce. Uldyzjan próbował pozbyć się wrażenia, że właśnie został schwytany w pułapkę.

Ketus zszedł na sam dół i przywołał niewielką kulę światła. Uldyzjan postanowił, że pozwoli magowi trwać w przekonaniu, iż jego moc przerasta te, którymi dysponuje przybysz. Magowie wyraźnie powątpiewali w jakiegokolwiek zdolności Uldyzjana w tym względzie, nawet po tym, gdy ten przełamał zaklęcie Amolii.

Uldyzjan odepchnął myśli o uprzedzeniach swych ewentualnych sojuszników i z rosnącą niecierpliwością szedł za Ketusem brzegiem rozległego systemu kanałów. Spodziewał się, że będą szli zaledwie przez chwilę, tymczasem mag wiódł go od jednego korytarza do drugiego, a wszystkie wyglądały tak samo.

Aż Uldyzjan zaczął się zastanawiać, czy to rzeczywiście mag go prowadzi.

Zacisnął dłoń, która rozjarzyła się czerwienią. Jak mógł nie wziąć pod uwagę takiego wybiegu ze strony Malika?! Potworny duch był dość przebiegły, by przejąć ciało jednego z tych, którzy go ścigali, i wykorzystać do wciągnięcia w sidła swojej upatrzonej ofiary. Malik przecież wiedział, że Uldyzjan będzie próbował ruszyć jego śladem, a to dawało kapłanowi możliwość przygotowania odpowiedniej pułapki.

Jednak teraz Uldyzjan zamierzał odwrócić role. Jeśli miał rację, to nie zdoła skrzywdzić Ketusa, bo mag jest już dawno martwy.

– Daleko jeszcze? – zapytał, starając się, by jego przeciwnik nie odkrył, że Uldyzjan świadom jest już niebezpieczeństwa.

– Niedaleko. Nie obawiaj się...

Ten niezmiennie kpiący ton maga utwierdził Uldyzjana w jego założeniach. Przekonany o rychłym zwycięstwie Malik nie zdołałby ukryć swej pogardy dla przeciwnika.

Uldyzjan nie atakował tylko dlatego, że ciekaw był, co też takiego przygotował kapłan w miejscu, do którego zmierzali. Być może Malik zdołał zebrać tu kilku ostatnich akolitów Trójcy. A jeśli tak, Uldyzjan miał zamiar dopilnować, by żaden z nich nie uszedł z życiem.

Szli dalej w ciszy zakłócanej jedynie szmerem wody i ich oddechów. I w chwili, gdy Uldyzjan zdecydował, że nie zniesie już dłużej gierk Malika, jego przewodnik się zatrzymał.

– Tutaj. Wejście, którym zesliśmy, było najbliżej tego miejsca. Nie martw się, asceńcyku, dopilnujemy, byś zdążył na spotkanie z Radą.

– Nie wątpię. – Uldyzjan schował dłoń za plecami.

Mag pochylił się nad brzegiem wody i wskazał na lewo.

– Tutaj kończy się ślad Zoruna Tzina. Ale jego ciała nie ma w wodzie. Znaleźlibyśmy je. On po prostu przestał istnieć.

– Tym lepiej dla Malika, który chciał zatrzeć swojej ślady, prawda, Ketusie?

Mag podniósł wzrok.

– Albo po prostu ten cały duch przestał istnieć, gdy zabrakło ciała, które mogłoby to istnienie podtrzymać. Sam powiedziałaś, że ciała nie wytrzymywały zbyt długo.

– Dość, by znalazł sobie kolejne. – Udając zainteresowanie, Uldyzjan zbliżył się do maga. Chciał się upewnić, że tym razem Malik mu nie

umknie. Sam ryzykował w ten sposób, choć z jego punktu widzenia unicestwienie kapłana warte było tego ryzyka.

– Nie znaleźliśmy niczego, co by to potwierdzało. Wszystkie ślady Zoruna Tzina kończą się tutaj, jak mówiłem!

– Ale to nie jego szukamy – przypomniał Uldyzjan. – Szukamy Malika, arcykapłana Mefisa.

Ketus wstał. W świetle kuli jego twarz wydawała się potworna.

– Jeśli istota, którą opisałeś, w ogóle by istniała, znaleźlibyśmy jej ślady. Torturowano cię, asceńczyku, a Zorun Tzin na tym znał się naprawdę dobrze. To, co myślałeś, że się wydarzyło, było w mojej opinii wytworem twojej wyobraźni.

– Czyżby... Maliku?

Mag skrzywił się, gdy dotarło doń, jakim imieniem go nazwano.

– Nie wierzysz chyba, że jestem...

Uldyzjan uniósł pięść i woda u stóp mężczyzn eksplodowała cuchnącą fontanną. Obaj w mgnieniu oka zostali przemoczeni. Uldyzjan, straciwszy równowagę, wpadł do kanału. Ketusa rzuciło na ścianę, mag w ostatniej chwili zdołał się czegoś uchwycić i uchronić przed losem towarzysza.

Uldyzjan tonął, walczył o oddech. Coś, co nie mogło być rybą, otarło się o niego w ciemnej wodzie. Zaatakował na ślepo. Woda zagotowała się, gdy uwolnił moc, którą gromadził do starcia z Ketusem.

Mag nie był Malikiem. Teraz Uldyzjan przeklinał się za to, że wpadł na taki pomysł. Malik nie naraziłby się na takie niebezpieczeństwo ani nie pozwolił, żeby cokolwiek stało się ciału, które tak bardzo chciał zdobyć.

Uldyzjan poczuł, jak coś niby wąż owija się mu wokół nóg. Spróbował się uwolnić i ostre krawędzie przecięły jego ciało. Już niemal krzyknął. Powstrzymał się w ostatnim momencie, dzięki czemu nie wciągnął wody do płuc.

I tak płonęły z braku powietrza. Próbował się wynurzyć, ale cokolwiek go więziło, utrzymywało też o kilka cali od zbawiennego haustu powietrza.

Zdesperowany sięgnął w górę, chwytając palcami powietrze, którego tak rozpaczliwie pragnął. Gdyby tylko mógł jakoś donieść je do ust...

Kiedy cofnął dłoń, wraz z nią pod wodą znalazła się duża bańka emanująca bladożółtym światłem. Przyciągnął ją ku wargom i odetchnął. Płuca wypełniły się powietrzem. Sięgnął po kolejny haust i jeszcze jeden, wierzgając przy tym nieustannie, by tajemniczy napastnik nie zdołał wciągnąć go głębiej.

Zobaczył ponad powierzchnią blask podobny do tego, który przywołał Ketus w kuli światła. I chwilę później owa kula przebiła taflę wody, minęła Uldyzjana i popłynęła głębiej ku temu, co go trzymało.

Kiedy się zatrzymała, Uldyzjan dojrzał demona.

Wiedział, że to nie może być nic innego. Żadna istota zrodzona na Sanktuarium nie mogła mieć tak groteskowych kształtów. Niezliczone podobne liściom macki, obłe ciało przypominające bańkę. Wewnątrz kadłuba pływało coś dziwnego. Uldyzjan zrozumiał w swym przerażeniu, że miał tam dołączyć.

Znów poczuł palący ból w piersi. Światło Ketusa już gasło i asceniczny wykorzystał ostatnie lśnienie, by wycelować w demona.

Ale potwór wypuścił go natychmiast i zniknął w ciemności. Uldyzjan zrezygnował z uderzenia, ważniejsze było, by zaczerpnął powietrza.

Wypłynął na powierzchnię i odetchnął głęboko. Powietrze smakowało tak wspaniale, że przez chwilę nie był w stanie myśleć o niczym innym.

I wtedy demon zaatakował ponownie.

Macki opłotły Uldyzjana całego, zacisnęły się nawet na gardle. Jedna zakryła mu usta. Znów znalazł się pod wodą.

Syn Diomedesa usłyszał krzyk Ketusa i woda zalała mu uszy.

Jednak tych kilka oddechów pozwoliło mu odzyskać jasność myśli. Skupił się na mackach demona.

I choć zarówno jego, jak i napastnika otaczała woda, Uldyzjan sprawił, że macki stanęły w płomieniach.

Gdzieś z dołu dobiegł go pełen paniki bulgot, tak głośny, że obawiał się utraty słuchu. Demon puścił swą ofiarę i próbował strząsnąć płomienie.

Uldyzjan popłynął ku powierzchni, ale spojrzał jeszcze w dół. W świetle nienaturalnego ognia demon wyglądał jeszcze potworniej. Płomienie stworzyły wokół niego aurę, która była straszniejsza nawet gdyby nie to, że raniła demona.

Wypłynął na powierzchnię. Zamrugał, by pozbyć się wody, i skupił spojrzenie na przytłumionym blasku.

Ketus klęczał na brzegu, a nad jego głową unosiła się kolejna świetlista kula. Uldyzjan ruszył w jego stronę i po chwili wahania przyjął wyciągniętą dłoń.

– Na siedmiu! – zahuczał Ketus. – Widziałem rzeczy, od których człowiek robił się bielszy niż ty, asceńczyku, ale nigdy nie widziałem czegoś tak... tak... – Nie znalazł właściwych słów.

Uldyzjan wdrapał się na brzeg i splunął brudną wodą.

– To był demon... Demon, którego niewątpliwie wezwał Malik!

– Nie wiem, czy wierzyć akurat w te słowa, ale dodaje to wagi twoim twierdzeniom! – mruknął mag. – I zniszczyłeś go ogniem, którego nawet woda nie zdołała ugasić! Zaprawdę, wszystkie historie na twój temat okazały się prawdziwe!

Wprawdzie szacunek w głosie towarzysza sprawił Uldyzjanowi przyjemność, lecz mężczyzna bardziej był zatroskany odkryciem, gdzie zniknął Malik.

Woda zbulgotała ponownie. Ketus, patrząc gdzieś za plecy Uldyzjana, podniósł rękę i rozpoczął inkantację.

Uldyzjan obrócił się na pięcie. Niemal wpadł przy tym do wody, bo brzeg był śliski, ale jakoś się utrzymał.

Na obu mężczyzn spadł ognisty deszcz. Demon powyrywał płonące macki i teraz cisnął nimi w przeciwników.

Uldyzjan złożył dłonie. Eksplozja powietrza odrzuciła ogniste szczątki.

Wtedy demon sam rzucił się na niego. Z obłego ciała wystrzeliła krótka macka.

– Mam to! – krzyknął mag. Ciął dłonią powietrze, aż i łuk energii odciął koniec wypustki.

Kończyna opadła, ale koniuszek nadal parł naprzód. Uldyzjan uczynił gest i kawałek demona wybuchł im prosto w twarz.

Ketus wrzasnął. Uldyzjan w pierwszej chwili również, ale w mgnieniu oka przestało go boleć cokolwiek. Całe ciało mu zdrętwiało, nogi się poddały. Upadł. I zobaczył, że i mag stracił panowanie nad kończynami.

Usłyszeli znajomy bulgot. Smród, który nie miał nic wspólnego z wodą z kanałów, wypełnił nozdrza Uldyzjana. Nad nim zamajaczył obły kształt demoniego cielska.

Para macek owinęła się wokół Uldyzjana i podniosła go niczym szmacianą lalkę. Demon przyciągnął swą ofiarę bliżej.

Myśli ascenćczyka zaczęły się plątać. Co gorsza, za ten rozwój wypadków mógł winić jedynie siebie. Sam dobrowolnie wszedł do pułapki zastawionej przez Malika, przekonany, że bez trudu przechytrzy kapłana. Udało mu się dowieść jedynie własnej nieprzeciętnej głupoty.

Jednej rzeczy tylko wciąż nie rozumiał. Dlaczego Malik chciał go zabić, skoro pragnął ciała? Arcykapłan był zdeterminowany w swym pragnieniu uczynienia z Uldyzjana swego gospodarza. Znalazł kogoś lepszego?

Demon podniósł swą ofiarę wyżej i począł oddalać się od brzegu kanału. Ketuś zupełnie go nie interesował, co tylko gorzej wróżyło Uldyzjanowi, który gorączkowo zastanawiał się, czy demon aby na pewno niesie go do Malika. Jeśli nie, to wyjaśniałoby niejedno.

W tej samej chwili macki opuściły Uldyzjana ku dolnej części obłego cielska i wciągnęły pod meduzowaty korpus. Tam po raz pierwszy mężczyzna zobaczył paszczę potwora. I choć demon wydawał się uczyniony z cieczy, ani kropla nie wypływała przez owalną dziurę jego paszczy.

Z tej odległości i przy świetle wciąż lśniącej kuli Ketusa Uldyzjan zrozumiał wreszcie, czym były przedmioty wewnątrz cielska.

Metalowe guziki i klamerki.

Już wiedział, dlaczego poszukiwacze nie znaleźli śladów ciała Zoruna Tzina.

Głowa Uldyzjana znalazła się tuż przy paszczy demona i asceńczyk mógł jedynie wyobrazić sobie, jak potworny proces trawienia czeka go w środku.

Ze wszystkich sił począł walczyć z otępieniem. Wreszcie mgła spowijająca mu umysł ustąpiła. Poczuł, że wracają moce. Nie miał jednak czasu na przemyślenie swojej strategii, i jak to zdarzało się już wcześniej, zareagował instynktownie, czerpiąc siłę z emocji. Wbił spojrzenie w ciało demona.

Ciecz wewnątrz zbulgotała. Demon zaskrzeczał cienko, gdy bulgotanie się nasiliło. Ciało potwora zaczęło nabierać brązowej barwy.

Demon cisnął Uldyzjana w powietrze, aż ten rąbnął o sufit. Teraz mógł bólem zasilać swą moc.

Cielsko zbrązowiło całkiem. Ohydna ciecz poczęła parować, a obły kształt rozdymać się. Demon eksplodował.

Zdychający demon cisnął Uldyzjanem raz jeszcze. Mężczyzna uderzył głową o kamień. Świat zakołysał się mu przed oczyma.

Wpadł do kanału wraz z deszczem szczątków demona. Próbował się jakoś obrócić, ale ciało go nie słuchało.

Zatonął.

DWANAŚCIE



– *Rathmo.*

Smok nie doczekał się odpowiedzi na swe wezwanie. Na tuzin wcześniejszych również nie. Zupełnie jakby zasłona spowiła część Sanktuarium – całe ziemie Kedżanu, a jej źródło znajdowało się w mieście o tej samej nazwie.

Ale w pojedynkę Inarius nie mógłby dokonać czegoś takiego.

A z tego, co Trag'Oul zdołał wyczuć, zasłona nie była dziełem dwóch aniołów. Brała się z połączenia mocy, jakiego Sanktuarium nie doświadczyło od czasu swych początków.

Anioł i demon działający wspólnie.

Lśniące gwiazdy zmieniły swe położenie, gdy zaniepokojony Trag'Oul rozważał tę myśl. Anioł i demon działający wspólnie... i tylko jeden cel mógł ich zjednoczyć.

– *Nie ma wyboru!* – powiedział sam sobie. – *Nie ma wyboru! Muszę działać! Muszę wejść do świata śmiertelników.*

Począł gromadzić siłę energii kosmosu, które mogły otworzyć mu drogę. Tylko raz jeden Trag'Oul wkroczył do Sanktuarium, zaraz po tym, jak Lilith wyrznęła wszystkich uchodźców, i po reakcji Inariusza na jej czyn. Wtedy smok zmaterializował się na kilka sekund zaledwie, ale

wystarczająco długo, by położyć podwaliny późniejszego spotkania z Rathmą. Wybrał syna Inariusza o wiele wcześniej, dostrzegłszy w nim iskrę zdolną ocalić świat, jeśli anioł skazałby ów na zagładę.

Teraz jednak potrzebował więcej czasu niż tylko kilku sekund. Nie ukryje się przed aniołem czy demonem, z którym ów współdziałał.

Ale Trag'Oul wiedział też, że ujawniając się, narazi na zniszczenie to wszystko, co tak długo chronił.

– *Nie ma wyboru!* – powtórzył. – *Żadnego wyboru!*

Już niemal dokończył bramę, gdy ze wszech stron poczęły dobiegać go głosy.

– *Nie możesz! Nie możesz! Nie możesz!*

I brama rozproszyła się całkowicie, mimo że czynił wszystko, by ją utrzymać.

Przepełniony niezwykłym dlań gniewem stawił czoła głosom.

– *To moje brzemię! Mój obowiązek! Nie wam decydować, żadnemu z was!*

Na chwilę zapadła cisza, a potem głosy odezwały się ponownie, chórem.

– *Ależ i nam... to wykracza już poza granice Sanktuarium. Przerasta wszystkich nas, którzy stoimy na straży.*

Te słowa zaniepokoiły smoka.

– *Jakże to? Jak to możliwe?*

Głosy ponownie odpowiedziały chórem, a ich słowa wstrząsnęły smokiem jak nic nigdy dotąd.

– *Albowiem wojna zbliża się do bram Sanktuarium, a jeśli będziesz ingerował w wymagania Równowagi, ona i wszelkie istnienie ulegną zagładzie.*

I odeszli. Wszyscy pozostali, którzy jak on strzegli odrębnych światów, zostawili go świadomego, że to los jego Sanktuarium może zdecydować o ich losie. Zostawili go w przekonaniu, że wszystkie te lata, kiedy pomagał Kamieniowi Świata strzec Sanktuarium, poszły na marne.

To nie jeden anioł odkrył twór Inariusza. Teraz o świecie dowiedziało się Królestwo Niebios.

Wieczny konflikt przeniesie się do Sanktuarium, a Trag'Oulowi zabroniono jakichkolwiek działań w tym względzie.

Amolia pojawiła się przed księciem Ehmadem z ponurą miną, która pasowała do jej ponurego nastroju.

– Rada nie jest zadowolona. Uldyzjan ul-Diomed nie pomaga swojej sprawie, traktując ją z takim brakiem szacunku.

Księżę siedział w swej prywatnej komnacie, przy niewielkim stoliku i świetle pojedynczej świecy, racząc się zawartością karafki.

– Nie trzeba było mu ufać – odpowiedział, marszcząc brwi. – Właśnie dowiedziałem się od jednego z mych szpiegów, że odszedł i zawarł pakt z Prorokiem, żeby doprowadzić do upadku klany i gildie. Potem podzielił ziemię między akolitów Katedry a jego ludzi.

Magiczka nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

– Tak też myślałam, że naprawdę jest wrogiem. Masz na to dowody?

– Mam, ale muszę przedstawić je Radzie. – Wstał. – Najlepiej byłoby, gdybyś zabrała mnie tam od razu, skoro już się zebrali.

– Nie omawiano twojego wystąpienia przed Radą. Jeśli masz coś do powiedzenia, przekaz to mnie, ja powiem im sama.

– To się nie uda. Muszę stanąć przed nimi. To jedyny sposób.

Amolia potrząsnęła głową. Bawiła się medalionem – takim samym, jaki nosił Ketus i reszta członków Rady.

– Twoja śmiałość, księżę, jest uznawana za dowód rosnącej zarozumiałości. Nie masz prawdziwej władzy, miłość ludu koniec końców niczego nie daje. Rada nie musi dawać ci posłuchania. Cokolwiek chcesz im przekazać, możesz przekazać przeze mnie.

Ehmad wbił dłoń w kieszeń.

– Jak sobie życzysz. Koniec końców to może się okazać lepszym rozwiązaniem. Z pewnością nie będą się tego spodziewać.

– Spodziewać czego?

Książę wyciągnął rękę ku czarodziejce. Amolia chciała ją odtrącić, ale Ehmad mocno pochwycił ją za nadgarstek.

– Ataku – odpowiedział, uśmiechając się mrocznie – ze strony jednego ze swoich.

– Ty nie... – magiczka urwała w pół słowa.

Ciało księcia osunęło się na podłogę. Druga dłoń wypadła z kieszeni, a z niej szkarłatny odłamek, który potoczył się po podłodze.

Amolia uśmiechnęła się tak jak książę przed chwilą, podniosła kamień i wsunęła do sakiewki przy pasku. Nagle lustro przyciągnęło jej uwagę. Podeszła do lśniącej tafli i przyjrzała się swemu odbiciu.

– Tak... wystarczy na jakiś czas.

– Mądrzej będzie nie podziwiać się zanadto, mój synu – rozległ się melodyjny głos.

Czarownica odwróciła się i zobaczyła cudownie pięknego Proroka, stojącego nad ciałem księcia. Jej śliczne rysy wykrzywił grymas irytacji.

– Opłaca się dostosować sposób myślenia do wyglądu, zanim zacznę coś robić. Ułatwia odgrywanie roli.

– Jest tylko jedna rola, która powinna cię interesować. Rola zabójcy Uldyzjana ul-Diomeda. Nic innego nie ma znaczenia – stwierdził Prorok ze zniecierpliwieniem. – A już szczególnie twoje plugawe gusta... Maliku.

Duch prychnął pogardliwie, nie bacząc, że rozmówca mógł wysłać go z powrotem do grobu, i to na stałe.

– Jestem zatem plugawy? Ale służę Katedrze i jej wspaniałemu panu!

– I tylko dlatego pozwolono ci jeszcze pozostać na tym świecie. Powierzono ci święte zadanie, nie marnuj swej szansy na odkupienie.

Ale Malik roześmiał się tylko.

– Święte zadanie! Tyle krwi i mordowania pasowałoby do każdego z rozkazów Trójcy! Byłbyś równie dobrym Pierwszym jak mój pan Lucion!

Młodzieniec wyciągnął ku duchowi otwartą dłoń i nagle Malik poczuł, że coś wyrwa go z ciała, które ukradł. Zakołysało się w przód i w tył, gdy desperacko próbował utrzymać więź z kształtami Amolii, ale mimo swych wysiłków został wyrwany na zewnątrz.

Inarius zamknął dłoń i pozwolił, by opadła wzdłuż jego boku.

Malik natychmiast wrócił do ciała Amolii. Aż się zachwiał, tyle siły kosztowała go demonstracja Proroka.

– Znaj swoje miejsce, grzeszniku – pouczył go młodzieniec. – I bądź wdzięczny, że uznałem cię za godnego, by mi służyć.

– I jemu... – zachrypiał Malik głosem Amolii. – Władcy Diablo.

Anioł nie zwrócił uwagi na ten znikomy opór. Zamiast tego patrzył na zwłoki księcia.

– To był dobry człowiek i opłakuję jego ofiarę, tak jak opłakuję życie strażnika, które zabrałeś, by dotrzeć do księcia, a nawet tego bandyty, którego wykorzystałeś, by dotrzeć do strażnika. Płaczę nad wszystkimi moimi dziećmi, które muszą odejść z Sanktuarium, by mogło zostać ocalone. Będę pamiętał tę stratę.

Z tymi słowy machnął dłonią nad zwłokami Ehmada i tak, jak to było z Gamuelem, księżę zmienił się w pył.

Malik przyglądał się temu, wciąż jeszcze oddychając ciężko. Nie musiał prosić Proroka, by ten zajął się poprzednimi ciałami, bo ten miał własne metody pozbywania się niepotrzebnych dowodów.

Arcykapłan zastanowił się, co zrobi, gdy ta skorupa odsłuży mu już swoje. Miał serdecznie dość tej nieustającej zmiany ciał, chciał takiego, które posłuży mu najlepiej... takiego, które będzie mu służyć już zawsze.

– Ale to ja zabiorę jego ciało, gdy będzie po wszystkim – przypomniał swemu dręczycielowi. – To obiecaliście mi wraz z Władcą Grozy. Zrobicie, jak było obiecane, a ja zostanę Uldyzjanem ul-Diomedem!

– Dostaniesz nagrodę za swoją służbę. Ja nigdy nie kłamię.

Może i Prorok nie kłamał – choć Malik miał w tym względzie pewne wątpliwości – ale istniało wiele wersji prawdy. Arcykapłan jakoś nie mógł wyobrazić sobie, że anioł zniesie istnienie swego przypadkowego sługi. Niewątpliwie Inarius zamierzał dopilnować, by Malik nie pożył zbyt długo w swym wyczekiwanym ciele.

Ale zmarły kapłan miał własne plany w tym względzie. Bez względu na to, jaką umowę zawarli demon z aniołem, już on dopilnuje, by jemu przyniosła korzyści, a nie rychły koniec.

– Rada i gildie czekają – stwierdził Inarius beznamiętnie. Jedną dłonią wykreślał w powietrzu lśniące runy. – Jeśli dotkniesz tego wzoru na medalionie, będziesz mógł skorzystać z jego właściwości i bezpośrednio się do nich przenieść.

Malik już to wiedział, ale i tak skłonił głowę w podziękowaniu. Już się popisał uporem, teraz nadszedł czas skruchy.

– Nie zawieź – pożegnał go anioł i zniknął.

– Nie mam zamiaru – mruknął duch w przestrzeń. – A przynajmniej nie w kwestii moich własnych planów.

Wróciwszy już do równowagi i sił po bolesnej lekcji Inarius, raz jeszcze zerknął w lustro. Dotknął medalionu. Runy pod jego palcami rozjarzyły się szybko.

– Już wkrótce – szepnął, wyobrażając sobie odbicie twarzy Ulidyżjana. – Wkrótce...

Rój wreszcie zaprzestał ataków. Nie został jednak całkiem pokonany. Niebo nadal wypełniały owady, ale gdy edyremowie znaleźli się o krok od porażki, modliszki uniosły się w powietrze i odleciały w kierunku, z którego przybyły. Wyczerpani ludzie mogli jedynie osunąć się na ziemię. Gdyby magowie wysłali teraz jakieś siły przeciwko nim, niewielu edyremów w ogóle przetrwałoby atak.

Serentia była równie zmęczona jak pozostali, ale zmusiła się, by obejść obóz, uznając, że to podniesie edyremów na duchu. Ona sama była

przygnębiona, nie tylko z powodu dziwnego ataku. Teraz zniknął i Mendeln. Niewątpliwie cały ten rój był jakoś powiązany z jego zniknięciem, co do tego nie miała wątpliwości.

Wszyscy przepadli, myślała, choć nie przestawała się uśmiechać. Saron zasalutował ze zmęczeniem i ruszył pomóc w organizacji. Jonasa nie było widać, ale dziewczyna nie miała wątpliwości, że zajmuje się czymś podobnym. Była wdzięczna za ich wierne wsparcie, ale nie byli Uldyzjanem ani Mendelnem, czy nawet... Achiliosem. Była sama i bała się, że tak już zostanie.

Światło pochodni i lamp obozu z pewnością było widoczne nad wierzchołkami drzew, a znajdowali się już bardzo blisko stolicy. Serentia wystawiła więc strażę, miała przy tym nadzieję, że okaże się to nadmiarem przezorności.

Uznawszy, że na pewno wszyscy już ją zobaczyli, oddaliła się na tyły obozu. Zjadła posiłek, zaoferowany przez jednego z edyremów – nie pozwalali, by sama zajmowała się gotowaniem – i pomodliła się o spokojną noc i dobre wieści o Uldyzjanie oraz o jego bracie.

Ale nie dane jej było spać spokojnie. Ledwie zamknęła oczy, poczęła śnić o utracie Achiliosa. Jeśli nie przeżywała ponownie jego śmierci, to stała nad brzegiem otchłani i wyciągała ręce do ukochanego – a ten oddalał się od niej coraz bardziej. W każdym ze snów płakała, a po jej twarzy spływały prawdziwe łzy.

– *Serentio...*

Natychmiast otworzyła oczy, ale nie była w stanie powiedzieć, czy jeszcze śpi, czy już się przebudziła. Niemożliwe przecież było, by usłyszała jego głos. Głos Achiliosa.

A jednak.

– *Serentio...*

Wstała, wpatrując się w gęstwinę na granicy obozu.

Stał tam blady mężczyzna, po części zasłonięty gęstym listowiem, i wpatrywał się w nią. Niemal wykrzyczała jego imię, tak była podekscytowana, lecz zamiast tego, zdjeta nagłym niepokojem, rozejrzała się po tych, którzy obozowali najbliżej. Tylko ona usłyszała głos Achiliosa.

O ile to był on.

Zalała ją zimna wściekłość, że ktoś mógł wykorzystać jego wizerunek. Chwyciła za swą włócznię. Sięgnęła swą mocą, szukając śladów obecności kogoś drugiego, ale ledwie wychwyciła te pochodzące od łucznika.

Był tylko jeden sposób, by przekonać się ostatecznie, czy naprawdę miała do czynienia z Achiliosem. Świadoma tego, że pozwala, by serce, nie rozum, dyktowało jej, co robić, wymknęła się z obozu.

Gdy się do niego zbliżyła, mężczyzna cofnął się między drzewa. Serentia, teraz już prawdziwie zaniepokojona, mocniej ujęła włócznię. Wciąż przeszukiwała myślami okolicę, ale znajdowała jedynie własne ślady i kogoś, kto być może był mężczyzną, którego kochała.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku kogokolwiek z obozu, Achilios się zatrzymał. Dziewczyna także.

– Czy to ty? Czy to ty, Achiliosie?

Skinął głową.

– Tak...

Nie była przekonana, choć jej serce nie pragnęło niczego innego.

– Dlaczego właśnie tutaj? Wcześniej za każdym razem umykałeś.

Łucznik strzepnął z policzka drobiny ziemi. Daremnie.

– Najpierw... żeby... żebyś ty... nie zobaczyła... czym się stałem.

– Achiliosie! Wiesz, że nie dbam o to...

Uciszył ją gwałtownym gestem.

– Jestem martwy, Serentio! Martwy!

Nie była gotowa pogodzić się z tym, że jego stan oznaczał koniec tego, co było między nimi.

– Po tym, co widziałam, z czym przyszło mi walczyć, śmierć już mnie nie przeraża, Achiliosie.

– Na to... wygląda – uśmiechnął się smutno. – Dlaczego... dlaczego musiałaś... w końcu mnie pokochać?

To było więcej, niż mogła znieść. Wciąż trzymając w dłoni włócznie, podbiegła do niego, otoczyła ramionami i trzymała ile sił.

Nie opierał się, ale też jej nie objął.

Zrozumiawszy, że będzie tak po prostu stał, Serentia podniosła wzrok i spojrzała wprost w ziejącą dziurę, w miejscu, gdzie kiedyś było jego gardło.

Cofnęła się, wciągając gwałtownie powietrze. Achilios opatrnie zrozumiał przyczynę tego zachowania i odwrócił się od niej z goryczą. Serentia natychmiast pojęła, jak to musiało dla niego wyglądać.

– Nie! Proszę! To nie ze strachu czy odrazy! Achiliosie! – Nie dbała już o to, że podnosi głos. Ujęła go za podbródek i zmusiła, by spojrzał jej w oczy. – Byłam zła! Zła, że tego doświadczyłeś!

Potrząsnął głową.

– Jesteś... naprawdę... wyjątkowa.

– Kocham cię, to wszystko. – Zmrużyła oczy. – Powiedziałeś, że na początku nie chciałeś, bym zobaczyła, kim się stałeś. A później z jakiego powodu?

Odepchnął ją i zgrzytnął zębami, jakby chciał zatrzymać odpowiedź.

– Z tego samego... z tego samego, dla którego... próbowałem zabić... ciebie i Uldyzjana! Z tego samego... dla którego... wreszcie jestem z tobą. – Łucznik popatrzył w lewo. – Z jego powodu...

Jasne światło płynące z tamtej strony sprawiło, że Serentia natychmiast zacisnęła dłoń na włócznie. Zobaczyła, jak z blasku wyłania się jakaś postać, za jej plecami zaś rozpościerały się szerokie skrzydła stworzone z wstęg energii.

– Inarius! – Serentia odepchnęła Achiliosa i uniosła broń.

– Nie, Serentio... – Łucznik pochwycił ją za nadgarstek. – To nie Inarius...

– Nie... – Serentia nie wiedziała, skąd miałyby to wiedzieć, nigdy go nie widziała. Znała tylko opisy Mendelna i Rathmy, które doskonale pasowały do postaci, jaka pojawiła się przed dziewczyną. Zgoda, kilka szczegółów było innych, niż opisywali, ale to był w końcu anioł! A ilu aniołów przebywało w Sanktuarium?

W końcu dotarło do niej, że może być i drugi, ale nie chciała tego zaakceptować. Nie mogli walczyć z dwoma aniołami.

– Przybywa... w pokoju.

Te słowa na nowo rozbudziły w niej gniew.

– W pokoju? Czy to nie on kazał ci strzelić do Mendelna i do mnie?

– TO BYŁO WCZEŚNIEJ.

Głos rezonował w jej głowie i w sercu. Serentia poczuła, jak puls jej przyspiesza.

– TO BYŁO WCZEŚNIEJ – powtórzył anioł, a światło wokół niego, niewątpliwie doskonale widoczne w całym obozie, pulsowało z każdym słowem. – KIEDY NIE BYŁO DLA MNIE JASNE, JAKI OBRAĆ KIERUNEK.

– Co to ma niby znaczyć?

– Powie ci... bądź... tylko cierpliwa.

– EDYREMOWIE MUSZĄ BYĆ GOTOWI – odpowiedział anioł, niczego nie wyjaśniając. Nie podszedł do nich, raczej zdawał się być bliżej, a potem jeszcze bliżej i wciąż bliżej.

Nie miał twarzy, ale raczej przyłbicę utkaną ze światła. Był nieludzko wysoki i tak jasny, że Serentia musiała zmrużyć oczy. Dziwiła się przy tym, że z obozu nie nadbiegli inni.

– NIE JEST IM PRZEZNACZONE NAS WIDZIEĆ, NIE WIDZĄ ZATEM.

A to znaczyło, że cokolwiek się stanie, nikt z edyremów nie pozna prawdy. To ponownie wzbudziło w niej niepokój i nieufność w stosunku do anioła.

– Proszę, Serentio... proszę, wysłuchaj... go. Wiem... że proszę o wiele... uwierz mi.

Tylko dlatego, że Serentia wierzyła, iż Achilios mówi do niej z własnej woli, nie wskutek jakiegoś czaru anioła, odprężyła się nieco.

– W porządku. Posłucham.

– Mendeln też wie – Achilios brzmiał teraz nieco bardziej ludzko. Bardziej żywo. – Wie i dlatego... został wysłany... przodem.

– Do miasta? Sam?

– Mendeln... nigdy nie jest... sam i on... z nas wszystkich najlepiej... poradzi sobie... z odszukaniem Uldyzjana... jeśli jest... jeśli jest nadzieja.

Serentia ośmieliła się wskazać anioła gestem dłoni.

– A co to ma z nim wspólnego? Dlaczego próbuje nam pomóc?

Jednak to nie Achilios odpowiedział na jej pytanie.

– BO INARIUS DOPUŚCIŁ SIĘ NIEWYOBRAŻALNEGO. PONOWNIE. ZAWARŁ PAKT Z JEDNYM Z TRZECH... Z WŁASNEJ WOLI. TO TEŻ WYMAGAŁO ODE MNIE ZMIANY KIERUNKU DZIAŁAŃ.

– Jeden z Trzech? Czy on mówi o Trójcy, Achiliosie?

– O prawdziwych obliczach... Trójcy. – Łucznik się skrzywił. – Wiesz... że to demony stworzyły... Świątynię. Wiesz, że duchy... Mefis, Dialon i Bala... nie są takie... jakimi je przedstawiają.

– Nie, oczywiście, że nie. To trzech władców demonów, którzy ponoć rządzą w... – zamilkła, gdy dotarła do niej groza tego, co chciała powiedzieć. – Na pewno nie! – popatrzyła na anioła oczami wielkimi jak talerzyki. – Jeden... jeden z Trzech? Tutaj?

Anioł niemal niedostrzegalnie skinął głową.

– I BYĆ MOŻE NAJGORSZY Z NICH... TEN, KTÓRY JEST KWINTESENCJĄ GROZY... DIABLO.

I gdy wypowiedział to imię, Serentia nie tylko poczuła zimny dreszcz lęku, ale zrozumiała, że anioł doświadczył podobnego uczucia niepokoju. I fakt, że istota tak potężna czuła lęk, wymawiając jedynie imię władcy demonów, dał jej wyobrażenie o naturze tego ostatniego.

– Ale skoro ten demon jest tak potężny, jak Inarius może ryzykować układy z nim? Przecież doprowadzi go to do klęski.

– ZAISTE... ACZKOLWIEK MA POWODY SĄDZIĆ, ŻE OSTATECZNIE TO WŁADCA GROZY... NIE... MY WSZYSCY UKŁĘKNIEMY PRZED NIM...

– Jak to możliwe? Czyżby Inarius był tak potężny między aniołami?

Świetlisty zawahał się, jakby starannie dobierał słowa odpowiedzi.

– POTĘŻNY, JEDNAK NIE POTĘŻNIEJSZY NIŻ KTÓRYKOLWIEK Z RADY ANGIRIS... TO TUTAJ... W ŚWIECIE, KTÓRY POMÓGŁ STWORZYĆ... TUTAJ INARIUS WŁADA MOCĄ, KTÓRA SPRAWIA, ŻE WŁADCA GROZY SZUKA W NIM SOJUSZNIKA... TUTAJ BOWIEM ZDOŁAŁ ZMIENIĆ KAMIEŃ ŚWIATA DLA WŁASNYCH CELÓW, WŁASNEJ MOCY.

Kamień Świata. Od Uldyzjana wiedziała, co to jest, wiedziała, że to niesamowity, gigantyczny kryształ, który nie tylko krył istnienie Sanktuarium przed innymi, ale również posłużył Inariusowi do uśpienia mocy, jaka drzemała w ludziach. Lilith udało zmienić się nieco magię artefaktu, wystarczająco, by doprowadzić do odrodzenia nefalemów, czy też, jak się teraz nazywali, edyremów.

– W JAKIŚ SPOSÓB ZDOŁAŁ SKUPIĆ MOC KAMIENIA, BYĆ MOŻE PRZY NIEŚWIADOMEJ POMOCY INNYCH RENEGATÓW, A POTEM DOSŁOWNIE ZWIĄZAĆ SIĘ Z KAMIENIEM, UPEWNIWSZY SIĘ ZARAZEM, ŻE NIKT, KTO POMAGAŁ MU W TEJ KRADZIEŻY, NIE BĘDZIE RÓWNIE POTĘŻNY... ZAPRAWDĘ

JEDYNNIE JEGO OBAWA, ŻE ZOSTANIE ODKRYTY PRZEZ RADĘ ANGIRIS, POWSTRZYMUJE GO PRZED PEŁNIEJSZYM KORZYSTANIEM Z MOCY KAMIENIA.

Z tymi słowy zgasły nadzieje Serentii.

– Przez ten cały czas Uldyzjan nie miał żadnej szansy przeciwko Inariusowi? Cały ten czas Prorok się nami bawił? To wszystko na nic?

– Nie! Nie na nic! – Achilios pochwycił ją za ramiona. – Uldyzjan jest jedynym... jedynym, który może pokonać Inarius, tutaj!

– Ale jak to możliwe?! Jak?!

– Nie pamiętasz... co... co zrobił Uldyzjan? Nie pamiętasz... co mówił... że się stało? W komnacie Kamienia Świata?

W komnacie Kamienia. Choć w głowie miała mętlik, szybko przypomniała sobie, o czym mówił Achilios. Uldyzjan widział Kamień Świata na własne oczy. Zaprowadził go do artefaktu Rathma, syn Inarius. Opis tego, co Uldyzjan zobaczył, choć pobieżny, i tak wprowadził Serentię w zdumienie, że taka rzecz mogła zostać stworzona, że w ogóle istniała.

I wtedy dotarło do niej, o co chodziło Achiliosowi.

Uldyzjan zmienił Kamień Świata w samej jego istocie. Zmienił w taki sposób, że nawet sam Inarius nie zdołał tego cofnąć.

Inarius nie mógł tego odczytać.

– Uldyzjan jest... naszą jedyną nadzieją – przyznał Achilios. – Nawet on... – wskazał na anioła – nie może zmienić tego, co zrobił Uldyzjan.

To stwierdzenie poruszyło Serentię do głębi.

– Musimy więc podążać do Kedżanu najszybciej, jak to możliwe! Jeśli obudzimy pozostałych, dotrzemy tam w kilka godzin! Bez względu na to, co mówisz, Mendeln nie może iść tam sam! Musimy tam być, musimy pomaszerować do bram i wyrwać je z zawiasów! Musimy znaleźć Uldyzjana!

Anioł, którego imienia nadal nie znała, znalazł się nagle u jej boku. Dziewczyna niemal zachłysnęła się powietrzem.

– JEŚLI TAK UCZYNISZ, WEJDZIESZ PROSTO W PUŁAPKĘ... JUŻ ZASTAWIONĄ... PUŁAPKĘ, KTÓREJ NAWET JA NIE MOGĘ JUŻ W TEJ CHWILI ODCZYNIĆ.

– Jaką? Co to? Czy to jest związane z Uldyzjanem?

– WSZYSTKO ZWIĄZANE JEST Z TWOIM PRZYJACIELEM. – Anioł po raz pierwszy wydawał się znużony. – I TO ON I EDYREMOWIE JEGO ZOSTANĄ OBWINIENI ZA KAŻDĄ ŚMIERĆ. – Uniósł obleczone w rękawicę dłoń i nie pytając dziewczyny o pozwolenie, dotknął jej czoła. – UJRZYJ, CO SIĘ DZIEJE... I CO SIĘ WYDARZY...

Serentia nie do końca pozbyła się obaw względem anioła, ale nie miała innego wyboru, jak tylko być mu posłuszną. Miała wrażenie, że ktoś wyrwał jej duszę z ciała, która nagle popędziła ku stolicy. Podobnie czuła się, gdy wraz z Uldyzjanem użyli swych połączonych mocy, by przeszukać znaczny obszar. To wspomnienie pozwoliło jej się opanować.

Przepłynęła nad potężnymi murami, wprost do rozległego miasta. W szalonym pędzie mijała budynki, a ludzie wydawali się ledwie mgnieniem.

I nagle... gdzieś pośrodku miasta szary budynek o ciężkich i mocnych murach przyciągnął jej wzrok. Przeszła przez ścianę, jakby kamienia w ogóle tam nie było, i znalazła się najpierw w małej oświetlonej pochodniami komnacie, a ułamek chwili później w drugiej, o wiele większej.

I tam z przerażeniem zobaczyła coś, co przekonało ją całkowicie co do zamiarów anioła.

TRZYNAŚCIE



Rada Magów składała się z siedmiu członków, po jednym z każdego wiodącego klanu. Siedmiu kolejnych pochodziło z mniejszych, choć wciąż potężnych klanów, ci jednak nie mieli prawa głosu. Mieli jednakowoż prawo poddawać punkty pod dyskusję, tudzież podsuwać tematy obrad. Dawało im to pewien wpływ na bieg wydarzeń, za to mniej byli skłonni kontestować decyzje podjęte przez starszyznę. W ten sposób Rada utrzymywała porządek wśród swoich, nawet jeśli poszczególne klany uwikłane były w męczące i często śmiertelnie niebezpieczne spory.

Jeszcze jedna kwestia pozwalała Radzie utrzymywać się ponad podziałami. Powołano zbrojne ramię, aby upewnić się, że żaden mag bez względu na jego pozycję nie uniknął kary za złamanie jakiegokolwiek z zarządzeń Rady. Egzekutorami zostawali głównie ci z magów, którzy dosłownie gotowi byli oddać część swej istoty Radzie, przez co przestawali należeć do któregoś z klanów. Wybierano ich bardzo uważnie, stosując najrozmaitsze kryteria – w tym stopień determinacji, z jaką wypełniali rozkazy, nie bacząc na przeciwności.

Kiedy więc Amolia pojawiła się między nimi, nikt nie okazał sprzeciwu. Przedstawiciele gildii również spoglądali na nią z szacunkiem. Dla nich

właśnie egzekutorzy byli najbardziej godnymi zaufania, jeśli w ogóle można było mówić o zaufaniu względem magów.

Obecny przywódca Rady – tytuł z każdym nowym księżycem przechodził na kolejnego z magów – patrzył z podwyższenia, gdzie zasiadał wraz z innymi członkami Rady.

– Gdzie jest Uldyzjan ul-Diomed? Miałaś wrócić razem z nim – zapytał nagle.

– Nie przyjdzie – odpowiedziała Amolia. – Przyszłam w jego imieniu z wiadomością.

Na twarzach magów pojawiło się zaskoczenie, na niektórych zmieszane z pogardą. Kilku kupców o kształtach o wiele za obfitych również krzywiło się z dezaprobatą po tej deklaracji.

Jeden z nich, starannie uczesany, z wielkim, wysadzonym szmaragdami kolczykiem w nosie, wyraził opinię pozostałych:

– Zgodziliśmy się na to spotkanie na prośbę księcia Ehmada i przez pamięć dla naszego opłakiwanego Fahina. Jeśli magowie zaplanowali tę grę wraz z asceńczykiem...

– Asceńczyk nie zawarł żadnej wcześniejszej umowy z Radą i gdyby chciał, nawet zostałby odprawiony – odparł przywódca magów. – Nigdy nie zgodzilibyśmy się na taki brak szacunku wobec naszych braci w gildiach...

Kilku z przywódców gildii uśmiechnęło się ze zrozumieniem. Może i czarodzieje byli potężni, ale zarazem bardzo polegali na towarach kupców.

Amolia-Malik milczała w trakcie tej wymiany zdań. Dopiero gdy spojrzenia zebranych znów skupiły się na niej, podjęła kontynuację swego planu.

– Mój pan Uldyzjan nie przybędzie, ale mnie uczynił swym posłańcem.

– Pan? Uldyzjan? – warknął przywódca magów. – Nie służysz nikomu innemu poza nami, Amolio...

Malik uklonił się nisko i okraślił skradzioną twarz uśmiechem.

– Już nie! Mistrz Uldyzjan pokazał mi prawdziwą drogę. Żyję tylko po to, by nią podążać i usunąć z jego drogi wszystko, co uzna za herezję.

– Co ma znaczyć ten bełkot?! – zirytował się mistrz gildii. Za jego plecami rozległy się pomruki poparcia.

Malik odwrócił się powoli w stronę tamtego mężczyzny.

– A to znaczy, że uczynił mi ten honor i pozwolił, bym zrobiła pierwszy krok do wyzwolenia ludu Kedżanu spod jarzma magów i gildii!

Rozległy się okrzyki zdumienia i oburzenia. Członkowie obu stron podnosili się ze złością.

Malik nagle poczuł, jak wypełnia go moc dwóch, którzy wysłali go na tę misję. W ułamku chwili zrozumiał, jak znikome były moce wszystkich tu zgromadzonych w porównaniu z potęgą Inariusza, Diabła, czy nawet jego samego w tym momencie.

– Amolio! – zagrział pierwszy z magów. – Twe słowa mogą przynieść ci jedynie potępienie! Taka głupota! Doskonale wiesz, jaką władzę mamy nad każdym z was. Skorzystamy z niej, by wymierzyć ci stosowną karę za twą bezprzykładną zdradę! Następnie zaś Uldyzjan ul-Diomed zostanie uznany wrogiem Kedżanu i skazany na karę śmierci.

Ryk aplauzu rozlegał się zarówno po stronie magów, jak i przedstawicieli gildii. Malik nie obawiał się gróźb pod adresem Amolii. Już przecież nie żyła, nawet jeśli magowie posiadali jej część – była bezużyteczna.

Zresztą nadszedł czas, by wykonał swoje rozkazy.

– To nie ja zostanę potępiona – odpowiedział, uśmiechając się szeroko. – Mistrz Uldyzjan skazał już wszystkich was na potępienie!

Nie musiał nawet czynić żadnego gestu – tylko patrzeć wokół siebie i pozwolić, by dokonała się wola anioła i demona.

Niewielkie maleńkie ostrza wyłoniły się z powietrza wokół niego i niczym głodne muchy popędziły we wszystkich kierunkach. Poruszały się

z taką prędkością, że brzęczały przy tym cicho, dźwięk ten zaś był z wielokrotnioną po tysiackroć.

Przywódcy gildii nie mieli żadnych szans. Niektórzy nosili wprawdzie amulety ochronne, kupione od chciwych magów, ale na nic się to zdało. Małe ostrza cięły grube szaty, skórę i ciało. Ofiary krzyczały wniebogłosy, próbowały się ukryć, ale nie miały dokąd uciec, Malik bowiem zamknął zaklęciem wszystkie wyjścia.

Magowie radzili sobie niewiele lepiej niż kupcy. Większość była zbyt zaskoczona, by rzucić jakikolwiek czar. Kilku zdołało początkowo się obronić, ale moc Inariusza i Diabła daleko przekraczała to, czym dysponowali nawet najlepsi z nich. I tak sukcesy magów okazały się być wyjątkowo krótkotrwałe.

Zostali wymordowani. Lśniące srebrzyste ostrza, przypominające niewielkie łuki metalu, wykonały swe potworne zadanie. Krew zbryzgała całą komnatę. Było jej tak wiele, że tworzyła kałuże na posadzce. Krzyki umilkły, zmieniły się w szloch i pojękiwania... w końcu wszystko ucichło.

Nawet cał skóry nie pozostał z żadnej z ofiar, nic, co można by rozpoznać. Obdzieranie ze skóry było ulubioną metodą tortur w Kedżanie. Świadomi tego anioł i demon zesłali na zgromadzonych los, jaki wydał im się najbardziej odpowiedni.

Z uśmiechem na twarzy nietkniętej żadnym z ostrzy ani niesplamionej wszechobecną krwią Malik wolno okrążył komnatę. Zatrzymywał się tu i ówdzie, przyglądając poszczególnym ciałom, ale nie znajdował, czego szukał, i szybko powracał do spaceru.

Wreszcie wypatrzył swą nagrodę – a dokładniej: dwie. Jedną stanowił mag, członek Rady. Życie uciekało z niego szybko, ale Malik położył dłoń na skrwawionym torsie, tam, gdzie było częściowo widoczne serce.

Poczuł, jak przepływa przezeń wola Inariusza. Oskórowany mag gwałtownie nabrał powietrza. Serce przyspieszyło. Z konieczności

złagodzone ból, jaki odczuwał. Chcieli, żeby żył... przynajmniej przez jakiś czas.

Malik powtórzył rytuał z jednym z przedstawicieli gildii, któremu ostrza amputowały nogę. Kawałki ciała grubasa leżały wokół niego jak jakiś makabryczny koc. On również otrzymał dar anioła.

I mag, i kupiec byli teraz świadkami. Przeżyją na tyle długo, by opowiedzieć, co widzieli. Czar, który odsunął od nich śmierć, sprawi też, że będą pamiętali wystarczająco, ale niezbyt wiele. Ich opowieści będą podobne, ale z różnych perspektyw. Anioł i demon upewnili się, że ci, którzy odnajdą ciała, nie będą mieli wątpliwości, co się wydarzyło i kto jest za to odpowiedzialny.

Oczywiście Ulidyżjan.

Już walono w drzwi komnaty. Zarówno magowie, jak i straż nie mogli pojąć, dlaczego ich wysiłki zmierzające do otworzenia zamków i zdjęcia czarów ochronnych spełzają na niczym.

Malik wyczuł jedno czy dwa życia w komnacie, ale nie miał wątpliwości, że ci biedni głupcy nie będą mogli odpowiedzieć na żadne pytanie. Jego misja dobiegła końca. W normalnych okolicznościach, żeby uruchomić w komnacie zaklęcie medalionu, Malik wymagałby pomocy jednego z członków Rady, ale teraz służył takim potęgą, że nie potrzebował niczyjej pomocy.

Malik uśmiechnął się, patrząc na jatkę, skłonił... i zniknął.

Powinien być martwy. Utonąć.

Ale żył, co było tym dziwniejsze, że gdy wreszcie zdołał otworzyć oczy, zrozumiał, iż wciąż jest na dnie kanału.

Nie poddał się panice mimo tego niepokojącego odkrycia. Odniósł wrażenie, że coś poruszyło się nad nim. W znacznej mierze były to przepływające odpadki. Starając się nie ruszyć nawet palcem, ostrożnie próbował dojrzeć, co takiego uratowało mu życie.

Początkowo uznał to za sprawkę demona, ale to nie miało sensu. Stwór wyraźnie zamierzał go pożreć, dlaczego teraz miałby zachowywać go przy życiu?

Jak zatem? Czy raczej: kto zatem? Ketus? Nie, to też był fałszywy trop. Zachował przytomność na tyle długo, by widzieć, jak mag upadł. Ketus był albo martwy, albo unieruchomiony. Nie zdołałby nikomu pomóc.

W taki razie... kto?

Coś płynęło pod prąd. Uldyzjan wypatrzył zaledwie cień, ale natychmiast ponownie pomyślał o demonie. Spiął się, nie odrywając spojrzenia od tajemniczego kształtu.

Cień utrzymywał się na skraju pola widzenia Uldyzjana – nie do końca wyraźny, bez rozpoznawalnego kształtu. Mężczyzna przez mgnienie oka dostrzegł zarys, przebłysk jedynie, czegoś, co mogło być długimi mackami albo obłym cielskiem, ale pewności nie miał. Serce jednak biło mu jak szalone i gdyby znajdował się na powierzchni, na pewno oblałby się zimnym potem.

Głos, który odezwał mu się w głowie, przejął całe ciało lodowatym dreszczem.

– Ocaliłem cię, śmiertelniku... uratowałem od pewnej śmierci.

„Kim jesteś – pomyślał Uldyzjan. – Kim jesteś?”

Cień zbliżył się nieco. Ponownie Uldyzjanowi zdało się, że widzi zarys kształtu demona szykującego się do ataku, ale nie tylko. Przez moment był gotów przysiąc, że to sam Inarius płynie poprzez wody kanału, i na myśl, że anioł wreszcie pochwycił go w pułapkę, puls Uldyzjana jeszcze przyspieszył.

– To nie on przybył tu do ciebie – zapewnił głos, z pewną dozą kpiny, jakby rozbawiła go pomyłka człowieka. – Anioł pozostawiłby cię na śmierć, ja nie jestem tak okrutny!

„Kim jesteś?” – powtórzył w myślach Uldyzjan. Sam teraz nie mógł uwierzyć, że choć przez moment sądził, że cień był Inariusem. Aniołowi nie

udawało się tak poruszyć najbardziej pierwotnych z instynktów człowieka. Więc kto to?

Cień znów się zbliżył. Uldyzjana zalała fala przerażających wspomnień o Maliku, zaraz jednak zastąpiło ją wyobrażenie pięknej, aczkolwiek daleko bardziej niepokojącej twarzy.

Lilith.

Uldyzjan oparł się owym ożywionym lękiem. Lilith była martwa. Malik zaś zaatakowałby natychmiast, próbując uśmiercić Uldyzjana. Nie, oni nie mieli nic wspólnego z tym, co działo się w tej chwili.

Cień cofnął się trochę.

– *Oni nie mogą cię tknąć, Uldyzjanie* – przemówił uspokajającym tonem. – *Nie, kiedy jesteś pod moją opieką. Jeśli zaś o mnie chodzi, mam wiele imion, niektóre z nich znasz. A jedno brzmi Dialon.*

Dialon! Uldyzjan natychmiast zrozumiał, co i jak ocaliło go od utonięcia. Dialon miał być duchem determinacji w Świątyni Trójcy. Dialon, który, z tego, co wiedział Uldyzjan, był tej samej krwi – o ile można tak powiedzieć o demonie – co Lilith, albowiem był bratem jej ojca, przerażającego Mefista.

Diablo, Władca Grozy, nie pozwalał Uldyzjanowi utonąć.

– *Nie musisz się mnie obawiać* – Diablo niewątpliwie wyczuł niepokój śmiertelnika. – *W świecie Sanktuarium wszystko dzieje się na odwrót. Anioły grzeszą, a demony próbują odpokutować. Ocaliłem cię, albowiem jesteśmy do siebie podobni, jedynie ty i ja stoimy między Inariuszem a całkowitą zagładą tego świata.*

Mimo nader kłopotliwego położenia, w jakim się znajdował, Uldyzjan poczuł się w pewnym stopniu zafascynowany słowami władcy demonów. To, co Diablo mówił o Inariusie, było samą prawdą. Prorok najwyraźniej rzeczywiście uważał, że grzech to coś, co popełniają inni – on nigdy. Jego działania zawsze były „koniecznością”. Fakt, że setki ludzi postradało życie w imię anielskiego poczucia wyższości, nie miał najmniejszego znaczenia.

– *Tak... widzisz go takim, jakim jest w istocie. Inarius jest obłąkany, a jego szaleństwo budzi strach zarówno w Królestwie Niebios, jak i wśród mieszkańców Płonących Piekieł. A jednak nie można go tknąć, albowiem związany jest z samym fundamentem Sanktuarium. Kamieniem Świata! To jego moc, jego istnienie!*

Uldyzjan nie znajdował fałszu w słowach demona, jednak nie sądził dotąd, że zarówno anioły, jak i demony doskonale wiedziały, co się dzieje. Ta myśl przejęła go kolejnym lodowatym dreszczem. Skoro obie strony Wiecznego Konfliktu obawiały się Inarius, w takim razie jakie nadzieje mogła mieć ludzkość?

Demon zbliżył się tak bardzo, że Uldyzjan gotów był przysiąc, że spogląda Diabło prosto w oczy. Przygotował się. Już wcześniej stawiał czoła demonom.

Nastał moment ciszy, jakby Diabło rozważał coś głęboko.

– *Ale anioł nie jest taki odporny, za jakiego się uważa. Dowiodłeś tego... i dowiodłeś, że możesz sięgnąć do samego sedna jego istoty i zasiać w nim strach.*

„Jak? W jaki sposób?”

– *Zmieniłeś Kamień Świata, nawet nie rozumiejąc, co czynisz! Dokonałeś, czego nie potrafił zrobić nikt inny, i anioł nie zdołał tego odwrócić. To jest naszą szansą, o ile uderzymy prędko.*

Doszło więc do tego, co Uldyzjan uważał za niemożliwe. Diabło, Władca Grozy, oferował mu sojusz. Demon chciał zawrzeć pakt ze śmiertelnikiem przeciwko aniołowi.

Sam pomysł był tak szalony, że Uldyzjan roześmiałby się w głos, gdyby mógł.

– *Nie jestem Lucionem, synem brata mego, który głosi jedynie nienawiść. Nie jestem też nią, która żyje tylko po to, by każdego okręcić wokół swego palca, a potem wyrwać bijące jeszcze serce. Mogę ci wiele zaoferować.*

W tej chwili wszelako Uldyzjan pragnął tylko jednego – wynurzyć się. To, że Diabło ani razu nie zaproponował, że wydostanie śmiertelnika z kanału, wydało się Uldyzjanowi podejrzane. Naprawdę Diabło sądził, że Uldyzjan rozważy jego ofertę unieruchomiony i zanurzony kilka jardów pod wodą? Jeśli tak, to demony zapewne nie rozumiały sposobu myślenia śmiertelnych.

„Zabierz mnie na powierzchnię – zażądał. – Wtedy będziemy kontynuować naszą rozmowę”.

Cień zakołysał się w wodzie. Uldyzjan wiedział doskonale, że to, co widzi, nie jest prawdziwym kształtem władcy demonów, i był szczęśliwy z tego powodu.

– *Zaprawdę, śmiertelniku, bezpieczniejszy jesteś tutaj niż gdziekolwiek indziej. Naturalna magia wody i moja moc ochraniają cię przed Inariusem. Jeśli wyniosę cię na powierzchnię, ryzykujesz, że cię odnajdą.*

Uldyzjan nie obawiał się tego niebezpieczeństwa. Jak większość ludzi miał wrodzony szacunek dla wody, szczególnie z uwagi na to, jak łatwo mogła wypełnić mu płuca.

„Chcę się stąd wydostać!”

– *Zagrożenie jest zbyt wielkie, lecz być może istnieje pewien sposób. Jednak, żeby się powiódł, musisz otworzyć przede mną swój umysł, pozwolić mi, bym jedną cząstką dotknął mocy w tobie... najlżejszy dotyk wystarczy.*

Uldyzjanowi nagle wydało się, że woda napiera nań ze wszystkich stron, tysiąckrotnie mocniej niż dotychczas. Zaczął się dusić. Zapraagnął zgodzić się na propozycję demona... ale w ostatniej chwili się powstrzymał. W głębi duszy czuł opór względem propozycji Diabło, który chciał udzielić mu pomocy, ale dopiero gdy Uldyzjan otworzy się przed demonem.

I wreszcie zwątpił w to, że Władca Grozy w ogóle go uratował. Dlaczego bowiem Diabło chciałby go więzić pod wodą? Uldyzjan nie wierzył w wyjaśnienia demona. Raczej brzmiały jak próby utrzymania

człowieka w tym stanie, bo mógłby w końcu zechcieć sprzedać się demonowi, byleby tylko wyrwać się z tego straszliwego położenia.

I ta myśl przyniosła Uldyzjanowi ostateczne zrozumienie, kto uratował go przed utonięciem po zniszczeniu sługusa Piekieł. Nikt inny, a on sam. I wiedział już, że uświadomił to sobie dopiero teraz wskutek machinacji pana demonów. Władca Grozy podsycił strach Uldyzjana, by ten nie był w stanie się skupić i zrozumieć swej sytuacji.

Diablo nie ustawał w wysiłkach.

– *Wyczuwam nadchodzącego Inariususa! Pospiesz się! Jeśli połączymy nasze moce, zdołamy go pokonać!*

Uldyzjana przepełniała potrzeba, by posłuchać słów cienia. Zdołał się jej oprzeć niezwykłym wysiłkiem. I gdy mu się to udało, nie czekając, aż znowu coś go rozproszy, skoncentrował się na odzyskaniu wolności.

Uderzyła go fala gniewu. Pan demonów zaniechał wszelkiego udawania.

– *Jesteś mój! Nie zdołasz ujść przede mną, człowieku! Nie możesz się ze mną mierzyć! Jednym tylko skinieniem oderwę ci ramiona i nogi i nakarmię krwawiącym korpusem moje zwierzątko, których pełno jest w tych wodach!*

Dziesiątki ciemnych kształtów ruszyło ku Uldyzjanowi przez głębinę. Podejrzewał, że były jedynie iluzją, bowiem Diablo wciąż pragnął, by człowiek mu się poddał, ale ten nie zamierzał ryzykować. Całą wolę skupił na tym, by wydostać się z kanału i uwolnić od czaru, który najpewniej stworzyła jego podświadomość.

Paskudna ławica już go dopadła. Szkarłatne ślepia wielkie jak spodki łypały łapczywie. Paszcze pełne ostrych kłów otwierały się groźnie.

Uldyzjan ze świstem wystrzelił ku powierzchni. Przebił taflę wody i wleciał jeszcze wyżej. Dopiero gdy zaledwie kilka cali dzieliło jego głowę od sufitu, przestał się wznosić.

Jego ramiona, jego nogi... całe ciało ponownie należało do niego. Uldyzjan wznosił się nad wodą zachwycony. Jeszcze jako podrostek

próbował sobie wyobrazić, jak by to było zostać ptakiem, ale nie spodziewał się, że dana mu będzie okazja się przekonać.

Z dołu dobiegł go wściekły ryk. Potworny cień wytrysnął z wody i ruszył ku Uldyzjanowi. Nie przestawał zmieniać swej formy. Każdy kształt potworniejszy był od poprzedniego, a wszystkie – Uldyzjan już to rozumiał – miały korzenie w jego lękach.

Jednak mimo strachu mężczyzna się nie cofnął. Wiedział, że musi walczyć. Musiał znaleźć jakiś sposób, by obronić się przed wpływem Diabła. Tylko jedno przyszło mu do głowy – myśl tak szalona, że najpewniej jedynie rozbawi Władcę Grozy – ale Uldyzjan nie widział innego wyjścia.

Posłuszna jego woli woda uniosła się z kanału i niczym ściana rozdzieliła demona i śmiertelnika. Działo się to tak szybko, że Diabło nie zdążył nawet zareagować. Szybciej jeszcze ściana wody zamarzała i pokryła się lśniącem lodem podobnym lustrzanej tafli.

I tak Władca Grozy spojrział sam na siebie.

W innych okolicznościach ten wybieg z pewnością by się nie udał. Przygotowany na sztuczkę Pan Grozy zapewne dostosowałby swoje działania. Ale tym razem czar zajął Uldyzjanowi ułamki chwili i został rzucony wręcz odruchowo, bez najmniejszego przygotowania. Demon nie wiedział, czego się spodziewać.

I tak Diabło uczynił sobie to, co zwykł czynić innym; lęki, którymi ciskał w człowieka, teraz zmieniły się i stały się jego własnymi.

Diabło skręcał się i wił, gdy jego koszmarna moc uderzyła w niego z całą siłą. Zerknął zaledwie, ale lęki Władcy Grozy musiały być zaiste przepotworne.

Wyjąc wściekle, Diabło popędził w górę poprzez kamienny sufit. Jego krzyk odbił się echem nie tylko w kanałach, ale i w każdym zakamarku duszy Uldyzjana.

Uldyzjan dopiero po chwili zrozumiał, że został sam. Ogarnęło go straszliwe zmęczenie. Zamarznięta tafla wody spłynęła z powrotem od kanału. Niemal podzielił jej los, jednak ostatnim wysiłkiem woli udało mu się opaść na kamienny brzeg.

Oparł się o ścianę i dopiero wtedy odetchnął głęboko. Diabło zniknęła, a wraz z nim owa odrobina światła, jednak Uldyzjan bez trudu widział w ciemności. Najpierw pole magiczne, które uratowało go od utonięcia, a teraz to. Jego moc dostosowała się do jego potrzeb, nie musiał nawet przyzywać jej świadomie.

Przypomniawszy sobie słowa Mendelna, że to umiejętności kontrolują Uldyzjana, a nie odwrotnie. Przez chwilę poważnie rozważał tę możliwość, ale potem ją wyśmiał. On i jego umiejętności stanowiły jedność, jakże mogłyby być zagrożeniem dla siebie czy innych z tego właśnie powodu?

Wreszcie odzyskał nieco sił, wróciła mu też jasność myśli. Przypomniawszy sobie o magu i ruszył do nieruchomego wciąż Ketusa.

Zanim jeszcze dotknął maga, wiedział, że ten żyje. Znajdował się w takim samym stanie jak Uldyzjan, gdy zaatakował ich pierwszy demon.

Uldyzjan nie potrafiłby wyjaśnić, co robi, ale był głęboko przekonany, że osiągnie zamierzony rezultat – powiódł dłonią nad ciałem Ketusa – od serca do głowy.

Mag głośno nabrał powietrza, kaszlnął, oczy o pustym spojrzeniu nabrały teraz wyrazu.

– Asceńczyku... – mruknął. – Uldyzjanie... czy to coś jest martwe?

Uldyzjan zrozumiał, że jego towarzysz nie ma pojęcia, co się wydarzyło od chwili, gdy poraził go demon. Zdziwiło go to, bo sam cały czas zachował przytomność. Czyżby był o tyle silniejszy?

– Martwe. Ugotowałem to żywcem, co nie było wcale okrutniejszym losem niż ten, który miał spotkać nas.

– Bez wątplenia. – Ketus przyjął wyciągniętą rękę Uldyzjana i wstał niepewnie. Chwiał się przez chwilę, zanim odzyskał równowagę. Gdy mu

się wreszcie udało, przyzwał świetlną kulę. – Nie sądzę, bym bez pomocy poradził sobie równie dobrze.

Uldyzjan spojrział w ciemne wody kanału.

– Chęć życia może sprawić, że człowiek zdolny jest do cudów.

– Ale nie jak twoje. – Ketus nie brzmiał już ani trochę wyniośle. – Jesteś dokładnie taki, jak słyszałem w opowieściach, a nawet je przerastasza. Mogłeś zostawić mnie tu, bym zgnił, ale tego też nie uczyniłeś.

Ta zmiana w nastawieniu maga niezwykle ucieszyła Uldyzjana. Skoro można było przekonać kogoś tak niewzruszonego jak Ketus, to naprawdę istniała szansa przekonania klanów, by dołączyły do walki nie tylko z Inariuszem, ale najwyraźniej również z władcą demonów.

Klany magów. Uldyzjan skrzywił się nagle.

– Ketusie, jak długo tu jesteśmy?

Jego towarzysz natychmiast zrozumiał powód niepokoju Uldyzjana.

– Obawiam się, że wiele godzin. Ale nie martw się. Wstawię się za tobą!

– Ketus nagle złapał się za pierś. Uldyzjan rzucił się mu pomóc, ale mag odtrącił jego ręce.

– Oni... wykorzystują ten kawałek mnie, który oddałem Radzie, wykorzystują, by mnie odnaleźć! Tak odnajdują zaginionych egzekutorów. Z uwagi na naszą pracę niejednokrotnie przychodzi nam stykać się z przemocą. – Wyprostował się. – Wiedzą, gdzie jestem. Zapewne gdy nie stawiliśmy się przed Radą, przepytali księcia i odkryli, że jesteśmy razem.

– Dziwne, że nie szukali cię wcześniej.

W odpowiedzi mag obdarzył Uldyzjana lśniąco białym, lecz ponurym uśmiechem.

– Zapewne czar demona stworzył jakąś osłonę.

Nie zdołali wymenić więcej zdań, bo wokół pojawiła się nie jedna, a ponad dziesięć zakapturzonych postaci, między nimi wysoki i chudy Nurzani.

– Ketusie – krzyknął tamten, a oczy w zapadniętej, wychudłej twarzy patrzyły to na ciemnoskórego maga, to na Uldyzjana. – Odsuń się natychmiast!

– Nurzani! Co...

Nowo przybyli skierowali swe medaliony i laski w stronę Uldyzjana. Ketus podniósł dłoń w geście protestu, ale Nurzani gestykulował już ze zniecierpliwieniem i ciemnoskóry mag zniknął ze swego miejsca przy Uldyzjanie i pojawił się za swoimi pobratymcami.

– Teraz! – rozkazał Nurzani.

Zanim jednak zdążyli zrobić cokolwiek oszołomionemu Uldyzjanowi, gwałtowna fala wody odwróciła ich uwagę od przywódcy edyremów. Z niej zaś wyleciały przedmioty o barwie kości słoniowej rozmaitej wielkości i kształtu. Krócej niż trwa mgnienie oka, oddzieliły magów od ich celu.

Znajomy i wytęskniony głos rozległ się echem w tunelu.

– Uldyzjanie! Do mnie!

Mendeln! Nikogo innego Uldyzjan nie powitałby z większą radością. Niemniej zawahał się przez moment, zaskoczony tak jak i magowie wyczynem swojego brata.

Ściana z kości nie tylko ochroniła Uldyzjana przed magami, ale natychmiast odbijała wszelkie rzucane przez nich zaklęcia. Kości pochodziły najwyraźniej z resztek, jakie trafiały to ze świata powyżej, i od zwierząt, które wiodły życie w kanałach. Były wśród nich i ludzkie kości, bardzo dużo ludzkich kości, ponure przypomnienie nie tylko o długiej historii miasta, ale i o jej mrocznych aspektach.

Mendeln próbował już zrobić coś podobnego, ale nigdy na taką skalę. Makabryczna ściana niewzruszenie trwała pod naporem ataku magów.

Ketus protestował głośno, ale magowie nie mieli jakoś ochoty go słuchać. Nurzani sięgnął do mieszka.

Uldyzjan poczuł wzbierającą w nim frustrację, którą szybko zastąpiło oburzenie. Magowie zaatakowali go zupełnie bez powodu. Zapewne cały

czas planowali tę zdradę.

Oburzenie ustąpiło złości. Z wysiłkiem powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć, i szybko uznał, że niepotrzebnie się wysilał.

Czyjaś dłoń pochwyciła go za ramię. Z grymasem wściekłości obrócił się i zrozumiał, że należała do jego brata.

– Odsuń się, Mendelnie! – warknął. – Sami są sobie winni.

– Nie – odparł jego brat poważnie. – Mają powód, by cię nienawidzić.

To stwierdzenie zaskoczyło Uldyzjana. Chciał zaprotestować, ale Mendeln, zmrużywszy oczy, patrzył gdzieś ponad ramieniem starszego brata.

– Nie! – Wcisnął coś w dłoń Uldyzjana i wykrzyknął jakieś niezrozumiałe słowo. Tunel wypełniło oślepiające światło. Również to, co Mendeln dał swemu bratu, lśniło własnym blaskiem.

Otoczenie zmieniło się nagle. Tunel zniknął. Światło zgasło. Otoczyła go łagodna ciemność. Uldyzjan wylądował na miękkim, wilgotnym gruncie. Otoczyły go rozmaite dźwięki, jakimi zwykle tętniła dżungla.

Oszołomiony opadł na kolana. Oddychał powoli, a wściekłość, która ogarnęła go w tunelu, teraz gasła.

Kiedy już odzyskał rozsądek, dotarło do niego przyjemne uczucie chłodu promieniującego z dłoni. I jakby stłumione światło, które przywiodło mu na myśl gwiazdy.

Uniósł rękę i zrozumiał, że ściska w niej kościany sztylet Mendelna. Blask ostrza słabł z chwili na chwilę.

Uldyzjan odwrócił się, chcąc oddać bratu jego broń, ale Mendelna nie zobaczył.

– Bardziej martwił się o ciebie i to, co możesz uczynić – dobiegł go głos z przeciwnej strony.

Uldyzjan spojrział w twarz Rathmy.

– Muszę po niego wrócić!

– Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej niż uratowanie twego brata, szczególnie że to przez mój błąd dał się nakłonić do tego, by ruszyć za tobą do Kedżanu. – Starożytny podszedł bliżej. – Ale jeśli wrócisz do tuneli, by stawić czoła magom, stracimy wszelkie szanse na uzdrowienie tego, co być może już znalazło się poza wszelkimi możliwościami uzdrowienia.

Jak zawsze Uldyzjan niewiele zrozumiał ze słów Starożytnego. Wiedział tylko, że jego brat został otoczony przez wrogów, bo wyruszył jemu na ratunek.

– Wracam!

Rathma potrząsnął głową.

– Uldyzjanie, nie masz pojęcia, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku godzin. Rada Magów i przywódcy gildii, którzy zebrali się na twoją prośbę, zostali brutalnie zamordowani.

Wiadomość była dla Uldyzjana niczym cios.

– Zamordowani? Jak to?

– Z ręki jednej z nich... która twierdzi, że zrobiła to w twym imieniu. Jej też szukają, ale co najważniejsze, zostałeś nazwany mordercą i ty, wraz z tymi, którzy idą za tobą, musicie zginąć. Klany magów, nie, całe miasto szykuje się do wojny z edyremami.

To był koszmar, którego Uldyzjan się obawiał i któremu zarazem miał nadzieję zapobiec. Nie musiał pytać, kto za tym stoi. Inarius. Inarius i zapewne pan demonów Diabło.

No i ta czarownica, która dzięki wsparciu anioła, bądź demona, władała mocą tak potężną, że zdołała zgładzić doświadczonych magów. Podejrzewał, że to Amolia, ale nie tak naprawdę ona. Nie należała do osób, które można było łatwo przekabacić.

Malik miał nowe ciało i najwyraźniej zawarł pakt z tymi, którzy pragnęli upadku Uldyzjana.

Jednak Uldyzjan nie martwił się o siebie. Zaciskał dłoń na kościanym sztylcie i zamierzał odesłać broń bratu, albo nawet zanieść osobiście, jeśli

zajdzie taka potrzeba. Jednak broń wyglądała inaczej niż wcześniej. Właściwie po raz pierwszy widział klingę tak złowieszczo bladą. Bez życia.

– Też się tego obawiam. Kiedy wyczułem ciebie, nie jego, pomyślałem o najgorszym.

– Przestań gadać zagadkami! Pomóż mi coś zrobić!

– Ale niczego nie możesz już zrobić dla Mendelna – powiedział Rathma z całkowitym spokojem. – Zupełnie niczego. Spójrz na ostrze. Więź między sztyletem a jego właścicielem została przerwana. – Pochylił głowę. – Twój brat jest stracony.

CZTERNAŚCIE



„Czy to śmierć? – zapytał siebie samego Mendeln. – To jest to?”

Jeśli tak, śmierć okazała się o wiele mniej interesująca, niż to sobie wyobrażał. Oczywiście wyobrażenia i rzeczywistość nie zawsze idą w parze, a nawet bywa, że niewiele mają ze sobą wspólnego, a jednak po tym, co widział za życia, Mendeln spodziewał się czegoś więcej niż tylko pustki. Niczego nie widział, niczego nie mógł dotknąć, nie wiedział nawet, czy w ogóle w jakikolwiek sposób zachował kształt przypominający jego ciało.

Wrócił myślą do wydarzeń w kanałach. Dzięki przewodnictwu drugiego anioła nie tylko wszedł do miasta, nie alarmując żadnych strażników – tych zwyczajnych i tych magicznych – ale też zdołał wykorzystać własne więzy krwi i umiejętności, jakie pozyskał od Rathmy i smoka, by odnaleźć brata. Niestety wydostanie Uldyzjana z miasta nie było w żadnym razie tak proste, jak miał nadzieję, że będzie.

Jak doszło do sytuacji, w której odnalazł brata, Mendeln wiedział najlepiej ze wszystkich. Oczywiście przyszły do niego duchy – duchy martwych magów i kupców. Co więcej, były wyjątkowo chętne, by podzielić się z nim szczegółami, jak zostali pomordowani. W końcu Mendeln znał je, jakby osobiście uczestniczył w tych wydarzeniach,

wiedział też, że Amolia nie była tym, kim się być wydawała. I rzeczywiście – duchy to potwierdziły, i to w najgorszy możliwy sposób.

Uświadomiły mu bowiem, że do straszliwego mordu doszło przez jego czyn. Uświadomiły mu to, opowiadając historię, którą Mendeln uznał za prawdę.

Za wszystkie te ohydne, potworne zbrodnie odpowiedzialny był Malik.

W jakiś sposób udało się mu uwolnić z fragmentu kości, z którym związał go Mendeln. Teraz niczym jakaś odrażająca choroba przenosił się z ofiary do ofiary. Jeśli podejrzania Mendelna były słuszne, to śmierć, jaką szerzył duch, była właściwie kwestią przypadku, bowiem dążył on do pozyskania ciała, które pragnął uczynić swoim na zawsze – ciała Uldyzjana.

Straszliwy los, jaki zgotował innym, przepęłił Mendelna poczuciem winy. Teraz młodszy z braci miał już tylko jeden cel – wydostać Uldyzjana ze stolicy, gdzie wciąż, czego Mendeln był pewien, grasował Malik. Przez jakiś czas jednak Mendeln nie był w stanie odszukać brata. Zupełnie jakby ten przestał istnieć. W końcu jednak poszukiwania zakończyły się sukcesem. Mendeln po prostu popełnił błąd, szukając brata nad ziemią, podczas gdy ten znajdował się pod nią.

Owszem, Mendeln znalazł Uldyzjana, ale otoczonego przez żądnych zemsty magów, którzy z pewnością nie byli gotowi posłuchać głosu rozsądku. Nie wahał się ani chwili. Czar tworzący kościaną barierę wziął się głównie z obaw Mendelna o brata, rezultat zaskoczył magów, Uldyzjana, ale i młodszego z braci.

Ale gdy Uldyzjan nie tylko nie chciał się oddalić, ale był gotów odpowiedzieć atakiem, a tym samym stać się dokładnie tym złem, które widzieli w nim Kedżanie, Mendeln uznał, że musi go powstrzymać. Przestał podtrzymywać ścianę z kości i rzucił czar, mający zabrać asceńczyka tam, gdzie będzie bezpieczny. Oznaczało to poświęcenie sztyletu, ale Mendeln o to nie dbał.

Zakłęcie zadziało. Uldyzjan zniknął.

A magowie zaatakowali Mendelna, tak jak zamierzali zaatakować Uldyzjana.

Tyle Mendeln zapamiętał. No może poza mgnieniem niewiarygodnego bólu. W następnej chwili odkrył, że znalazł się w tym „limbo” – z braku lepszego określenia.

Jeśli umarł, to przynajmniej dokonał tego, czego pragnął najbardziej. Uldyzjan znalazł się poza murami miasta, bezpieczny. I tylko to się liczyło...

I nagle serce załomotało mu w piersi, gdy wokół niego rozległ się gromki głos.

– ZBUDŹ SIĘ, MENDELNIE UL-DIOMEDZIE! ZBUDŹ SIĘ! ALBOWIEM ZA TWOJE GRZECHY ŚMIERĆ BĘDZIE OSTATNIĄ KARĄ Z TYCH, NA JAKIE ZASŁUŻYŁEŚ. ZOSTAŁEŚ OCALONY.

I nagle pustka, w której się unosił, została zastąpiona przez wspaniałą komnatę z lśniącego marmuru, on sam zaś spoczywał na miękkiej rozłożystej sofie. Nad sobą zobaczył panoramę, pokazującą jakiś sielankowy świat zamieszkały przez skrzydlate istoty, która pokrywała cały sufit.

Te słowa, jeśli nie sam głos nawet, zdradziły Mendelnowi, w czyich znalazł się rękach.

Poderwał się na równe nogi, sięgając zarazem po sztylet, którego przecież już nie miał. Stał twarzą w twarz z wysokim aniołem o skrzydłach ze wstęg energii, który nie był tym spotkanym w dżungli.

Postać świetlistego wojownika zafalowała jakby oglądana przez tafłę wody i zmieniła się w równie ohydny dla Mendelna – w Proroka.

– Mendelnie ul-Diomedzie! – zaśpiewał pan Katedry Światłości. – Rozmawiałem raz z twym bratem, oferując mu odkupienie i ratunek przed ostatecznym upadkiem. Wolał dalej kroczyć drogą grzechu, niż zwrócić się ku światłu. Modlę się, byś dla dobra swej duszy nie powtórzył jego błędu.

Mendeln bez trudu mógł sobie wyobrazić buntowniczą postawę brata. Dziwił się, że Inarius spodziewał się czegoś innego.

Prorok machnął dłonią i obok Mendelna zmaterializowała się istota, która wydawała się stworzona na poły z wiatru, na poły ze słońca. Nie można było powiedzieć, czy jest płci żeńskiej, czy męskiej. Nie miała nóg, tylko wstęgi energii podobne anielskim skrzydłom.

W dłoniach o trzech jedynie placach istota trzymała lśniąca tacę, na niej zaś stał puchar, który zadawał się być wykonany z czystego diamentu. Wypełniony był złocistym płynem.

– Powinieneś się wzmocnić, moje dziecko, szczególnie po tak dramatycznych wydarzeniach.

Mendeln bez wahania wziął puchar. W tym samym momencie nieziemski sługa rozpląnął się bez śladu. Młody człowiek skosztował płynu. Słowo „nektar” stanowczo nie oddawało cudownego smaku napoju.

Mendeln nie obawiał się, że przyjęcie poczęstunku uczyni go bardziej podatnym na sugestie anioła. Inarius nie musiał uciekać się do sztuczek śmiertelników. Z pewnością szykował coś innego.

– Byłbyś już martwy – oznajmił Prorok z miną pełną powagi. – Zdecydowani byli zabić twego brata, a gdyś odebrał im tę możliwość, zwrócili swą magię przeciwko tobie, moje dziecko. – Złożył dłonie, tak że stykały się koniuszkami palców. – Byłbyś martwy... gdyby nie ja.

Mimo iż słowa te pochodziły od anioła, Mendeln nie był pewien, czy powinien dawać im wiarę. Podejrzał, że Inarius mógł manipulować dowolnymi faktami, tak by odpowiadały jego potrzebom. Jednak Mendeln mądrze skłonił głowę.

– Dziękuję ci za to – odparł.

Prorokowi spodobała się ta postawa.

– Twój brat powinien nauczyć się manier od ciebie. Ta jego grzeszna arogancja kiedyś go zniszczy. A tego byś przecież nie chciał.

Zbliżali się więc do tego, czego Inarius chciał od człowieka. Mendeln zamierzał udawać, że się zgadza, szczególnie że nie widział chwilowo innego wyjścia.

– Zajrzałeś w domenę śmierci, Mendelnie ul-Diomedzie, i to w taki sposób, w jaki nie uczynił tego żaden ze śmiertelników. Zacząłeś tę wyjątkową podróż w znacznej mierze dzięki działaniom ego zbłąkanego potomka. To coś, czego nie powinien był nigdy robić.

Zdarzały się chwile, że Mendeln myślał dokładnie to samo, ale nie mógł już zawrócić. Droga, którą został poprowadzony, stała się częścią jego samego tak jak oddychanie.

– Ale stało się tak nie tylko za jego sprawą – mówił dalej anioł, a jego młodzieńcza twarz po raz pierwszy zmieniła się odrobinę pod wpływem emocji, której Mendeln nie spodziewał się zobaczyć.

Niepokój.

– Nie... Mój syn nie jest tą fontanną wiedzy, z której czerpiecie obaj. Jest ktoś jeszcze, i ty wiesz kto.

Mendeln próbował zdławić nagłe uczucie strachu. Inarius wiedział o Trag'Oulu.

Przeraził się, że pomyślawszy o smoku, dał Inariusowi dowód, ale ku zaskoczeniu człowieka, anioł zdawał się niczego nie zauważać, nadal sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

Mendeln raz jeszcze odtworzył w myślach słowa Proroka i zrozumiał, że nie były one odpowiedzią na wcześniejsze dywagacje Mendelna na temat swego stanu i przekonania, że poległ w kanałach. Anioł zaczął rozmowę w najbardziej logiczny sposób, w jaki mógł ją poprowadzić w zaistniałej sytuacji. Każdy na miejscu Mendelna zastanawiałby się, czy nie zginął, i Inarius wykorzystał to, by podkreślić, ile człowiek jest mu winien.

Ale nawet jego własne życie nie było warte tego, by zdradzić smoka. Mendeln wiedział, że wysiłki Trag'Oula, by uchronić Sanktuarium, dalece

przekraczały wszystko, co człowiek zdołał uczynić. Mendeln więc milczał, choć w duchu był pewien, że Inarius srodze go za to ukarze.

Jednak, choć wyraźnie rozgniewany, Prorok nie uczynił Mendelnowi krzywdy. Ten zaś z chorobliwą fascynacją przyglądał się, jak anioł wykazuje coraz więcej ludzkich cech. Spędziwszy tyle czasu wśród rodzaju ludzkiego, musiał mimowolnie nawet przejąć jakieś człowiecze zachowania, nawet jeśli sam ich nie uznawał.

W jego słowach i gestach pojawiło się czytelne napięcie.

– Zaprzeczanie prawdzie to również grzech, moje dziecko. Chcesz skazać się na potępienie, odmawiając potwierdzenia czegoś, co wiemy przecież obaj? To głupota!

Słyszając te słowa, Mendeln przestał obawiać się, że Inarius mógł czytać mu w myślach. Zapewne Trag'Oul stworzył jakąś tarczę czy osłonę, której anioł nie mógł przeniknąć.

Mendeln dopił nektar, starając się nie myśleć, do czego może posunąć się anioł, chcąc przebić tę osłonę. Aczkolwiek istniała możliwość, że nie podejmie żadnej próby, w końcu wiedział już o smoku.

Tymczasem jednak gniew Inariusza przybierał na sile. Jednym gestem odesłał puchar z dłoni Mendelna w nicość. Z twarzą zmienioną wściekłością uniósł człowieka w górę, aż ten znalazł się niemal pomiędzy skrzydlatymi istotami z fresku.

– Okaż skruchę za tve grzechy, Mendelnie ul-Diomedzie, przyznaj to, co wiemy obaj. On tu jest! On prowadzi cię poprzez cienie! Wymów jego imię! To Tyrael! Tyrael! Przyznaj natychmiast!

Tyrael! Atak magów musiał jednak oszołomić Mendelna, że zapomniał o tym, który zainicjował to konkretne zadanie. To z powodu drugiego anioła Mendeln z własnej woli porzucił edyremów. Nie czuł się zresztą specjalnie winny z tego powodu, bo przecież uczynił to dla dobra brata.

Tyrael. Oczywiście, że Proroka najbardziej obchodził jeden z jego pobratymców.

Głos Inariusza dudniący niczym grzmot przy wtórze łopotu niezliczonych wielkich skrzydeł ogłuszył człowieka. Łopot szybko przesłonił wszelkie inne dźwięki. Niewidzialne skrzydła czyniły taki hałas, że Mendelnowi poczęły łzawić oczy.

Coś szarpnęło go za ramię. Dłoń mała, lecz o ostrych paznokciach. Druga skaleczyła go w rękę. Poczłł uderzenie kolejnej i jeszcze następczej...

Atakowały go istoty z fresku na suficie, widział je przez łzy. Dopadło go kilkanaście, a kolejne już odrywały się od sufitu. Wyglądały dokładnie tak samo jak na malowidle, a kiedy jedna z nich odwróciła się bokiem, zobaczył, że nie ma głębi.

Próbował je odgonić, ale było ich zbyt wiele. Szarpały paznokciami jego twarz, rozdzierały pierś, i choć były cieniutkie, kiedy w nie uderzał, miał wrażenie, że wali pięściami w kamień.

Roily się wokół Mendelna i powtarzały żądania Proroka.

– *Powiedz jego imię! Tyrael! Powiedz! Przyznaj, że to on!*

I choć Mendeln bez trudu mógł spełnić to życzenie, nadal milczał. Nie potrafił zidentyfikować wszystkich swoich wrogów, zrobił więc, co mógł, by bardziej zdezorientować Inariusza. Nawet jeśli oznaczało to tortury i śmierć dla Mendelna, był gotów na wszystko, byle tylko zwiększyć szanse pozostałych.

Skrzydlate stworzenia wycofały się nagle. Mendeln zobaczył, że wracają na swoje miejsca na suficie. Spodziewał się, że Inarius ciśnie go na posadzkę, ale anioł położył go delikatnie na kanapie.

– Tak mi przykro, mój synu – powiedział, spoglądając na człowieka z boleścią wymalowaną na obliczu. – Tak bardzo, bardzo przykro, że chcesz trwać w grzechu. Zrobiłem, co było w mojej mocy, by przekonać cię do powrotu do światła, ale jak twój nic niewarty brat wolisz kroczyć w ciemności. – Litość na jego twarzy ustąpiła potępieniu. – A więc do ciemności trafisz.

Szeroka marmurowa komnata zawirowwała, jakby nagle zmieniła się w płyn. Sofa, na której spoczywał Mendeln, zmieniła się w szeroki czarny lej. Mendeln krzyknął przerażony. Ze wszystkich sił starał się uniknąć ziejącej otchłani, ale bezskutecznie.

– Szkoda... – usłyszał jeszcze z ust Proroka.

Mendelnowi wydawało się, że spada bez końca, ale nagle wylądował, chyba na twardych kamieniach. Upadek wyrwał mu powietrze z płuc i zmącił myśli.

I nagle z ciemności dobiegł go kobiecy głos.

– Kto to? Kto tu jest? Odezwij się! Odezwij!

Ale Mendeln był w stanie tylko jęknąć przeciągle. Ktoś poruszył się w ciemności. Pochylił się nad nim, blisko, ale go nie dotykając.

– Kim jesteś? Jak się tu dostałeś?

Mendeln przetoczył się na plecy, by znaleźć się twarzą w twarz z kobietą w opończy. Z tego, co mógł zobaczyć w mroku, miała jasne włosy, jasną, chyba urodziwą twarz. Natychmiast przypomniała mu o Lilith, więc odsunął się od niej, jak mógł najszybciej.

Ona też się cofnęła.

– Kim jesteś? – zapytała nagłaco. – Magiem?

Głos nie przypominał zupełnie głosu Lilith, ale Mendeln pamiętał, że demoniczna kusicielka potrafiła kraść głosy. Przypomniał sobie jednak, że Lilith zginęła, zgładzona przez jego brata. Kobieta tutaj była kimś innym. Mendeln podejrzewał, że znów był w stolicy i pewnie trafił na jedną z tych osób, do których Lylia była podobna, jak twierdził Mistrz Cyrus.

Wstał.

– Nie jestem magiem. – Nie było sensu wyjaśniać, kim był. – Na imię mi Mendeln.

Usłyszał, jak kobieta wciąga powietrze, potem nastąpiła chwila ciszy.

– Dzięki niech będą opatrności! Obawiałam się, że to jeden z tych magów morderców. Są wszędzie! Polują na każdego, kto pomagał

mężczyźnie zwanemu Uldyzjanem.

– Uldyzjan! – Mendeln nie mógł wręcz uwierzyć w swoje szczęście, szczególnie że znalazł się w tym miejscu za sprawą Inariusza.

Ta myśl sprawiła, że przypomniał sobie o ostrożności. Zapewne anioł chciał, żeby brat Uldyzjana znalazł się tam, gdzie trwało polowanie magów, aczkolwiek jak to miało pomóc aniołowi, pozostawało odrębną kwestią.

– To zabrzmiało, jakbyś go znał – stwierdziła kobieta, a w jej głosie pobrzmiwała słaba nuta nadziei. Zbliżyła się trochę. – Słyszałam, że miał brata o imieniu Mendeln. To ty?

– Tak. – Zaczął zastanawiać się, czy przypadkiem Prorok nie popełnił błędu, rzucając go akurat w to miejsce. Bowiem sytuacja zdawała się sprzyjać Mendelnowi pod każdym względem. Jeśli ta kobieta miała jakiś kontakt z Uldyzjanem, być może Mendeln mógłby skorzystać z więzi między nimi i odnaleźć brata.

Musiałyby jej jednak wyjaśnić, że choć nie był magiem, nadal był w stanie czarować... w pewnym sensie. Strata sztyletu...

Sztylet! Jakże mógł być taki rozkojarzony. Przecież użył sztyletu, by przenieść brata w bezpieczne miejsce. Nie potrzebował w ogóle pomocy tej kobiety! Ależ był głupcem. Sztylet był z nim związany, musiał tylko sięgnąć do niego, a zarazem do Uldyzjana.

– Posłuchaj – odezwał się najbardziej uspokajającym tonem, na jaki było go stać. – Uldyzjan jest poza miastem...

– Poza miastem? Jak to możliwe?

W tym temacie musiał zachować ostrożność.

– Musisz mi zaufać. Nie jestem magiem, ale znam magię pewnego rodzaju. Zdołałem wysłać go w bezpieczne miejsce, zanim magowie zaatakowali. Jest klinga, której użyłem, żeby wysłać go poza mury miasta.

– Klinga... i masz ją?

– Nie. On ją ma. – Mendeln szykował się przewycięzać trudności. – Możliwe... myślę... że będę mógł dotrzeć do Uldyzjana poprzez ostrze

i albo przenieść nas do niego, albo skłonić go, żeby to zrobił. Tak, on na pewno będzie w stanie rzucić taki czar.

Stała tuż obok.

– Taka wielka moc! Zdumiewające!

– Nie mogę ci obiecać, że zadziała – dodał szybko.

– Ależ musi!

Mendeln spróbował uspokoić nieco przypadkową towarzyszkę.

– Mam wielką nadzieję, że się powiedzie, tak sędzę. – Zawahał się i uznał, że warto odciągnąć jej myśli od możliwej porażki. – Jak ci na imię? – zapytał.

– A...Amolia.

– Nie zostawię cię tutaj, nie obawiaj się.

Wyciągnęła ku niemu rękę.

– Wiem.

Mendeln wzdrygnął się i mimowolnie odsunął ramię poza zasięg zbliżających się doń palców. Zamrugał i wpatrzył się w kobietę na wpół skrytą w mroku.

– Znam cię! – wychrypiał, śmiertelnie zaskoczony i pełen obrzydzenia.
– Znam cię!

– O tak, znasz – odpowiedziała, zbliżając się.

Teraz dopiero Mendeln zrozumiał, że ciemność spowijająca jej twarz była znacznie głębsza niż normalna. Z takiej odległości powinien był widzieć kobietę wyraźnie, wzrok miał lepszy przecież od kociego, a jednak z trudem wyłapywał więcej szczegółów jej fizjonomii. Amolia rzeczywiście przypominała mu Lylię, nie myliło go pierwsze wrażenie, ale jedna cecha szczególnie mocno szpeciła jej urodziwe rysy.

Ciemne plamy pokrywały jej twarz.

Nie... nie jej twarz. Jak Mendeln zdołał odgadnąć prawdę, zapewne mógłby wyjaśnić jedynie Rathma. Ta kobieta nie była już Amolią.

To był duch arcykapłana Malika, używający jej ciała.

Jak doszło do tej potworności, Mendeln nie wiedział, zrozumiał natomiast, dlaczego Inarius tu go umieścił. Fakt, że anioł skorzystałby z pomocy takiego potwora jak Malik, wcale nie zaskoczył Mendelna. Fałszywa Amolia pochwyciła go za ramię.

– Jakże to stosowne, że to ty właśnie dasz mi ciało swego brata.

Mendeln poczuł napierającą nań pustkę. Zupełnie jakby był wyrzucany z własnego ciała.

Nie wiedząc, co począć, wymamrotał pierwsze słowa w starożytnym języku, jakie przyszły mu na myśl.

Malik wrzasnął, gdy z miejsca, gdzie trzymał dłoń, eksplodowało białe światło. Gwałtownie cofnął rękę. Wyglądała, jakby została przypalona, lecz nie żarem, a chłodem.

– Niemożliwe! – ryknął kapłan, a jego nieludzka furia jeszcze bardziej zniekształciła twarz Amolii. – Niemożliwe!

Mendeln otrząsnął się z zaskoczenia i przeszedł do ataku.

– Ja wezwałem cię z martwych, Maliku! Nie możesz mnie tknąć, ale mogę odesłać cię do otchłani, gdzie twoje miejsce!

Kobieca twarz wykrzywiała się coraz bardziej, ale teraz przyczyną były zgoła odmienne emocje. Ku swemu rosnącemu zdumieniu Mendeln rozpoznał to uczucie – był to strach.

Malik się bał, po raz pierwszy chyba kogoś innego niż swych nieludzkich panów.

Ale Mendelnowi to nie wystarczyło, szczególnie że odrażający duch chciał zamienić ciało, z którego korzystał, na to odebrane Uldyzjanowi.

Mendeln wyciągnął dłoń w stronę kapłana.

– Nigdy więcej! – ryknął. – Przyszedł czas, żebyś umarł! Tym razem na zawsze!

Potrzebne słowa niemal same wybiegły mu na usta.

Z gardłowym okrzykiem Malik złapał medalion na piersi. Mendeln zbyt późno zorientował się, co to oznacza.

Malik zniknął.

– Nie! – Mendeln desperacko dokończył inkantacje. Jednak czar pozbawiony celu po prostu się rozwiął.

Mendeln nie wiedział, gdzie podział się Malik. Arcykapłan działał w stanie najwyższej paniki, a to znaczyło, że być może przeniósł się gdzieś zupełnie na ślepo. Mendeln ucieszyłby się, gdyby to miejsce było między polującymi magami – ta część historii bowiem wydawała mu się prawdopodobna. Z pewnością teraz zorientowałiby się, że mają do czynienia z czymś do gruntu złym.

Ale Mendeln nie mógł polegać na szczęśliwym zbiegu okoliczności, musiał odkupić swój czyn wypuszczenia na świat takiego potwora, musiał go dopaść i zgładzić.

Najpierw jednak powinien odnaleźć brata i upewnić się, że Uldyzjanowi nic nie jest.

Plan, który ułożył przed zdemaskowaniem Malika, nadal miał szanse powodzenia. Mendeln skupił się na sztylcie. Uldyzjan na pewno miał broń przy sobie. Mendeln modlił się gorąco, by tak było.

Jakaś potężna siła zwała go z nóg. Wyczuł kilka postaci tłoczących się wokół. Wiedział doskonale, kto to. Magowie zauważyli jego konfrontację z Malikiem i zareagowali odpowiednio. Teraz zamiast Uldyzjana czy ducha znaleźli całkiem inną zdobycz.

W głowie mu huczało, próbował jeszcze dokończyć czar, ale nie zdołał.

Złapały go jakieś ręce, a potem puściły, a mroczna komnata wypełniła się krzykami. Na chwilę wszystko spowilo księżycowo srebrzyste światło.

Znow pochwyciła go para rąk, ale tym razem delikatniej.

Srebrzyste światło na chwilę oślepiło Mendelna, a potem otoczyły go dźwięki dżungli.

– Spokojnie – rozległ się zmęczony głos Rathmy. – Nic mu nie jest.

W pierwszej chwili Mendeln był pewny, że to do niego przemawia Starożytny, ale niemal natychmiast rozległ się drugi głos, mocno

wytęskniony.

– Mogłem wydostać go sam, Rathmo! Mogłem!

Mendeln odzyskał wzrok. Zobaczył Uldyzjana przyciskającego do piersi kościany sztylet. Starszy z braci oczy miał całkiem dzikie.

– Sztylet był martwy – wymamrotał do Mendelna. – Myślałem, że umarłeś... a potem zapłonął znowu.

– Byłem gościem Proroka – wyjaśnił młodszy z braci. – Zapewne dlatego zniknęła więź między mną a ostrzem.

Mendeln nie widział powodu, by przypominać, że przeżył coś podobnego, zanim znalazł Uldyzjana w kanałach pod miastem.

Starszy brat zaklął.

– Wiedziałem! Mówiłem ci, Rathmo! Mówiłem, że to ja powinienem po niego pójść.

– Ale gdybyś tam wrócił – odezwał się Starożytny – mój ojciec bądź jego tak zwany sojusznik z pewnością by czekał.

– Dlatego właśnie...

– Albo gorzej – nie dał mu dojść do słowa Mendeln, stając przy tym niepewnie. – Malik.

– Malik?! – wykrztusił Uldyzjan. – Widziałeś go?

– Ja, przynajmniej w trakcie naszego spotkania. Czarownica o imieniu Amolia, o ile dobrze pamiętam.

Uldyzjan ponuro kiwnął głową.

– A ja zastanawiałem się, co sprawiło, że magowie zwrócili się przeciwko mnie, nawet mnie nie wysłuchawszy.

Rathma pokręcił głową nad Mendelnem, a przez pozbawioną wyrazu twarz przemknął cień rozczarowania.

– Tego, czegom cię nauczył, używać trzeba ze szczególną ostrożnością. Zmiany w naukach, jakich dokonałeś, są godne podziwu, ale to podziw, jaki ma się dla mocarnych szczęk prastarej bestii gotowej rozedrzeć cię na

strzępy, i tylko cienki włos, jakim została przywiązana do muru, ją przed tym powstrzymuje.

– Jestem boleśnie świadom swych niedostatków – mruknął Mendeln. – Ja i tylko ja będę się martwił nimi i nim.

Ta deklaracja nie przeszła bez echa.

– Nie – wtrącił Uldyzjan. – Malik jest mój.

– Jesteś wrażliwy na jego dotyk. Ja, jak się okazało, nie.

Kłótnia zapewne trwałaby dłużej, gdyby nie przerwał jej Rathma.

– Kwestia plugastwa, jakim jest Malik, może nie mieć większego znaczenia. Obawiam się, że nic, z czym zmagaliśmy się dotychczas, nie ma.

Te słowa zyskały mu niepodzielną uwagę obu braci. W końcu Uldyzjan ośmielił się zadać pytanie, na które żaden z nich nie chciał poznać odpowiedzi.

– Dlaczego? Dlaczego mamy nie bać się Malika lub, co istotniejsze, Inariusza?

– Ponieważ ich też, jak to bywa ze szkodnikami, zmieść może kataklizm, który majaczy na horyzoncie wydarzeń. Świetliści wojownicy Królestwa Niebios zmierzają do Sanktuarium. Przybywają położyć kres jego istnieniu jako wynaturzeniu, które nie powinno nigdy zaistnieć. – Ponury uśmiech zagościł na bladych wargach. – W porównaniu z nimi mój ojciec jest nieszkodliwy.

– Będziemy walczyć z nimi, tak jak walczyliśmy z nim.

– I przegramy, o ile nie zrobimy czegoś niewyobrażalnego.

– Czyli czego?

Rathma się wzdrygnął.

– O ile nie połączymy sił z moim ojcem.

PIĘTNAŚCIE



– Pakt z Inariusem...? – Uldyzjan nie wierzył własnym uszom.

Z zaskoczonej miny Mendelna łatwo można było wywnioskować, że on również. Uldyzjan zastanowił się, czy Starożytny nie odczuł wreszcie upływu stuleci, z pewnością bowiem postradał zmysły. Bo jakże inaczej mieli wyjaśnić tę szaloną sugestię?

– Równie dobrze można by się układać z Diablo... i kto wie, czy nie będziemy musieli. Chętnie przyjąłbym każdą podpowiedź, ale w obecnych okolicznościach nie widzę innego wyjścia.

– Nie! – Mendeln stał między nimi. – Jest jeszcze inna możliwość. Inny anioł. Tyrael.

– To z jego powodu Królestwo Niebios maszeruje teraz na Sanktuarium. Nie sądz, że tylko mój ojciec czy demony są mistrzami manipulacji. Dla Tyraela, a dodam, że budzi mój głęboki niepokój usłyszeć z twych ust potwierdzenie, że to on jest tutaj, nie będzie niczym zdrożnym ani uwłaczającym honorowi rycerza światła skłamać i przekonać ciebie oraz Achiliosa, że jest dobry i łagodnego serca. – Opończa Rathmy powiewała niemal nerwowo, a efekt ten podkreślał jeszcze całkowity brak wiatru. – Jedynym celem jego pobytu tutaj będzie doprowadzenie do większego jeszcze chaosu i tego, by ci, którym zależy na ocaleniu tego świata, nie

przestawali ze sobą walczyć. Tym łatwiej osądzi ich Królestwo Niebios i wymaże bezpowrotnie.

– Niemożliwe! – wypalił Mendeln. – Rozmawiałem z nim. Martwił się szaleństwem Inariususa i tym, że demony przejmują kontrolę nad ludzkością. On...

– Prawda może skrywać wiele kłamstw. – Starożytny się przygarbił. – Dla Tyraela jesteście potworami, które nigdy nie powinny istnieć. Dlatego też niewarciu jesteście zaufania bądź prawdy. Ważne jest tylko to, by nas zniszczyć, unicestwić, abyśmy nie kalali stworzenia. Nie... musimy połączyć siły z moim ojcem, i to szybko.

Uldyzjan nie wierzył, że uda im się cokolwiek osiągnąć z Prorokiem. Musiał istnieć jakiś inny sposób.

– A co ze smokiem? On nie może czegoś zrobić?

– Zrobił. Ostrzegł mnie o nadejściu wojsk Królestwa Niebios.

– I to wszystko? Nic więcej nie uczyni?

Rathma rzucił mu wrogie spojrzenie.

– Nie mówiłem, że pozostanie bezczynny. Nawet teraz próbuje uczynić ich ślepych na prawdziwe położenie Sanktuarium. A jeśli to zawiedzie, będzie próbował powstrzymać ich przy użyciu swej mocy.

Z tonu Rathmy wynikało jednak, że Trag'Oul ma niewielkie szanse.

Cały czas jedna kwestia nie dawała Uldyzjanowi spokoju, kwestia dotycząca Inariususa.

– Dlaczego ten drugi anioł zadał sobie tyle trudu? Czy twój ojciec jest tak potężny?

– Sam nie, ale związał się z samym Kamieniem Świata i czerpie z niego niczym pijawka. To uczyniło go o wiele silniejszym, tak potężnym, że nawet Trzech nie atakuje go otwarcie.

– Diabło! – Nagle to, co wydarzyło się w kanałach Kedżanu, nabrało dla Uldyzjana całkiem innego znaczenia. – Próbował skłonić mnie podstępem, bym wpuścił go do swego umysłu czy może duszy! Ale się obroniłem.

– Władca Grozy był w Kedzanie? – zamyślił się Rathma. – Mam straszliwe uczucie, że dzieje się tu znacznie więcej, niż można by przypuszczać.

– O wiele więcej – zgodził się Mendeln. – To Prorok wysłał mnie do Malika.

Trudno było nie wyciągnąć logicznych wniosków. Pan demonów w mieście. Inarius związany z Malikiem. Plugawa istota w tunelach.

– Zawarli pakt – mruknął Uldyzjan. – Tych trzech zawarło pakt. – Potrząsnął głową w niedowierzaniu. – I dotyczył on też wymordowania wszystkich, którzy rządzą w stolicy!

– Ach jak to musiało rozbawić Tyraela... o ile on się w ogóle śmieje – splunął Rathma. – Tak więc albo skutek jego manipulacji, albo knucia mojego ojca i pana demonów wszystko będzie gotowe na przybycie Królestwa Niebios. Największe miasto na Sanktuarium, węzeł mocy, który być może oparłby się przez jakiś czas armii aniołów, pogrążone będzie w całkowitym chaosie. Jestem pewien, że Inarius i Diabło widzą w tym jedynie kolejną partię szachów, nic więcej.

Konkluzja ta była raczej ponura i w takich okolicznościach tym mniej prawdopodobnym się stawało, że Inarius słuchać będzie głosu rozsądku.

Uldyzjan sam się zdumiał, gdy dotarło do niego, że w zaistniałej sytuacji sojusz z Inariusem wydał mu się pożądany.

– Będzie z nami rozmawiał? – ośmielił się spytać.

Ta zmiana postawy najwyraźniej zaskoczyła nawet Rathmę, bowiem Starożytny przyglądał się przez chwilę Uldyzjanowi, zanim zdecydował się odpowiedzieć.

– Być może będzie... ale trudno powiedzieć, czy ta rozmowa potoczy się w pożądanym przez nas kierunku.

Co mogło oznaczać, że Inarius pozabija ich, zamiast wysłuchać.

– Jeśli w ogóle istnieje szansa, by się doń zbliżyć, ja muszę to uczynić – mówił dalej Rathma. – Nasze relacje są raczej napięte, ale zawsze lepsze

niż otwarta wojna między wami.

Uldyzjanowi nie bardzo podobało się to rozwiązanie, ale dostrzegł mądrość w słowach Rathmy.

– Jak to zrobisz?

– Po prostu pójdę i z nim porozmawiam... i uczynię to bez zwłoki.

I z tymi słowy Starożytny zniknął.

Zaskoczony Uldyzjan chciał go powstrzymać, ale jego dłoń złapała jedynie powietrze.

– Niech go szlag! Jest więcej kwestii, które powinniśmy omówić!

– W rzeczy samej – poparł go Mendeln. – Co zrobimy z Achiliosem? Służy aniołowi z niewiedzy lub wbrew własnej woli, ale tak czy inaczej – służy.

W tym temacie Uldyzjan nie miał wątpliwości.

– Zrobimy to, co będzie konieczne, by zapewnić bezpieczeństwo wszystkim edyremom. To znaczy wrócimy do nich natychmiast. – Przywołał brata gestem, oddając mu zarazem sztylet. – A jeśli to oznacza, że będziemy musieli walczyć z Tyraelem, niech tak będzie.

Mendeln skinął głową. Uldyzjan pomyślał o Serentii i pozostałych. Wyczuwał ich obecność niezbyt daleko – wszystkich poza dziewczyną. Niepokoił się.

Skoncentrował się i po krótkiej chwili stanęli pośród edyremów. Powitały ich okrzyki zaskoczenia. Uldyzjan obawiał się jakiegoś przypadkowego ataku i wzniosł osłonę wokół siebie i brata. Ostrożność popłaciła, bo chwilę później poleciała w ich stronę kula ognista.

– Stać! – rozległ się głos Saroni i chwilę później toradzanin już przyklękał przed Uldyzjanem. – Wróciłeś, mistrzu! Obawialiśmy się najgorszego!

– Ja także, Saronie. – Uldyzjan poklepał przyjaciela po ramieniu i szybko rozejrzał się po pozostałych. – Gdzie jest Serentia?

– Nie widziałem jej od kilku godzin. I prawdę powiedziawszy, mistrzu, martwiłem się, ale raz dotknęła mnie myślą i powiedziała, że przygotowuje dla nas drogę.

– A co to miało znaczyć?

Saron wzruszył ramionami.

– Wtedy myślałem, że chodzi o nasz marsz na Kedzan. My... chcieliśmy cię ratować.

– Jestem wam za to wdzięczny. – Uldyzjan skupił się mocniej, ale nadal nie mógł odnaleźć Serentii. Zamiast tego wyczuł coś na północy, coś, co przypomniało mu Achiliosa. W głowie miał gonitwę myśli. – Zostań z nimi, Mendelnie. Zrób, co w twojej mocy – powiedział nieobecny tonem.

– Uldyzjanie! Nie...

Ale było już za późno. Uldyzjan zniknął z obozu.

Przeniósł się głębiej w dżunglę po północnej stronie. Jego oczy dostosowały się do otaczającej ciemności... lecz nie dość szybko. Niewidzialna siła uderzyła weń jak taran i posłała w powietrze. Gdyby nie chroniąca go osłona, z pewnością skończyłby martwy. Odbił się od jednego pnia, potem drugiego, oba strzaskał całkowicie, dopiero trzeci go zatrzymał, ale pękł w połowie.

Nie dane było Uldyzjanowi się pozbierać. Dwie strzały trafiły niemal natychmiast i choć powinny być dlań mniejszym zagrożeniem niż magia, jedna przebiła jego tarcze ochronne. Na szczęście spowolniły ją do tego stopnia, że zaledwie drasnęła Uldyzjana, za to dokładnie tam, gdzie było jego serce.

Wyrwał strzałę i przetoczył się na bok. Zrozumiał, że zastawiono nań pułapkę. Nie bez powodu był w stanie wyczuć Achiliosa, a nie Serentię. Dało jej to możliwość, by zaatakować, zanim zdołał się na ten atak przygotować.

Nie bardzo jednak rozumiał, dlaczego próbowali go zabić. Anioł, który nimi manipulował, prowadził rozgrywkę niemal równie pokręconą jak

Inarius. Achiliosowi udało się nie wykonać na nim wyroku poprzednim razem, teraz jednak z jakiegoś powodu uznał, że Uldyzjan musi umrzeć.

Ale dlaczego? Rathma powiedział, że wojska Królestwa Niebios zmierzają ku Sanktuarium. Dlaczego więc ten Tyrael zawracał sobie głowę pojedynczym człowiekiem, bez względu na to jak potężnym?

Zadawszy to pytanie, Uldyzjan zrozumiał, że zna na nie odpowiedź.

Najważniejsze było jednak położyć kres temu szaleństwu. Poderwał się na nogi.

– Serentio! Achiliosie! To ja! To...

Najbliższe drzewo pochyliło się i spróbowało zadusić go gęstym listowiem. Kiedy Uldyzjan zaczął się oswobadzać, gałęzie zapłonęły błękitnym ogniem. Żar zaczął go przypiekać. Uldyzjan, oblany potem, machnął ręką, tworząc wokół siebie strumień zimnego powietrza. Ogień zgasł natychmiast, tylko poczerniałe osmalone gałęzie świadczyły o tym, jaki los miał stać się udziałem Uldyzjana.

Mimo przepelniającej go troski o najbliższych przyjaciół Uldyzjan czuł narastającą złość. Niemal zdołali naprawdę go skrzywdzić. Nie dali mu nawet możliwości wyjawienia prawdy. Co się stało, co o nim myśleli, że tak bardzo pragnęli jego śmierci?

Wzmocnił osłony i zrobił krok naprzód, zdecydowany raz jeszcze przemówić przyjaciołom do rozsądku.

– Serri! Musimy porozmawiać. Anioł, który jest z tobą, jest tak samo śmiertelnie niebezpieczny jak Inarius. Może nawet bardziej! Chce zniszczyć cały świat...

– Oszczędź nam swoich kłamstw, arcykapłanie! – odpowiedziała. – Wiemy, kim jesteś i coś uczynił! Przez pamięć o Uldyzjanie sprawimy, że pożalujesz tych wszystkich istnień, które sobie przywłaszczyłeś, szczególnie jego!

Zaklął. Zrozumiał już, za co czy raczej za kogo go uważali.

Za Malika.

Jak udało się aniołowi ich do tego przekonać, nie miał pojęcia, ale wiedział, dlaczego tak bardzo chcieli go zgładzić.

Postanowił przekonać ich, że jest sobą.

Włócznia trafiła go pod żebrami. Rozkojarzony słowami Serentii, mimowolnie się odłonił. Upadł na plecy. Nie miał wątpliwości, że to za sprawką Tyraela włócznia sięgnęła celu. To wyjaśniało też, jakim cudem strzała przebiła czar ochronny.

Uldyzjan czuł ból rozlewający się po całym ciele. W głowie mu łomotało. Pochwycił włócznię i spalił ją na popiół. Dysząc ciężko, dłonią nakrył ranę i uleczył.

Jego irytacja przybierała na sile. Nie mógł tak po prostu stać, czekając, aż go ubiją. Sytuacja, w jakiej znalazła się cała ludzkość, była o wiele ważniejsza niż ta walka.

Musiał położyć jej kres... nawet jeśli oznaczało to, że skrzywdzi jedno czy nawet oboje z przyjaciół.

Czy nawet uczyni coś gorszego.

Wyprostował się i w tej samej chwili poszybowała ku niemu strzała. Tym razem jednak jej się spodziewał. Skupił swą moc, by najpierw zmienić pocisk w popiół, a potem uderzyć w miejsce, gdzie jak sądził, krył się łucznik.

Całe jarzy drzew i krzewów położyły się płasko przygniecione siłą jego czaru. Rozległ się krzyk, ale kobiety i zupełnie z innej strony.

– Nie! – krzyczała Serentia. Wyskoczyła z gęstwiny i popędziła w stronę Uldyzjana. Drzewa, które jeszcze przed chwilą leżały jak zżęte zboże, teraz pędziły w stronę Uldyzjana.

Odbił kilka pierwszych, lecz Serentia w tym samym czasie przywołała kolejną włócznię i cisnęła nią w Uldyzjana. Złapał ją za ledwie kilka cali od swego ciała i wbił grotem w grunt pod nogami.

Ściana piasku poderwała się w górę. Mur ziemi urósł na kilka jardów i skamieniał.

Drzewo za drzewem waliło w barierę stworzoną przez Uldyzjana, ale ta się nie poddała. Każde uderzenie pnia było niczym huk gromu.

Zanim Serentia zdołała zaatakować ponownie, Uldyzjan zwrócił się ku niej i uderzył powietrze. Trafiło dziewczynę z taką siłą, jakby to on sam wymierzył jej cios. Przewróciła się z jękiem.

Uldyzjan odetchnął i rozejrzał się uważnie. Nie wyczuł innego zagrożenia, więc pospieszył ku przyjaciółce.

Leżała na zniszczonej ściółce z rozrzuconymi na boki ramionami, głowa jej opadła na bok i w pierwszej chwili Uldyzjan był pewien, że dotkliwie ją zranił. Szybko jednak przekonał się, że nic jej nie jest.

Jęknęła ponownie. Otworzyła oczy i zobaczyła pochylającego się Uldyzjana.

Wyrwały jej się słowa tak plugawe, że godne tylko demonów. Spróbowała się poruszyć, użyć swej mocy, ale Uldyzjan tego się spodziewał. Szybko zorientowała się, że nic nie może zrobić.

– Proszę cię, Serri, uspokój się – mruknął, uznawszy, że jeśli użyje jej dziecięcego przydomka, to zdoła jakoś przełamać jej podejrzenia. I rzeczywiście, miała mocno zmieszaną minę, ale w jej oczach wciąż płonął niepokój.

– To ja, Uldyzjan, przysięgam!

– Nie... on mówił... widziałam tę jatkę w stolicy. Pokazał nam, co się stało... i że to był duch Malika, który przejmował ciało za ciałem... twoje też!

– Anioł kłamał! – stwierdził bez ogródek.

– Ale... nie... – Jej spojrzenie drgnęło lekko.

Uldyzjan wyczuł, że ktoś za nim stoi, ale nawet nie próbował się ruszyć.

– Z tej odległości, Achiliosie, powinienes zabić mnie bez trudu.

– Niech tylko spróbuje, to wyślę go tam, skąd przybył – oświadczył kolejny głos.

– Mendeln?! – Serentia gwałtownie nabrała powietrza.

Ostrożnie i w sposób możliwie najzwyczajniejszy Uldyzjan zerknął przez ramię. Tak jak się spodziewał, zaraz za nim stał bladolicy łucznik. Kilka liści nadal tkwiło przylepionych do ciała nieumarłego. Achilios zdążył już założyć kolejną śmiertelną strzałę na cięciwę, ale nie podniósł łuku, nawet gdy Uldyzjan się odwracał.

Za plecami Achiliosa Mendeln trzymał kościany sztylet skierowany ostrzem w dół. Tajemnicza broń lśniła niczym księżyc.

– Mendelnie – zachrypiął łucznik – Ty... nie znasz...prawdy... To nie... jest Uldyzjan! To ten... potwor... Malik!

– Nie, to mój brat – odparł spokojnie Mendeln. – Rozpoznałbym Malika natychmiast, bez względu na to, w jakim byłby ciele. Już się przekonałem.

– Ale...

– Anioł okłamał was oboje – wtrącił Uldyzjan. – Zmienił w swoje pionki – mówiąc to, uwolnił Serentię z magicznych więzów. Podejrzliwie spojrzała na dłoń, którą do niej wyciągnął, ale w końcu przyjęła pomoc.

– Wierzę, że to naprawdę on, Achiliosie – oznajmiła. – Naprawdę wierzę.

Ale jej oświadczenie tylko bardziej rozzłościło Achiliosa.

– Prawie zmusił mnie... zmusił... bym znów to zrobił! Prawie... cię zabiłem!

Mendeln podszedł do nich, lśniący sztylet miał już u pasa.

– Nie jestem pewien, czy anioł chciał śmierci Uldyzjana. Sądzę, że on pragnie tylko doprowadzić do możliwie największego chaosu przed przybyciem zastępów.

Zarówno Serentia, jak i Achilios patrzyli na braci niebotycznie zdumieni.

– Jakich zastępów? – spytał myśliwy.

Uldyzjan wyjaśnił, a w miarę jak mówił, na twarzach przyjaciół poczęło malować się przerażenie.

– Cały świat?! – wykrzyknęła Serentia. – Nic... nikt nie zostanie?

– Owszem, jeśli Tyrael i inne anioły wygrają. Ewentualnie możemy zostać niewolnikami demonów... albo Inariusza.

– To się nie może dzieć. To znaczy, że zrobiliśmy to wszystko na próżno, Uldyzjanie!

Potrząsnął głową.

– Nie, Serri. Nigdy w to nie uwierzę. Zamierzam walczyć do końca. To nasz świat, nie Inariusza, nie aniołów ani demonów!

– A co... z Rathmą? – zapytał ponuro Achilios. – Zdoła... zdoła przekonać Inariusza... by się z nami sprzymierzył? Czy to... w ogóle możliwe?

– A czy my tego chcemy? – odpowiedział pytaniem Uldyzjan. Znów gwałtownie potrząsnął głową. – Sądzę, że misja Rathmy skazana jest na porażkę, ale on musi spróbować... a tymczasem my powinniśmy się przygotować.

– Na przybycie aniołów – podsumował Mendeln.

Ale Uldyzjan nie przestawał kręcić głową.

– Nie... nie, myślę, że najpierw na przybycie Inariusza.

Rathma nigdy dotąd nie przekroczył progu Katedry Światłości, ale słyszał o niej wiele opowieści. I rzeczywiście – przybytek był taki jak w anegdotach, ale na Starożytnym nie robił wrażenia. Cała ta chwała, ta świetność – wszystko to koncentrowało się wokół manii wielkości jego ojca, a nie wokół dobra, jak powtarzano.

Strażnicy w korytarzach ani nawet starsi rangą kapłani nie dostrzegli przechodzącego Rathmy. Ten zaś nie chciał materializować się w prywatnych komnatach Inariusza, bowiem zostałyby to poczytane za brak szacunku.

Wprawdzie Rathma rzeczywiście nie szanował anioła, ale też uważał, że nie był to najważniejszy moment, by owo uczucie manifestować.

Fanatycznie oddani strażnicy pod drzwiami samego sanktuarium Proroka patrzyli w przestrzeń niewidzącym wzrokiem jak wszyscy inni.

Starożytny minął ich i przeszedł przez rzeźbione wrota.

Nie musiał ogłaszać swego przybycia. Inarius doskonale wiedział, że jego syn znajduje się w marmurowej komnacie.

I rzeczywiście – chwilę później znienawidzony przez Rathmę głos rozbrzmiał w jego głowie i sercu:

– MÓJ KRNAŃBRNY SYN... PRZYSZEDŁEŚ BŁAGAĆ O PRZEBACZENIE ZA GRZECHY?

Anioł zmaterializował się w całej swej wspaniałości kilka stóp ponad swym gościem. Skrzydła miał rozpostarte na szerokość komnaty, a pełne widmo tworzących je energii wypełniało marmurową komnatę niesamowitą feerią barw. Rathma, wbrew sobie, musiał podziwiać piękno istoty, jaką był jego ojciec.

– Mógłbyś oszczędzić nam obu nieustannego zadawania tego pytania, prawda, ojczy?

– LECZ SKORO NIE TAKI JEST POWÓD TWEGO PRZYBYCIA, TO JAKI BYĆ MOŻE? GDY ROZMAWIALIŚMY OSTATNIO, WYRZEKŁEŚ SIĘ WSZYSTKIEGO, CO NAS ŁĄCZY. ZATEM JEŚLI NIE SZUKASZ WYBACZENIA, NIE WIDZĘ POWODU, BY UDZIELAĆ CI AUDIENCJI.

– Jest powód i znasz go doskonale – odparł Starożytny wśród łopotu swej opończy. Uniósł zaciśniętą pięść w kierunku anioła. – Całemu Sanktuarium grozi zagłada! Tylko w jednym nadzieja na ocalenie...

– W POŁĄCZENIU MEJ POTĘGI Z MOCĄ HERETYKA ULDYZJANA I TEJ JEGO BANDY, NIE WSPOMINAJĄC JUŻ O TEJ GARSTCE PIERWORODZONYCH, KTÓRZY WCIAŻ JESZCZE KRYJĄ SIĘ POD JAKIMŚ KAMIENIEM? – pogarda Inariusza była niemal namacalna. – MOŻE DODAĆ JESZCZE SIŁY PŁONĄCYCH PIEKIEŁ DO NASZYCH SZEREGÓW? CZY TAK ZWANE KLANY MAGÓW?

Z każdym słowem anioł lśnił coraz mocniej, aż w końcu Rathma musiał osłonić oczy. Starożytny walczył z dojmującą potrzebą ukłęknięcia przed

swym ojcem. Inarius machnął dłonią w rękawicy ku postaciom na suficie, jakby chciał je wszystkie zamknąć w pieści.

– W KRÓLESTWIE NIEBIOS BYŁEM JEDNYM WŚRÓD WIELU. NIE ZDOŁAŁBYM STANAĆ PRZECIWKO NIEBIESKIM ZASTĘPOM – spojrzał w dół na swego syna – ALE TERAZ JESTEŚMY W MOIM ŚWIECIE... MOIM ŚWIECIE! JEGO ŻYCIE... ŚMIERĆ ZAWSZE ZALEŻAŁY ODE MNIE, LINARIANIE!

Nie po raz pierwszy ich rozmowa przybierała taki obrót, w czasie minionych stuleci nie raz i nie dwa Rathma słyszał podobne słowa. Zawsze przy tym uważał, że jego ojciec znajduje się na granicy szaleństwa. Teraz doszedł do wniosku, że Inarius jest całkowicie obłąkany. Niemniej Starożytny nie zamierzał się poddawać.

– Ojczy, wiesz, że Tyrael odnalazł Sanktuarium...

– NIE! – Świetlisty zatrzymał się kilka cali nad nieskazitelną podłogą. – WASZ WYBIEG ZDAŁ SIĘ NA NIC! ODKRYŁEM PRAWDĘ! TYRAELA TU NIE MA. NIGDY GO TU NIE BYŁO. A NAWET GDYBY SIĘ ZJAWIŁ, TO NAWET TYSIĄC TAKICH JAK ON, TAKICH JAK KAŻDY Z NICH, NIE DAŁOBY MI RADY, PÓKI JESTEM ZWIĄZANY Z KAMIENIEM ŚWIATA! NIE, LINARIANIE, TYRAELA TU NIE MA. TWOJE OSZUSTWO ZOSTAŁO ZDEMASKOWANE. DZIAŁAŁEŚ RAMIĘ W RAMIĘ Z POZOSTAŁYMI. NIE ZASŁUGUJESZ NA ZAUFANIE BARDZIEJ NIŻ DIABŁO, KTÓRY UWAŻA, ŻE NIE DOSTRZEGĘ ZDRADY, JEŚLI ZAOFERUJE MI SOJUSZ.

Te słowa rzuciły nowe światło na podejrzenia i obawy Rathmy co do ostatnich wydarzeń.

– Ale... To znaczy, że rzeź niewinnych w stolicy jest twoim dziełem! Pogrzyżyłeś klany magów w gniewie i zmieszaniu, jeszcze bardziej naruszyłeś stabilizację Sanktuarium. Ułatwiasz zadanie Tyraelowi, nie widzisz tego?

– UŁATWIAM ZADANIE SOBIE, CHCIAŁEŚ POWIEDZIEĆ. MIASTO ZWRÓCIŁO SIĘ PRZECIWKO HERETYKOWI ULDYZJANOWI, TAK JAK I WIĘKSZOŚĆ MEJ TRZÓDKI W TYM ŚWIECIE. – Niezwykłe ludzki śmiech dobył się z gardła świetlistej istoty. Śmiech triumfalny. – A JESZCZE DIABLO OFERUJE MI SOJUSZ, WIERZĄC, ŻE OSTATECZNIE ZDOBEDZIE W TEN SPOSÓB PANOWANIE NAD MOIM ŚWIATEM, A Z ZASTĘPÓW HERETYKA UCZYNI ŻOŁNIERZY POTĘPIENIA. OTWORZYŁ MI JEDYNIĘ DROGĘ DO CHAOSU, W JAKIM JA SAM CHCĘ POGRAŻYĆ SANKTUARIUM, ŻEBY DO CNA JE OCZYŚCIĆ I ODBUDOWAĆ W IDEALNYM ŁADZIE, W JAKIM MIAŁO ZAISTNIEĆ OD POCZĄTKU.

Wcześniej Rathma wyczuł niechęć Uldyzjana, z jaką ten przyjął pomysł, by szukać sojuszu z Inariusem, sam też niewiele oczekiwał w tym względzie. Teraz jednak doszedł do wniosku, że nawet Uldyzjan nie dostrzegł, jak nikłe szanse powodzenia miał ten pomysł. Inarius żył we własnym świecie, i nie był to nawet świat Sanktuarium... ale wymyślony świat zamknięty w umyśle anioła.

I z powodu ślepego szaleństwa Inariusza wszyscy zostali skazani na cierpienie.

Rathma zdobył się na ostatni wysiłek.

– Ojczy, Tyrael jest...

Nie zdołał powiedzieć nic więcej, bowiem anioł wbił w niego spojrzenie oczu absolutnie nieludzkich, stworzonych z płonącej energii. I nagle Rathma uświadomił sobie, jak wielka jest przepaść pomiędzy nim a jego rodzicem. Chyba jedynie w wyniku kosmicznego żartu byli ojcem i synem. Więcej wspólnego miał Rathma z muchomorem.

– NIE MA TYRAELA CZY SĄ ICH TYSIĄCE – BEZ RÓŻNICY, TEN ŚWIAT JEST MÓJ, LINARIANIE, MÓJ!

Rathmą szarpnęło uczucie obezwładniającej klaustrofobii. Jego ojciec urósł, nagle zmienił się w giganta.

Nie... komnata pasowała rozmiarem do anioła, to znaczy, że to Rathma się zmieniał. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że Inarius zmniejszył go do rozmiaru szczura, a może jeszcze bardziej.

Skrzydlaty stanął na podłodze i schylił się do syna. Rathmę natychmiast otoczyła kula dymu. Zaatakował ściany swego więzienia z całą mocą, jaką dysponował, ale na próżno. Sam był nikim naprzeciw ojca.

Niewielka kula uniosła się z podłogi i opadła na dłoń Inariususa. Była już niewiele większa od ziarnka grochu.

– JESTEŚ TAKI PODOBNY DO MATKI – stwierdził Inarius. – SZKODA.

I wyrzucił sferę z uwięzionym Rathmą wprost w pustkę.

SZESNAŚCIE



To nie Inarius ani zastępy anielskie zaatakowały edyremów. Honor przypadł miastu Kedżan.

Wartownicy wyczuli zbliżających się kedżan krótko przed świtem następnego dnia.

Uldyzjan zauważył ich jeszcze wcześniej. Nie zawiadomił edyremów ani nawet swych przyjaciół, zamiast tego intensywnie próbował wymyślić, jak ocalić tak wiele niewinnych istnień przed zgubą.

Niestety, nic nie przychodziło mu do głowy.

Kiedy nadeszła wiadomość od wartowników, mógł tylko wezwać Mendelna oraz swych pozostałych zaufanych dowódców i szybko omówić ich ewentualne pomysły na uniknięcie nadciągającej katastrofy. Ale i oni niewiele mieli w tym względzie do zaoferowania, nadto – poza Mendelnem – nie widzieli powodu, by przejmować się losem kedżan.

– Poszedłeś do nich w pokoju – przypomniała mu Serentia. – Nie dali ci nawet szansy. Gdyby nie podły plan Malika, zapewne znaleźliby jakiś powód, by cię zdradzić. Zaatakowali cię przecież nawet w pałacu księcia Ehmada!

– Zgnieciemy ich bez trudu – poparł ją Saron.

– Jak już się zorientują, że nie mogą wygrać, mistrzu, uciekną – dodał Jonas. – A to ocali wielu z nich.

– Ale nie dość – odpowiedział Uldyzjan. – Nie dość... – Nagle spojrzął w niebo. – Jak anioły i demony muszą się teraz śmiać...

Szczególnie przychodził mu na myśl jeden, nazywany Tyraelem. Do tego przecież zmierzał. Dopilnować, by plugastwa skakały sobie do gardeł, póki z nieba nie spadną jego bracia i nie wymiotą tego świata do czysta.

A Inarius? O, ten nie pozostanie beczynny. Uldyzjan najbardziej niepokoił się nim właśnie i faktem, że Rathma nie wracał. Zerknął na młodszego brata i zobaczył w jego oczach odbicie tych samych myśli.

Jeden z wartowników dotknął umysłu Uldyzjana. Ten zaś odłożył na bok wszelkie myśli o Inariusie... przynajmniej na jakiś czas.

– Niech wszyscy się przygotują. Upewnij się, że ci, którzy potrzebują ochrony, mają ją zapewnioną. Na mój sygnał wyruszymy im naprzeciw. – Nie zamierzał pozwolić wrogowi na dyktowanie warunków. Cokolwiek się stanie, Uldyzjan weźmie na siebie odpowiedzialność za to, co miało się wydarzyć.

Saron i Jonas oddalili się, by przekazać pozostałym rozkazy. Serentia ruszyła za nimi, ale zawahała się i obejrzała na Uldyzjana.

Wiedział, co ją martwiło. Achilios opuścił ich w nocy, ale tylko dlatego, że jego obecność budziła coraz większy niepokój wśród edyremów, mimo że był osłonięty przed ich wzrokiem. Obiecał jednak wrócić, gdy zacznie się walka.

– Jest niedaleko – zapewnił Uldyzjan przyjaciółkę. To dzięki niemu Achilios pozostawał ukryty, zarazem jednak stworzył z łucznikiem więź, której ustępowała nawet ta między Achiliosem a Serentią. – Będzie po naszej stronie.

Skinęła mu głową z wdzięcznością i odbiegła.

Mendeln spoglądał na brata.

– To nie w porządku, Uldyzjanie. Pod wieloma względami ci ludzie nie zasłużyli na taki los.

– Nic nie możemy na to poradzić. To już nie od nas zależy. Musimy się bronić nie tylko przez wzgląd na nas samych, ale i całego świata.

– Jednak jeśli wyrzniemy setki ludzi tylko dlatego, że oślepiły ich machinacje Inariusza i pozostałych, cóż to będzie za świat?

Uldyzjan wzruszył ramionami.

– Być może nie będzie to miało żadnego znaczenia.

I odszedł, by uniknąć kłótni. Mendeln poszedł za nim w milczeniu. Uldyzjan wiedział doskonale, że mimo swych wątpliwości Uldyzjan będzie walczył, jak umiał najlepiej.

Nikomu nie zostanie oszczędzone unurzenie rąk we krwi.

Po niebie przetoczył się grzmot, choć nie było widać żadnych chmur. Mendeln wyczuwał, że magowie rozpoczynali właśnie splatanie zaklęcia – jednego z najlepszych, jak sądzili. Kedżanie nie byli głupi, słyszeli opowieści o Uldyzjanie i edyremach. Znali opowieści o Toradży, Istani i innych miastach, gdzie Uldyzjan pokonał kapłanów Trójcy. Podejrzewali też, że zdrajców w swych szeregach mają również za sprawą przywódcy edyremów.

Czarodzieje zamierzali zakończyć starcie jak najszybciej, szlachta i gildie popierali ich w tym w całej rozciągłości. Jeśli książę Ehmada również zginął tragiczną śmiercią, a tak właśnie uważał Uldyzjan, nie było nadziei na uniknięcie konfliktu. Bez względu na to, jakiego czaru użyją magowie, będzie on z pewnością przerażający.

A jeśli zawiodą, tysiące żołnierzy było gotowych zginąć, bowiem trwali w błędnym przekonaniu, że edyremowie przybyli zburzyć ich domy i wyciąć w pień rodziny.

Anioły i demony doskonale wykonały swą pracę.

Mendeln rozumiał wszystkie ponure aspekty tej sytuacji, ale i tak przyzywał całą swoją wiedzę i moc, szykując się do walki z kedżanami.

Mimo swych wątpliwości zamierzał trwać u boku brata. Bez względu na wynik starcia nic nie mogło być ważniejsze.

Teraz i drzewa zadygotały pod naporem wiatru, którego nie czuł Mendeln ani pozostali edyremowie. Mógł za to wyczyścić magiczne energie, gromadzące się przed szeregami edyremów.

Ale ci też nie stali bezczynnie. Posłuszni cichym poleceniom swego przywódcy koncentrowali swą moc na dwóch celach. Pierwszym była oczywiście obrona przed atakiem magów. Drugim – zapowiedziany przez Uldyzjana odwet. I choć Mendeln nie miał pojęcia, co zamierza jego brat, drżał na samą myśl o karze, jaką wymierzy kedżanom Uldyzjan. Jeśli w którymś momencie straci nad sobą panowanie, nie sposób przewidzieć, jakich zniszczeń jest zdolny dokonać.

Coś się działo. Czymkolwiek magowie zamierzali zaatakować edyremów, właśnie zaczęli. Przygotował sztylet.

– *Mendelnie!* – usłyszał wołanie Trag'Oula. Uderzyło człowieka z tysiąckrotną mocą gromu. Edyremowie, a nawet Uldyzjan, skupieni na nadchodzącej bitwie, niczego nie zauważyli. – *Mendelnie!* – powtórzył smok. Młodszy ul-Diomed próbował pozbierać się po tym wołaniu, uświadamiając sobie zarazem, że po raz pierwszy w głosie Trag'Oula usłyszał... wysiłek.

Mendeln robił, co mógł, żeby nie eksplodowała mu głowa. Dał znać smokowi, że usłyszał wezwanie. I natychmiast poczuł gwałtowną reakcję.

– *Musisz mi pomóc, szybko! Ledwie mogę wytrzymać! Chodź!*

Gdy tylko słowa Trag'Oula dotarły do Mendelna, też zaprotestował gwałtownie.

– *Nie mogę zostawić Uldyzjana! Nie mogę...*

Na nic zdały się jego protesty.

Ziemia zaczęła drżeć. Uldyzjan nie poczuł się zaskoczony. Wiedział, co zamierzają magowie. Jaka siła okazałaby się bardziej druzgocąca dla

wrogiej armii niż trzęsienie ziemi? Wokół edyremów zaczęły otwierać się szczeliny. Drzewa się wywracały. Na południu wyrosła ściana ziemi.

Połączony ze swymi akolitami Uldyzjan czerpał z ich mocy. Wystarczyło jedno spojrzenie na podnoszący się grunt, by wszystko wróciło do normy. I jeszcze mniej niż spojrzenie, by uspokoić drzewa i ziemię pod stopami edyremów.

Jednym gestem nakazał szczelinom się zamknąć, jakby nigdy ich tam nie było.

Docenił niesamowite siły, które magowie zaprzęgli do swojego wielkiego czaru, a jeszcze bardziej konsternację, jaka z pewnością ogarnęła ich w tej chwili. Zapewne spodziewali się, że część ich wrogów polegnie bądź choćby odniesie rany, a nie tylko się otrząsną.

Uldyzjan pozwolił sobie na uśmiech, choć nie było w nim wiele radości. Miał nadzieję, że kedżanie zrozumieją daremność swych wysiłków i ustąpią z pola, ale nie bardzo na to liczył. Władcy stolicy albo wykonają jakiś desperacki i przez to bardziej skuteczny ruch, albo pchną swą armię wprost w objęcia czekających edyremów.

Tak czy inaczej, wkrótce poleje się krew.

Uldyzjan uświadomił sobie, że jest w równej mierze zniecierpliwiony, co zniesmaczony. Wszystko, co ostatecznie wydarzy się pod murami miasta, będzie stratą czasu i sił przed starciem z prawdziwym wrogiem. Wiedział, że tak właśnie czuł się Mendeln, i doskonale rozumiał wcześniejsze opory brata – ale co mógł uczynić? Po prostu powstrzymać zderzenie dwóch armii?

Ta myśl tak rozproszyła Uldyzjana, że potknął się i niemal stracił połączenie ze swymi ludźmi. Odzyskał koncentrację niemal natychmiast, ale wrócił myślami do pytania, które przypadkowo sobie zadał.

Czy mógł w jakiś sposób zapobiec bitwie? Nie zdoła w ten sposób zakończyć konfliktu. Był jeszcze Inarius i jego anielskie zastępy, najwyraźniej oszukane chwilowo przez działania Trag'Oula. Spotkania

z nimi Uldyzjan nie uniknie. Szczególnie z Prorokiem, bo ten miał najwięcej do wygrania albo stracenia.

Pewni zwycięstwa, a przy tym zupełnie nieświadomi, jak niewiele może być ono warte, edyremowie parli naprzód. Jeszcze chwila, a osiągną punkt, z którego nie będzie już odwrotu. Uldyzjan wiedział, że jeśli ma nadzieję coś jeszcze zrobić, musi to zrobić szybko.

Na początek potrzebował współpracy między tymi, którym ufał. Sięgnął ku Serentii i swym pozostałym „zastępcom”, informując ich o swych nadziejach. Odpowiedzieli niedowierzaniem, nawet dziewczyna.

– *To nas może tylko odstąpić* – wytknęła. – *Nadwyręży nasza obronę.*

– *Trudno!* – odparł stanowczo. – *I tak to zrobimy!*

Nikt już się dłużej nie sprzeciwiał. Edyremowie będą żyć i umierać zgodnie z jego wolą, uświadomił sobie boleśnie Uldyzjan. Niestety, nie mógł uczynić nic, by to zmienić.

– *Bądźcie mą tarczą* – polecił im. Posłuchali natychmiast. To pozwoliło mu wyzwolić umysł z okowów ciała. Wystrzelił ku obrońcom Kedżanu.

Nie trwało długo, a odnalazł pierwsze szeregi kedżańskiej armii. Żołnierze szli równym krokiem, ale Uldyzjan natychmiast wyczuł ich niepokój, a nawet rosnące obawy. Wiedzieli już, że magowie przypuścili jakiś atak, który okazał się całkowitą porażką. Wiedzieli też, że wróg był w jakiś sposób odpowiedzialny za śmierć wielu z ich przywódców.

Ale nadal zamierzali bronić swych domów.

To tylko utwierdziło Uldyzjana w przekonaniu, że musi zmienić bieg nadchodzących zdarzeń. Inarius nie doprowadzi do tej krwawej łaźni... przynajmniej nie tym razem.

Przeleciał nad szeregami wojska ku oficerom, a potem jeszcze dalej, za mury, do samego serca stolicy. Tam znalazł prawdziwych dowódców kedżańskiej armii. Magów.

Było ich dwudziestu, różne barwy szat oznaczały, że pochodzili z wielu klanów. W większości byli starzy, ale choć czas nie był łaskawy dla ich ciał,

emanowali magią, jakiej dotąd Uldyzjan nie widział.

Stanęli, tworząc pięcioboczny wzór, środek wypełniały niesamowite energie, które sprawiły, że kamienna komnata iskrzyła kolorami niczym złowroga tęcza. Kilku stało obok – pogrążeni w zażartej dyskusji, najpewniej spierali się, co powinni teraz uczynić po tak spektakularnej porażce.

Kilku z drugiej grupy zamilkło, gdy się zbliżył. Rozglądali się niespokojnie, zapewne wyczuwając astralną obecność Uldyzjana. Wtedy starszy mag z brodą sięgającą niemal podłogi strzelił palcami, żądając, by wrócili do przerwanej rozmowy.

To z ludźmi w tej komnacie musiał Uldyzjan rozprawić się najpierw. Magowie stanowili kręgosłup każdej kedzańskiej armii. Oczywiście nie zamierzał ich krzywdzić, tak jak i nie chciał czynić krzywdy żołnierzom. Magowie reagowali tylko na odrażającą zdradę.

Ale jak mógłby ich powstrzymać, nie zabijając? Nie miał zbyt wiele czasu na rozważania, bo magowie wyraźnie gotowi byli uderzyć ponownie. Tym razem też z pewnością wyciągną nauczkę z porażki. Gdyby tylko istniał jakiś prosty sposób odcięcia ich od bitwy.

I nagle znalazł odpowiedź tak prostą, że nie mógł uwierzyć, że nie wpadł na to wcześniej. Pozostawało tylko pytanie: czy było to w ogóle możliwe?

Mógł się przekonać tylko w jeden sposób.

Wycofał się z budynku, z którego magowie rzucali czary, dokładnie przy tym badając okolicę. Zanim wybrał najlepsze według niego miejsce, wiedział, gdzie znajduje się każdy z magów. Niemal się roześmiał, gdy odkrył, że wielu czarodziejów rozstawionych zostało na terenie wokół najważniejszej grupy i ci tworzyli obronę cytadeli. Przekroczył linię obrony, nawet jej nie zauważając ani nie alarmując żadnego z obrońców.

Poczuł, jak rośnie jego pewność siebie. Sięgnął myślami do swoich ludzi. Chciał, żeby wszystko udało się już za pierwszym razem.

– *Trzeba ich po prostu powstrzymać* – wyjaśnił. – *Poprowadzę was.*

Napełnili go swą mocą. Zaskoczyło go to, ile jej oddawali, i uświadomił sobie, że to o wiele więcej niż w ogóle potrzebował. Moc jego ludzi rosła gwałtownie z dnia na dzień.

Ale czy to wystarczy, by ochronić Sanktuarium przed prawdziwym zagrożeniem?

Rosnąca moc przywróciła go do rzeczywistości. Skarcił się w duchu za niepotrzebne dywagacje i wbił spojrzenie w warownię magów. Wyobraził sobie, że w obecnej formie ma rękę i stuloną dłońią nakrył odległy, lecz złowieszczy budynek.

Pod jego astralną dłońią powstała kopuła, pod którą znalazło się sanktuarium magów. Niby-kopuła urosła, przykryła wszystko, co chciał Uldyzjan, a potem opadła. W tej samej chwili zrobiła się przejrzysta, a potem niewidzialna.

Uldyzjan był zadowolony, wyczuł, że magowie dopiero teraz zauważyli, że coś jest nie tak. Ich konsternacja wzrosła gwałtownie, gdy badali „mury” swego niewidzialnego więzienia. Szybko przekonają się, że w żaden sposób nie mogą go opuścić ani też skontaktować się z nikim na zewnątrz. Ci zaś, którzy popatrzą na magiczne sanktuarium od zewnątrz, uznają je za całkowicie opustoszałe.

Co więcej, jeśli Uldyzjanowi udało się wszystko tak, jak to zaplanował, magowie nie zdołają przeprowadzić ataku, który szykowali. Upewnił się, szukając śladu magicznej energii.

Niczego nie znalazł.

Wrócił do swego ciała. Otworzywszy oczy, poinformował pozostałych o sukcesie. Żołnierze Kedżanu nie mieli już magicznego wsparcia. Teraz w istocie byli niczym jagnięta prowadzone na rzeź, tylko że Uldyzjan wcale nie chciał jatki.

„Choć ten raz – modlił się – ten jeden raz, niechaj nikt nie zginie”.

Teraz sięgnął do wszystkich edyremów, prosząc, by oddali mu to, co mogą. Wyjawiał im też powody tej prośby. Nie protestowali. Poczłł jedynie zaskoczenie i nieco żalu. Jednak skoro tego życzył sobie Uldyzjan, zamierzali posłuchać.

I znów zasmuciło go to, że aż tak mu ufali.

Po raz kolejny wyruszył naprzeciw żołnierzom Kedżanu. Znalazł ich jeszcze szybciej, bowiem znajdowali się niemal w zasięgu wzroku edyremów. Nie miał czasu już niczego planować.

Teraz wszystko sprowadzało się do siły woli. Jego wzmocnionej hojnym trybutem edyremów woli. Żołnierze przewyższali liczebnością edyremów, ale byli tylko ludźmi, którym nikt nie oferował daru przebudzenia sił w nich drzemiących. Moc jednej i drugiej strony była nieporównywalna.

Jednakże Uldyzjan nie mógł wiedzieć, że jego plan się powiedzie, póki nie spróbował.

– Śpijcie – rozkazał kedżanom.

Z góry poczęło sypać się coś, co przypominało czysty lekki śnieg, nieznan w krainie palonej słońcem. Opadał na głowy maszerujących żołnierzy.

Pierwszy dotknięty przez delikatne płatki ziewnął. Zmylił krok i opadł na kolana. Obok niego klękali kolejni. Oficer podbiegł ku nim, unosząc rękę z batem i... osunął się na ziemię.

Jeden po drugim, dziesiątka po dziesiątce, całymi setkami żołnierze Kedżanu składali broń, osuwali się na kolana i zasypiali. Nie kładli się, tylko klękali, szereg za szeregiem, z ramionami luźno zwisającymi po bokach, głowami przechylonymi to w jedną, to w drugą stronę. Spali spokojnie z zamkniętymi oczami i rozchylonymi ustami.

Konni, w tym dowódcy, również nie uniknęli losu towarzyszy. Jeźdźcy po prostu zwisali w siodłach. Konie pochylały głowy i spały, jak to konie mają w zwyczaju, na stojąco.

Cała armia nadal trwała zwrócona ku edyremom, ale ani jeden kedżanin nie oparł się rozkazowi Uldyzjana.

Wśród edyremów zapanowała cisza. Nie dlatego, że żal im było rozlewu krwi i walki, ale obawiali się, że krzykami przełamią czar spowijający kedżan. Dopiero gdy Uldyzjan zapewnił ich, że nic takiego nie nastąpi, zewsząd rozległy się okrzyki triumfu. Edyremowie radowali się niezwykłym widokiem, tym bardziej niesamowitym, że śnieg osiadł cienką warstwą na ramionach i hełmach śpiących żołnierzy.

Uldyzjan zakończył opadanie usypiających płatków. Uśmiechał się, przepełniony wdzięcznością, że choć raz jego modlitwy zostały wysłuchane. A potem zastanowił się, do kogóż też się modlił. Nie do Inariusza ani żadnego z Trzech, to pewne.

Ale teraz nie miało to większego znaczenia. Najważniejsze, że nie dojdzie do krwawego starcia jego ludzi z kedżanami. Oczywiście sytuacja była przejściowa, ale miał nadzieję, że ten stan potrwa wystarczająco długo.

Wystarczająco długo, by rozprawić się z Inariuszem.

Mendeln przeklinał smoka i świat jako taki. Klął z pasją, jaką rzadko wykazywał. Powodem było głównie to, że po raz kolejny potraktowano go, jakby nie miał nic do powiedzenia. Za każdym razem, gdy tylko ktoś chciał go wykorzystać, porywał go od brata i przenosił tam, gdzie sobie życzył. Fakt, że takie rzeczy przytrafiały się też innym, w ogóle nie poprawiał jego nastroju. W tej konkretnej chwili czuł się wyjątkowo prześladowany.

Tak był wściekły, że początkowo nie zwrócił w ogóle uwagi na rozpacz wyraźnie dźwięcząca w głosie Trag'Oula.

– *Mendelnie... Mendelnie... Czy możesz go odnaleźć? Ledwie udaje mi się utrzymać więź.*

– *Odeślij mnie do brata! Mam tego dość! Ile razy jeszcze mam się kłaniać tobie i Rathmie?! Jestem wdzięczny za wasze nauki, ale to nie...*

– *Słuchaj!* – zażądał smok takim tonem, że zdławił wszelkie protesty Mendelna w zarodku. – *Rozejrzyj się! Zobacz, gdzie jesteś!* – Mendeln

posłuchał i dopiero wtedy zorientował się, że czern, w jakiej się unosił, niewiele ma wspólnego z królestwem smoka. To miejsce emanowało taką pustką, że Mendeln objął się mocno ramionami i zapragnął znaleźć się w stosunkowo przyjemnym domu Trag'Oula. – *Nie pozwól jej się dopaść! Jeśli pozwolisz, to nie tylko Rathma, ale i ty przepadniesz na zawsze! Bądź czujny!*

Ostrzeżenie Trag'Oula zaczęło docierać do Mendelna. Młodzieniec przytrzymał sztylet przed twarzą i skupił się na jego pokrzepiającym blasku. Strach powoli ustępował.

– *Gdzie... gdzie to jest?* – wykrztusił Mendeln. – *Mówiłeś, że Rathma jest gdzieś tu?*

– *Tutaj... najpewniej uwięziony do końca wszystkiego. Wysłany do tego przeklętego miejsca przez Inariusza, w nagrodę za to, że starał się postąpić właściwie.*

Mendeln obawiał się, że wyprawa Starożytnego do pałacu ojca okaże się bezsensowną stratą czasu, ale nawet on nie spodziewał się, że anioł okaże się podłym do tego stopnia, by skazać swego syna na tę piekielną nicość.

– *Co to za miejsce?*

Głos smoka był teraz cichszy, zupełnie jakby Trag'Oul się oddalił.

– *To najodleglejsze z istniejących miejsc! Tak dalekie od wszystkiego istnienia, że utknąć tu oznacza być przeklętym na zawsze.* – Te słowa przyprawiły Mendelna o kolejne dreszcze. Wyobraził sobie wieczność tu, gdzie nigdy niczego by nie zobaczył ani nie usłyszał. – *Wysiętek... wysiętek, by sięgnąć tak daleko, jest coraz większy. Mendelnie ul-Diomedzie, musisz stać się mostem między mną... a Rathmą... jeśli mamy go ocalić.*

I choć Mendeln starał się ze wszystkich sił zrozumieć wyjaśnienia smoka, to uwaga, którą Trag'Oul poczynił przypadkiem, napełniła jego ucznia obawami. Smok uświadomił Mendelna, że nie przybył razem z człowiekiem do pustki, a wysłał go tu samego. Utrzymywał więź z Mendelnem, ale to wszystko.

Jeśli ta więź – już nadwerężona, jak wspomniał smok – pęknie, wszelkie obawy Mendelna się spełnią i zostanie tu na zawsze.

– *Skup się!* – zażądał Trag'Oul niemal ze złością. – *Nie pozwól zwyciężyć strachowi!*

Mendeln ze wszystkich sił starał się skoncentrować. Trag'Oul był potężny. Nie pozwoli, by jego uczeń tu skończył. Dbał przecież o swych uczniów, czyż nie robił tego wszystkiego, by uratować Rathmę?

– Zróbmy to – powiedział Mendeln w ciemność. – O ile można tego dokonać...

– *Teraz wszystko zależy od ciebie... znasz Rathmę... musisz szukać jego obecności... wezwać go do siebie. Nie mogę zrobić więcej niż to, co uczyniłem... zbyt wiele się dzieje.*

Choć był ciekawy, Mendeln nie odważył się spytać, jakie jeszcze inne sprawy zaprzatają uwagę smoka. Skupił się na poszukiwaniu Starożytnego, używając więzi, jaka wytworzyła się między nimi – między uczniem a nauczycielem. Zawołał Rathmę i za pomocą sztyletu próbował odnaleźć zagubioną duszę.

Nie wiedział, ile czasu minęło, ciężko było w tym miejscu mierzyć upływające minuty, Mendeln miał jednak wrażenie, że całe życie szuka Rathmy. Szuka i nie znajduje.

I wtedy...

– *Mendelnie.* – Głos był słaby... tak bardzo słaby. Mendeln szukał w każdym kierunku i znów na próżno. – *Mendelnie.*

Tam! Skoncentrował moc sztyletu w kierunku, z którego, jak sądził, nadeszło wołanie. Brzmiało jak głos Rathmy, ale nie był pewien.

Znów usłyszał swe imię, tym razem nieco głośniej:

– *Mendelnie! Gdzie...*

– Mam go! – ryknął do Trag'Oula.

– *Użyj mocy, by go przyciągnąć. Szybko! Zwiertzyli podstęp!*

Mendeln bał się spytać, kim są ci „oni”. Postanowił zignorować ten komentarz i skupić się na wskazówkach, jak uwolnić Rathmę.

Ściskając sztylet w obu dłoniach, użył całej swej wiedzy, by przywołać Starożytnego do siebie. Ostrze sztyletu rozjarzyło się natychmiast, w otaczającej pustce blask zdał się źródłem przyjemnego ciepła.

– *Rathmo!* – wołał Mendeln w myślach. – *Rathmo!*

Poczuł, że coś się doń zbliża. Nie widział co, ale był pewien, że zostało zwabione jego czarem. Ulotna obecność, kojarząca się ze Starożytnym, stała się jakby wyraźniejsza.

Coś uformowało się w pustce. Matowa kula sprawiała wrażenie pokrytej szronem. Z pewnością było to magiczne więzienie Rathmy.

Ale dokładnie w tej chwili Mendeln wyczuł coś jeszcze. W zbliżającej się kuli było coś, co kojarzyło się z Rathmą... ale nie tylko.

Coś złowieszczego... i znajomego.

Mendeln skierował na kulę czubek sztyletu i nieco zmienił czar.

Podobna szronowi warstwa spłonęła w mgnieniu oka, a ze środka wyjrzała wykrzywiona wściekłością twarz Lilith.

– Mendelnie! – Wyraz jej twarzy zmienił się natychmiast z bestialskiego w czarujący. Jej ciało też się zmieniło, stało się bardziej ludzkie. Znów przypominała Lylię i jeszcze Serentię i inne kobiety, które Mendeln znał i podziwiał. – Kochany, słodki Mendeln... mój zbawiciel...

Serce mu zabiło. Wiedział, że to za sprawą jej czarów oraz nieziemskiej urody, ale nie mógł jakoś zrezygnować z jej obecności. Była teraz bezradna, całkowicie zależna od niego. Dla niego Lilith zrobi wszystko, będzie, czym tylko on zapragnie. Kimkolwiek zapragnie. Chciała tego, widział to w jej cudownych oczach.

Lśniła w nich obietnica. Wzywały go.

Lilith wyciągnęła ku niemu dłoń. Mendeln chciał odpowiedzieć tym samym.

Sztylet zapłonął jaśniej, jakby wiedziony własną wolą. I w jego świetle Mendeln zobaczył ją taką, jaka była naprawdę.

Wezbrało nim obrzydzenie własną słabością.

– Nie... Dość już ciebie, harpio!

Wypowiedział słowa mocy i kula wystrzeliła w pustkę. Krzyk demona był przerażający, pełen furii i rozpacz. Przeklinała jego imię nawet wtedy, gdy go wołała.

Po chwili już jej nie słyszał.

To spotkanie było dlań wielkim szokiem, szczególnie że wierzył głęboko, iż kusicielka już nie żyje; że niemal zażądał od Trag'Oula, by ten powrócił go do świata ludzi. Jednak gdy tylko chciał to uczynić, znów poczuł niewyraźną obecność Rathmy. Mendeln zawahał się, ale nie mógł po prostu odrzucić tej być może ostatniej nadziei. Powtórzył swe czary i za pomocą sztyletu przyciągnął czymkolwiek było to, co wyczuł.

Moment później zobaczył kulę pokrytą czymś w rodzaju szronu. Nie tracąc czujności ani na chwilę, usunął ów niby-lód tak jak poprzednio.

Przed nim unosił się wyczerpany, ale wdzięczny Rathma.

– Mam go! – krzyknął Mendeln.

– *Tak... wiem.*

I nagle Mendeln poczuł, że pędzi przez ciemność. Choć to uczucie mocno go zaskoczyło, nie przestawał koncentrować się na obecności Rathmy.

Zakręciło mu się w głowie i wylądował na czymś twardym.

Lśniące gwiazdy nad nim okazały się być smokiem, którego widok Mendeln powitał z wielką radością. Z jeszcze większą – głos, który odezwał się po prawej.

– Nie masz... pojęcia, Mendelnie... – powiedział Rathma, wciąż jeszcze walcząc o oddech – jak wielka jest moja... wdzięczność... za to, że zaryzykowałeś.

– To Trag’Oul był w stanie mnie tam wysłać – zaznaczył Mendeln. – To on znalazł cię tam, gdzie zostałeś wysłany.

– Jemu też jestem wdzięczny, ale nie umniejszaj swojej roli. Ryzyko, którego się podjąłeś, było przeogromne. Mogłeś przepaść tam na wieczność... – Rathma potrząsnął głową. – Być samym w pustce na zawsze... nawet śmierć jest lepsza od takiego losu.

Mendeln przyglądał się swemu nauczycielowi i zastanawiał, czy Rathma świadom jest tego, co wydarzyło się na chwilę przed tym, zanim został uratowany. Jednak nic nie wskazywało, że syn Lilith zauważył obecność swej morderczej matki. Mendeln uznał, że musiał ją przyciągnąć swym czarem z uwagi na więź krwi, jaką miała z Rathmą.

Lilith żyła... ale – jak słusznie zauważył Starożytny – jej los gorszy był niż śmierć.

Nagle zaniepokoiło go milczenie Trag’Oula. Z pewnością ich sukces wart był choć kilku słów.

W chwili, gdy Mendeln to pomyślał, Rathma wstał i zapatrzył się w gwiazdy tworzące smoka. A wyraz twarzy miał raczej mroczny.

– Co się dzieje, Tragu? – spytał.

Zanim smok odpowiedział, nastąpiła długa, niepokojąca chwila ciszy. A kiedy już się odezwał, w jego głosie wyraźnie dało się słyszeć takie zmęczenie i bezbrzeżną świadomość porażki, że wstrząsnęło to Mendelnem bardziej niż pobyt w pustce.

– *Wysłtek... okazał się... zbyt wielki. Nie zdołałem utrzymać pozorów... być może ocaliliśmy cię... tylko po to... byś został potępiony z resztą nas... Rathmo...*

– Co przez to rozumiesz? – Rathma mówił z takim niepokojem, jaki przepełniał Mendelna. – Jakie pozory? Co się stało?

– *Sanktuarium... nie jest już ukryte przed ich... wzrokiem! Niebiańskie Zastępy wiedzą, że były prowadzone na manowce* – Trag’Oul wyraźnie

ubolewał nad swą porażką. – *Skrzydłaci wojownicy są już blisko naszego świata.*

SIEDEMNAŚCIE



– *Dobrze.*

Tyrael ocenił sytuację, przemykając ponad tym fałszywym światem, i uznał ją za niezwykle fascynującą. Stworzenia rzuciły się sobie do gardeł, a te, które mogły przyczynić zastępom drobnych kłopotów, były w samym centrum zamieszania. Teraz tylko jedna istota w tym miejscu stanowiła powód do troski. Upadły. Inarius.

Lista zbrodni renegata była długa, a wśród nich znajdowało się też stworzenie tych ludzi. Tyrael odgadł ich pochodzenie i ohyda tego błędu przejęła go dreszczem. Anioły i demony. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nawet Inarius nie zapragnął od razu wymazać ich istnienia.

Ale tak się stanie, i to wkrótce. Tyrael czuł już zbliżających się pobratymców, pozostawało pytanie, dlaczego ich przybycie zajęło tyle czasu. Było w tym dziwnym miejscu – Sanktuarium, jak nazywał je renegat – więcej, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Być może chodziło o to, że istniała tu jakaś moc, ogromny jej zasób, na który natrafił Inarius. Tyrael nadal badał tę kwestię. Zapewne to opóźniło przybycie zastępów. Na dłuższą metę i tak nie miało to znaczenia.

Powrócił do kwestii anielsko-demonicznego pomiotu. Byli nie tylko wynaturzeniem, ale posiadali niepokojący potencjał, wyczuł go natychmiast

– tak samo zapewne jak demony, których obecność wywęszył. A to już był bezwzględnie powód, by ich zniszczyć. Stanowili możliwość wywrócenia Wiecznego Konfliktu do góry nogami, czego nie mógł sobie nawet wyobrazić. Prawda, gdy Tyrael zobaczył ich po raz pierwszy, przez chwilę rozważał uczynienie z nich żołnierzy Królestwa Niebios, ale na samą myśl, że jakiegokolwiek stworzenie skazane demoniczną krwią stanie z nim ramię w ramię w bitwie, zrezygnował ze swego pomysłu. Nie, ludzie i wszystko w tym świecie musiało zostać zlikwidowane, wymazane bez śladu.

Anioł dryfował wśród chmur wznoszących się nad miastem i siedliskiem Inariusza. Znaczną część swej energii zużył, by ukryć się przed wzrokiem i magią renegata, w ten sposób lepiej mógł obserwować rozwój wydarzeń. Uznał, że nie musi robić nic więcej, teraz wystarczyło już tylko obserwować. Niedługo przybędą pozostali i zobaczą, że działał tak, by otworzyć drogę oczyszczeniu.

Wkrótce po plugawej kreacji Inariusza nie zostanie nawet ślad.

Malik skłonił się tak nisko, jak pozwalała mu marmurowa posadzka. Nie miał wyboru. Twarz Amolii pokryta była czarnymi plamami. Tak samo całe jej kończyny, tors... każda część, o czym duch przekonał się, jeszcze zanim tu przyszedł. Ciało zużyło się niemal całkowicie. Malikowi nie zostało zbyt wiele czasu.

Znalezienie nowego gospodarza okazało się trudniejsze, niżby przypuszczał. Malik potrzebował takiej powłoki, która nie tylko wytrzymałaby do chwili pochwycenia Uldyzjana, ale też posiadała własne magiczne zdolności.

Problem w tym, że członkowie klanów bardzo szybko podjęli stosowne działania po tym, jak wyrznął ich Radę, i powiadomili wszystkich magów, kim był zabójca. Wtedy jeszcze Malik był przekonany, że wkrótce zdobędzie ciało Uldyzjana i przepuścił niejedną okazję do zmiany nosiciela. A później egzekutorzy klanów zaczęli polować nań w grupach, co uniemożliwiało mu przejęcie ciała jednego z nich.

Dlatego też Malik był wdzięczny, gdy Inarius oferował mu wspaniałą na pozór dar – przekłętą brata Uldyzjana – Mendelna. A ponieważ to Mendeln za pomocą jakiejś magii przywołał arcykapłana do tego świata, wykorzystanie jego ciała zdało się Malikowi żartem wręcz bezcennym.

Spotkanie z Mendelnem skończyło się jednak dla arcykapłana sromotną porażką i doprowadziło do tego stanu godnego pożałowania. Został zmuszony do zawarcia nowego układu... i teraz płaszczył się przed tym, którego nienawidził niemal równie mocno jak Uldyzjana.

Inarius pojawił się przed Malikiem nie jako anioł, lecz wiecznie młody Prorok. Malik już nie uśmiechał się pogardliwie na ten widok. Był zdesperowany po raz pierwszy w życiu... i życiu po życiu. Wszystko musiało pójść tak, jak zaplanował.

Inarius stał zakuty w srebrną zbroję, która była w pewien sposób podpowiedzią co do jego prawdziwej istoty. Na napierśniku widniał wystylizowany skrzydlaty wojownik. Na złotych włosach miał nasadzony szyszak z pióropuszem, który biegł aż do podstawy hełmu. U boku Proroka wisiała zdobna pochwa z mieczem o rękojeści wysadzanej klejnotami.

W innych okolicznościach Malik zapewne wyśmiałby i wykpił ten krzykliwy strój. W końcu istota przed nim była stokroć potężniejsza niż postać, jaką oglądali wierni Katedry. Wszystkie te ozdoby były tylko przebraniem, żeby Inarius wyglądał imponująco w oczach swej trzódki, gdy już zniszczy fanatyków edyremów.

– Dałem ci więcej niż jedną okazję, Maliku – powiedział anioł. – I wszystkie zmarnowałeś!

– Okoliczności sprzysięgły się przeciwko mnie – ośmielił się odpowiedzieć arcykapłan. – Zostałem też zdradzony. Wodny demon miał pochwyć Uldyzjana dla mnie, ale wołał zaspokoić własny głód.

– W tej sprawie powinieneś raczej rozmawiać z Panem demonów... O ile go znajdziesz. – Inarius pozwolił, by jego ludzką twarz wykrzywił pogardliwy uśmieszek pod adresem nieobecnego demona. – Zakończył swą

farsę szybciej, niż się spodziewałem, być może wykazał się mądrością, albowiem zamierzałem wszystko obrócić przeciwko niemu.

– Chciał zagarnąć ascenicyka dla siebie – wyznał Malik. – Spróbował i odniósł porażkę.

– Czyli tak jak i ty. – Anioł spojrział na postać zgiętą w ukłonie. – Jednak być może mógłbym jeszcze jakoś cię wykorzystać...

Malik podniósł wzrok.

– Uczynię wszystko, co mi polecisz!

– Niewątpliwie... a wtedy być może jednak obdarzę cię ciałem heretyka.

Z piersi Malika wyrwało się ciężkie kasznięcie. Arcykapłan nie zdołał się powstrzymać i zwymiotował na nieskazitelną posadzkę.

Inarius zmarszczył brwi. Pod jego spojrzeniem ohydna plama wymiocin zniknęła bez śladu.

– W-wybacz – zdołał wydusić Malik.

– Jeśli zrobisz, co ci nakazę, wybaczę. – Prorok machnął dłonią i Malik stanął wyprostowany niczym kukła. – Ale ta skorupa na niewiele się już zda. Potrzebujesz lepszej.

Drzwi do komnaty Inariusza otworzyły się szeroko. Kątem oka Malik dojrzał starszą, ale dobrze zbudowaną kobietę w kapłańskich szatach. Stała w progu zaskoczona, z dłonią uniesioną, by zapukać.

Kobieta natychmiast schyliła się w ukłonie.

– Wzywałeś mnie, o Wielki.

– Wzywałem, Oris. Zbliź się.

Dopiero teraz kobieta dojrzała Malika. Podeszła, marszcząc przy tym brwi. Drzwi za nią zamknęły się szczelnie.

– Moja lojalna Oris – zaczął Prorok z ojcowskim uśmiechem – wiesz, że nie ma nikogo, kto byłby mi bliższy niż ty.

Policzki kapłanki poczerwieniały i Malik zrozumiał, że kochała swego pana, nie jako wierna, ale jak kobieta kocha mężczyznę.

– Żyję, by ci służyć...

– Tak jest w istocie. – Inarius wyciągnął ku niej rękę. Oris zbliżyła się posłusznie. Anioł ujął ją delikatnie za ramiona i pochylił się ku niej.

Pocałunek był krótki, niewiele dłuższy niż muśnięcie warg. Malik od razu zrozumiał, że pocałunek nic nie znaczy dla Inariususa. Kobieta natomiast stała oszołomiona i czerwona jak mak.

– Moja droga, kochana Oris – zaczął Prorok ponownie. – Twoje oddanie mej osobie było chwalebne.

– Pro... Proroku! Ja... – Jego zachowanie całkowicie wytrąciło ją z równowagi.

– Proszę, Oris, potrzebuję cię. Chciałabym, byś pomogła tej nieszczęsnej nędzniczcy.

Po raz pierwszy kapłanka uważniej spojrzała na Malika.

– Cóż za straszliwa choroba ją dręczy?

– Taka, którą nie musisz się martwić. To, czego ona potrzebuje najbardziej, to twoja pomocna dłoń.

– Oczywiście! – kobieta odwróciła się do Malika. – Choć, dziewczyno, pozwól, że ci pomogę.

Duch uśmiechnął się.

– Dziękuję.

Oris nie zdążyła nawet krzyknąć. Ciało zużywały się coraz szybciej, ale i przejmowanie każdego następnego trwało krócej.

Malik popatrzył na bezwładne ciało czarownicy. Musiał przyznać, że Oris była zdrowa i silna. Z pewnością wytrzyma dłużej niż jej poprzedniczka.

– Tego nie będziemy już potrzebować – mruknął Prorok i skinął dłonią w stronę ciała Amolii.

Malik patrzył, jak ciało czarownicy zmienia się w pył i rozwiewa bez śladu. Cieszył się, że nie jest już w nim uwięziony, wytrzymałoby jeszcze najwyżej dzień.

Anioł usatysfakcjonowany skinął głową.

– To powinno wystarczyć. Trzeba tylko ubrać cię odpowiednio. – Od niechcienia strzelił palcami. – No i proszę.

Teraz kapłanka miała napierśnik i hełm, a przy pasie kropacz o głowicy najeżonej poszarpanymi kolcami.

Malik zaskoczony oglądał te zmiany.

– A po co to?

Inarius rzucił mu wzgardliwe spojrzenie. Malik natychmiast zrobił pokorną minę, co najwyraźniej zadowoliło anioła.

– To powinno być dla ciebie oczywiste, arcykapłanie – odparł i uśmiechnął się tak jak przed chwilą, gdy zdradził swą wierną służkę. – Idziemy na wojnę.

– Nie wejdziemy do Kedżanu – poinformował Uldyzjan swych ludzi. Zarówno wzrokiem, jak i myślą nieustannie szukał Mendelna, bezowocnie jednak. – Zostawimy miasto w spokoju.

– Po tym wszystkim?! – wypaliła Serentia, wskazując drzemiącą armię. – Moglibyśmy wejść do stolicy i nikt by nas nie powstrzymał!

– To nigdy nie było naszym celem. Naszym celem był Inarius. Teraz rzucił nam rękawicę. Zaprasza nas, byśmy przyszli do niego, nie czujecie?

Nie byli w stanie. Nawet teraz, przy całej ich potędze, nie mogli poczuć dotyku anioła. To nie podobało się Uldyzjanowi.

– Co więc robimy, mistrzu? – spytał Jonas, zawsze chętny wypełnić każdy rozkaz.

– Jesteśmy niedaleko od łąk oddzielających miasto od Katedry Światłości. Tam się skierujemy.

– I co wówczas? – Serentia zmarszczyła brwi.

– Wówczas będziemy walczyć o życie... ponownie.

Mimo dość radykalnej zmiany trasy edyremowie nie protestowali. Jak zawsze mieli zaufanie do swego przywódcy i jego planów. Uldyzjan zaś nie przyznał się nikomu, że nie ma pojęcia, co robić, jeśli nie liczyć stawienia

czoła aniołowi. Nie dbał w ogóle o popleczników Inarius, byli dlań niczym – to anioła należało pokonać.

A nawet to mogło okazać się zbyt mało, by ocalić Sanktuarium.

Edyremowie nie zwlekali ani chwili dłużej. Ich spektakularne zwycięstwo nad kedżanami wszystkich niezwykle podniosło na duchu. Trawiaste równiny stanowiły otwartą przestrzeń wolną od wszystkożerne dzungli i uważano, że to właśnie one były powodem, dla którego największy z przybytków Katedry Światłości powstał właśnie na północy. Równina zapewniała łatwy dostęp pielgrzymom, którzy nieustannie wędrowali z lśniącej świątyni i stolicy oraz do nich.

Teraz zaś miała stać się doskonałym polem bitwy.

Uldyzjan pilnował maszerujących edyremów, wypatrywał wszelkich pułapek i niespodziewanych ataków, do jakich mógł posunąć się Inarius lub też jego sługi. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Początkowo Uldyzjan bardzo się dziwił, że anioł pozwala im podróżować bez przeszkód, ale powoli docierało doń, jaki może być tego powód. Ale dopiero gdy Mendeln powrócił w towarzystwie Rathmy, Uldyzjan mógł potwierdzić swe podejrzenia. Poprowadził brata, Starożytnego i Serentię nieco na bok i spytał Rathmę o jego zdanie na ten temat.

– Tak, masz całkowitą rację – potwierdził Starożytny. – Dobrze poznałeś mojego ojca. Zaiste przygotowuje on przedstawienie, które całemu Sanktuarium pokaże jego niezmierną moc. Twoja porażka ma być prawdziwie spektakularna! – Rathma uśmiechnął się ponuro. – I zamierza to osiągnąć, nawet jeśli świat będzie istniał zaledwie kilka chwil po jego zwycięstwie. Jest całkiem szalony.

– Może nie mieć nawet tych kilku minut – przypomniał im Uldyzjan. – Aniołowie mogą pojawić się wcześniej.

Rathma spochmurniał jeszcze bardziej.

– Nie masz pojęcia nawet, jak bliski jesteś prawdy. Wybieg Trag'Oula nieco ich zdezorientował, ale to już przeszłość. Dokładnie wiedzą, gdzie

jest Sanktuarium. Dla nich czas płynie inaczej, ale moim zdaniem mamy nie więcej jak dzień czy dwa, zanim na nas uderzą.

Pozostali, nawet Mendeln, sprawiali wrażenie głęboko wstrząśniętych. Uldyzjan mimowolnie otworzył usta.

– Tylko tyle? Miałem nadzieję na tydzień...

– Tydzień byłby błogosławieństwem.

– Niech będzie przeklęty Inarius za to, że nie chciał nas wysłuchać! Mielibyśmy choć cień szansy przeciwko zastępom.

Rathma milczał. Uldyzjan popatrzył po twarzach towarzyszy z miną znamionującą upór.

– Nikomu o tym nie powiemy! Jeśli mamy zginąć, lepiej, abyśmy padli w bitwie! Jeśli jakimś cudem uda nam się pokonać Inarius, wtedy będziemy martwić się, co dalej. Nikt nie musi o niczym wiedzieć. Zgoda?

Nikt się nie sprzeciwił. Dołączyli więc do edyremów i podjęli marsz.

Uldyzjan miał nadzieję dotrzeć do Katedry jeszcze tego samego dnia, ale przeliczył się w ocenie tempa, z jakim mogli się przemieszczać. Gdy zaszło słońce, byli ledwie przy skraju trawiastej równiny. Uldyzjan wiedział, że dalszy marsz oznaczałby taniec do melodii wygrywanej przez Inarius, a jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jeśli się zatrzyma, to również zrobi to, czego oczekuje od nich anioł.

– Nie zaatakuję w nocy – rozwiął jego wątpliwości Rathma. – Mój ojciec chce, aby rzeź edyremów, a szczególnie twój upadek, były przez wszystkich dokładnie widziane. Nie, zaczeka do świtu, nawet jeśli nam wydaje się to głupie.

– Gdybyśmy tylko zdołali dotrzeć do Katedry w nocy i zarazem zachować siły do walki z nim...

Starożytny popatrzył na równinę spowitą ciemnością nocy.

– Nie potrafię tego wyjaśnić, ale mam wrażenie, że jeśli spróbujesz, będziesz tego żałować. Tam coś jest, coś, co lepiej oglądać w świetle słońca.

Uldyzjan zapatrzył się na łąki, marszcząc przy tym czoło. Teraz, kiedy Rathma o tym wspomniał, i on wyczuł coś bardzo niepokojącego wśród pozornie niegroźnych traw. Widok był absolutnie niewinny. Wysokie brązowe i zielone źdźbła kołysały się łagodnie poruszane nocną bryzą. Od czasu do czasu zakrzyczało wśród nich jakieś zwierzę, brzęczały owady, niekiedy odezwał się ptak. Nic, co zapowiadałoby zagrożenie.

A jednak Uldyzjan czuł, że Starożytny ma rację.

Obóz rozbito na skraju dżungli. Świadom tego, jak zapraszająco wygląda równina, Uldyzjan twardo zakazał komukolwiek, nawet wartownikom, postawić stopę wśród traw.

Ale jak się okazało, był ktoś, kto nie posłuchał rozkazu. Kiedy już większość edyremów udała się na spoczynek, Uldyzjan czekał na pojawienie się Achiliosa, ale mijały minuty, a łucznik nie nadchodził. Przywódca edyremów domyślił się dlaczego.

– Poszedł tam, prawda? – zapytał Rathmy.

– Ty go znasz lepiej niż ja.

– Nie możesz go wyczuć?

– Nie. – Starożytny spojrzał na Mendelna. – A ty?

Młodszy z braci podniósł sztylet i skierował go ku równinie. Słaby blask nie zmienił napięcia.

– Chyba... jest jakiś nikły ślad... ale pewności nie mam. Ale to by było do niego podobne, prawda? – dodał, opuszczając klingę.

– Musimy iść za nim! – zdenerwowała się Serentia. – Jeśli tam coś jest, mogłoby...

Nie powiedziała „zabić”, bo Achilios był przecież martwy, ale wszyscy podzielali jej obawy. Uldyzjan postawił stopę w miejscu, które uważał za rzeczywistą granicę między dżunglą a łąką, i skoncentrował się najmocniej, jak potrafił.

– On tam jest. Nie wiem dokładnie gdzie, ale zdecydowanie jest. – W jakimś stopniu Uldyzjan chciał popędzić za przyjacielem. – Jest naszym

zwiadownicą.

Nawet Rathma okazał zdumienie.

– Czy to mądre?

– To Achilios – odparł Uldyzjan. – Sam podejmuje decyzje... i jest bardzo utalentowany.

Rathma skinął głową, po czym wraz z Mendelnem oddalili się, pozwalając, by Uldyzjan sam zajął się Serentią.

– To niedorzeczne! – wypaliła. – Uldyzjanie, nie wolno mu tak ryzykować! Wiem, dlaczego to robi. Bo myśli, że skoro jest martwy, a ja nie, to, co jest między nami, musi się skończyć.

– Są spore szanse na to, że niedługo wszyscy będziemy martwi, Serri. Myślę, że Achilios robi, co może, żeby ocalić kobietę, którą kocha. Nie możesz go za to winić.

Nieoczekiwanie zabębniła pięściami w jego pierś.

– Obwiniam go za to, że mnie zostawił, bezustannie! Obwiniam go za to, że uważa, że nie kocham go dość mocno...

Jej pięści zapłonęły nieokiełznaną energią. Gdyby nie osłona, jaką Uldyzjan miał wokół siebie cały czas, zostałby paskudnie ranny. I nagle oboje zostali otoczeni zielonymi płomieniami, których był źródłem.

– Serri! Przestań!

Dziewczyna zadygotała i rozszlochała się gwałtownie. Płomienie wokół jej dłoni zgasły. Uldyzjan wtedy stłumił swój czar.

A przynajmniej próbował. Bo zielone płomienie się opierały. Żar wokół niego i Serentii przybierał na sile. Twarz Uldyzjana mokra była od potu, dziewczyna spazmatycznie walczyła o oddech.

Zacisnął zęby i skoncentrował się mocniej. Rozkazał swej mocy, by była mu posłuszna.

I posłuchała. Płomienie zgasły, tak po prostu. Jednak kosztowało to więcej wysiłku, niż Uldyzjan się spodziewał.

Serentia poruszyła się w jego objęciach, tym samym przyciągając jego uwagę. Podniosła wzrok, twarz miała ściągniętą.

– Prze... przepraszam Uldyzjanie... Nie chciałam tak stracić panowania nad sobą... ale...

– W porządku, rozumiem.

Wytarła łzy.

– Tylko... nagle pomyślałam, że tym razem już go nie zobaczę.

Te obawy nie były bezpodstawne, ale tego Uldyzjan nie mógł jej powiedzieć.

– Zobacysz go, znam Achiliosa. Nic nie utrzyma go z dala od ciebie. Powinnaś już to wiedzieć.

– Mam nadzieję... Mam nadzieję, że nic mu się nie stanie – mruknęła, odsuwając się od Uldyzjana. – Mam nadzieję.

Odeszła w ciszy, raz po raz spoglądając ku równinie. Uldyzjan obserwował ją z daleka, póki nie był pewien, że położyła się spać, a wtedy ponownie skupił się na falujących trawach. Jednak mimo że starał się ze wszystkich sił, nie potrafił określić, gdzie znajduje się Achilios.

– Lepiej wróć do niej – szepnął Uldyzjan. – Lepiej do niej wróć...

Choćby po to, by teraz mogli umrzeć razem...

Serentia wyglądała na pogrążoną we śnie, ale nie spała. Bez względu na to, co mówił jej Uldyzjan, nie mogła po prostu nie robić niczego. Achilios był lekkomyślny, ale przecież nie potrafiła opuścić go z tego powodu. W końcu zawsze był lekkomyślny, ale przy tym wyjątkowo lojalny.

I podczas gdy jej ciało leżało nieruchomo, umysł wyruszył na poszukiwanie mężczyzny, którego kochała.

Serentia szybowiała ponad równiną, szukając jakichkolwiek śladów obecności Achiliosa. Wiedziała, że był martwy, nie zostawiał więc takiego śladu jak Uldyzjan czy ona, ale była pewna, że jej więź z łucznikiem wystarczy. Znajdzie go.

Równina pogrążona była w niewiarygodnym spokoju, który powinien przepełnić też umysł Serentii, ona jednak czuła się tak, jakby ktoś obserwował ją od tyłu. Za każdym razem, gdy sprawdzała, okazywało się to jednak tylko złudzeniem.

Wreszcie otrząsnęła się, odegnała niepokój i zmusiła się, by lecieć szybciej i szybciej. Achilios nie mógł być daleko.

Coś po wschodniej stronie przykuło jej uwagę. Skręciła w tamtym kierunku z łatwością. Nie dostrzegła niczego konkretnego, ale przecież łucznik nie stałby po prostu widoczny dla wszystkich.

Kiedy już zbliżyła się do owego szczególnego miejsca, mogła się przekonać, że nie było tam Achiliosa, lecz coś zgoła innego. Pewna, że nie można jej zobaczyć ani usłyszeć, unosiła się nad miejscem, będącym źródłem tego dziwnego uczucia, które ją tu sprowadziło.

Nic nie zobaczyła, opuściła się więc niżej i jeszcze niżej, aż wpatrywała się w ziemię.

I wtedy zobaczyła dziurę.

Nie był to otwór w fizycznym sensie, ale coś balansującego na granicy między tym a innym stanem istnienia, w miejscu podobnym do tego, w którym przebywała sama. Dziura była duża na tyle, by pomieścić mężczyznę albo coś nieco większego, ale jej brzegi zdawały się zmieniać, jakby chciały się zamknąć... a może otworzyć.

Zaciekawiona Serentia zeszła jeszcze niżej dokładnie przez sam środek otworu.

Gdy tylko to uczyniła, natychmiast zmieniła się jej perspektywa. Dziewczyna wiedziała, że nie jest już dłużej w Sanktuarium, ale nie potrafiła powiedzieć gdzie.

Coś czarnego i składającego się chyba z samych wielkich i ostrych zębów wystrzeliło w jej stronę. Serentia chciała cofnąć się przez dziurę i nagle uświadomiła sobie, że otwór jest daleko, daleko nad jej obecną

postacią. Nie wiedziała, jak udało jej się zejść tak głęboko, ale w tej chwili musiała skupić się tylko na tym, jak uciec.

Stwór był coraz bliżej, kłapiąc niezliczonymi zębami. Serentia widziała już okrągłą paszczę i maleńkie, niemal ślepe oczka. A jednak jakimś sposobem potwór wiedział dokładnie, gdzie się znajdowała, mimo że nie miała prawdziwego ciała.

Wijąc się niczym wąż, stwór poruszał się szybciej niż ona. Dziewczyna obawiała się, że dopadnie ją, zanim ona zdoła dotrzeć do dziury, i nie miała najmniejszej wątpliwości, że jeśli tak się stanie, to z ciałem czy bez ciała, monstrum ją zniszczy. Możliwe, że gdyby skorzystała z mocy, to pokonałaby jakoś potwora, ale coś jej mówiło, że lepiej uciekać, niż walczyć.

Wyglądało jednak na to, że nie zdoła. Przejście było zbyt daleko, a tuż poniżej potworna paszcza otwarta na całą szerokość przesłaniała całkowicie widok. Serentia poczuła smród rozkładu, a to, że w ogóle była w stanie poczuć jakąś woń, tylko wzmogło jej obawy i przekonanie, że stwór może ją jak najbardziej skrzywdzić.

Żałowała, że nie ma swej włóczni. Wtedy miałyby choćby cień szansy. Pragnienie było tak silne, że Serentia niemal czuła, jak jej dłoń zamyka się na drzewcu...

I nagle zdała sobie sprawę, że tak jest w istocie.

Nie była to prawdziwa włócznia, ale raczej jej magiczny odpowiednik, stworzony przez Serentię, ale tak czy inaczej oznaczała nadzieję. Dziewczyna wycelowała w sam środek drapieżnej paszczy, co nie było trudne, zważywszy na rozmiar gardzieli.

Stwór już niemal ją dopadł. Zębiska zazgrzytały łakomie. Serentia cisnęła włócznię, wkładając w cios całą swą wolę. Wiedziała, że to jej jedna, jedyna szansa.

Lśniące drzewce zniknęło w przepastnej paszczy. Dziewczyna wyobraziła sobie, że broń staje w płomieniach dość gorących, by roztopić

skąłę, a co za tym idzie, również i wnętrzości koszarnej bestii.

Potwór zbulgotał ohydnie, jego ciało rozżarzyło się niczym węgiel w ogniu.

Eksplodował.

Fragmety monstrum przeleciały koło Serentii, która instynktownie próbowała się ochronić. Posoka spadała z góry niczym makabryczny deszcz, a potem znikła.

I choć Serentia zniszczyła napastnika, pierwsze, co przyszło jej do głowy, to uciekać jak najszybciej. Już niemal wprowadziła tę myśl w czyn, gdy nagle przyszło jej do głowy, że owo dziwne miejsce musi być czymś więcej niż tylko legowiskiem bestii. Rozejrzała się uważnie. Na pewno nie była już w Sanktuarium. Najbardziej niepokoiła ją jednak możliwość, że również Achilios odkrył to „przejście” i zszedł tu, by je zbadać. To by wyjaśniało, dlaczego nie mogła go wysledzić. Jeśli cofnęłaby się, nie upewniwszy się, że go tu nie ma...

Podjęła decyzję i rzuciła się w głąb przejścia. Po drodze raz za razem spoglądała na to, co tworzyło ściany „tunelu”. Gdy zbadała je dokładnie, odkryła, że nie były nawet stałe – raczej stanowiła je nieustannie ociekająca czerń.

Niespodziewanie zobaczyła przed sobą niepokojące światło, czerwone niczym krew. Zwolniła, nagle niepewna, czy nie powinna jednak zawrócić.

I po raz kolejny głęboka miłość do Achiliosa pchnęła Serentię w stronę makabrycznego blasku. Gdyby miała prawdziwe ciało, to pokryłaby je w tej chwili gęsia skórka ze strachu i obrzydzenia. Cokolwiek znajdowało się dalej, emanowało złem tak potężnym, że w porównaniu z tym bladła nawet Lilith.

Zmusiła się, by dojść do końca przejścia. Zerknęła w światło, próbując zobaczyć, co znajduje się w jego blasku.

I to, co zobaczyła, sprawiło, że rzeź Rady Magów i przywódców gildii zdała się całkiem bez znaczenia. Cała jej odwaga gdzieś się ulotniła.

Serentia chciała już tylko wrócić do swego ciała. Całe swe siły i wolę skupiła na ucieczce z magicznego przejścia i od tego, co leżało po drugiej stronie.

Poczuła mrowienie, gdy po raz kolejny przedostała się przez otwór, ale nawet gdy zobaczyła łagodnie falujące trawy, nie zwolniła ani na chwilę. Nie obejrzała się też ni razu, bojąc się, że jeśli to zrobi, zobaczy istoty potworniejsze niż monstrualny robal, którego pokonała.

Wreszcie powróciła do ciała.

Usiadła gwałtownie, oczy miała ogromne, rozszerzone strachem. Poderwała się i okręciła wokół własnej osi, pewna, że potwory są tuż-tuż. Przekonawszy się, że nic jej nie ściga, popędziła tam, gdzie rozstała się z Uldyzjanem.

Wciąż stał w tym samym miejscu wpatrzony w spokojną równinę. W innej sytuacji Serentię wzruszyłaby ta determinacja, było bowiem oczywiste, że przywódca edyremów wciąż usiłuje odnaleźć jakiś ślad Achiliosa. Jednakże to, co zobaczyła przed chwilą, przytłumiło jej obawy o ukochanego.

Z całej siły powstrzymywała się, by nie krzyknąć. Uldyzjan odwrócił się, gdy się zbliżyła. Po jego minie widać było, że wyczuł jej ogromny strach.

– Serri! – ujął ją za ramię. – Co się dzieje? Miałaś zły sen o Achiliosie?

Oczywiście, tylko takie mogło być jego pierwsze skojarzenie na widok kobiety pędzącej ku niemu. Pokręciła głową.

– Nie! – zaprzeczyła, gwałtownie nabierając powietrza. Opamiętała się nieco i zniżyła głos do szeptu. – Nie! Uldyzjanie... to nie był sen. Ja... udało mi się... tam szukać... szukać Achiliosa.

– Co?

Serentia widziała, że i Uldyzjan robi, co może, żeby nie podnieść głosu. Natychmiast zrozumiał, co uczyniła, by odnaleźć łucznika, i wpadł w zrozumiłą furję.

– Powinnaś mnie uprzedzić! Nie! W ogóle nie powinnaś robić czegoś takiego! Co by się stało, gdyby...

– Uldyzjanie, ćśś! Słuchaj! Musisz się dowiedzieć, co odkryłam!

– Dlaczego? Czy Achilios... czy on...

– Nie... choć modłę się, by nie okazało się, że natknął się na to co ja i padł ofiarą strażnika! – Serentia zamilkła, opuściła spojrzenie nagle sparaliżowana grozą tej myśli. Co, jeśli Achilios rzeczywiście odkrył magiczne przejście i wszedł? Co, jeśli wciąż tam był, mimo że nie znalazła śladu, cały czas uwięziony?

– Serri! Serri! – Uldyzjan zmusił ją, by skupiła się na nim. – Wróci do mnie! Powiedz mi. Powiedz. Powiedz, co tak tobą wstrząsnęło.

– To... – odetchnęła głęboko i zaczęła raz jeszcze. – To straszne!

I słowa popłynęły. Odczucie, że coś jest nie w porządku, odkrycie magicznego przejścia, decyzja, by zbadać je dokładniej, i co się stało, gdy to zrobiła.

Uldyzjan był całkowicie oszołomiony... i wściekły bardziej niż kiedykolwiek.

– Powinnaś była zawrócić!

– Słuchaj! To nie wszystko! Jest coś jeszcze. Słuchaj! – Serentia opisała Uldyzjanowi bestię strzegącą przejścia oraz to, jak udało jej się zgładzić potwora. Uldyzjan uniósł brwi, ale jej nie przerywał. – A wtedy... wtedy doszłam do końca przejścia i zobaczyłam ich... wszystkich! Morze bez końca. Tak strasznych! Tak przerażających!

Ogarnęło ją koszmarnie wspomnienie. Groteskowe, demoniczne twarze. Makabryczne, odrażające kształty. Porażająca aura zła...

– Serri! – Uldyzjan potrząsnął ją za ramiona. – Co widziałaś?

Dziewczyna z wysiłkiem wzięła się w garść. Niskim, równym głosem wyjaśniła:

– Widziałam... zajrzałam do miejsca, które mogło być tylko, jak opisuje je Rathma, Płonącymi Piekłami, Uldyzjanie! Przejście na tej równinie

prowadzi z naszego świata do tego, w którym żyją oni!

Otworzył usta, chcąc zaprzeczyć, ale zamknął je bez słowa i tylko ponuro skinął głową. Wystarczająco wiele razy mieli do czynienia z demonami. Magiczna brama do piekielnego wymiaru nie była już czymś niewyobrażalnym.

Widząc, że Uldyzjan nie protestuje, Serentia zmusiła się, by powiedzieć mu najgorsze:

– Byli tam. Byli tam... Tysiące tysięcy! Może więcej! Nie wiem sama... niezliczone morze.

– Kto, Serri? Kto?

Oczy jej urosły do rozmiaru spodków, gdy przypominała sobie ich szeregi.

– Armia... armia demonów. Szykująca się, by ruszyć na Sanktuarium!

OSIEMNAŚCIE



Bez chwili wahania Achilios udał się na zwiady dla swych przyjaciół. Jego życie – o ile mógł tak nazwać ten żaloszny stan, który stał się jego udziałem – można było poświęcić. Ważne było, żeby przetrwali inni... żeby przeżyła Serentia.

Uldyzjan był tak zaprzątnięty rozmaitymi kwestiami, że łucznik bez większego problemu oddalił się z miejsca, z którego obserwował edyremów. Zasłoniła go wysoka trawa, a miękka ziemia tłumilały nawet odgłos kroków zwykłego człowieka.

Jak zawsze miał strzałę w pogotowiu. I pełen kołczan. To był jedyny pożyteczny dar od anioła Tyraela – niekończący się zapas ostrych i zaklętych strzał. Achilios chciałby okazać swoją wdzięczność zdradzieckiemu aniołowi – obu aniołom, którzy go wykorzystali – przez wysłanie kilku tych strzał w organ, który u nich był sercem.

Teraz jednak interesowało go tylko, czy strzały poradzą sobie z tym, co czaiło się na równinie.

Nie miał bowiem wątpliwości, że coś kryje się wśród traw. Inarius niewątpliwie zaplanował jakąś sztuczkę, która pozwoli mu pokonać Uldyzjana, zanim dojdzie do prawdziwej konfrontacji. Przynajmniej tego Achilios spodziewał się po Proroku.

Oddalił się już znacznie od obozu i jak na razie jedyne, co odkrył, to niepokojący brak jakiegokolwiek zwierzyny. Nie tylko nie napotkał żadnego królika, dzikiego kota czy innego drapieżnika – nie widział też ptaków, a sądząc po absolutnej ciszy, nie było tu też owadów. Stworzenia zamieszkujące równinę uznały, że mądrzej będzie uciec, co nie wróżyło najlepiej.

Powietrze stało nieruchomo. Gdy Achilios wyruszył na nocną wycieczkę, czuł na twarzy powiew lekkiego wiatru, który słabł, w miarę jak łucznik posuwał się dalej. Teraz źdźbła nie poruszały się.

Zawahał się. Zobaczył, że trawa przed nim nagle zaszeleściła. Tego nie mógł spowodować żaden wiatr.

Uniósł łuk, przekonany, że falowanie oznacza, iż coś przemieszcza się wśród trawy, blisko ziemi. Mogło to być jakieś zwierzę, równie groźne jak wielkie koty z dżungli, ale Achilios raczej w to nie wierzył. Większość zwierza uciekała przed nim natychmiast. Czuły, że jest w nim coś niewłaściwego.

A skoro nie było to zwierzę, to tylko jedno wyjaśnienie przychodziło łucznikowi do głowy. Demon.

Stojąc nieruchomo jak skała, czekał. Trawa nadal poruszała się dziwnie, nic jednak z niej nie wychynęło.

Wreszcie zniescierpliwiony zrobił krok w tamtą stronę i natychmiast zauważył gwałtowniejsze ruchy najbliższych roślin. Znowu znieruchomiał ze strzałą na cięciwie.

I znowu nic się nie wydarzyło. Słyszał kiedyś określenie „cierpliwość martwych”, ale odkrył, że do niego się ono nie odnosi. Nawet jego cierpliwość myśliwego miała swoje granice i dawno już je przekroczył. Jako martwy był chyba bardziej niecierpliwy niż za życia.

Z łukiem w gotowości Achilios zrobił kilka ostrożnych kroków. Ku jego zaskoczeniu w miejscu, w którym coś niby miało się ukrywać, nie znalazł niczego. Żadnego zwierzęcia. Żadnego demona. Zupełnie jakby trawa

poruszała się sama z siebie. Łucznik w zamyśleniu potarł ubrudzony ziemią policzek. Jego instynkt i umiejętności edyrema były tak silne, jakby żył. Teraz zawiadamiały go, że coś tu jest nie w porządku. Nie mógł tylko odkryć, co takiego.

Ciemność nocy nie stanowiła dlań przeszkody. Już jako młodzik wyjątkowo dobrze widział w ciemnościach. Po śmierci jego wzrok znacznie się polepszył. Achilios rozejrzał się uważnie i metodycznie, szukając jakiegoś śladu, wskazówek, które zdradziłyby mu rodzaj niebezpieczeństwa, jakie – czego był pewien – tu się kryło.

Dojrzał niewielki kształt pogrzebany w trawie. Położył łuk obok – tak by dotykać go placami – i wolną ręką sięgnął do owego przedmiotu, który był tak mocno oplątany trawą, że Achilios niemal rozerwał to, co starał się z niej wydobyć.

Zirytowany złapał za nóż. Trawa opierała się długo, ale w końcu dał jej radę.

Wydobyta z plątaniny rzecz okazała się truchłem czarnego ptaka. Jego ciało zostało niemal zgniecione na miazgę, a źdźbła tak mocno owinęły się wokół głowy i skrzydeł, że niemal oddzieliły je od ciała.

Achilios uznał, że ptak zginął może dzień wcześniej. Gdyby wokół były jakieś owady, zewłok z pewnością wyglądałby gorzej. Achilios uznał za mocno niepokojące, że nic nie przyszło pożywić się padliną. Obrócił truchło w dłoniach, próbując zrozumieć, co zabiło ptaka. Ale nie znalazł niczego poza zaciśniętymi mocno źdźbłami trawy.

Zesztywniał. Nie spuszczał wzroku z martwego ptaka, powoli położył truchło na ziemi. Potem ostrożnie przełożył nóż do drugiej ręki i sięgnął po łuk.

Nie zdołał pochwycić broni. Coś złapało jego nadgarstek i zacisnęło z taką siłą, że żywemu człowiekowi odcięłoby dopływ krwi.

Achilios obrócił się, tnąc nożem.

Ostrze zagłębiło się w trawę.

Uwolnił rękę. Żdźbła odpadły z nadgarstka i wijąc się, spadły na ziemię. Achilios wyciągnął rękę po łuk...

Trawa sięgnęła ku niemu ze wszystkich stron. Chwytała za ramiona, niczym setki wijących się węży. Achiliosowi udało się ciąć kilka następnych liści, ale unieruchomioną ręką nie mógł sięgnąć dalej.

Nagle trawa wokół wzburzyła się, zakipiała, ziemia zrobiła się miękka i ku swemu przerażeniu Achilios począł się zapadać.

„Nie znowu! Nie znowu!” Pamiętał macki demona w lesie i owo przerażające odczucie, że stwór wciągnie go pod ziemię. Wprawdzie wtedy bestia chciała go rozerwać na kawałki, co zresztą powitał z ulgą, ale tym razem wszystko wskazywało na to, że nie ma co liczyć na rozczłonkowanie.

I kiedy walczył, by utrzymać się powyżej powierzchni, wiedział, że to nie był przypadek. Odkrył fragment strategii Proroka. Anioł zamierzał pozbawić Uldyzjana nadziei, zanim zmierzy się z przywódcą edyremów. Zapewne wśród traw kryła się niejedna taka pułapka, a może i inne zagrożenia.

Noga Achiliosa zapadła się w miękką glebę. Walczył nie tylko, by ocalić siebie, ale i swoich przyjaciół.

Serentię...

Ale choć walczył z siłą większą niż niejeden śmiertelnik, ziemia wciągnęła drugą jego nogę, a po chwili zagłębił się w gruncie do pasa.

Pusta dłoń została wciągnięta w następnej kolejności. Achilios obracał nożem, by uwolnić drugi nadgarstek. W miarę cięcia żdźbeł ostrzem wzrastała jego zdolność do manewrowania dłonią. Przeciął resztę trawy przytrzymującej jego nadgarstek.

Miał wolną jedną rękę. Monstrualnym wysiłkiem wyrwał przedramię z uścisku liści. Niestety drugie znajdowało się całkowicie pod ziemią i żdźbła sięgały już do jego gardła. Ziemia – głodna ziemia – była o kilka cali od jego twarzy.

Warknął niemal jak zdesperowany zwierz. Obrócił nóż i z furią ciął korzenie traw przy jego głowie. Ciął, darł, szarpał, gdzie tylko zdołał sięgnąć. Poczuł, że nacisk na uwięzione ramię słabnie. Niczym mokry pies strząsnął ziemię z barków.

Z szerokim uśmiechem, jaki można było zyskać jedynie po śmierci, Achilios zdołał nieco wydobyć się z ziemi. To dało mu odrobinę większy zasięg. Nie zwlekając, puścił w ruch ostrze noża. Drugie ramię już prawie było wolne.

Ale nagle spod ziemi, z resztek korzeni pozostałych po ścięciu traw, wystrzeliły nowe liście. Szybciej niż łucznik zdołał się zdziwić tym, jak błyskawicznie urosły, osiągnęły pełną wysokość.

Nowe rośliny owinęły się wokół Achiliosa z takim wigorem, że zdawało się, że łucznik ma na sobie koszulę z trawy. Mocniej schwyciły jego ręce i choć Achilios nie wypuścił noża, to trawy sprawiły, że nie miał z ostrza żadnego pożytku.

Oba ramiona miał już pod ziemią, tułów pogrzebany do piersi. Achilios potrząsał gorączkowo głową, chcąc utrzymać ją ponad powierzchnią.

Ale tuż przy jego twarzy wyrosła świeża kępa złowieszczych traw. Wiedział, że nic już nie zdoła zrobić, i krzyczał ze wściekłości.

Trawa wciskała mu się do ust i do nosa, zdźbła pochwyciły jego głowę, otuliły ją niczym kochanka i zmusiły, by otwartymi ustami pocałował ziemię. Ciemność zamknęła się wokół Achiliosa.

Kilka sekund później na powierzchni został po nim jedynie łuk. Trawa, która błyskawicznie zarosła wszystko, łagodnie kołysała się w przód i w tył.

Czekała...

Achilios nie powrócił, demony czekały w ukryciu. Akolici Inariusza niewątpliwie szykowali się do ataku, a nawet gdyby nie, nadciągała armia aniołów, by zniszczyć cały świat.

Mimo przerażających okoliczności Uldyzjan nie miał innego wyjścia, jak tylko ruszyć z edyremami przez równinę. Zasady tej gry zostały

określone przez moce, których nawet nie pojmował. Jedyłą jego nadzieją było zrobienie czegoś nieoczekiwanego...

Wstało słońce. Widok ten powinien podnieść Uldyzjana na duchu, a jednak zaniepokoił go w najwyższym stopniu. Nie tylko ognista kula wspięła się na nieboskłon wcześniej i szybciej, ale i od niewłaściwej strony. Teraz wznosiła się na północy, dokładnie tam, gdzie czekał wróg edyremów.

Inarius jakimś sposobem przesunął słońce.

I choć nikt nie wyrzekł ni słowa, radość ze zwycięstwa opuściła edyremów i dalej maszerowali przygnębieni, zwolniwszy tempo. Pytanie, które dręczyło ich wszystkich, było oczywiste: jak można pokonać kogoś, kto potrafił przesunąć słońce?

Okazało się, że to Rathma był w stanie dać Uldyzjanowi promyk nadziei. On jeden spoglądał na niebo i nie był pod wrażeniem.

– To nie jest słońce – oznajmił Uldyzjanowi. – Patrzysz na iluzję. Słońce jest tam, gdzie być powinno, ale wasze zmysły zostały oszukane i widzicie je na północy.

– Co to znaczy?

Rathma niemal wykrzywił się z pogardą w stronę płomienistej kuli.

– To, co zrobił mój ojciec, wymaga ogromnej mocy, ale tak naprawdę to wasza wyobraźnia sprawia, że wydaje się prawdziwe. Jego moc nie jest ani trochę większa, niż była wcześniej.

Ta odpowiedź nie do końca satysfakcjonowała Uldyzjana, albowiem nadal nie znał granicy możliwości anioła. Z tego, co widział, to nawet jeśli słońce było iluzją, to piekielnie imponującą.

A co gorsza, oślepiało wszystkich.

Uświadomił sobie jednak, że skoro miał do czynienia z iluzją, mógł zrobić coś, żeby odwrócić sztuczkę Inariusza – coś, czego próbował nie raz. Owszem, musiał przyznać, że za pierwszym razem udało mu się to dzięki

manipulacjom Lilith, ale teraz już od dawna nie potrzebował jej plugawych mocy. Warto było przynajmniej spróbować.

Skoncentrował się na nieboskłonie, skupiając się na niewielkim obłoczku, więcej nie potrzebował.

Podniósł się wiatr, pierwszy chłodny powiew, jaki czuli od tygodni. Uldyzjan wyczuł reakcję otaczających go ludzi. Wiedzieli, że cokolwiek się działo, działo się za jego przyczyną i czerpali z tego otuchę.

To tylko wzmogło nadzieję Uldyzjana. Nie zwlekając ani chwili dłużej, rzucił czar.

Pogoda zaczęła się zmieniać. Chmura rosła, stała się dziesięć, sto, tysiąc razy większa niż na początku. Zgęstniała i nabrała ponurej szarej barwy.

Uldyzjan nie tylko użył mocy, ale i narzucił swą wolę najbliższemu otoczeniu. Robił to już wcześniej, aczkolwiek nie na taką skalę. Niepokoiło go, że musi wysilić się tak mocno, zanim stanie przeciwko samemu aniołowi, ale nie miał wyboru. Zapewne zresztą tego właśnie chciał Prorok.

Uldyzjan nie mógł jednakże zastanawiać się nad takimi kwestiami. Musiał skupić się na chwili obecnej.

Chmura wessała wszystkie pozostałe obłoczki i wciąż rosła. Pełzła nieustannie ku północy, kawałek po kawałku, pożerając błękit nieba. Aż wreszcie dotarła do prowokująco jasnego słońca. W tej chwili wola Uldyzjana niemal się złamała, bowiem ten nie był w stanie uwierzyć, że tak prostym sposobem pokonał anioła. A jednak masywna szara chmura sięgnęła do miejsca, z którego świeciło słońce.

Promienie przestały oślepić edyremów i poniósł się wśród nich pełen nadziei pomruk. Uldyzjan czuł, jak serce bije mu szybciej, gdy chmura przesłoniła słońce, gdy jaśniejąca kula zmieniła się w maleńki sierp, a potem zaledwie zarys przeświecający przez szarość, jedynie w takim stopniu, by równina nie pogrążyła się w całkowitych ciemnościach.

Uldyzjan ośmielił się odetchnąć głębiej i rozejrzał się wokół.

Edyremowie zaczęli wiwatować.

Rathma podchwycił spojrzenie Uldyzjana i uśmiechnął się przelotnie, co zdarzało mu się niezwykle rzadko, a potem skłonił głowę z uznaniem.

– Zdołałeś ponownie napełnić serce mojego ojca niepewnością – pochwalił.

Mendeln uśmiechał się do brata szeroko. Tylko Serentia nie cieszyła się z pozostałymi, ale i ból malujący się na jej twarzy zelżał trochę.

Spojrząwszy na nią, Uldyzjan przypomniał sobie od razu, że bez względu na to, czego dokonał, wciąż musiał stawić czoła tysiącom straszliwych przeciwników.

Nie wolno mu było jednak pokazać innym, że się martwił. Starannie pilnując, by na jego twarzy malował się triumf, wiódł dalej swą armię. Przynajmniej teraz będą w stanie skoncentrować się na tym, co leżało przed nimi, a to mogło zwiększyć ich szanse w przypadku następnego ataku.

Im dalej szli, tym gęstsza stawała się trawa. Uldyzjan nakazał wszystkim daleko posuniętą ostrożność i zadowolony był z czujności, jaką dostrzegał wśród swych oddziałów. Najbardziej uzdolnieni z akolitów otwierali i zamykali pochód, ci, którzy nie byli w stanie obronić się sami, szli otoczeni przez swych towarzyszy bliżej końca kolumny. Uldyzjan przez chwilę chciał ich zostawić, ale zrozumiał, że tak naprawdę nigdzie nie będą bezpieczni. Klany mogły uwolnić się już od zakłęcia, a w takim wypadku z pewnością gotowe były zemścić się na wszystkich edyremach, jakich znajdują. Nawet jeśli ta znaleziona grupa składać się będzie z dzieci i starszych.

Nie, najlepszym wyborem dla edyremów było trzymać się razem, szczególnie jeśli mieli zginąć. Razem mieli szanse walczyć.

– To tu – odezwał się półgłosem Mendeln.

Uldyzjan nie musiałby pytać, co jego brat ma na myśli, nawet gdyby sam tego nie zobaczył. Monstrualna budowla lśniła, jakby wzniesiono ją z diamentów, nawet gdy niebo przysłonięte było ciemną chmurą. Uldyzjan

nie był w stanie dostrzec żadnych szczegółów poza ostrą iglicą, celującą w niebo.

I choć edyremowie wciąż byli dość daleko od przybytku, to jego pojawienie się na horyzoncie przypomniało im, że do starcia z Inariusem pozostało niewiele czasu. Znaleźli się w połowie odległości między miastem a Katedrą, a było to idealne miejsce na okrutną demonstrację potęgi Inariusza, jaką anioł niewątpliwie miał w planach.

– Czy nie powinniśmy widzieć stąd Złotego Traktu? – spytał Mendeln. – Wydawało mi się, że jest gdzieś tu blisko.

Złotym Traktem nazywano drogę łączącą bezpośrednio Kedzan i zabudowania Katedry Światłości, którą wędrowali pielgrzymi. Nazwa miała odniesienie do spraw duchowych i nic wspólnego z wyglądem, albowiem była to jedynie droga wycięta pośród traw przez pierwszych akolitów Katedry. Tysiące stóp, bosych i w sandałach, które codziennie ją przemierzały, niszczyły wszelkie rośliny na tyle niemądre, by akurat tutaj zapuszczać korzenie.

Ale choć od przejścia ostatnich pielgrzymów minął zaledwie dzień czy dwa, teraz wszędzie gdzie okiem sięgnąć kołysała się wybujała trawa. Złoty Trakt przestał istnieć.

– Mój ojciec – stwierdził Rathma, choć wszyscy już to wiedzieli.

Uldyzjan uniósł rękę, by zatrzymać pochód edyremów. Nie zamierzał pozwolić im na dalszy marsz, póki dokładnie nie zbada terenu rozciągającego się przed nimi. To również mogła być sztuczka czekających demonów, które przecież zawiązały sojusz z Inariusem. W końcu im tak samo jak Inariusowi zależało na upadku Uldyzjana.

Upewniwszy się, że niebo pozostanie zasnuwane szarością, Uldyzjan użył swego daru, by spojrzeć daleko przed siebie i rozpocząć metodyczne badanie okolicy. Gdzieś w głębi duszy miał nadzieję, że odnajdzie Achiliosa, ale wszystko wskazywało na to, że nadzieja ta była złudna.

Do tego stopnia skupił się na badaniu drogi przed nimi, że wszystko inne wokół zbladło. Nie zamierzał pozwolić, by jego ludzie padli ofiarą gierk Inarius. Nie pozwoli, by do tego doszło...

Krzyki uderzyły weń z każdej strony. Umysły edyremów emanowały okrzykami strachu. Wycofując się ze swoich poszukiwań, poczuł, jak Serentia szarpie go gwałtownie.

– Uldyzjanie! Ocknij się! – jej głos został zdławiony.

Odwrócił się i nagle coś pochwyciło go za nogi i nadgarstek. W pierwszej chwili uznał, że to cienkie macki. Ale był w błędzie. To trawa usiłowała go powalić. Co gorsza, edyremowie wokół niego byli duszeni źdźbłami lub wciągani pod ziemię. Niektórzy zwyczajnie tonęli.

Najbardziej zajadły atak rośliny przypuściły na dzieci, które nie mogły się bronić. Nawet wysiłki nieustraszonych obrońców nie były w stanie powstrzymać traw i te ciągnęły malców we wszystkie strony. Krzyki dzieci mroziły krew w żyłach.

Uldyzjan dotknął kępy za sobą. Ogień strawił źdźbła, ale niemal natychmiast dwakroć tyle wystrzeliło z ziemi. Podobnie działo się wszędzie wokół. Nawet Rathma na próżno walczył, by się uwolnić.

To nie był zbieg okoliczności. Uldyzjan zrobił dokładnie to, czego chciał Inarius. Przygotował sytuację, która choć na moment odwróci uwagę przywódcy edyremów. A Uldyzjan po raz kolejny zrobił aniołowi tę grzeczność i wszedł w jego pułapkę. Wszystko, czego anioł potrzebował, to ta jedna chwila, gdy Uldyzjan skupi się na czymś innym.

Trawa sięgnęła Uldyzjanowi do gardła. Robił, co mógł, by uwolnić się od liści i łodyg, które zdążyły już go oplątać. Z niejakim wysiłkiem ściał pobliskie rośliny, używając mocy.

Ale i tym razem trawa nie tylko odrosła natychmiast, lecz też atakowała ze zdwojoną zajadłością. Krzyki, które nieustająco rozdzierały uszy i umysł Uldyzjana, nie były krzykami strachu... ale agonii.

Jego ludzie umierali. Po raz kolejny Uldyzjan ich zawiódł.

Zapłonął w nim gniew na bezwzględną nieczułość Proroka. Dla anioła ludzie byli niczym. Pozwolił im istnieć, bowiem nie mógł ścierpieć, że nikt nie będzie czcił jego potęgi. No i całkowita izolacja była chyba czymś, czego nawet on nie mógłby znieść.

Fakt, że Inarius nazywał się Wojownikiem Światła, Rycerzem Dobra, Uldyzjan uznał za wyjątkowo okrutny żart. Wyobraził sobie anioła jako Proroka, pięknego nieśmiertelnego młodzieńca, który śmieje się z bezradności człowieczego wroga.

I gdy wizja ta stała się wyraźniejsza, Uldyzjan zapłonął gniewem, jakiego nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu. Miał wrażenie, że zaraz eksploduje, jeśli nie znajdzie ujścia dla tej furii. Tymczasem nie miał nawet celu, w który mógłby uderzyć, wokół nie było nic poza trawą.

Trawa...

Trawa...

I tak jak wcześniej ogień wybuchł wokół niego dzikim blaskiem. Gigantyczne szmaragdowe i żółte płomienie pochłaniały okoliczną trawę tak szybko i tak dokładnie, że nie został ani kiełek, który mógłby zrodzić nowe źdźbła.

I ogień rozprzestrzenił się po równinie, pędząc z wściekłością wśród edyremów. Po jego przejściu trawa zamieniała się w popiół, ale nikt z ludzi Uldyzjana nie został nawet osmalony. Dla nich płomienie były niczym pieszczotliwy powiew chłodnego powietrza.

Ale po prostu uratować edyremów z pułapki, do której ich wprowadził – to dla Uldyzjana było stanowczo zbyt mało. Jego gniew nie znał granic. Nagle wszystko wokół wydało mu się zagrożeniem dla jego ludzi, a przede wszystkim dla niego samego. Każde źdźbło trawy w zasięgu oka wydawało się dlań potwornym sługą Proroka. Chciał, żeby wszystkie zniknęły.

Ogień usłuchał jego woli. Wystrzelił, pochłaniając rośliny. Po jego przejściu pozostawała jedynie wypalona ziemia, nawet nie rozgrzana.

Edyremowie w zdumieniu i zachwycie patrzyli, jak równina poddaje się furii Uldyzjana. Spalona ziemia sięgała dalej i dalej. Płomienie pędziły pozbawione kontroli, a im dalej docierały, tym bardziej stawały się łakome.

Uldyzjan patrzył na pożogę i zgliszcza, ledwie oddychając. Patrzył, nie dbając ani trochę o zniszczenia, jakich stał się przyczyną. Dlaczego miałyby ograniczyć się tylko do traw? Skoro Inariusza bawiły takie podstępny, to i dżungla mogła być wroga. Czy nie lepiej było popędzić ogień jak najdalej? Nawet do stolicy, gdzie znaleźć można było jedynie zdradę i zło niewiele lepsze od tego, co prezentowały sobą anioły i demony. Dlaczego...

Ktoś wymierzył mu siarczysty policzek. Uldyzjan ryknął wściekle i skupił znaczną część swojej mocy na owym łajdaku.

Uderzenie czystej energii trafiło Mendelna prosto w pierś, zanim Uldyzjan zdał sobie sprawę, kogo atakuje.

– Neeee! – przerażony z wysiłkiem próbował opanować swą moc. Mendeln zniknął mu z pola widzenia, co jeszcze bardziej poraziło jego brata. A jednak wciąż nie mógł nad sobą zapanować.

W zasięgu wzroku nie zostało ani źdźbło trawy. Prawdę powiedziawszy, jedynymi żywymi istotami byli edyremowie... i to nie wszyscy. Tu i ówdzie leżały ciała, zbyt dużo ciał.

Wiele z nich należało do dzieci.

Uldyzjan jednak nie miał czasu zająć się niewinnymi ofiarami Inariusza, bowiem najbardziej martwiła go ta należąca do niego. Odepchnął Rathmę i rzucił się do miejsca, w którym ostatni raz widział brata. Uderzył go z taką mocą, że Mendeln nie tylko mógł być martwy, ale i zmasakrowany nie do poznania.

Jednak twarz i ciało Mendelna były w doskonałym stanie, aczkolwiek młodszy z braci spoczywał w takiej pozycji, że Uldyzjan poczuł zimny dreszcz na ten widok. Ze szlochaniem przypadł do Mendelna. Leczył już ludzi bliskich śmierci, oby tylko miał szansę uczynić to ponownie.

Niebo przecięła błyskawica.

Mimo tragedii, jaka właśnie stała się jego udziałem, Uldyzjan odruchowo podniósł głowę. Stworzył grubą pokrywę z chmur, by osłonić edyremów przed słońcem Inariusza. Burza nie była częścią tego czaru.

Mimo to nadeszła.

Deszcz uderzył ze straszliwą siłą. Jakby ktoś u góry opróżnił wiadro z wodą, a wodzie tej nie było końca. Ulewa bezlitośnie przydusiła ludzi do ziemi. Nawet Uldyzjan poczuł jej nacisk, choć udało mu się stanąć.

Gdy się wyprostował, zobaczył ruch na północy. Początkowo myślał, że to fala równie potężna jak deszcz pędzi na niego i edyremów. Jednak po chwili zrozumiał, że widzi setki jeźdźców w powiewających szatach i błyszczących hełmach. Wywijali zakrzywionymi ostrzami i buławami, a ich dzikie okrzyki przetaczały się równiną niczym grom.

Inkwizytorzy – zbrojne ramię Katedry Światłości.

Jednak nie byli to zwyczajni rycerze. Uldyzjan bardziej wyczuł, niż dostrzegł tę różnicę. Zaniepokojony sięgnął mocą do nadciągającej kawalerii i zobaczył ją tak wyraźnie, jakby znalazł się tuż przed walącymi kopytami.

Niemal natychmiast pojął, co było w wojsku niepokojącego. Najmocniej widać to było po oczach – pozbawionych całkowicie źrenic. Pomiędzy powiekami płonął złoty ogień. Nieludzka moc wypełniała wszystkich wojowników.

Wystarczyło raz spojrzeć na ich wykrzywione wściekłością twarze, by zrozumieć, że niewiele w nich zostało z ludzi. Tylko kobieta w hełmie pędząca na przedzie i kilku wysokich rangą kapłanów wmieszanych między rycerzy wciąż jeszcze mieli ludzkie oczy. Reszta została całkowicie podporządkowana woli Inariusza.

Rathma stanął u boku Uldyzjana. Opończa Starożytnego była nieskazitelnie sucha mimo ulewnego deszczu. A jednak Rathma nie wyglądał wcale na bardziej zadowolonego niż całkowicie przemoczony Uldyzjan.

Kiedy się odezwał, jego słowa nie miały nic wspólnego z wściekłą szarżą inkwizytorów.

– Nie martw się o brata, udało mi się go osłonić, nim uderzyłeś.

Uldyzjan spojrział w dół. Mendeln jęknął. Powieki mu zatrzepotały. Tak jak powiedział Rathma, nic mu się nie stało... ale nie dzięki staraniom Uldyzjana. Starszy z braci był zbyt rozkojarzony, by to zauważyć.

Jednakże choć Uldyzjan czuł się nieskończenie winny z powodu Mendelna i swego niekontrolowanego wybuchu, to, co rozgrywało się przed jego oczami, wymagało natychmiastowej uwagi. Znów popatrzył na szarżujących inkwizytorów, mając nadzieję, że tak jak w wypadku Mendelna zmyliły go pozory.

Niestety nie pomylił się ani trochę odnośnie do rycerzy Proroka. Przerażający spektakl był dokładnie tym, czego obawiał się Uldyzjan.

– Posunął się dalej, niż przypuszczałem! – krzyknął Rathma. – Ale przynajmniej wiemy, dlaczego nie boi się przybycia niebiańskich zastępów.

– Co masz na myśli?

– Wyczułeś moc drzemiącą w tych omamionych głupcach, prawda? Musisz więc być w stanie wyczuć, skąd mój ojciec zaczerpnął jej w takich ilościach, bo jak widzisz, to więcej, niż on sam byłby w stanie wytrzymać!

Uldyzjan zwrócił się ku nadciągającej kawalerii. Zajrzał w głąb jednego z wojowników i natychmiast zrozumiał, co powinien zauważyć już na początku. Rathma miał rację. Sam anioł nie był taki silny.

Inarius czerpał, ile mógł z Kamienia Świata, a w obliczu tej mocy wszystko, czym dysponowali Uldyzjan i edyremowie, mogło okazać się niczym.

DZIEWIĘTNAŚCIE



Uldyzjan potrząsnął głową z nadzieją, że prawda okaże się tylko snem. A jednak inkwizytorzy pędzili ku edyremom, a moc, którą napęłniał ich anioł, wydawała się przelewać. To nie byli prości wojownicy – nie da się ich pokonać tak łatwo jak kedzan. Uldyzjan nie miał pewności, jak naprawdę potężni okażą się inkwizytorzy, ale niewątpliwie będą straszliwymi przeciwnikami.

Sięgnął myślami do pozostałych, przygotowując ich na nadchodzącą bitwę. Jednak nawet świadomi, że to nie ze zwykłymi śmiertelnikami przyjdzie im walczyć, edyremowie pozostali niezłomni. Ich odwaga podnosiła na duchu Uldyzjana, ale zarazem niepokoiła, wiedział bowiem, że wielu z nich polegnie.

Tymczasem Inarius nawet nie zniżył się do tego, by wziąć udział w starciu,

– Gdzie on jest? – warknął Uldyzjan do Rathmy.

– Wszędzie. Nie trzeba ci się niecierpliwić – odparł Starożytny. – Zmierzysz się z Inariusem dość szybko.

Edyremowie uformowali krąg. Nie mieli wyboru. Uldyzjan wolałby wprawdzie, żeby stanęli w linii, mając za plecami rezerwy, ale pamiętał o odkryciu Serentii. Demony niewątpliwie planowały zaatakować od tyłu,

podczas gdy edyremowie odpieraliby atak z przodu. Sam by tak zaplanował bitwę i Rathma się z nim zgodził. Musieli więc bronić się w kręgu.

Większość edyremów skupiła się na inkwizytorach, ale wystarczająco wielu stało skierowanych we wszystkich kierunkach, by w razie czego ostrzec pozostałych albo powiadomić, że są potrzebni gdzie indziej. Nie bacząc na to, iż pozycja ta sama w sobie nie była łatwa, Uldyzjan pilnował, by edyremowie nieustannie znajdowali się w ruchu... aż do tej chwili.

Serentia mocniej ujęła włóczę.

– Już nas prawie mają! – Bardziej niż inni rwała się do walki. – Daj znak, Uldyzjanie!

Ale on zwlekał, próbując odgadnąć, co jeszcze szykuje na nich Prorok. Niestety, widział jedynie pędzących inkwizytorów.

Nie miał wyboru. Dał edyremom sygnał do ataku.

Fala poczerńiałej ziemi wystrzeliła w górę, wysoko ponad atakujących. Prowadzeni przez Uldyzjana edyremowie zwalili ją na pierwsze szeregi konnych.

Ludzie i konie wydawali rozpaczliwe dźwięki, gdy pogrzebały ich tony kamieni i ziemi. Tylko kilku udało się uciec, między innymi kapłance prowadzącej atak. Jej wierzchowiec nie miał już tyle szczęścia, atak połamał mu wszystkie nogi.

Jednak kolejne szeregi rycerzy nawet nie zwolniły. Konie przeskakiwały nad zamaskowanymi ciałami poległych. Najwyraźniej inkwizytorzy pragnęli tylko przelewać krew edyremów.

Co gorsza, z rozległego cmentarzyska, jakie stworzyli edyremowie, wygrzebywali się rycerze Proroka. Powinni byli zginąć powaleni zaklęciem, lecz wielu przetrwało dzięki mocy, którą obdarzył ich Inarius. Pozbawieni wierzchowców chwyтали wszelką broń, jaką znaleźli w zasięgu rąk, i biegiem ruszali za konnicą, wrzaskami obiecując śmierć przeciwnikom.

Już tylko kilka kroków dzieliło obie strony. Uldyzjanowi pozostał czas na jedno uderzenie. Choć z nieba wciąż lały się strugi, edyremowie stworzyli własną burzę, deszcz kul ognistych posypał się na głowy inkwizytorów.

Tym razem atak był bardziej skuteczny. Niektórzy jeźdźcy zostali zdmuchnięci z siodeł. Wielu zmieniło się w kule ognia, płonące wściekle ciała padały na zaskoczonych towarzyszy. Nie było wątpliwości co do losu tych trafionych ogniem edyremów – niewiele z nich zostało.

Ale choć pierwszy atak edyremów okazał się skuteczny, kolejne czyniły niewielkie szkody. Nagle inkwizytorzy byli w stanie się osłonić. Kule ognia rozбивały się o ich napierśniki, nie czyniąc żadnej krzywdy. Żołnierze Katedry nawet nie zwalniali.

Kilka chwil później wpadli między edyremów.

Uldyzjan przygotował swych ludzi do walki, ale pierwsze minuty starcia okazały się dla nich trudne. Atak edyremów nie zakończył się sukcesem, co znacznie osłabiło w nich ducha. Wojownikom Katedry udało się przerwać krąg przeciwnika. Cała formacja załamałaby się bezpowrotnie, gdyby nie Serentia i Jonas, których rozkazy pozwoliły edyremom zewrzeć szeregi.

Zakrzywione miecze i buławy zwały się ze szczękiem z najróżniejszą zdobyczną bronią edyremów i przysposobionymi do walki narzędziami farmerskimi. Jednak walka w żadnym razie nie była konwencjonalna.

Obie strony używały w starciu swej mocy. Wojownicy Proroka, często poruszając się z nieludzką wręcz zgodnością, bezlitośnie napierali na edyremów. Ostrza ścierały się w wybuchach magicznej energii.

Ale edyremowie nie byli bezbronni. Niejeden inkwizytor unosił się nagle w powietrze i szybował ponad polem walki. Inni padali pod gradem magicznych pocisków skuteczniejszych od kul ognia, które edyremowie ciskali z powietrza. Ziemia i niebo stały się miejscem bitwy, którą Uldyzjan nazywał już Bitwą Złotego Traktu.

Miejscem, gdzie edyremowie staną do walki po raz ostatni.

Konie kwiczały ranione srebrnymi strzałami, które sypały się na oddziały inkwizytorów. Jednak nawet ci pozbawieni wierzchowców nie przestawali nacierać, waląc lśniącymi buławami w niewidzialne tarcze edyremów. Wprawdzie tarcze wytrzymały w większości wypadków, ale czysty fanatyzm i wściekła zajadłość inkwizytorów przerażały nawet najodporniejszych.

Uldyzjan zrozumiał, że znaleźli się w impasie. Przynajmniej na razie. Nie miał jednak wątpliwości, że ów impas oznaczał w ostateczności zwycięstwo Inariusza. Im dłużej trwały bezowocne wysiłki edyremów, tym mniej mieli siły. W przeciwieństwie do inkwizytorów, którzy czerpali siłę od swego potężnego pana, edyremowie mieli tylko moc, która była w nich samych.

Uldyzjan ani na chwilę nie przestał walczyć. Wojownik, który chciał buławą roztrzaskać czaszkę przywódcy edyremów, natychmiast stracił swą broń. Uldyzjan cisnął buławą w pierś tamtego. Napierśnik, ciało i kości nawet nie spowolniły broni. Wystrzeliła z pleców inkwizytora ułamek sekundy później. Uldyzjan nie miał ani cienia współczucia dla swych przeciwników. Zbyt wielu niewinnych pomordowali w swym fanatycznym oddaniu Prorokowi.

Potężny wir powietrza, niewątpliwie magiczny, popędził przez szeregi edyremów, próbując oderwać walczących od ziemi. Uldyzjan natychmiast zauważył kapłanów, którzy przywołali tę katastrofę. Zanim jednak zdążył cokolwiek uczynić, nieoczekiwanie pojawiła się między nimi Serentia. Przebiła włócznią dwóch kapłanów, kopnęła w pierś, posyłając daleko w szeregi nacierających inkwizytorów.

Uldyzjan zaklął wściekły, że dziewczyna podejmuje takie ryzyko. Odwrócił się w jej stronę i klasnął.

Stworzony przez niego dźwięk przeorał ścieżkę wśród inkwizytorów, wywracając ich, jakby byli z papieru. Uldyzjan skoczył ku przyjaciółce, niemal unosząc się nad ziemią.

Pochwycił dwóch zbliżających się wojowników za karki. Jego wściekłość sprawiła, że obaj dosłownie eksplodowali mu w rękach. Podniósł dłoń i przywołał czarny miecz obosieczny uformowany z popiołu, w jaki zmieniała się śmiercionośna trawa. I tą klingą kosił przeciwników, aż wreszcie dotarł do Serentii.

Dziewczyna właśnie zabiła trzeciego kapłana, całkowicie nieświadoma, jak bliska była śmierci z rąk inkwizytorów. Popatrzyła na Uldyzjana – jej twarz była niemal równie przerażająca jak oblicza fanatyków, wypełnionych magiczną siłą.

Zrozumiał natychmiast.

– Serri! Wracaj do reszty!

– Nic mi nie jest! Nie martw się o mnie!

– Serri! Achilios może wrócić! Chcesz zginąć i nigdy się nie dowiedzieć?!

Nie zdążyła mu odpowiedzieć. Straszliwe uderzenie wstrząsnęło ziemią. Ludzie przewracali się wokół.

Kolejne uderzenie. Uldyzjan poczuł nagły chłód.

I dotarło do niego, że już nie pada. A przynajmniej nie jest to woda.

Z nieba spadały wielkie kawały lodu. Niektóre wielkości sporego wozu. Uldyzjan spojrział w górę i zrozumiał, że deszcz ciągle pada, ale w połowie drogi na ziemię krople zbijają się w gigantyczne bryły lodu, które teraz zagrażają im wszystkim.

Po raz kolejny Inarius wykorzystał dzieło Uldyzjana i obrócił je podstępnie w przeklętą broń przeciwko jego ludziom. To, że ginęli od niej i jego akolici, nie miało znaczenia tak długo, jak tylko anioł miał szanse wybić buntowników.

Monstrualne bryły lodu dokonały tego, czego nie zdołali inkwizytorzy – przerwały krąg edyremów. Zbyt wielu z nich nie było w stanie oprzeć się tak potężnemu zagrożeniu. Uciekali, przerażeni, że czeka ich los rozgniecionych insektów.

Wojownicy Katedry wykorzystali tę przewagę natychmiast, nie bacząc albo nie wiedząc, że lód im zagraża. Niejeden z edyremów poległ ze świetlistym ostrzem w plecach albo czaszką rozszczepioną buławą. To, że pewna liczba inkwizytorów poległa od magii Inarius, w żaden sposób nie powstrzymało straszliwego żniwa.

Rozwścieczony Uldyzjan odesłał czarny miecz, pochwycił Serentię za nadgarstek i wrócił z nią do edyremów. Natychmiast sięgnął do tych najbliższych, dodając otuchy i żądając pomocy. Większość posłuchała. Miał nadzieję, że to wystarczy do zrealizowania jego zamiaru.

– Skup się ze mną, Serri! – wrzasnął jej w twarz. Z oporem skinęła głową. I w tej samej chwili ich umysły stały się jednym, a inni, których dosięgnął, dodawali siły połączonej woli.

Okrył ich rozległy cień. Uldyzjan nie musiał patrzeć w górę, by wiedzieć, jak mało zostało mu czasu.

– *Bądźcie ze mną* – poprosił raz jeszcze.

Cień się pogłębił. Uldyzjan wyczuł gigantyczny blok lodu nad swoją głową.

Zacisnął zęby i wyrzucił ramiona w górę.

Eksplozja strzaskała blok lodu. Jednak odłamki nie spadły na ziemię, ale śmigały przez powietrze, zmierzając do celu. Uderzyły w pozostałe lodowe bloki – nawet te, które dopiero się tworzyły – i wszystkie roztrzaskały.

Uldyzjan, z zaciśniętymi z wysiłku powiekami i bijącym szybko sercem, wyobraził sobie scenę nad głową. Widział o wiele dokładniej, niż gdyby użył oczu śmiertelnika, gdzie powinien uderzyć każdy z fragmentów, by położyć kres rzezi edyremów.

I kiedy wreszcie wyglądało na to, że Inarius nie jest w stanie zwiększyć tempa czynionych wysiłków, Uldyzjan pochwycił myślą tysiące tysięcy ostrych odłamków i cisnął nimi w niezliczone szeregi inkwizytorów. Użył całej swej siły, by pokonać moc dającą sługom Proroka niemalże niezniszczalność.

Podobne igłom odłamki poszybowały ku ziemi ze świstem. Inkwizytorzy, którzy unieśli głowy, zobaczyli nadciągającą śmierć. Próbowali użyć mocy, by ochronić się przed lodowymi pociskami... ale nie zdołali zatrzymać choćby jednego.

Odłamki przebijały zbroje, skórę i kości. Wpadały w oczy i usta. W ciągu zaledwie kilku sekund ciała wojowników Proroka najeżyły się lodowymi szpilami.

Krzyki przybrały na sile i szybko całkiem ucichły. Atak był tak błyskawiczny, że przez jedno uderzenie serca połowa inkwizytorów trzymała się jeszcze na własnych nogach. Zalani krwią, o twarzach poharatanych i nagle pozbawionych wyrazu, stali...

A potem jak jeden mąż, niczym szmaciane lalki, upadli.

Z niezliczonych szeregów, jakie wysłał Inarius, przetrwali tylko ci, którzy znaleźli się między edyremami. Ale i ich szybko spotkał koniec z rąk ludzi Uldyzjana, którzy z furią pomścili swych poległych.

Wstrząśnięty do głębi Uldyzjan natychmiast spróbował powstrzymać egzekucje. Udało mu się, lecz nie od razu, wielu jeszcze inkwizytorów padło z rąk edyremów. Resztę otoczono, choć nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, co z nimi począć.

Przywódca edyremów chwiejnym krokiem szedł wśród poległych, próbując przewidzieć kolejny ruch Inariusza. I natknął się na ciało siwowłosej kapłanki, którą zauważył na początku szarży. W przeciwieństwie do pozostałych, nie została przebita ani jednym odłamkiem, a jednak była martwa. Jej szeroko otwarte oczy wpatrywały się w Uldyzjana niemal oskarżycielsko.

– Mistrzu Uldyzjanie?

Jonas podszedł nieśmiało do swego przywódcy.

Prawą stroną jego twarzy przecinało kilka czerwonych linii, ale poza tym był cały.

– Jonasiu! Widziałeś, jak zginęła ta tutaj?

Edyrem zerknął na kapłankę.

– Nie. A ważna była?

Uldyzjan zastanowił się przez moment i pokręcił przecząco głową.

– Już nie.

Jonas przyjrzał się swemu dowódcy.

– Mistrzu! Wyglądacie na wykończonego do cna! Oprzyjcie się na mnie...

Ta propozycja była niewątpliwie kusząca, ale Uldyzjan nie mógł teraz okazać słabości. Nawet jeśli udało im się wywalczyć chwilę spokoju, to nie będzie ona trwała długo. Gestem zbył propozycję partanina.

– Nie ma potrzeby.

– Jak sobie życzysz, mistrzu – odparł szybko Jonas, po czym ukłoniwszy się, zaczął się wycofywać. – Zobaczę, jak się mają inni.

Uldyzjan niemal natychmiast wyczuł, że ktoś zbliża się z drugiej strony. Odwrócił się i zobaczył swego brata.

– No i?

Mendeln wiedział, czego dotyczy pytanie.

– Wielu poległych. Wielu. Gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym, że blisko ćwierć naszych.

– Blisko ćwierć...

Tyle istnień. Co gorsza, choć Katedra odniosła daleko większe straty, to nie znaczyły one nic dla ich prawdziwego wroga. Inarius z pewnością nie zmartwił się śmiercią swoich sług, nic bowiem dla niego nie znaczyli.

Ta myśl podsyciła ponownie gniew Uldyzjana.

Mendeln natychmiast złapał brata za ramię.

– Uldyzjanie, nie pozwól, by to znowu ci się przytrafiło! Za każdym razem, gdy dopuszczasz do głosu te emocje, ryzykujesz, że utracisz panowanie nad mocą. Pomyśl tylko! Czy to nie przysłuży się Inariusowi?

Mendeln miał rację, ale Uldyzjan wciąż miał przed oczyma poległych. Nawet ta kobieta u jego stóp, która niewątpliwie należała do najwyższych

rangą akolitów Proroka, była ofiarą jego szaleństwa.

– Uldyzjanie... posłuchaj...

Ale starszy brat nie zwracał już uwagi na słowa Mendelna, bo to, co właśnie zauważył na ciele kapłanki, ścięło mu krew w żyłach. Pochylił się, by przyjrzeć się jej twarzy. Z wahaniem obrócił głowę kobiety.

– Mendelnie, spójrz tylko.

– Na smoka! – wyrwało się młodszemu z braci, gdy się pochylił.

Obok ucha kałanki znajdowały się dwie czarne plamy. Ich pochodzenie było oczywiste.

– Malik! – szepnął Mendeln. – Był między nami!

– Nie zauważyłeś go?

– Muszę być w pobliżu – Mendeln pokręcił głową. – A nawet wtedy to trwa chwilę. Malik...

– Inarius zawsze ma w zanadrzu następną sztuczkę. – Uldyzjan po raz kolejny zbadał ciało, szukając przyczyny śmierci. Bardzo, bardzo chciał znaleźć jakąkolwiek ranę, może pęknięcie z tyłu głowy. Cokolwiek.

Ale niczego nie znalazł.

Rozejrzał się. Najbliżsi z edyremów znajdowali się kawałek dalej.

– Nie możemy się z tym teraz borykać! Nie jestem w stanie skoncentrować się na nim i Inariusie...

– Malik to mój błąd – syknął Mendeln. Przymrużone oczy pełne miał wstrętu dla samego siebie. – To moje przekleństwo. Przez moją lekkomyślność duch tak straszny jak niejeden demon wy dostał się znowu na świat. – Wyprostował się. – Ja się z nim rozprawię. Ty skup się na Inariusie.

Obaj wiedzieli, że zbliża się zagrożenie o wiele poważniejsze, jednak Inarius był problemem bieżącym. Jeśli mu ulegną, reszta nie będzie miała znaczenia.

Jednak Uldyzjan nie mógł przestać myśleć o ich najnowszych trudnościach i po chwili znalazł odpowiedź.

– Był tu. Był tu obok.

– Kto?

– Jonas. – Teraz Uldyzjan był pewien, że w zachowaniu partanina było coś dziwnego. – Tak... to Jonas, niech to szlag!

To wszystko, czego najwyraźniej potrzebował Mendeln. Kościany sztylet miał już w dłoni. Ostrze lśniło śmiertelnym światłem.

– Znajdę go. Tym razem mi nie ucieknie.

Żaden z nich nie zaproponował, by powiadomić pozostałych o monstrum w ich szeregach. Jeśli edyremowie w panice rzucają się jeden na drugiego, przekonani, że Malik za chwilę może przejąć ciało każdego, to będzie ich koniec. Arcykapłan był niewidoczny dla zmysłów, zapewne za sprawą Inariusza. A to znaczyło, że nikt z pozostałych – może poza Mendelnem – też nie zdoła wyczuć ducha.

Co gorsza, Malik mógł już wcale nie mieć twarzy Jonasa.

Uldyzjan doszedł do wniosku, że nie może tak myśleć. Musi zaufać Mendelnowi. Mendeln go nie zawiedzie.

Nagle obok przywódcy edyremów pojawił się Rathma. Wiele o nastawieniu Uldyzjana mówiło to, że nawet nie zdumiał się nagłym przybyciem Starożytnego. Takie rzeczy były już dla byłego farmera codziennością.

– Mam pomysł – oznajmił Rathma.

– To nigdy nie wróży nic dobrego. Jakiż to?

Starożytny przechylił głowę.

– Ten akurat stwarza nieco większe nadzieje... a przynajmniej tak sądzę.

– Ma takie same szanse powodzenia jak wizyta u twego ojca? – w głosie Uldyzjana zadźwięczał sarkazm.

– Większe. – Rathma ściągnął usta. – Ale niewiele większe.

Uldyzjana o wiele bardziej obchodziło, co knuł Inarius. Spojrzał ku północy, ale tam widział jedynie majestatyczny budynek Katedry. Coś jednak niewątpliwie się szykowało. Inarius nie mógł pozostać bezczynny.

– Tym razem nie będziemy mogli ci pomóc.

Rathma ciaśniej owinał się opończą. Na jego nieludzkiej twarzy nie malowały się żadne emocje.

– Nie oczekuję pomocy. Ale próbę podjąć należy.

Najwyraźniej nie było sposobu, by odwieźć Rathmę od zrobienia tego, co uznał za słuszne. Uldyzjan chciał jednak wiedzieć, co takiego Starożytny miał za tak ważne, by opuścić edyremów w trudnej sytuacji.

– Powiedz mi po prostu, co chcesz osiągnąć. Dokąd udajesz się tym razem?

Rathma nadal miał twarz doskonale nieruchomą.

– Zamierzam zdobyć nam wszelką pomoc, jaką zdołam. Zwołuję zebranie rodzinne...

Mendeln ruszył między edyremów. Niewątpliwie wyglądał dla nich, jakby sama śmierć przybyła zebrać krwawe żniwo. Nawet najzdolniejsi z uczniów Uldyzjana odwracali się, gdy mijał ich jego brat. Tylko jedna z uczennic Mendelna zwróciła się do niego, ale natychmiast powiedział jej, że pochłania go zadanie wymagające odosobnienia.

Z konieczności od czasu do czasu pytał mijanych edyremów o partanina. Większość odpowiadała przecząco, ale wreszcie trafił na dwóch, którzy skierowali go tam, gdzie widzieli Jonasa. Mendeln nie był przekonany, że tam znajdzie swój cel, ale i tak żywo pospieszył we wskazanym kierunku. Innego śladu nie miał.

Wciąż trzymał sztylet przed sobą, ale ostrze w żaden sposób nie wskazywało, że gdzieś w pobliżu znajdował się upiorny cień. Mendeln oglądał każdego, kogo mijał, sprawdzając, czy nie trafił może na najnowszego gospodarza Malika.

Ataki Inariusza zostawiły ślad na okolicznych łąkach. Wielkie kawały lodu zryły całe wzgórza i choć same już się roztopiały, tworzyły tylko więcej przeszkód i więcej kryjówek.

Ale gdy Mendeln zbliżył się do jednego szczególnie poszarpanego wzgórza, jego bystre oczy wychwyciły coś bladego, co wyglądało zza piachu i kamieni. W tym samym momencie wyczuł plugawą obecność Malika.

Gotów rzucić zaklęcie w każdej chwili, Mendeln zbliżył się ostrożnie. Wolną dłonią odgarnął nieco ziemi.

Spod piachu wychynął biały łokieć pokryty bliznami. To rzeczywiście było ciało, ale nie miało na sobie odzieży Jonasa. Jako że wśród edyremów nie było jasnoskórych kedżan, ciało z pewnością należało do któregoś z partan. Przestał się nim zajmować, albowiem Malik niewątpliwie był blisko.

Mendeln chętnie zapytałby o to duchów, ale od chwili wejścia na trawiastą równinę wszystkie duchy zniknęły bez śladu. Nawet te zmarłych w bitwie nie przybyły do Mendelna, jak to zwykle bywało. Jakby obawiały się zbliżyć do pola bitwy. Ten nagły brak towarzystwa strasznie irytował Mendelna. Teraz bardziej niż kiedykolwiek chciałby móc skorzystać z ich oczu i wiedzy.

Na północy rozbrzmiało coś, co brzmiało – choć to niemożliwe – jak wspaniały chór. Nad jego głową zapłonęło światło, odbite tysiącami refleksów w bryłach lodu. Światło opromieniło wszystko, poza pograżonym w cieniu pobojowiskiem.

Mendeln zamarł. Wiedział, co oznaczały te dziwne zjawiska.

Inarius wreszcie ruszył do boju.

Na moment Mendeln zapomniał o Maliku – myślał jedynie o Uldyzjanie i aniele. Chciał rzucić się bratu na pomoc, choć wiedział, że Serentia i Rathma będą go wspierać. Przysiągł sobie, że kiedy Prorok się pojawi, to on, Mendeln, też stanie do walki z nim.

Ale Malika nie można było ignorować.

Sztylet zapłonął.

Mendeln zaczął się obracać.

Tylko dzięki temu uderzenie nie rozszczepiło mu czaszki. I tak kamień zaciśnięty w dłoni Malika wypełnił głowę Mendelna bólem i ten osunął się na ziemię.

Choć zaćmiło mu wzrok, zdołał rozpoznać chytrą twarz Jonasa. Dokładnie taki uśmiech zapamiętał Mendeln ze spotkania z Malikiem.

– Prostackie, acz skuteczne – podsumował duch, prezentując kamień. – Nie ośmieliłem się użyć żadnego innego czaru poza maskującym. Chcieliśmy, żebyś zauważył nas tylko trochę, nie więcej...

My. Czyli Inarius zaplanował to wraz z plugawym cieniem.

– Wy... – Głowa Mendelna pulsowała cierpieniem. – Ta chwila to...

– Ta chwila została dokładnie zaplanowana, jeśli o to ci chodzi! – Jonas-Malik odrzucił kamień i sięgnął po sztylet Mendelna. – To powinno pomóc. – Sięgnął do sakiewki przy pasie i wyjął z niej szkarłatny kryształ. – Mając oba, nie będę miał najmniejszych problemów, by zabrać ci ciało.

Mendeln w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, po co duchowi ciało tak poważnie ranne, aż wreszcie dotarło doń, że jego rana nie zagrażała życiu. Został ogłuszony, a to nie będzie miało żadnego wpływu na ducha.

A dlaczego w ogóle Malik chciał ciała Mendelna – to było oczywiste. Mendeln ul-Diomed stanie przy boku brata i wtedy jednym dotknięciem skradnie ciało Uldyzjana, a jego samego zabije.

I tak, nie ruszywszy nawet palcem, Prorok pokona swego największego wroga.

Mendeln próbował zebrać myśli, żeby rzucić czar, ale zrozumiał, że uderzenie w głowę zostało starannie zaplanowane. Malik nie zamierzał uderzyć nigdzie indziej, a Mendeln jeszcze mu pomógł, obracając się we właściwym momencie. Lepiej, żeby stał odwrócony plecami do potwora, bo wtedy Malik byłby go może zabił.

Tak naprawdę taki obrót wydarzeń był raczej wątpliwy. Malik nie był tak nieuważny. Chciał ciała Uldyzjana, a jedyna do niego droga prowadziła przez Mendelna.

– Ww-wykorzystują cię! – wykrztusił Mendeln. – Inarius... anioły...

Malik uśmiechnął się szeroko.

– Przekonają się, że los Sanktuarium jest poza ich zasięgiem.

Nagle Mendeln przypomniał sobie, co odkryła Serentia. Armie demonów gotową do ataku. Ale to już nie byli sojusznicy Inariusia. Przygotowali się do walki o Sanktuarium i ludzi tego świata, szczególnie edyremów, z zastępami Tyraela.

A arcykapłan zamierzał na tym skorzystać, zakładając, być może pochopnie, że zwycięstwo będzie po stronie Płonących Piekieł. Mendeln chciał wytknąć duchowi, grającemu wyraźnie na dwie strony, jak bardzo ryzykuje, ale zmilczał. Ważniejsze od podstępów Malika było to, że Mendeln odzyskał jasność myśli. Słowa, których szukał, napłynęły. Wypowiedział pierwsze...

Malik trzymał karmazynowy kamień przed oczyma Mendelna, ten zaś nie mógł zrobić nic innego, jak tylko patrzeć w kryształ.

– Twój wzrok nie może uciec – naśmiewał się duch, pochylając bliżej. – Twój umysł może już tylko mnie słuchać.

Mendeln chciał zaprotestować, ale nie mógł. Ostatnią jego własną myślą była gorzka konkluzja, że nie może spodziewać się pomocy od nikogo, bo wszyscy skupili się na Inariusie.

Malik uniósł sztylet. Nie zamierzał pchnąć swej ofiary, ale wykorzystać magię klingi przeciwko jej właścicielowi.

– Tak blisko – słowa cienia odbiły się echem w otumanionym umyśle Mendelna. – Już wkrótce...

Nagle hipnotyzujący kamień zniknął z pola widzenia Mendelna. Młodzieniec zamrugnął. Miał wrażenie, że umysł i ciało zostały rozłączone, ale uszy najwyraźniej działały jak należy, bo słyszał odgłosy walki. Skupił się na odzyskaniu wzroku...

Zobaczył Jonasa, nie, Malika szarpiącego się z kimś, kto złapał go od tyłu za nadgarstek. Ręka ze sztyletem została uniesiona do góry i teraz obaj

walczyli o kontrolę nad bronią. Po kryształach nie było śladu.

Ale dla Mendelna najważniejsze było, kto przyszedł mu z pomocą.

Bo w ogóle nie spodziewał się go zobaczyć.

Achilios.

DWADZIEŚCIA



Niewidzialny chór był pierwszą zapowiedzią jego nadejścia. Idealne głosy wyśpiewywały uwielbienie bez słów – jak się wydawało, dobiegały z każdej strony. Chór był wspaniały, ale i okropny zarazem. Pieśń bowiem poruszyła serce Uldyzjana, ale też przypomniała mu o zbliżającym się Proroku.

I rzeczywiście – ledwie edyremowie otrząsnęli się po występie niewidocznych śpiewaków, nad Katedrą pojawiła się łuna oślepiającego światła. Wypaliła pokrywę chmur nad przybytkiem. Światło oślepiało, jednak żaden z edyremów, który w nie spojrział, nie odwrócił głowy.

I nagle w tym świetle nad głowami zdumionych buntowników pojawił się Prorok w lśniącym diamentowo rydwanie, ciągniętym przez dwa skrzydlate konie. Cudownie piękny młodzik odziany był jak do bitwy. Jego zbroja połyskiwała, a zdobiony klejnotami miecz u boku wydawał się ostry na tyle, by rozciąć samo powietrze.

Prorok zatrzymał swój rydwan kilka stóp nad ziemią i przebiegł wzrokiem po edyremach.

– Moje zbłąkane dzieci... – uśmiechnął się smutno – poprowadzone na manowce zapewne przez demony...

Za plecami Uldyzjana rozległ się szloch. Przywódca edyremów szybko dotknął ich umysłów uspokajająco.

Inarius wysiadł z rydwanu, który rozwiązał się powoli. Zszedł na ziemię, jakby zstępował po nieistniejących schodach. Światło za jego plecami przybrało na sile.

– Niechaj ci, którzy pragną mego przebaczenia, padną na kolana! – rozkazał.

Świadom tego, że każde słowo, jakie wymawiał anioł, miało moc wymuszania posłuszeństwa, Uldyzjan ryknął w myślach.

– *Stójcie!*

Nie miał pewności, czy edyremowie go posłuchali, ale mina Inariusza wyrażała coraz większe rozczarowanie.

– Tylu zatwardziałych niedowiarków... zbyt wielu niewiernych. – Prorok złożył dłonie i pokręcił głową. – Zbyt wielu niewiernych. Świat musi zostać oczyszczony.

Rozłożył ręce, a rozpalona do białości moc przetoczyła się po szeregach edyremów.

– Mendelnie! – krzyknął Achilios. – Musisz... go... powstrzymać!

Młodszy ul-Diomed próbował wstać, lecz ciało nie chciało go słuchać. Uderzenie w głowę zostało wzmocnione magią, teraz już był tego pewien. Rozbiegane myśli i nieustępująca słabość nie mogły być dziełem przypadku.

Przy wtórze gardłowego warknięcia Malik wyrwał rękę z kryształem z uścisku Achiliosa i natychmiast przycisnął rozpostartą dłoń do boku łuczника.

Mendeln, świadom, jaki to może mieć skutek, gwałtownie wciągnął powietrze. Dźwignął się chwiejnie, zbyt późno jednak, by powstrzymać arcykapłana.

Malik i Achilios stali przez moment nieruchomo, wpatrując się w siebie nawzajem.

– Niemożliwe! – eksplodował wściekłością i zdumieniem Malik. – Nie mogę cię opętać! Nie mogę uczynić twego życia moim!

– Twój pan... Lucion... już to uczynił – mruknął Achilles. – Nie mam... już życia... byś mi je ukradł... łajdaku!

– Pozbędę się więc ciebie w inny sposób!

Mendeln zdołał rzucić się na Malika i Achiliosa. Zderzył się z plecami Malika akurat, gdy tamten wypowiedział kilka słów, które rozpały karmazynowy kryształ jasnym blaskiem. Achilles padł na plecy jak uderzony błyskawicą. Zdołał jednak przy tym wyrwać sztylet z ręki Malika. Mendeln i arcykapłan, spleceni w śmiertelnym uścisku, potoczyli się po zboczu usypanym przez lodową bryłę.

Mendeln poczuł, jak silna dłoń chwyta go za gardło. Malik zacisnął palce.

Młodzieniec zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Sypnął ziemią w twarz przeciwnika.

Arcykapłan zakasłał, gdy ziemia dostała mu się do ust i do nosa. Niestety ani na chwilę nie zwolnił uścisku.

Ale Mendeln i tak zdołał odzyskać bystrość umysłu. Plugawy cień pozbawił go głosu, więc Mendeln skoncentrował się na jedynej rzeczy, która mogła mu się teraz przydać. Już robił to wcześniej. Jeśli tylko i tym razem się uda...

Kościany sztylet zmaterializował się w jego dłoni.

Mendeln wbił nóż w ciało niegdyś należące do Jonasa, modląc się, by cios okazał się śmiertelny. Niestety Malik spróbował zablokować uderzenie, przez co i klinga weszła niżej. Rana być może sprawiła ból arcykapłanowi, ale z pewnością nie mogła go unicestwić.

A jednak duch zawył jak oszalały, gdy tylko ostrze dotknęło ciała. Wrzeszczał tak potwornie, że Mendeln musiał wypuścić nóż i zasłonić uszy. Z jamy, która kiedyś była ustami Jonasa, niczym huragan uderzył w młodzieńca potworny powiew.

Choć nóż ciągle tkwił w jego ciele, Malik zdołał wstać. Nie ucichł jednak ani na chwilę. Twarz Jonasa stała się nierozpoznawalna, oczy wyłaziły z czaszki, usta stały się dziurą wielką na tyle, by zniknęło w niej małe dziecko, i wciąż rosły.

Wytrzeszczone karykaturalnie ślepią łypały z wściekłością na kościany sztylet. Z rany kapała na wpół ścięta krew. Mendeln nadal był przekonany, że rana nie mogła być śmiertelna. Wreszcie zrozumiał. Sam sztylet był przekleństwem dla upiornego cienia. Magia ostrza powoli i nieustannie pochłaniała ducha.

Malik też to zrozumiał. Pochwycił nóż jedną ręką i desperacko próbował go wyrwać. Obawiając się, że arcykapłanowi może się to udać, Mendeln ponownie rzucił się na Malika. Uderzył barkiem tuż poniżej przepony i obiema rękami nakrył dłoń Malika, próbując utrzymać nóż w jego ciele. Wycie wciąż świdrowało mu w uszach. Był pewien, że jeśli uda mu się utrzymać sztylet jeszcze przez chwilę...

Głowa Malika odchyliła się do tyłu poza wszelkie ludzkie granice. Trzasnęły kości i dźwięk ten niemal przyprawił Mendelna o torsje. Upiorny kapłan wrzeszczał jak opętany.

Nagle gęsta czarna substancja wylała się z ust Malika. Wystrzeliła wysoko w powietrze, wylewając się z tego, co kiedyś było Jonaszem, niczym gejzer smoły. Potworny smród kojarzył się Mendelnowi z gnijącym mięsem i zarazem z rozkładającą się roślinnością.

Ostatnie jego krople opuściły ciało Jonasa, które zachwiało się i niczym arkusz pergaminu łagodnie osunęło w ramiona Mendelna.

Finalny krzyk zabrzmiał rozdzierająco ponad głową młodzieńca. Ucichł, gdy czarna smoła unosząca się w powietrzu rozwiała się jak dym.

Ale wysiłek ten okazał się ponad możliwości Mendelna. Rana głowy pulsowała otępiającym bólem, szarpnęły nim torsje. Nawet waga wyniszczonego ciała okazała się zbyt duża. Mendeln upadł na plecy, a wysuszony zewłok spoczął na nim.

Jednak młodzieniec już tego nie zauważył. Stracił przytomność, jeszcze zanim uderzył w ziemię.

Prorok rozłożył ręce, a edyremowie rozsypali się niczym liście na wietrze. Nawet Uldyzjan niemal się przewrócił, ale zdołał wbić nogi w spaloną ziemię i przeciwstawić się przerażającemu czarowi anioła.

Kiedy walczył z zaklęciem, ogromnym wysiłkiem woli utrzymywał więź z każdym ze swoich ludzi, próbując dodać im otuchy i poprowadzić do bitwy. Dzięki niemu odzyskali stracone pole i sami stali się wsparciem dla swego przywódcy.

Uldyzjan zacisnął zęby i wyrzucił przed siebie ramię. Skupił się na Proroku.

Wiatr ustał natychmiast, ale nie dlatego, że anioł zaprzestał ataku. To Uldyzjan stworzył ścianę z powietrza, która sięgnęła granic spalonej ziemi i osłoniła wszystkich stojących po jej drugiej stronie. Moc Proroka uderzała w twój Uldyzjana z taką siłą, że przywódca edyremów z wysiłku napiął wszystkie mięśnie. Utrzymał ścianę.

Nagle wyczuł niewielką zmianę po stronie Inariususa. Huraganowy wiatr osłabł i ucichł. Zupełnie, jakby wydarzyło się coś na tyle ważnego, żeby rozproszyć uwagę anioła.

Uldyzjan nie miał pojęcia, co to mogło być, ale natychmiast wykorzystał nieoczekiwaną przewagę. Pchnął niewidzialną ścianę prosto w Proroka, używając całej swej siły i woli wspierających go edyremów.

Teren wokół złotowłosego młodzika eksplodował. Ziemia i kamienie poleciały w powietrze. Popiół pozostały z traw na chwilę przesłonił niebo nad głową Proroka.

Wybuch zerwał Inariusowi hełm z głowy. Anioł cofnął się o krok... i to wszystko. Popatrzył na Uldyzjana przez kurtynę spadającej ziemi. Wyglądał na nietkniętego, ale zmienił się wyraz jego pięknej twarzy. Teraz spoglądał tak zimno, że Uldyzjan się wzdrygnął.

– Co za czelność! – ryknął głosem wzmocnionym magią. – I co za głupota! Wynosisz się na takie poziomy?! Ty, który znaczysz mniej od robaka ryjącego w ziemi?! Ofiarowałem ci odpuszczenie grzechów raz za razem, ale ty, Uldyzjanie ul-Diomedzie, pozostajesz najbardziej zatwardziałym z niewiernych, najbardziej aroganckim z heretyków! – Jego oczy zalśniły, już nawet nie przypominały ludzkich. Teraz były płonącymi oczyma anioła. – Nie ma dla ciebie innego przeznaczenia niż śmierć.

Ziemia zapłonęła białym ogniem. Uldyzjan krzyczał, gdy święte płomienie trawiły jego ciało. Czuł przerażenie zaatakowanych wraz z nim edyremów.

– Oczyszczę mój świat! – kontynuował Inarius. – Znow uczynię go doskonałym!

Krzyki cierpienia wypełniły uszy Uldyzjana. Wszyscy mieli spłonąć żywcem, ponieważ on nie docenił ogromu furii, jaka drzemała w Proroku.

– *Nie.*

Wizja rzezi tych, którzy po prostu uwierzyli w słowa Uldyzjana, wstrząsnęła nim do głębi. Nie mógł pozwolić im cierpieć za swoje grzechy. Lepiej przejmie ich karę, weźmie na swoje barki, bowiem on jeden na nią zasłużył.

Wyobraziwszy sobie białe płomienie, Uldyzjan skłonił je, by pochłonęły jedynie jego. Pozwolił, by monstrualna kara, którą Prorok kazał płacić im wszystkim, spadła jedynie na niego. Ból był okrutny. Uldyzjan miał wrażenie, że jego skóra się roztapia, ale nie ustępował i wciąż przyzywał płomienie ku sobie.

I wtedy stała się rzecz dziwna. Edyremowie dostrzegli, co planuje Uldyzjan, że chce ich ocalić, poświęcając siebie samego. Serentia zrozumiała pierwsza. I zamiast pozwolić dopełnić się losowi, użyła wszystkich swych umiejętności, by stłumić magiczny ogień. Dołączyli do niej następni i coraz to kolejni, aż niemal wszyscy edyremowie walczyli, aby uratować swego przywódcę.

I choć był to dla nich monstrualny wysiłek, zdołali ostatecznie stłumić ogień Proroka. Co więcej – uleczyli zarazem potworne poparzenia Uldyzjana i jego zniszczone nerwy.

Ten cud w wykonaniu edyremów zdumiał też i Uldyzjana. Wpatrywał się w Inariusza i przez moment myślał, że wzrok płata mu figle, albowiem zdawało mu się, że anioł drgnął lekko.

– To już nie jest twój świat – powiedział mu Uldyzjan równie wzmocnionym głosem. – I jeśli szczerze dzisiaj, przynajmniej wszyscy będziemy wiedzieć, że zginął wolny od ciebie. Należymy do siebie, Inariusie, i staniemy zjednoczeni naszą mocą i wiarą przeciwko tobie, aniołom i demonom!

I z tymi słowy rzucił się na Proroka.

Czy to dzięki swej zuchwałości, wahaniu przeciwnika, czy też może zgodnie z życzeniem Inariusza – Uldyzjan dopadł anioła bez przeszkód. Lśniący złociście młodzieniec zwarł się ze śmiertelnikiem. Chwycili się za barki. Ziemia zatrzęsa się, gdy wbijali w nią stopy. Czysta energia pomiędzy nimi strzelała wyładowaniami.

– Ciągłe dodajesz kolejną do listy swych zbrodni! – wykrzyczał Prorok prosto w twarz Uldyzjana. Jego oczy płonęły oślepiająco, a doskonały uśmiech nie zdradzał choćby i cienia wątpliwości.

Ale Uldyzjan nie pozwolił, by ów imponujący widok pozbawił go pewności siebie.

– Skoro nie ma nadziei, bym ujrzał twoje światło, może powinieneś przestać opowiadać te brednie i coś wreszcie zrobić – odparł tym samym tonem.

Oczy anioła błysnęły rosnącym gniewem. Naraz grunt pod stopami przeciwnika zaczął się roztopiać. Uldyzjan zatonął po kostki i zapadał się głębiej.

Inarius docisnął go z góry. Jego siła była przeogromna i choć Uldyzjan był dla anioła godnym przeciwnikiem, to tonął i z chwili na chwilę

znajdował się w coraz poważniejszym niebezpieczeństwie.

Nagle uświadomił sobie, że wciąż myśli w kategoriach śmiertelnika, podczas gdy Inarius wręcz przeciwnie. Uldyzjan nie zamierzał pozwolić, by anioł go utopił – dysponował mocą, aby temu przeciwdziałać.

Wystarczyła jedna myśl, żeby tak się stało. Uldyzjan znów stanął mocno na nogi i spojrzał Prorokowi w oczy. Grunt pod jego stopami znów był twardy i niewzruszony.

Uśmiechając się ponuro, Uldyzjan skręcił ręce i wyrzucił Proroka w powietrze. Inarius wirował wokół własnej osi i przez moment wszystko wskazywało na to, że Uldyzjan wygrał.

Ale gdy Prorok spadał, począł się przeistaczać. Złotowłosego młodzian przepadł w płomieniach. Wstęgi kolorowej energii rozwinęły się z jego pleców, stał się większy, a twarz jego stała się po części cieniem, po części zasłoną przyłbicy.

Wyprostował się i zawisł nad śmiertelnikiem w swej nieziemskiej wspaniałości i chwale. Z tego, co Uldyzjan zdołał wyczuć, pozostali również zobaczyli Proroka w jego prawdziwej formie.

– OKAZYWAŁEM CI CIERPLIWOŚĆ, ŚMIERTELNIKU... STARAŁEM SIĘ OKIEŁZNAĆ MÓJ GNIEW I DAĆ CI ŚMIERĆ SZYBKĄ I MNIEJ BOLESNĄ! WSZELAKO NIE OKAZAŁEŚ SIĘ WDZIĘCZNYM! – Głos anioła wstrząsnął ciałem i duszą Uldyzjana. Anioł zdawał się przemawiać zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz człowieka. – UPIERASZ SIĘ TRWAĆ W FAŁSZYWEJ WIERZE! – mówił dalej Inarius. – I NIE MA DLA CIEBIE INNEJ DROGI JAK ŚMIERĆ. ZROZUMIESZ, ŻE NIE MA INNEJ DROGI... JAM JEST SANKTUARIUM I SANKTUARIUM TO JA! KIEDY CHCESZ ZE MNĄ WALCZYĆ, CHCESZ WALCZYĆ Z CAŁYM ŚWIATEM.

Wiatr ponownie przybrał na sile. Chmury wyrwane spod kontroli Uldyzjana zatańczyły dziko. Ziemia uniosła się, opadła i uniosła ponownie.

Uldyzjan poczuł, że Inarius czerpie z Kamienia Świata, i zrozumiał, jak niewiele mocy anioł spożytkował dotychczas. Przywódca edyremów był zdumiony i przerażony zarazem tym, czemu przyszło mu stawić czoła. Zrozumiał, dlaczego Inarius nie przejmował się przybyciem armii swych pobratymców. Cóż mogło znaczyć i tysiąc anielskich wojowników, czy nawet sto tysięcy, wobec takiej mocy?

– DOSTRZEGŁEŚ SWÓJ BŁĄD – kpił anioł. – ZA PÓŹNO! – Prorok rozłożył ramiona, jakby chciał objąć nimi cały świat. – ODDAŁEŚ MI JEDNAKOWOŻ JEDNĄ PRZYSŁUGĘ, ULDYZJANIE ULDIOMEDZIE! POKAZAŁEŚ MI, ŻE ABY ŚWIAT MÓJ BYŁ TAKI, JAKI BYĆ POWINIEN, NIE MOGĘ NOSIĆ MASKI, KTÓRA ZAĆMI MOJĄ CHWAŁĘ! CAŁE SANKTUARIUM POZNA OD TERAZ MĄ WSPANIAŁOŚĆ, MOJĄ DOSKONAŁOŚĆ, GDY ZMIENIĘ JE NA SWÓJ OBRAZ I PODOBIENSTWO.

Koniec udawania i podstępów. Kiedy Inarius pokona swych wrogów – a teraz wydawało się to wielce prawdopodobne – będzie rządził światem we własnej postaci, sięgnie po władzę absolutną i domagać się będzie całkowitego posłuszeństwa od wszystkiego, czemu pozwoli żyć. Prorok zrezygnował z ukrycia, teraz wszyscy go poznają i będą bać się jego gniewu.

I wszyscy przeklinać będą syna Diomedesa za jego porażkę, za jego grzechy przeciwko ich bogu.

– TUTAJ NA WIECZNOŚĆ ZOSTANIE UCZYNIONY ZNAK NA PAMIĄTKĘ TEGO WYDARZENIA! TU ZOSTANIE WZNIESIONY NOWY PRZYBYTEK KU CZCI POCZĄTKU MEJ TRANSFORMACJI – OD NIEFORTUNNEJ POMYŁKI DO WCIELONEJ DOSKONAŁOŚCI.

Inarius skinął dłonią w kierunku ziemi, którą wstrząsnęło drzenie o sile znacznie większej niż poprzednie. Grunt eksplodował z taką siłą, że Uldyzjan został rzucony w powietrze.

Kolejnym gestem Inarius zatrzymał człowieka w locie.

– PATRZ...

Wieża ziemi i kamieni urosła wyżej niż jakikolwiek budynek, jaki Uldyzjan widział w życiu, wyżej nawet niż iglica Katedry. W miarę jak stawała się większa pod każdym względem, nabierała też wyraźniejszych kształtów. Pojawiły się ostre kąty. Po bokach w równych liniach wyrysowały się łuki okien. Wspaniałe reliefy i posągi – wszystkie przedstawiające Inariususa – uformowały się na ścianach i wokół wejścia do przybytku, który był raczej ołtarzem ku czci anioła niż świątynią.

– DZISIEJSZY DZIEŃ ZOSTANIE UHONOROWANY TU, W TYM MIEJSCU, KTÓRE NAZWĘ GETTERAC – BRAMA RAJU... – Inarius spojrział na pochwyconego człowieka. – ZAŚ TY, HERETYKU, OTRZYMASZ JEDNĄ ZASZCZYTNĄ ROLĘ... BĘDZIESZ NA WIEKI CZĘŚCIĄ TEGO MIEJSCA, TWOJE KOŚCI ZNAJDĄ SIĘ W JEGO CENTRUM JAKO ŚWIADECTWO OSTATNIEJ, JAKŻE NIEMĄDREJ PRÓBY SPRZECIWIENIA SIĘ TEMU, CO JEST MYM PRAWEM...

W obliczu takiej demonstracji wola Uldyzjana osłabła.

Być może lepiej było pozwolić, by wydarzenia tak właśnie się potoczyły. W końcu jeśli Inarius rzeczywiście miał zamiar dotrzymać swego słowa, to Sanktuarium i część zamieszkujących je istot ludzkich zostaną oszczędzone. Kiedy sam Uldyzjan zginie, to nawet edyremowie będą mogli uzyskać przebaczenie za swe przewinienia.

Ale gdy Uldyzjan zaczął już poddawać się woli anioła, gigantyczny pomnik zwycięstwa Inariususa zadygotał jakby szarpnięty trzęsieniem ziemi. Jednak tylko budowla się zachwiała. Nic innego.

Wieża wyrwała się z fundamentów i popędziła ku aniołowi. Uderzyła weń z taką wściekłością, że zaskoczyło to nawet Uldyzjana. Nagle znów zaczął spadać, ale chwilę później powietrze pod nim zgęstniało na tyle, by go utrzymać.

Uldyzjan odzyskał zdolność jasnego myślenia i natychmiast zrozumiał, że to jego ludzie po raz kolejny ruszyli mu na pomoc. Nie dbali o to, jak

Inarius może ich ukarać za ten wyczyn. Chcieli żyć i zginąć ze swym przywódcą – bez względu na to, jaki będzie ostateczny los ich świata.

I wszystko wskazywało na to, że ich życzenie wkrótce się spełni. Gdy zdumiewający pocisk edyremów uderzył w Inariusia, eksplodował w deszczu niezliczonych odłamków, które poszybowały ku Uldyzjanowi i pozostałym. Kilku edyremów zważyło się na ziemię, bo kamienne pociski potrzaskały im czaszki albo żebra.

Uldyzjan znów zaczął opadać, ale teraz już myślał na tyle jasno, że bez trudu spowolnił swój upadek. Zrozumiał też, że jego rezygnacja z walki była w tym samym stopniu spowodowana wpływem anioła, co własnymi przekonaniem. Inarius w sposób niezwykle subtelny wykorzystał lęki swego wroga przeciw niemu samemu. Gdyby nie desperacki wysiłek edyremów, Uldyzjan zgodziłby się na własną egzekucję.

Teraz jednak daleki był od poddania się. Przepęniała go odraza do samego siebie, do niewyobrażalnej arogancji anioła. Nie miało znaczenia, czy Uldyzjan zginie – póki nikt z tych, którzy w niego uwierzyli, nie będzie cierpiał.

Poczuł, jak wzbiera w nim moc, i nie dbał o to, czy było jej dość, by pokonać Inariusia. Zamierzał zrobić wszystko, by zakończyć to tu i teraz.

O ile w ogóle było to możliwe.

Renegat zobaczył zbliżającego się Uldyzjana. Otworzył ramiona jak poprzednio, tym razem wyraźnie zapraszając przeciwnika.

Uldyzjan nie zwlekał. Był już niemal przy Inariusie, gdy anioł gwałtownie machnął obleczoną w rękawicę dłonią. Powietrze wokół Uldyzjana zatrzeszczało i poczuł, jakby tysiące haków rozdzierało mu ciało, oczy... wszystko.

Ale o ile wcześniej być może by się zawahał, tak teraz nawet nie zwolnił. Parł naprzód, nie bacząc na straszliwą torturę. Jedyne, czego pragnął, to pochwycić anioła.

Zderzyli się z taką siłą, że rozgoniła chmury nad ich głowami i wstrząsnęła ziemią pod ich stopami. Uldyzjan obawiał się o edyremów, ale nie mógł sobie pozwolić na to, by sprawdzić, co się z nimi dzieje. Wirowali z Inariusem w powietrzu. Jeden w drugiego walił mocą, która byłaby zdolna obrócić Kedżan w perzynę. A jednak Uldyzjanowi udawało się odpierać moc anioła, tak jak Inariusowi rozpraszać ataki edyrema.

Uderzyli w ziemię z mocą, która wyniosła w górę tony gleby i kamienia. Starcie dwóch tytanów utworzyło dolinę, którą powiększali z każdą chwilą, napierając bezlitośnie na siebie nawzajem.

I w trakcie tej niesamowitej walki, rozdarty niewymownym cierpieniem, Uldyzjan poczuł rodzącą się w nim nadzieję. Inarius bynajmniej nie próbował się powstrzymać, a jednak jakimś sposobem człowiek zdołał mu dorównać. Uldyzjan nie próbował nawet odgadnąć, jakim cudem tak się stało, ale użył tego, by jeszcze wzmocnić swą wolę. Zaczął spychać Inarius, nie przestając uderzać weń czystą mocą, jaką w sobie znalazł.

I nagle skrzydlaty ugiął się pod naporem ataku człowieka.

– To już nie jest twój świat! – powtórzył Uldyzjan. – Los ludzi leży tylko w ich rękach, nie w twoich! Zaiste ten dzień zostanie zapamiętany jako ten, w którym całe Sanktuarium uwolni się od ciebie!

– BEZE MNIE NIE MA SANKTUARIUM! – odparł Inarius twardo. – WSZYSTKO JEDNO, CZY ZWYCIĘŻĘ, CZY ZOSTANĘ POKONANY!

Po raz pierwszy nie mówił o swym bezwzględny zwycięstwie. Uldyzjan, jeszcze bardziej podniesiony na duchu, uderzył w anioła ze zdwojoną siłą. I obaj potoczyli się ku Katedrze Światłości. Uderzyli w ziemię tuż przed lśniąca budowlą, otwierając zarazem głęboką szczelinę. Katedra zadygotała. Na wspaniałych ścianach pojawiły się pęknięcia.

Rozległy się krzyki, ale tym razem nie edyremów. Wielu akolitów Proroka nie brało udziału w bitwie. Ku zaskoczeniu Uldyzjana, budynek pełen był pielgrzymów, a wielu najwyraźniej przybyło z Kedżanu.

Dźwignęli się na nogi. I nagle Uldyzjan znów patrzył w oczy złocistego młodzika. Zmiana zaskoczyła przywódcę edyremów, i najwyraźniej tego właśnie chciał Prorok. Z jego ust wypłynęły nie słowa, a srebrna sfera. Urosła, aż pochłonęła całego Uldyzjana i oderwała od przeciwnika.

– Do samego końca niechaj staną się twym udziałem... – Prorok uniósł dłoń w stronę człowieka – pustka i nicość gorsze po stokroć niż śmierć.

Kula poczęła się kurczyć.

Uldyzjan położył dłonie na gładkiej wewnętrznej ścianie swego więzienia. Za daleko doszedł, by teraz się cofnąć. Jego dłonie zapłonęły i stopiły przeszkodę.

– Nie ma nic gorszego niż to, co wycierpiałem za sprawą twoją i Lilith – zgrzytnął zębami. – Wy dwoje zasługujecie, by zostać potępieni razem!

Wstrząsnął ziemią pod stopami anioła i fundamentami Katedry. Wierni, którzy dotąd nie uciekli w panice, teraz opuszczali budynek, jak mogli najszybciej. Iglica pękła i szpicem w dół poleciała wprost na marmurowe wejście. Tony piachu i kamieni poleciały ku aniołowi, gdy za jego plecami iglica odbiła się od ziemi.

Ale wszystko to Uldyzjan zrobił jedynie po to, by rozproszyć uwagę przeciwnika. Inarius nie obawiał się walącej się w gruzy budowli, zbyt wielką mocą dysponował. Zrobił to, czego człowiek się po nim spodziewał – zamachał rękoma, by odepchnąć od siebie wszystko to, co się nań sypało. Uldyzjan zaś zyskał szansę, by raz jeszcze pochwycić szalonego niebianina.

Wpadli w zrujnowane wejście walącego się budynku. Za każdym razem, gdy wymieniali ciosy, uwolniona magia rozsiewała wokół coraz większy chaos i zniszczenie. Wreszcie zrujnowane ściany nie zdołały dłużej utrzymać dachu budynku. Kopuła Katedry zapadła się do wewnątrz.

Ale nawet wtedy dwaj przeciwnicy widzieli tylko siebie nawzajem. Prorok nic już nie mówił. Znów się zmienił – teraz przyjął koszmarną formę między ludzkim przebraniem a prawdziwym kształtem. Ciskał

w Uldyzjana taką mocą, że ten powinien zginąć po stokroć, a jednak jakimś cudem odbijał każdy cios, kontrował każdy atak.

I nagle natarcia Inariususa osłabły nieco. To nie był wybieg, Uldyzjan czuł, że aniołowi zaczyna brakować sił. Z pewnością nie był zmęczony. To niepewność zżerała go jak wcześniej Uldyzjana.

Wtedy syn Diomedesa trafił Inariususa takim ciosem, że anioł wpadł w gruzy, jakie zostały z jego imponującego przybytku. Uldyzjan dopadł Proroka i począł walić weń z całą siłą, na jaką było go stać. Jego uderzenia były tak potężne, że każdemu towarzyszył błysk, a ziemia wokół pękała.

Uldyzjan uniósł pięść otoczoną czarną aurą do ostatecznego ciosu i nagle coś innego zaprzątnęło jego uwagę. Z całych sił próbował to zignorować, przekonany, że anioł po raz kolejny próbuje swych sztuczek.

A wtedy odległy głos przebił żar, jaki kipiał w głowie Uldyzjana.

Głos Serentii... Ponaglający, by Uldyzjan spojrział w niebo.

Posłuchał i nagle Inariusus przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Cała ta walka, zniszczenie i śmierć, spowodowane ich waśnią, znaczyły mniej niż nic.

Teraz niebo wyglądało całkowicie nierealnie – niczym malowidło na rozległym pergaminie. Pergamin zaś, co powinno być niemożliwe, rozdarty był w połowie. Niebo zostało dosłownie rozprute.

A szczeliną wlewał się niesamowity, zapierający dech w piersiach rój wspaniałych istot, których zbroje jaśniej lśniły niż słońce, a skrzydła iskrzyły barwami nieznanymi dotąd śmiertelnikom.

Zbrojne zastępy Królestwa Niebios wlewały się do świata Sanktuarium.

DWADZIEŚCIA JEDEN



Ich szeregom zdawało się nie być końca. Wlewali się setkami przez owo niemożliwe rozdarcie w nieboskłonie, a ono poszerzyło się, by przepuścić nawet liczniejsze oddziały. Zastępy przesłoniły już znaczną część nieba. Chmury zdawały się reagować na obecność anielskich rycerzy i kłębiły dziko.

Uldyzjan wiedział, że to było nieuniknione, a jednak ten niesamowity spektakl wstrząsnął nim do cna. Gdzieś w głębi duszy piastował iskierkę nadziei, że coś powstrzyma anioły przed przybyciem do Sanktuarium, może wysiłki Trag'Oula, może zmiana zadania... albo sama modlitwa.

Nic z tego jednak. Koniec świata właśnie się rozpoczął.

Uldyzjan krzyczał w agonii, jego ciało drgało w straszliwych torturach. Coś cisnęło nim w powietrze. To Inarius wykorzystał chwilę nieuwagi przeciwnika, by się ocalić.

Przywódca edyremów uderzył w ziemię moment później i odbił się kilkakrotnie, zanim wreszcie znieruchomiał. Co dziwne, daleko mu było do śmierci. Jego dar uchronił go przed furią Proroka i straszliwym upadkiem, czego sam Uldyzjan zaniedbał.

Uderzył w ziemię na tyle mocno, by go to ogłuszyło. Załzawionymi oczami patrzył na skrzydlatych wojowników, których zastępy ciągnęły się

po horyzont. Teraz właściwie wolałby być martwym. Przynajmniej nie musiałby być świadkiem unicestwienia wszystkiego, co kochał.

Oślepiające światło zalało wszystko wokół. Ku przerażeniu Uldyzjana, Inarius raz jeszcze przybrał swą prawdziwą formę i unosił się teraz nad swym przeciwnikiem.

– ZBYT DŁUGO ODWLEKAŁEŚ SWĄ KARĘ, HERETYKU!

Jednym gestem dźwignął Uldyzjana z ziemi.

Inarius zignorował całkowicie to, co działo się ponad ich głowami. Dla obłąkanego anioła liczyło się tylko ukaranie Uldyzjana.

Było to tak niedorzeczne, że mimo bólu Uldyzjan roześmiał się, jakby sam postradał zmysły. Sanktuarium miało przestać istnieć, a tymczasem Prorok widział tylko jego, śmiertelnika.

Ale wtedy Inarius odleciał, zupełnie jakby się wystraszył. Uldyzjan nie rozumiał reakcji anioła, tak jak nie wiedział, dlaczego nie upadł, skoro magia przeciwnika przestała utrzymywać go w powietrzu.

– CO... TY... ROBISZ?! – zapytał Inarius nagłoco. – CO?!

Uldyzjan zmarszczył brwi, zastanawiając się, do kogo przemawia anioł. Wprawdzie Inarius patrzył na przywódcę edyremów, ale też wiedział doskonale, że on sam nie robił niczego, by się obronić.

A może robił? Po ciele Uldyzjana rozlała się fala ciepła, które zniweczyło ból i uleczyło wszystkie rany. A gdy dotarło do jego głowy, do umysłu, poczuł uniesienie, jakiego nie doświadczył od momentu przebudzenia się jego umiejętności. Jego pewność siebie zapłonęła jasnym płomieniem i nagle ponownie odzyskał panowanie nad swym ciałem. Cały emanował złocistym blaskiem, tak żywym i jasnym, że ogniste skrzydła Inariusza wydawały się przy tym mdłe i bezbarwne.

Blaskiem, który oślepił przeciwnika.

Odzyskawszy panowanie nad ciałem, lepiej – zyskawszy panowanie nad całym sobą, jakiego dotąd nie miał, Uldyzjan spojrział na Inariusza niemalże z pogardą. Mając całą tę potęgę, renegat nie zrobił niczego, tylko podbijał,

potępiał i mordował tych, których uznał za niedoskonałych bądź opornych. Nie potrafił cenić żadnego życia, poza własnym.

Ironia polegała na tym, że Inarius nie dorównywał ludziom, którymi tak pogardzał. Rodzaj ludzki stał się czymś, czego anioł nie potrafił pojąć, a Uldyzjan był tego ucieleśnieniem.

Inarius klasnął gwałtownie i srebrzysty łuk energii pomknął ku Uldyzjanowi. Ten domyślił się, że łuk miał przeciąć go na dwoje. Rozproszył energię pogardliwym skrzywieniem ust i unieruchomił Inariusą w powietrzu.

I gdy anioł unosił się, zdumiony faktem, że śmiertelnik nie zaakceptował tak po prostu swego losu, Uldyzjan wyciągnął ku niemu otwartą dłoń. Nie skupił się jednak na samym Inariusie. Zamiast tego skierował oczy, które nagle widziały o wiele więcej, na połączenie, jakie anioł miał z Kamieniem Świata.

Artefakt krył w sobie więcej, niż ktokolwiek zdołałby pojąć, co do tego Uldyzjan nie miał wątpliwości. Wyczuł też natychmiast, że istniały poważne powody, dla których nie powinien zgłębiać tego zagadnienia. Musiał natomiast skończyć to, co instynktownie zaczął w jaskini kryjącej kryształ.

Odległość nie miała znaczenia – nie, jeśli chodziło o Kamień Świata. Choć fizycznie wydawał się być oddalony o tysiące mil, to w rzeczywistości był wszędzie. Uldyzjan bez trudu sięgnął do Kamienia umysłem. Spojrzał w głąb rozległej struktury Kamienia i odnalazł anomalię, którą sam stworzył. Tak bliski był wtedy dokonania tego, by krwawe wydarzenia ostatnich miesięcy w ogóle nie miały miejsca. Ale wtedy jeszcze był ślepy.

Teraz widział. Wszystko sprowadzało się do jednej zmiany, niemożliwego sześciobocznego wzoru, który wtedy stworzył.

Uldyzjan dokonał zmiany...

A Inarius zawył. Rozjarzył się. Na pierwszy rzut oka wyglądał tak samo, a jednak wydawało się, że jakaś jego część przestała istnieć. Uldyzjan skoncentrował się na swym wrogu. Inarius był... mniej imponujący. Nadal był aniołem, niebiańskim wojownikiem o wielkiej mocy, ale była ona niczym w porównaniu do tego, co był w stanie czynić połączony z Kamieniem Świata.

Uldyzjan przerwał to połączenie. Inarius nie mógł już czerpać z artefaktu.

Anioł wył nieustannie, ale teraz jego krzyk zabarwiony był wściekłością. Uderzył w śmiertelnika całą swą mocą... lecz Uldyzjan bez trudu zdławił te wysiłki.

To samo zamierzał uczynić z samym Prorokiem, ale po raz kolejny posłyszał wezwanie Serentii i pozostałych. Ostatnie jego starcie z Inariusem trwało zaledwie sekundy w czasie Sanktuarium, ale nawet sekundy były teraz cenne.

– Los tego świata nie zależy już od ciebie – przypomniał upadłemu aniołowi po raz kolejny. Z tymi słowy stworzył sferę podobną do tej, którą wcześniej przywołał Inarius, i uwięził w niej pokonanego wroga.

Inarius ryczał wściekle w środku, ale żaden dźwięk nie wydostawał się poza kulę. Uldyzjana niewątpliwie rozbawiłaby ta bezdźwięczna tyrada, gdyby nie to, że widział tylu ludzi pogrążonych w cierpieniu szaleństwem Inariusza.

Pozostawił sferę w ruinach Katedry i odwrócił się... Straszliwa błyskawica przeszła jego ciało i powaliła na kolana.

– NIE BĘDZIESZ INGEROWAŁ W TO, CO BYĆ MUSI – usłyszał głos, który brzmiał jak głos Inariusza, jednak nie należał do niego.

Tyrael.

Uldyzjan nie widział drugiego anioła, ale czuł jego moc. Tyrael był o wiele potężniejszy od Inariusza. Uldyzjan pokonałby go bez trudu, ale

anioł sprytnie ukrywał się za gniewem Proroka, póki dla Uldyzjana nie było za późno.

Tyrael przytrzymał człowieka na klęczkach.

– PLUGAWE WYNATURZENIE, JAKIE STWORZYŁ INARIUS, ZOSTANIE WYMAZANE Z PAMIĘCI WSZECHŚWIATA... SKAZA POWSTAŁA Z POŁĄCZENIA DEMONÓW I ANIOŁÓW ZOSTANIE ZAPOMNIANA NA WIEKI... I DOKONA SIĘ SPRAWIEDLIWOŚĆ...

– Czy... czyja sprawiedliwość? – warknął Uldyzjan, próbując walczyć z bólem i niewidzialnymi pętami.

Ale anioł zignorował to pytanie.

– PATRZ! OTO ZACZYNA SIĘ OCZYSZCZENIE.

Uldyzjan nie mógł się powstrzymać. Spojrzał. Z nieba padał deszcz aniołów. Niebiańskie zastępy płynęły w dół w idealnym porządku, rząd za rządem, niezliczone oddziały zmierzały we wszystkich kierunkach. Anioły dzierżyły ogniste bronie – miecze, lance, kosy – to była manifestacja ich mocy. Zamierzali przetoczyć się po całym świecie i zostawić po sobie jedynie pożogę.

Jednakże przeszkodziło temu coś, czego z pewnością nie spodziewał się Tyrael. W udręczonej ziemi otworzyły się dymiące kratery. Zaskoczeni edyremowie rozpierzchli się. Uldyzjan wiedział, czym były te gigantyczne, parujące dziury, wiedział, że nie wróżą dobrze jego domowi, szczególnie gdy pierwszy pokryty łuską bies ruszył na spotkanie aniołom.

Armia Płonących Piekieł przybyła, żeby wygłosić swoje zdanie względem losu Sanktuarium.

Demony różniły się od aniołów nie tylko wyglądem. Nie było wśród nich porządku i ujednolicenia. Łączyło je jedynie okrucieństwo, nic poza tym. Nie przybywały oddział po oddziale. Wylewały się z kraterów jak lawa, która błyskawicznie pochłania ziemię, a potem wznosiły się w górę.

Ta część zastępów, która kierowała się ku odleglejszym częściom Sanktuarium, zawróciła natychmiast, by dołączyć do pozostałych w walce

z demonami. Poruszali się bezbłędnie i szybko i Uldyzjan zaczął podejrzewać, że spodziewali się takiego obrotu spraw. Teraz nie chodziło już o Sanktuarium. Koniec świata i ludzi stał się właśnie kolejną odsłoną Wiecznego Konfliktu. Ludzie zginą i zostaną zapomniani, a anioły i demony będą walczyć dalej.

Zapomniani, jakby nigdy nie istnieli.

Achilios pochylił się nad Mendelnem, obawiając się, że przybył za późno. To dzięki opatrności znalazł się tu, gdy jego przyjaciel i arcykapłan walczyli ze sobą. Dzięki opatrności i, o ironio, Inariusowi.

To przez anioła myśliwy w ogóle się tu znalazł. To tu właśnie złowieszcze rośliny Proroka czekały, by zaatakować niczego niepodejrzewających edyremów i całkowicie złamać w nich ducha. To tu Achilios leżał pogrzebany całą noc – z twarzą skierowaną ku głębinom ziemi, przekonany do głębi, że zostanie tu na zawsze. Nie zmieniło tej pewności nawet to, że słyszał maszerujących mu nad głową edyremów.

Łucznik wyczuł też, kiedy trawa zaczęła atakować armię Uldyzjana, i choć usta miał pełne ziemi, to magia w jego ciele pozwoliła mu krzyczeć z frustracji. Nikt jednak nie usłyszał jego głosu.

A potem zdarzył się cud. Achilios był pewien, że to za sprawą Uldyzjana. Najpierw przyszedł żar, który przetoczył się po nim, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy, za to wypalił nawet korzenie podstępnych traw. A potem, gdy Achilios próbował wygrzebać się z ziemi, grunt sam się podniósł, jakby przeorany jakąś potężną siłą.

Żywego by to zabiło, ale łuczniaka uratowało, wyniosło go bowiem na powierzchnię. Wciąż był pogrzebany, ale teraz widział jakieś przebłyski światła i zrozumiał, że stał się częścią jakiegoś wzgórza czy nasypu. A to była znaczna poprawa jego sytuacji.

Ktoś jednak się zbliżał. W obawie, że może to być jakiś sługus Proroka, Achilios zrobił to, do czego był teraz stworzony – udał zmarłego. Ów ktoś

obejrzał go pobieżnie, nie zadając sobie trudu, by odkryć więcej niż ramię Achiliosa, i poszedł dalej.

Gdy łucznik uznał, że jest już bezpieczny, wygrzebał się do końca. Wtedy usłyszał zmagania tamtych dwóch. Zrozumiał, kogo ma przed sobą. Gdyby miał bijące serce, teraz z pewnością by zamarło. Achilios wiedział, że Mendeln wiele przyswoił sobie z nauk Rathmy, ale Malik był przebiegły ponad wszelkie wyobrażenie. Łucznik nie miał wątpliwości, że przyjaciel będzie potrzebował wsparcia.

Jak się okazało, potrzebowali się nawzajem. Malik nie mógł ukraść martwego ciała Achiliosa, ale Achilios nie był w stanie zwyciężyć Malika. Cieszył się, gdy Mendeln wreszcie położył kres istnieniu plugawego ducha, ale zaniepokoił się, gdy przyjaciel padł nieprzytomny. Teraz, klęcząc przy nieruchomym Mendelnie, modlił się, by ten nie przypłacił swego zwycięstwa życiem.

Mendeln nie miał żadnych ran, ale nadal się nie poruszał. Achilios musiał przyjrzeć się naprawdę dokładnie, by upewnić się, że przyjaciel oddycha.

Ziemia zadygotała. Powietrze drgało od dźwięków toczonej bitwy. Achilios desperacko pragnął popędzić do Serentii, ale ona nie wybaczyłaby mu, gdyby tak porzucił Mendelna. Zhańbiłby się w jej oczach. A to byłby ostateczny cios w jego i tak beznadziejnej sytuacji.

Ale co mógł uczynić? Rozejrzał się uważnie i dostrzegł na ziemi kościany sztylet. Nigdy tego po sobie nie pokazywał, ale ostrze głęboko go niepokoiło. Nie tylko za jego sprawą Achilios wstał z grobu, ale też nosiło w sobie znamię miejsca, którego teraz był częścią. Mendeln i Rathma określali je pośmiercią. Achilios obawiał się, że jeśli dotknie klingi, to ciśnie go ona w wieczną ciemność i już nigdy nie będzie mógł zobaczyć ukochanej.

Zarazem jednak czuł, że sztylet może być jedynym sposobem, by uczynić coś dla Mendelna.

Wstrzymując oddech, którego i tak nie potrzebował, Achilios złapał za rękojeść. Spodziewał się, że będzie lodowata jak ciemność grobu, ale broń emanowała jedynie przyjemnym chłodem. Nieco spokojniejszy łucznik przyniósł ją do Mendelna i ułożył sztylet dokładnie na piersi przyjaciela.

Ostrze rozbłysło, co zaskoczyło Achiliosa tak bardzo, że aż odskoczył. Światło spowiło Mendelna... a w blasku Achilios zobaczył duchy.

Ale nie duchy zmarłych edyremów czy sług Proroka. Ich piękno, ich doskonałość były niewypowiedziane. Wyglądały jak ludzie i nieludzką zarazem – zupełnie jak Rathma.

To mogły być tylko dzieci twórców Sanktuarium... pierwsi nefalemowie.

Widział ich tylko tam, gdzie padało światło kościanego ostrza, ale coś mu mówiło, że jest ich tu o wiele więcej. Rozumiał, dlaczego przybyli. Zginęli przed wiekami, walcząc o świat, na którym się narodzili, pierwsi, którzy się poświęcili dla ocalenia pozostałych nefalemów, którzy dali początek ludzkiej rasie.

Patrzyli na Mendelna, a potem blada poświata przyciągnęła ich od sztyletu.

Mendeln gwałtownie nabrał powietrza i usiadł. Rozszerzonymi oczami rozejrzał się, jakby czegoś szukał. Wreszcie jego wzrok zatrzymał się na łuczniku.

– Achiliosie! Malik! Jest...

– Na dnie Płonących Piekieł... mam nadzieję.

Ziemia zadygotała ponownie. Mendeln wstał z trudem. Sztylet mocno ścisnął w dłoni.

– Uldyzjan!

Achilios skinął głową, choć jego myśli nie były akurat przy bracie Mendelna.

– Możesz... iść?

– Mogę biec.

– Tym lepiej.

Pewien, że przyjaciel podąży za nim, nie czekał na Mendelna. Zrobił, co do niego należało – ocalił przyjaciela. Teraz miał nadzieję, że zrobi to samo dla kobiety, którą kocha – nawet jeśli miało to tylko znaczyć, że będą razem, gdy świat się skończy.

Ziemia zboczona była krwią – w większości demonów, ale też edyremów. Serentia uświadomiła sobie, że najbardziej irytuje ją, że umierając, anioły nie pozostawiają po sobie śladu. Wyglądało to, jakby tylko ich wrogowie ginęli. Powinny zostawać po nich jakieś szczątki, żeby edyremowie poczuli, iż stają dzielnie przeciwko obu armiom, nie tylko jednej.

Ich dramatycznej sytuacji nie zmieniał nawet fakt, że demony bardziej były zainteresowane swymi skrzydlatymi wrogami niż ludźmi, a edyremów atakowały wiedzione jedynie wszechogarniającą żądzą krwi. Serentia wiedziała, że Trójca chciała zniewolić Ludzkość, uczynić z niej żołnierzy Płonących Piekieł, wobec czego potworni wojownicy powinni raczej ze wszech miar oszczędzać edyremów. Ale ten prosty fakt nie docierał do demonów. Serentia wiedziała już – ona i edyremowie zostaną wybici tylko dlatego, że znaleźli się na ich drodze.

Po Uldyzjanie nie było śladu. Nie widziała go też swymi nadnaturalnymi zmysłami i bała się, że poległ. Mendeln także gdzieś zaginął i nie mogła o niego spytać Rathmy, bo i ten zniknął. Musiała już tylko walczyć i walczyć, aż sam anioł czy demon porąbie ją na kawałki.

Anioły naparły na edyremów. Nie dlatego, że nagle zaczęły dostrzegać w ludziach zagrożenie, ale horda demonów pojawiła się za edyremami, a niebiańskie zastępy zamierzały zmiażdżyć wroga we frontalnym ataku... jak już przerąbią się przez śmieci między nimi. Serentia potykała się z anielicą uzbrojoną w potężny buzdygan, która niewiele różniła się od swych męskich pobratymców, jedynie kształty miała bardziej kobiece i to, co zapewne było włosami, miała dłuższe. Miotła się między rzeczywistością a iluzją, Serentia traktowała ją jak każdego anielskiego

wojownika i nie cierpiała zbyt, gdy jej włócznia przebiła lśniący napierśnik.

Przepełniona mocą właścicielki przerażająca lanca dosłownie rozerwała przeciwniczkę na strzępy, a ta eksplodowała w powodzi światła przy wtórze wysokiego dźwięku. Anioły zdawały się być uczynione w tej samej mierze z dźwięku i światła, co i z materii. I tylko dlatego, że – tak jak demony – ludzie wlewali swą moc w broń, mogli stawić czoła skrzydlatym wojownikom.

Zastępy napierały. Serentia wszędzie widziała górujące nad nią kształty niebiańskich rycerzy. Zanim się obejrzała, walczyła z dwoma i choć zdumiewało ją, że była w stanie to uczynić, ból ramion mówił jej, że niedługo polegnie.

I rzeczywiście – gdy spróbowała odbić cios miecza, jej prawe ramię osłabło. Zobaczyła, jak płonące ostrze zbliża się niebezpiecznie...

Z rozpaczliwym krzykiem Achilios zasłonił ją własnym ciałem. W rękach trzymał monstrualny lśniący miecz, zapewne odebrany jakiemuś demonowi. Nie tylko odbił uderzenie anioła, ale i sam natychmiast zaatakował. Rozległ się dziwny, wysoki dźwięk, który był oznaką zagłady świetlistego, i anioł eksplodował feerią barw, które początkowo Serentia uznała za zapierające dech w piersiach, ale teraz już przyprawiały ją o mdłości.

– Cofnij się! – ryknął Achilios. – Odejdź stąd...! Serentio!

Ale teraz, gdy znów była przy nim, nie zamierzała odchodzić. Stała u boku ukochanego i położyła kres istnieniu kolejnego anioła.

– Nie opuszczę cię ponownie! Nie!

– Mendelnie! Zabierz ją... zabierz ją stąd!

Serentia ośmieliła się zerknąć przez ramię i zobaczyła młodszego ul-Diameda spory kawałek dalej. Próbował wraz z Rathmą spleść jakiś czar. Najwyraźniej dołączyli do walki we dwóch i zostali rozdzieleni, tylko Achilios tego nie zauważył.

Nie zmartwiło jej to wcale. Wreszcie była z ukochanym. Właśnie tak chciała umrzeć.

Achilios nie był zadowolony.

– Szlag... Serri! Musisz... musisz... mnie posłuchać! Błagam! Uciekaj!

– Nie zostawię cię – powtórzyła z uporem. – Nie...

Achilios pokonał jednego przeciwnika i odwrócił się do niej. W tej samej chwili z góry spadł kolejny anioł.

– Nieee! – Na myśl, że łucznik zginie raz jeszcze, Serentia skoczyła do przodu. Jej włócznia przeszła skrzydlatego na wylot, a rozdzierający uszy dźwięk śmierci anioła niemal ją ogłuszył.

Broniąc Achiliosa, dziewczyna nie zwracała uwagi na własne bezpieczeństwo. Niebiańska wojowniczką ruszyła ku Serentii zrywem.

Cięcie płonącego miecza otworzyło pierś dziewczyny.

Świat nagle stracił ostrość. Usłyszała, jak Achilios wykrzykuje jej imię. Chciała mu powiedzieć, żeby się nie martwił o nią, tylko bronił siebie, ale nie mogła znaleźć słów.

Zobaczyła jego twarz, wyraźnie. Uśmiechnęła się, dotknęła dłonią jego policzka... i umarła.

Gniew tak samo silny jak ten, który pozwolił Uldyzjanowi walczyć z Inariussem, ponownie go ogarnął, a jednak zakłęcie Tyraela nadal go trzymało. Uldyzjan nie rozumiał, dlaczego anioł po prostu go nie zabił. Jaki sens miało zmuszanie go do oglądania zniszczenia swego świata?

I dlaczego Tyrael zostawił śmiertelnikowi powalenie Inariususa? Chyba nie tylko dlatego, by upokorzyć renegata? Uldyzjan wątpił, żeby anioł w ogóle zaprzętał sobie głowę takimi kwestiami. Sposób, w jaki Tyrael mówi o sprawiedliwości, raczej to wykluczał.

Gdy patrzył na pole bitwy i edyremów uwięzionych między dwoma armiami, w głowie Uldyzjana poczęły kłębić się myśli.

Anioły i ich monstrualni wrogowie nie zwracali uwagi na nic, co znalazło się między nimi. Biesy zdeptały kilku ludzi, którzy dość szybko

nie uciekli z drogi. Anioły kosily potężnymi mieczami i nie tylko odcinały głowy i kończyny demonom, ale też uśmiercały niewinnych. Edyremowie robili, co mogli, stając przeciwko obu stronom, przelewając swą moc w miecze, widły i inną broń, ale było ich zbyt niewielu wobec ogromu obu armii.

„I to ma być sprawiedliwość?” Uldyzjan walczył, by się uwolnić. Wiedział, że przynajmniej powinien być ze swoimi ludźmi, umierać razem z nimi.

Demon z trzema gadzimi głowami i mocarnymi ramionami rozerwał anioła, który znalazł się zbyt blisko niego. Niebiański wojownik nie padł w fontannie krwi, ale eksplodował feerią barw i znikł bez śladu. Eksplozji towarzyszył dziwny, wysoki dźwięk, który przejął Uldyzjana dreszczem. Demon niedługo cieszył się swym zwycięstwem, bo inny anioł przebił go lancą środkową z głów. Stwór zaryczał boleśnie i zmienił się w popiół.

Całą okolicę rozjaśniały zdumiewające blaski czystej magicznej energii, a obie strony używały swych mocy na miliony sposobów. Uldyzjan spodziewał się, że edyremowie polegą szybko, ale stała się rzecz niespotykana.

Wciąż walczyli.

Ci, którzy byli w stanie, zebrali się razem mniej więcej pośrodku pola bitwy i robili, co mogli, by osłonić siebie i pozostałych przed szalejącym wokół kataklizmem.

Razem z nimi walczyli też inni, którzy nie byli właściwie edyremami, ale czymś o wiele, wiele więcej.

Rathma powrócił... i to nie sam.

Towarzyszyła mu grupa wysokich postaci – albo pięknych, albo co najmniej groteskowych.

Uldyzjan rozpoznał jedną z nich: Bul-Kathos. Gigantyczny wojownik stał, osłaniając tych mniej potężnych. Wielgachną maczugą zamierzył się na rogatego demona, który ośmielił się wejść mu w drogę. Moc demona była

niczym w porównaniu z potęgą Starożytnego. Bul-Kathos zmiażdżył pierś przeciwnika jednym uderzeniem, drugim przemienił czaszkę tamtego w papkę.

Spośród pozostałych towarzyszy Rathmy Uldyzjan najlepiej widział smukłą wojowniczkę, która walczyła z większą dzikością i swobodą niż Serentia. Jej włosy fruwały wokół, jakby żyły własnym życiem. Ostrze anielskiego miecza odbiła toporem. Przeciwnicy wymienili kilka ciosów i Starożytna wychyliła się mocno do przodu i cięła skrzydlatego przez napierśnik. Zbroja – o ile nią była w rzeczywistości – nawet nie spowolniła szybkości, z jaką padało ostrze topora.

Tak jak jego pobratymcy, anioł zniknął w wybuchu fantastycznego światła i przy wtórze niepokojącego dźwięku.

Uldyzjan nie mógł nigdzie wyczuć swych przyjaciół ani brata, co tylko podsyciło jego obawy. Całe ciało przywódcy edyremów dygotało od gromadzących się emocji i energii.

– ZAAKCEPTUJ, CO BYĆ MUSI – powiedział Tyrael. Nie brzmiał tak świętoszkowato jak Inarius, po prostu stwierdzał fakt. – TO NIEUNIKNIONE. POGÓDŹ SIĘ Z TYM...

Ale te słowa wywarły zgoła odmienny efekt na Uldyzjanie. Wydało mu się bowiem, że anioł musi przekonywać przywódcę edyremów, by ten się poddał.

Uldyzjan przypomniał sobie, jak Prorok nieustannie manipulował faktami, tudzież jak ignorował te, które chciał. Prawda nie była po prostu prawdą, gdy chodziło o anioły. Na swój sposób były równie pokrętne co demony.

To był właśnie brakujący element. Uldyzjan zaczął zastanawiać się, na ile to Tyrael go więzi, a na ile ludzkie wątpliwości.

I naraz wszystkiego, czego zapragnął Uldyzjan, to być wolnym.

Jego ciało załśniło. Kątem oka dostrzegł reakcję Tyraela, lecz anioł nie atakował, ale cofnął się o krok i obserwował. Przechylił głowę i wyglądał,

jakby chciał coś powiedzieć, choć nie miał ust – aczkolwiek to mogła być już tylko wyobraźnia Uldyzjana.

I w następnej chwili Tyrael przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Uldyzjan zażądał, by zakłęcie się rozwiało... i jego żądanie zostało spełnione. Stał prosto, mając wrażenie, że teraz on góruje nad skrzydlatym.

Spodziewał się, że anioł zaatakuje, ale Tyrael tylko stał i patrzył, zupełnie jakby czuł, że człowiek wyrwie się z więzienia.

Uznawszy, że Tyrael nie jest już dlań zagrożeniem, Uldyzjan odwrócił się w stronę pola walki i wszystko w nim zaprotestowało na ów widok. Widział niezliczone śmierci i dostrzegał całkowitą daremność wiecznych zmaganiań aniołów i demonów. Zrozumiał, że jego świat stanie się zaledwie kolejnym polem bitwy dwóch armii, a powód tej bitwy zostanie zapomniany całkowicie, gdy istnienie Sanktuarium dobiegnie końca. Nikt nie będzie opłakiwał tego świata. Nikt...

Uldyzjan nie mógł na to pozwolić. Nie mógł. Każdym skrawkiem swej istoty przyjął w siebie wszystkie te śmierci, których przyczyną był Wieczny Konflikt, łącznie z tymi, które spowodowała jego krucjata, i pozwolił, by stłumiły wszelkie wahanie, jakie mogłoby go jeszcze powstrzymać.

Uniósł pięści ku skrzydlatym zastępom i demonicznej hordzie, spojrzał na swych ludzi masakrowanych nieustannie i przemówił:

– Dość.

I wszyscy... wszystko... zamarło.

DWADZIEŚCIA DWA



Nie było słycać najcichszego dźwięku ani też czuć najlżejszego nawet ruchu powietrza. Uldyzjan nie słyszał nawet własnego oddechu. Nie dbał o to. Wiedział jedynie, że powstrzymał rozlew krwi. Że zapobiegł zniszczeniu.

Ale to był dopiero początek. Anioły nieruchome jakby były martwe, wisiały na nieboskłonie. Demony unosiły się w pół skoku. Edyremowie stali nieugięci.

Nic się nie ruszało... poza nim.

W głowie huczała mu świadomość, że oto dokonał czegoś, czego nie zdołali osiągnąć wojownicy Królestwa Niebios czy Płonących Piekieł. Był nie tylko zbawicielem Sanktuarium – był bogiem, jakim chciał stać się Inarius.

Uldyzjan spojrział na walczących. Wzniósłszy dłonie, tym razem otwarte, zapragnął odepchnąć anioły i demony.

Udało mu się, ale kosztowało go to więcej wysiłku, niż się spodziewał. Przekonany, że ma w sobie dość sił, Uldyzjan z uporem walczył, by osiągnąć, to, czego chciał. Ziemia zadygotała, nawet niebo zadrżało, jakby miało pęknąć na dwoje, ale anioły i demony zostały wreszcie oddzielone od jego edyremów.

– Nigdy więcej – zagrział do nieruchomych postaci. – Nigdy więcej.

Uldyzjan popatrzył na demony. Przeciął powietrze dłonią i cała horda potoczyła się do tyłu. Demony dziesięciokrotnie większe od niego bezradnie podskakiwały na zrytej ziemi, toczyły się, póki nie znalazły się przy portalach, którymi przybyły do tego świata.

Uldyzjan zażyczył sobie, by przeszły przez nie ponownie, zmusił ich do powrotu do Płonących Piekieł. Demony nie miały wyboru. Choć nie więziło ich już zaklęcie unieruchamiające, to teraz bezskutecznie i niezdarnie szukały oparcia. Wystarczyło kilka sekund, by po demonach zostały jedynie szczątki zabitych.

I wtedy Uldyzjan przeniósł swą uwagę na anioły. Kiedy to uczynił, poczuł słabe wołanie. Nie było jednak istoty, której chciałby wysłuchać. To, czego chcieli odeń inni, nic nie znaczyło.

Z miejsca, w którym stał, Niebiańskie Zastępy zdawały się jedynie rojem komarów. Ledwie mógł uwierzyć, że kiedyś się ich obawiał. Nabrał powietrza i zdmuchnął skrzydlatych wojowników aż do rozdarcia w niebie. Niemalże dziecięca radość przepełniła go, gdy patrzył, jak doskonałe formacje wpadają jedna na drugą i anioły opuszczają świat Sanktuarium w beładzie, splątani ze sobą nawzajem.

– *Uldyzjanie!*

Wołanie odezwało się ponownie i tym razem rozpoznał głos. To był smok Trag'Oul. I choć istota nie była jego wrogiem, Uldyzjan nie widział powodu, by miał odpowiadać na jej wołanie. Trag'Oul tak jak i pozostali nie mógł już decydować ani mówić Uldyzjanowi, co ten ma zrobić ze swoim światem.

Ziemia zadygotała. Zirytowany Uldyzjan nakazał jej przestać. Posłuchała... i zadrżała znowu.

Zduślił to drzenie własną mocą, aż wszystko było tak, jak być powinno.

Teraz Uldyzjan zwrócił się do dwóch ostatnich aniołów. Tyrael jednak zniknął. Pozostał jedynie Inarius.

Zignorowawszy zniknięcie drugiego skrzydlatego, Uldyzjan stanął przed uwięzionym Prorokiem.

– Twój rodzaj nazywa nas wynaturzeniem – rzekł. – Co masz teraz do powiedzenia?

Inarius jednakże milczał, co tylko bardziej zaniepokoiło Uldyzjana. Anioł wrócił do swej prawdziwej formy, nie miał więc żadnego widocznego wyrazu twarzy, ale Uldyzjan mógłby przysiąc, że Inarius cicho się z niego śmieje.

To przekonanie doprowadziło Uldyzjana do furii. Sfera zatrzeszczała, wewnątrz uderzyła błękitna błyskawica. Inarius padł na kolana, cierpiąc katusze... Lecz wrażenie, że skrzydlaty się śmieje, nie opuszczało go.

Ukaralby anioła raz jeszcze, ale kolejne potężne drżenie wstrząsnęło ziemią, sięgając odległego Kedżanu, a nawet dalej. Uldyzjan zerknął na Proroka i doszedł do wniosku, że anioł nie mógłby tego dokonać.

Uznał więc, że powód wstrząsu nie jest w tej chwili istotny, i skupił swe moce, by uciszyć drżenie.

Ale ono przybrało na sile w dwójnasób. A gdy to się stało, niebo nabrało karmazynowej barwy, a kipiące chmury wyglądały jak wzburzona krew.

Uldyzjan odwrócił się z powrotem w stronę Inariususa.

– Coś uczynił? Powiedz mi!

Anioł wreszcie zdecydował się przemówić.

– JA NIC NIE ZROBIŁEM.

Na południu otworzyła się ogromna szczelina. Biegła nie do końca równo, ale nieustępliwie w kierunku stolicy. Druga otworzyła się po prawej stronie Uldyzjana.

A trzecia obok edyremów.

Uldyzjan zareagował odruchowo i wykorzystał moc, by zamknąć tę trzecią. Wysilek niemal pozbawił go przytomności, a gdy dochodził do siebie, trzęsienie powróciło jeszcze gwałtowniej. Czuł rosnący strach swych

ludzi i choć starał się uspokoić ziemię wokół nich, ona pękała coraz wyraźniej.

Z walącym sercem Uldyzjan całą swą wolę skupił na przywróceniu porządku, ale jego wysiłki spełzły na niczym. Ziemia pod jego stopami zaczęła się zapadać. Odskoczył w ostatnim momencie.

Przed nim resztki Katedry Światłości zniknęły w przepaści. Kula z Inariusem także. Anioł patrzył na Uldyzjana beznamiętnie, gdy stoczył się w głębiny.

Uldyzjan stał oszołomiony. Sanktuarium się rozpadało, a on nie mógł nic na to poradzić. Miał moc, która pozwoliła mu z łatwością wygnać stąd armie Królestwa Niebios i Płonących Piekieł, a jednak jakaś przerażająca siła rozdzierała jego świat na strzępy, tak jak obawiał się, że uczyni to Wieczny Konflikt. Jeśli nie Inarius, to co? Nie wyczuwał w pobliżu żadnej potęgi magicznej, zdolnej do takiego zniszczenia.

Walcząc z własnym narastającym strachem i kataklizmem jednocześnie, Uldyzjan rzucił czar na całe Sanktuarium. Zaprowadzi porządek. Odbuduje świat.

Ale natychmiast zobaczył, jak na południu zielona równina podnosi się wysoko. Ziemia nabrzmiała, uformowała wielki bąbel, który wybuchł z furją wulkanu. Chmury na niebie zaczęły wirować, tworząc początki gigantycznego tornada. Niebieskie błyskawice uderzały zarówno w miasto, jak i dżunglę.

I wtedy Uldyzjan zrozumiał. On był tego przyczyną. Nie Inarius. Nie zastępy Królestwa Niebios. Nie horda Płonących Piekieł.

On, Uldyzjan ul-Diomed, był odpowiedzialny za unicestwienie Sanktuarium.

Teraz wszystko stało się jasne. Czuł, jak serce mu wali, a w żyłach pędzi krew. Zupełnie jakby było w nim dwóch mężczyzn. Jeden, który wciąż jeszcze starał się myśleć składowo, skupić się i znaleźć rozwiązanie. Oraz drugi, bardziej pierwotny, ten, który patrzył, jak jego bliscy zostali

pomordowani, a całe krainy zniszczone. Ten, który został uwiedziony przez demona, a potem okradziony przez nią z wiary i zaufania. Ten, który doświadczał zdrady za zdradą, podczas gdy sam chciał jedynie pokoju.

Ile razy w ciągu ostatnich miesięcy reagował agresją bez zastanowienia? Ile razy jego moc, nie on sam, kontrolowała bieg zdarzeń? Napędzana jego najbardziej pierwotnymi emocjami w końcu wyrwała się spod kontroli. Teraz brała odwet na Sanktuarium, na świecie, który nie był taki, jakim chciał go widzieć Uldyzjan. Bezmyślna, pozbawiona celu eksplozja magii mogła tylko spowodować więcej chaosu, więcej zniszczenia.

Za każdym razem, gdy próbował zaprowadzić porządek, karmił też nierozważnie swój strach, wątpliwość, gniew... każdą mroczną emocję. Walczył sam ze sobą... i przegrywał za każdym razem.

Stał niezdolny cokolwiek uczynić. Chciał ocalić świat, ale wszelkie jego próby kończyły się uwolnieniem takich sił, że obawiał się, iż kolejna rozniesie ów świat na strzępy. Jednak jeśli Uldyzjan nie zrobi niczego, osiągnie ten sam tragiczny rezultat.

Czuł myśli edyremów, oczekujących straszliwego końca. Kedżan, emanujących straszliwą bezradnością w obliczu zbliżającej się katastrofy. Strach mieszkańców dżungli, ascenckich, jak nazywano jego ziomek, ludzi w odległych krainach. Czuł, że ludzie i zwierzęta przygotowują się na spotkanie swego końca.

„Gdybym tylko wiedział wcześniej! – pomyślał zdesperowany. – Gdybym tylko posłuchał Mendelna i pozostałych, może bym nad tym zapanował, pogrzebał głęboko w sobie! Ale teraz...”

Uldyzjan się zawahał. Z szeroko otwartymi oczyma rozważał jedną, szaloną myśl. To jego moc spowodowała te zniszczenia. Może jednak był jakiś sposób, żeby ją kontrolować. On by...

Powaga sytuacji podsycała w nim chęć działania. Spróbował zgromadzić w sobie to, co uwolnił. Jednak szybko przekonał się, że uwolniona moc rosła po tysiącokroć. Teraz była w takim samym stopniu częścią sił natury

Sanktuarium, co jego. Nawet gdyby zebrał wszystko, co uwolnił, to wciąż byłoby to za mało, żeby coś zmienić.

Ale Uldyzjan nie mógł się cofnąć. Nie liczyło się dlań już nic innego jak tylko odwrócenie tego, co uczynił. Zamierzał zrobić wszystko, co trzeba będzie. Nie miał wyboru. Zrobi to.

W pewnej chwili zastanawiał się, czy potencjał drzemiący w edyremach ma jakieś granice. Teraz modlił się, by te granice – o ile istniały – znajdowały się na tyle daleko, by zdołał dokończyć owo epokowe dzieło.

Odetchnął głęboko i skupił się na żądaniu, by jego dzika moc doń powróciła.

Krzyknął trafiony pierwszą jej falą, paliła bowiem mocniej niż ogień. Pomyślał jednak o swym bracie, o Serentii i Achiliosie, o tych wszystkich, którzy szli za nim pełni wiary. Mając ich twarze przed oczyma, zapragnął, by jego wola się dokonała. Nic innego się nie liczyło dla jego świadomości czy podświadomości.

Jego ciało już płonęło wspaniałą blaskiem, teraz rozbłysło jeszcze silniej, a on wchłaniał w siebie moc, która niszczyła świat. Cała okolica emanowała potężną magią, energią płynącą ku człowiekowi. Niezmierzone prądy pochwytyły kamienie, kawałki drewna i wiele innych rzeczy, które teraz wirowały wokół Uldyzjana.

Nie poświęcił im ani trochę uwagi. Nie istniało dla niego nic poza zakończeniem rozpoczętego zadania. Widział jedynie magię napływającą nie tylko do jego ciała, ale do samej duszy. W każdej niemal chwili był przekonany, że nie zdoła przyjąć już więcej, a jednak wciąż stał. Doznawał tysiąca tortur po tysiąckroć, każda z nich była gorsza od tych, którym poddawano jakiegokolwiek żywe istoty na przestrzeni wieków.

Słyszał odległe głosy, ale był pewien, że to krzyki umierających, więc starał się ich nie słuchać. Nie mógł się rozpraszać. Wszystkie siły ciała i umysłu musiał poświęcić temu jednemu zadaniu, ostatniej nadziei.

Magia płynęła. Uldyzjan krzyczał, ale się nie poddawał. Modlił się w nadziei, że kiedy już straci przytomność, to okaże się, że zdołał ocalić chociaż część ludzi.

Moc waliła weń niczym wzburzona rzeka lawy. Padł na kolana, ale nadal się nie poddawał. Jednak rzeka nie zwalniała ani na moment. Moc płynęła, płynęła i płynęła...

Nagle...

Ucichła.

Przekonany, że coś poszło nie tak, Uldyzjan spróbował wchłonąć jeszcze trochę, bezskutecznie.

Zapłakał – nie nad sobą, ale dlatego, że ujrzał nadzieję dla pozostałych. Świadom był jednak, że to jeszcze nie koniec. Wszystko, co zamknął w sobie, wyrywało się na zewnątrz. Mógł tylko usilnie walczyć, by pozostało w nim uwięzione.

I wtedy pojął, co należy robić, by położyć kres zagrożeniu. Zrozumiał i zaakceptował. Albowiem był to nie tylko jeden wybór, ale i jedyny słuszny.

Wstał.

Lśnił jaśniej niż słońce, daleko było do niego zwykłemu człowiekowi. Uldyzjan popatrzył na wszystko, co stanowiło jego świat. Podziwiał rzeki, lasy, góry i morza. Przyglądał się ludziom i zachwycał ich różnorodnością. Ku jego zdumieniu wszyscy mieli ten sam potencjał, załączek wielkości.

Ale dla Uldyzjana i wszystkich jego uczniów ta wielkość nadeszła zbyt szybko. Ludzkość, a on w szczególności, zostałyby zbyt szybko popchnięta ku swemu przeznaczeniu. Stało się tak za sprawą Lilith – córka Mefista była zbyt niecierpliwa, by pozwolić ludziom zmierzać w tym samym kierunku przez wieki. Uldyzjan nie miał szansy, by dorosnąć do swego daru w sposób właściwy.

Zbyt wcześnie było na istotę taką, jaką Uldyzjan niemal się stał. Zbyt wcześnie...

– Zrozumiałeś...

Uldyzjan wiedział, kto doń przemówił.

– Trag'Oul?

– *Próbowałem dotknąć twego umysłu... Ale to było dla mnie zbyt wiele* – przyznał smok. Jego głos brzmiał słabo, ale było w nim zadowolenie. – *Wiedziałem, że zwyciężysz.*

– *Nie... nie... póki nie będę stanowił zagrożenia dla Sanktuarium.*

Wyczuł, że smok się z nim zgadza.

– *Mogę pokazać ci, gdzie uwolnić moc, ale to ty musisz za to zapłacić.*

– *Nie dbam o to! Pokaż mi!*

Trag'Oul spełnił jego życzenie. A Uldyzjan zachwycony spoglądał na to, co Trag'Oul ujawnił.

– *Wtedy... tamto...*

– *Tak* – to wszystko, co musiał powiedzieć smok.

Uldyzjan uśmiechnął się. Nie czuł już obawy.

Uniósł dłoń ku niebu.

– *To wszystko, co muszę zrobić? Po prostu chcieć, by to się stało?*

– *Wybór należy do ciebie. Zawsze należał.*

Uldyzjan wiedział, że smok się wycofał.

Nie potrzebował już pomocy ze strony nieziemskiej istoty.

Raz jeszcze użył swego daru, by spojrzeć na tych, którzy mu byli najdrożsi. Mendelna, Achiliosa i Serentię. Musiał jeszcze zrobić dwie rzeczy, zanim dokończy swego dzieła. Musiał w bezpieczny sposób przywrócić właściwy porządek rzeczy dla brata i przyjaciół.

Skończywszy, spojrział w górę, ale nie ku niebu – jego wzrok sięgał do miejsca i czasu, które pokazał mu smok.

Furia, jaką Uldyzjan uwięził w sobie, wrywała się na wolność.

Nadszedł czas. Uldyzjan uśmiechnął się raz jeszcze i wysłał strumień magii przed siebie. Światło popędziło przez równinę, dżunglę, przez całe Sanktuarium. Nikomu jednak nie uczyniło krzywdy. Niosło ukojenie.

Dotknęło każdej żywej istoty w Sanktuarium, upewniając się, że zostały one wyleczone z cierpienia, jakie przyniosło im przybycie edyremów i bliskość końca świata.

Wtedy Uldyzjan wchłonął je z powrotem i pozwolił, by wylało się zeń poza granicami, gdzie wystrzeliło we wszystkich kierunkach. Czuł ponownie rosnące napięcie, tym razem przed ostatecznym zakończeniem – i przygotował na to siebie i świat.

A kiedy przyszło, stało się to w wybuchu czystej energii, która na moment wstrząsnęła Sanktuarium do fundamentów.

Uldyzjan zakrzyczał bez słów, nie z bólu jednak, ale z ekstazy, jaką była transformacja. Nie był już człowiekiem, ale czymś, czego nawet anioły i demony nie mogły pojąć. Przez jedną chwilę był Sanktuarium i wszystkim, co je otaczało. Później jego obecność skurczyła się, była jak u Trag'Oula... i istot mu podobnych. Jego świadomość rozciągnęła się ponad jego ukochanym światem, na który spojrzął po raz ostatni.

I wtedy, skończywszy, co musiało być uczynione, co pragnął uczynić, pozwolił, by jego ja rozproszyło się we wszystkim. Jego odejście ze świata żywych objawiło się ognistym, lecz zachwycającym błyskiem światła dla tych, którzy na tym świecie pozostali. Nie było w żadnym razie przerażające, raczej cieszyło oczy.

I na zawsze, czy ktoś był tego świadom, czy nie, zmieniło świat Sanktuarium.

Mendeln pierwszy uświadomił sobie, że coś się stało. Dla niego było to tak oczywiste, że spodziewał się, iż wszyscy zaczną krzyczeć.

Równina odrodziła się w swej pierwotnej krasie. Brązowe i zielone źdźbła tańczyły lekko na wietrze. Mendeln zbadał okolicę, używając sztyletu, ale nie znalazł żadnych ludobójczych roślin.

Ale odkrył coś innego. Zrozumiał, dlaczego edyremowie milczeli. Stali nieruchomo niczym posągi.

Nie, nie wszyscy. Dwoje z nich szło ku niemu. Dwoje, których widok zdumiewał, choć zarazem przepełniał Mendelna radością.

Achilios i Serentia. Oboje wyglądali na całkiem żywych.

Patrzyli na niego z takim samym zdumieniem, równie zaskoczeni tym, co stało się z otoczeniem i nimi. Mendeln wiedział przynajmniej, kto był tego przyczyną.

– Uldyzjan – powiedział drżącym głosem. – Uldyzjan to zrobił.

– Ale jak to możliwe? – Łucznik nie mógł przestać się uśmiechać. To był Achilios, którego wszyscy znali, po rozdartym gardle nie został nawet ślad. – Jak?

– To pytanie , na które nawet oni nie wiedzą, jak odpowiedzieć – odezwał się Rathma.

Odwrócili się ku niemu. Starożytny wyglądał, jakby nagle dogoniły go przeżyte stulecia. We włosach miał siwe pasma, a nieskazitelną twarz pobruździły zmarszczki. W przeciwieństwie do trójki ludzi nie był wcale rozradowany.

I gdy spojrzeli tam, gdzie wskazywał, zrozumieli dlaczego.

Zobaczyli pięć wysokich, skrzydlatych postaci, emanujących taką mocą, że skrzydlate zastępy, które spadły na Sanktuarium, wydawały się przy nich grupą dzieci.

– Rada Angiris – wyjaśnił szeptem Rathma. – Nikt inny. Mój ojciec o nich mówił. Rada przybyła do naszego świata.

Mendeln się wzdrygnął.

– Ale dlaczego?

– Skoro tylko my odzyskaliśmy zdolność ruchu, sami powinniśmy się dowiedzieć.

Poprowadził towarzyszy ku aniołom stojącym w półokręgu. Gdy się zbliżyli, Mendeln zaczął słyszeć i czuć ich głosy.

I nagle krajobraz wokół nich się zmienił. Stał się komnatą z lśniącego kryształu i diamentu, wyrzeźbioną z takim artyzmem, jakiego nie zdołałby

osiągnąć żaden człowiek. Gigantyczne posągi skrzydlatych rycerzy majestatycznie spoglądały z góry. Posadzkę stanowiła marmurowa mozaika, która dla Mendelna nie miała żadnego głębszego sensu czy wzorca, ale była absolutnie piękna i tak skomplikowana, że wyciskała łzy z oczu.

Ale nie mniej piękni i straszni zarazem byli członkowie Rady.

– NIE MA POWODU, BY KONTYNUOWAĆ TĘ DEBATĘ... NIE POTRZEBA JEJ BYŁO NAWET ZACZYNAĆ – stwierdził majestatyczny anioł w szatach o barwie królewskiej czerwieni, na którego napierśniku wyryto symbol odwróconego miecza. – DROGA NASZA JEST JASNA I OCZYWISTA... CO ZOSTAŁO WZNIESIONE PRZEZ ZDRAJCĘ, MUSI ZOSTAĆ UNICESTWIONE! NIECHAJ ZASTĘPY SKOŃCZĄ, CO ZACZĘŁY, NAWET JEŚLI BĘDZIEMY MUSIELI PRZERĄBAĆ SIĘ PRZEZ SETKI DEMONÓW, BY TEGO DOKONAĆ!

– CZY NIE POWINNIŚMY NAJPIERW ROZPRAWIĆ SIĘ ZE ZDRAJCĄ, IMPERIUSIE? – zapytał anioł w błękitnych szatach i kobiecych kształtach. – A TĘ SPRAWĘ ROZSĄDZIMY OSOBNO?

– TO JEDNA I TA SAMA SPRAWA – upierał się pierwszy. Machnął dłonią obleczoną w rękawicę i między nimi pojawił się klęczący Inarius, spętany czarnymi strumieniami energii. – TO JEGO ZBRODNI DOPROWADZIŁY DO POWSTANIA WYNATURZENIA, ZWANEGO SANKTUARIUM! OSĄDŹ JEDNEGO, A OSĄDZISZ WSZYSTKICH, AURIEL!

Ale błękitny anioł nie chciał się z tym zgodzić.

– WSZYSCY WIDZIELIŚMY DOŚĆ DOWODÓW NA TO, ŻE DZIECI POCZĘTE ZE ZBRODNI NIE SĄ SWOIMI RODZICAMI... I NIE SĄ WYNATURZENIEM, JAK WCZEŚNIEJ WIERZYLIŚMY.

Auriel była najbardziej ruchliwą z grupy, odwracała głowę w stronę każdego ze swych towarzyszy za każdym razem, gdy przemawiała.

– Gdzie jesteśmy? – szepnęła Serentia.

Rathma uciszył ją gestem, ale chwilę później odpowiedział:

– Na równinie, a w tej samej chwili w miejscu, które musi być chyba komnatą spotkań Rady w legendarnym Srebrnym Mieście! Trwa sąd nad naszym światem i obawiam się, że werdykt może być dla nas nieprzychylny.

Mendeln był wstrząśnięty.

– Po tym wszystkim, co zrobił Uldyzjan, rezultat nadal jest wątpliwy?! – Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, ruszył ku aniołom. – Jakie macie prawo? To bezczelność! Nie jesteśmy szkodnikami, które możecie tępić!

Imperius spojrział nań z góry.

– A WY ANIOŁAMI, ŻEBY MIEĆ PRAWO DO STAWANIA PRZED OBLICZEM RADY.

Mendeln został odrzucony przez niewidzialną moc. Zapewne uderzyłby w pozostałych, ale Auriel spojrziała nań i łagodnie opadł na ziemię.

– A AROGANCJA STAŁA SIĘ CNOTĄ? – spytała swego towarzysza.
– SAŃ TU ZA MOJĄ SPRAWĄ, PONIEWAŻ DZIĘKI ICH TOWARZYSZOWI ZDOBYLI SOBIE PRAWO, BY WYSŁUCHAĆ, JAKI LOS CZEKA ICH DOM.

Imperius nie odpowiedział, ale Mendeln był pewien, że gdyby anioł miał twarz, to teraz patrzyłby wrogo spod zmarszczonych brwi.

Rathma postąpił do przodu.

– Musicie dać szansę ludziom. Są zdolni do wielu wspaniałych rzeczy, musicie im tylko pozwolić przeżyć! Mogą stać się nierozzerwalną częścią Równowagi...

– JA MÓWIĘ: GŁOSUJMY – zaczął Imperius, ignorując Starożytnego.

– NIECH TAK BĘDZIE – wtrącił trzeci z Rady, anioł o szarych szatach, który nie miał ani kształtów wyraźnie męskich, ani żeńskich. – NIECH SIĘ STANIE.

– ZOSTAŁEM POPARTY! – zadudnił triumfująco Imperius. – ZACZYNAJMY ZATEM! GŁOSUJĘ ZA TYM, BY RENEGATA

UWIĘZIĆ NA ZAWSZE, A JEGO GNIAZDO PEŁNE DEMONIEGO POMIOTU ZLIKWIDOWAĆ!

Po tych słowach skierował w dół wyciągniętą pięść.

Mendeln zaczął coś mówić, ale zrozumiał, że to bez sensu. Anioły i tak nie zwracały nań uwagi.

Auriel natychmiast zareagowała na głos Imperiusa. Uniosła pięść odwróconą w górę.

– NIECHAJ ICH POTENCJAŁ SIĘ ROZWINIE... W NICH BOWIEM LEŻY SZANSA, ŻE DOŻYJEMY KOŃCA NASZYCH ZMAGAŃ! – Popatrzyła na czwartego członka Rady. Wydawał się chudy, szaty miał czarne i napierśnik tej samej barwy. – JAK TY ZAGŁOSUJESZ, MALTAELU? CZY POPRZESZ MNIE W TEJ KWESTII?

Wyraźny dreszcz wstrząsnął nie tylko Mendelnem, ale i pozostałymi, gdy Maltael przemówił. Słyszając ten głos, Mendeln myślał o śmierci, przeraźliwej pustce nieistnienia.

– JAKAKOLWIEK BY BYŁA WASZA DECYZJA, DLA MNIE I TAK NIE BĘDZIE MIAŁA ZNACZENIA. WSTRZYMUJĘ SIĘ.

Auriel cofnęła się lekko, wyraźnie rozczarowana. Imperius z kolei wydawał się być usatysfakcjonowany i to on zwrócił się do szarego anioła.

– ITERAELU, JAKI JEST TWÓJ WERDYKT?

Przez chwilę panowała cisza, jakby czwarty anioł głęboko zastanawiał się nad odpowiedzią.

– SĄ POTOMSTWEM ANIOŁÓW I DEMONÓW, ODZIEDZICZYLI SKAZĘ I OBIETNICE. JEŚLI POZWOLIMY IM ROSNAĆ, MOGĄ STAĆ SIĘ POTWORNIEJSI OD WSZYSTKIEGO, CO ZRODZIŁO SIĘ W OTCHŁANI PŁONĄCYCH PIEKIEŁ.

– I DLATEGO MUSZĄ ZOSTAĆ ZNISZCZENI! – nalegał Imperius.

Iterael uniósł dłoń.

– ALE MAJĄ TEŻ WIELKI POTENCJAŁ, BY SŁUŻYĆ ŚWIATŁU... POTENCJAŁ, KTÓRY MOŻE IM POZWOLIĆ PRZEROSNAĆ NAS...

GŁOSUJĘ WIĘC, BY OTRZYMALI SZANSE.

Nadzieje Mendelna urosły. Anioły znalazły się w impasie. Nawet jeśli Tyrael, który ewidentnie nie był przyjacielem ludzi, zagłosuje przeciwko nim, to głosowanie skończy się remisem. Sanktuarium przetrwa.

Czterej członkowie Rady popatrzyli na ostatniego. Tyrael wpatrywał się w skutego Inariusza, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał.

– JAK WIĘC, STARY PRZYJACIELU? – spytał Imperius. – JAKIEGO DOKONASZ WYBORU, TY, KTÓRYŚ WIDZIAŁ ICH PLUGASTWO? STANIESZ U MEGO BOKU I POŁOŻYSZ KRES TEJ NAJOHYDNIJSZEJ Z OHYDNYCH WYLĘGARNI POMIOTU?

– Co on mówi?! – zdenerwował się Mendeln. – Głosowanie będzie nierozstrzygnięte!

Rathma patrzył nań ze smutkiem.

– Równa ilość głosów oznacza najwyraźniej, że decyzja nie zapadła na naszą korzyść, czyli nie ma powodu, by pozwolić nam żyć.

Tego Mendeln nie mógł ścierpieć. Znów ruszył w stronę aniołów.

– Jak możecie potępiać nas tak od niechcienia?! Twierdzicie, że jesteście sługami światła, a jednak radośnie zabijacie wszystko, co uważacie za niegodne! Mój brat mógł zniszczyć was wszystkich, ale tego nie zrobił. Próbował tylko ocalić swój dom i ludzi, nawet za cenę własnego życia.

Imperius chciał chyba usunąć ze swych oczu irytującą przeszkodę, ale Tyrael przemówił tonem, który przykuł uwagę wszystkich.

– WOJNA TRWA OD ZARANIA DZIEJÓW, NIEPAMIĘTNYCH CZASÓW. NIE MA WŚRÓD NAS TAKIEGO, KTÓRY NIE CZUJE SIĘ ZMĘCZONY... A JEDNAK ZAWSZE ODPOWIADAMY NA WEZWANIE DO WALKI.

Anioły poparły go, kiwając głowami.

Tyrael zaś wskazał na Inariusza.

– TEN RENEGAT POPROWADZIŁ INNYCH KU STWORZENIU CZEGOŚ, CO NIGDY NIE POWINNO ZAISTNIEĆ, NIGDY!

DOPROWADZIŁ DO NIEWYOBRAŻALNEGO I GDYBYM TAM BYŁ, WALCZYŁBYM ZE WSZYSTKICH SIŁ, BY TEMU ZAPOBIEC...

Byli skazani na zagładę. Mendeln to widział. Jedyłą nadzieją był teraz Trag'Oul. Smok na pewno mógł coś z tym zrobić. Mendeln próbował sięgnąć ku swemu mentorowi, ale nie znalazł ani śladu.

– MNIE TAM JEDNAK NIE BYŁO... ŻADNEGO Z WAS NIE BYŁO – przypomniał Tyrael pozostałym. – I TAK TO COŚ UROSŁO... I ROSŁO... AŻ STAŁO SIĘ CZYMŚ, CZEGO NIKT NIE UMIAŁ SOBIE WYOBRAZIĆ, CZEGO NIKT NIE ZDOŁAŁBY PRZEWIDZIEĆ! TO MIEJSCE, ZWANE SANKTUARIUM, ZRODZIŁO ISTOTY, JAKICH NIGDY NIE WIDZIELIŚMY, JAKIE SAM NAZWAŁEM WYNATURZENIEM I OHYDĄ! – Zanim Imperius zdołał się wtrącić, Tyrael mówił dalej: – ALE ISTOTY PLUGAWY I WYNATURZONE NIE CIERPIĄ, NIE WALCZĄ O SIEBIE NAWZAJEM Z PRZECIWNOCIAMI, KTÓRE PRZERASTAJĄ ICH PO WIELOKROĆ I ONE NIE... NIE... Z WŁASNEJ WOLI NIE WYBIERAJĄ... TAK WŁAŚNIE, NIE WYBIERAJĄ PONIESIENIA TAK WIELKIEJ OFIARY DLA DOBRA INNYCH.

Mendeln poczuł, jak nadzieja rośnie w sercach jego towarzyszy, nawet ponurego Rathmy. Czy możliwe było, żeby tak mówił Tyrael? Ze wszystkich aniołów?

– MY SIĘ POŚWIĘCAMY – odparł Imperius. – CZYM SIĘ RÓŻNIŁO JEGO POŚWIĘCENIE?

– MY POŚWIĘCAMY SIĘ, ALBOWIEM MUSIMY... BO TO CZĘŚĆ NASZEGO POWOŁANIA! ŚMIERTELNIK, ULDYZJAN UL-DIOMED, SAM DOKONAŁ WYBORU, BY SIĘ POŚWIĘCIĆ, PONIEWAŻ DBAŁ O SWYCH TOWARZYSZY! TO NIE BYŁ JEGO OBOWIĄZEK... A PRAGNIENIE! – Tyrael popatrzył na swych towarzyszy, kończąc na Imperiusie. – NAZYWAŁEM ICH WYNATURZENIEM... ALE BYŁEM

W BŁĘDZIE! ODDAJĘ IM MÓJ GŁOS... CHCĘ BOWIEM ZOBACZYĆ, CZYM STAĆ SIĘ MOGĄ... I PODZIWIAC.

Tylko największym wysiłkiem udało się ludziom stłumić wyrazy ulgi, jaka stała się ich udziałem. Mendeln zachował spokój tylko dlatego, że tych pięcioro zachowywało się tak, jakby sprawa nie została jeszcze przesądzona.

– Z ZATEM POSTANOWIONE – oświadczył Imperius, a w jego głosie dźwięczała gorycz nieprzystająca aniołowi. – ALE JAK ZAMIERZACIE POWSTRZYMAĆ SKAZĘ Z PŁONĄCYCH PIEKIEŁ, BY NIE OGARNEŁA ŚWIATA, KTÓRY OCALILIŚCIE? CZY ZASTĘPY MAJĄ STRZEC TEGO... TEGO SANKTUARIUM?

Ledwie rozbrzmiały te słowa, a głęboki śmiech sprawił, że wszyscy się odwrócili. Imperius natychmiast przywołał swój ognisty miecz.

– To pokojowa wizyta, o, członkowie Rady – zachrypiał głos, w którym brzmiał syk gniazda żmij. – Pokojowa... o ile na to pozwolicie.

Minął ich cień. Mendeln nigdy jeszcze nie widział takiego mroku. Poczł tchnienie zła, które przypomniało mu o innym demonie... Lilith.

– TY CHCESZ PERTRAKTOWAĆ... WŁADCO DEMONÓW? – spytała cienia Auriel. – TY... NIE TWÓJ BRAT?

Cień zgęstniał, tworząc wysoki, makabryczny kształt, który skojarzył się Mendelnowi z morlu albo, gorzej jeszcze, z ich ohydny panem Lucionem, który jak Lilith był potokiem cienia.

– Mój drogi brat nie może się kontrolować, zatem ja, który władam na równi z nim, przychodzę z propozycją rokowań... i więcej nawet! Oferuję przymierze. – Choć Mefisto nadal pozostał w znacznej mierze spowity cieniem, to, co było widać, wystarczyło, by wzbudzić bardzo głęboki niepokój Mendelna. – Pakt, który powinien pomóc nam poradzić sobie z sytuacją, którą ten tu spowodował.

Zieloną, pokrytą łuskami ręką wstrzeliła z cienia, by wskazać Inariusza. Renegat zabłysł jasno w proteście.

Imperius przejął prowadzenie rozmowy z władcą demonów.

– JAKIŻ TO PAKT NAM PROPONUJESZ?

Przebłysk wielkich, ostrych kłów zamajaczył w miejscu, gdzie powinna być głowa demona.

– My, jak i wy, poczyniliśmy fałszywe założenia względem tego świata, błędne założenia względem istot zrodzonych z waszego i mojego gatunku.

– Płonące czerwone oko pojawiło się wśród mroku, by mrugnąć do Auriel, co ta zupełnie zignorowała. Mefisto zaśmiał się krótko. – Ale Sanktuarium jest czymś znacznie więcej, niż sobie wyobrażaliśmy! Wszystko, co tu mówiliście, jest prawdą, pozwolimy temu wzrastać i przekonamy się, co z tego wyniknie: dobro czy wręcz przeciwnie, bez ingerencji żadnej ze stron.

– A MY MAMY ZAUFAC TWEMU SŁOWU – zakpił Imperius.

– Ten świat kosztował mnie moje dzieci, które chciały jego przetrwania. Chcę, by istniał przez pamięć dla nich.

Najbardziej niepokojące w odpowiedzi demona było to, przynajmniej dla Mendelna, że była wiarygodna. Mendeln mu uwierzył, choć częściowo. Zapewne Lucion i Lilith chcieli ocalić Sanktuarium i ludzkość, by mogli służyć demonom.

Ale wiara w słowa demona była nieco niepokojąca. Stanowiła dowód subtelny wpływ mocy pana Płonących Piekieł.

Anioły też nie za bardzo ufały intruzowi, ale nagle przed Imperiusa wystąpił Tyrael.

– JEŚLI CHCESZ PRZYMIERZA, PANIE DEMONÓW... CZY ZOSTAWISZ SWÓJ ZNAK W MIEJSCU WSKAZANYM PRZEZE MNIE?

Mefisto wydawał się wahać.

– Wskaż mi miejsce, a zostanie zrobiony, ale jeśli otrzymam coś w zamian, co uczyni zadość sprawiedliwości, której jesteś rycerzem.

Anioły popatrzyły po sobie. Imperius skinął głową Tyraelowi.

– POWIEDZ, CZEGO CHCESZ – zwrócił się do cienia.

I znów szponiasta łapa wyciągnęła się ku więźniowi.

– Jego... niech ten, którego zbrodni przeciwko wam nie da się zliczyć, zostanie oddany mnie, by zapłacił za mą stratę i przypieczętował nasz sojusz.

Inarius słysząc to, zareagował nieoczekiwanie. Roześmiał się. Śmiał się głośno, póki Imperius nie uciszył wszystkich dźwięków więźnia ruchem dłoni znamionującym jedynie pogardę.

– JEŚLI GO DOSTANIESZ, ZOSTAWISZ ZNAK? – spytał wyniośle.

– Na waszych oczach, a nawet na oczach tych – zgodził się Mefisto, czerwonym okiem lustrując grupę Mendelna.

I gdy demon to powiedział, zniknęły diamentowe ściany komnaty i znów wszyscy wrócili do Sanktuarium, aczkolwiek tym razem znaleźli się w nieco innym miejscu. W ruinach Katedry Światłości.

– Poczucie humoru aniołów – zakpił Mefisto.

Imperius wskazał miejsce w centrum ruin. Jak domyślił się Mendeln, była to sala, gdzie Prorok nauczał wiernych.

– TUTAJ JEST PUNKT PRZEPLYWU! PUNKT, W KTÓRYM ZAKOŃCZONO TWORZENIE ŚWIATA I ZAPIECZĘTOWANO... TWÓJ ZNAK.

Mendeln spodziewał się, że pan demonów nakreśli ognisty symbol, ale Mefisto uniósł rękę i wbił w nią głęboko zęby.

Z rany wypłynęła ciemna substancja. Demon pozwolił, by spłynęła na miejsce wskazane przez anioły. Gdy dotknęła ziemi, zaskwierczała i nagle pojawiło się wokół niej kilka czerwonych run. Dwakroć okrążyły płamę tego, co było krwią Mefista, a potem się w nie zapadły. Czarna substancja wsiąknęła w posadzkę i zniknęła.

Po ranie na ręce Mefista też nie było śladu. Ramię zniknęło w cieniu.

– A teraz... on, tak?

Rada Angiris popatrzył na Inarius, który wciąż śmiał się obłąkańczo.

– SAM JESTEŚ SOBIE WINIEN, BRACIE... – oświadczył Tyrael.

Kilka atramentowo czarnych macek wysunęło się z cienia i owinęło wokół renegata. Bez najmniejszego trudu wciągnęły go w ciemność.

– A jaskinia i to, co tam się znajduje? – mruknął Mefisto głosem pełnym satysfakcji.

Imperius poruszył się gniewnie.

– DO TEGO, CO TRZEBA BĘDZIE TAM UCZYNIĆ, POTRZEBNY BĘDZIE KOLEJNY PAKT.

– Zgoda. – Oko znów spojrzało na ludzi i Rathmę. – A teraz?

Achilios sięgnął po nóż. Serentia zacisnęła dłoń na włócznie, nawet Mendeln uniósł swój sztylet.

Rathma nie zrobił nic.

– ZA JEGO POŚWIĘCENIE POWINNI MÓC PAMIĘTAĆ – odezwała się Auriel.

– NIGDY – zaprotestował Imperius.

– Nie – zgodził się Mefisto i z widoczną przyjemnością obserwował reakcję Imperiusa, gdy anioł uświadomił sobie, że stoją po tej samej stronie.

– Pierworodzeni – dodał, mając na myśli Rathmę i jemu podobnych – oni mogą pamiętać, jest ich niewielu i ich dni już przeminęły. Reszta jednakowoż... jeśli mają dorastać, muszą zacząć od początku.

– MA RACJĘ – odezwał się gdzieś z tyłu Iterael.

Auriel próbowała protestować, ale jej towarzysze byli w tym względzie zgodni.

– ZACZNĄ OD NOWA – dołączył Tyrael.

– Chcą, żebyśmy o wszystkim zapomnieli – Serentia gwałtownie nabrała powietrza. – Planują odebrać nam moc i pamięć o Uldyzjanie!

– Nie możecie! – zaprotestował Achilios.

– WRÓCĄ DO POCZĄTKU – powtórzył Tyrael. – A OD TEJ CHWILI ZOSTAWIMY ICH WŁASNEMU PRZEZNACZENIU, WSZYSTKO

JEDNO, JAKIE ONO BĘDZIE. BĘDZIE TO TAK DŁUGO, JAK PRZETRWA TO PRZYMIERZE.

– Tak długo, jak przetrwa – powtórzył Mefisto.

Mendeln drgnął, jego gwałtowne pragnienie, by zachować pamięć o bracie, zostało na moment rozproszone przez władcę demonów. Mefisto już knuł, jak obejść pakt. A jeśli by to zrobił...

Zanim jednak Mendeln zdołał zareagować, Tyrael uniósł dłoń w stronę trójki ludzi.

– ON ZOSTANIE ZAPAMIĘTANY – obiecał im wszystkim, ale szczególnie Mendelnowi. – BĘDZIE PAMIĘTANY.

Otuliło ich zapierające dech białe światło.

DWADZIEŚCIA TRZY



Zaraza była straszliwa. Zabrała ojca Serentii, kilku innych mieszkańców wioski i dwóch misjonarzy z jakiejś sekty bez imienia. Pogłoski przywiezione głównie przez podróżnych mówiły, że najbardziej ucierpiała Parta, gdzie zmarła ponad połowa mieszkańców. Pozostałe regiony miały więcej szczęścia i z tego, co mówili starsi w wiosce, zaraza dobiegła już końca.

Mendeln dotarł do faktorii handlowej akurat na spotkanie z Achiliosem, który wrócił z polowania z kilkoma zającami. Łucznik już się chciał uśmiechnąć, ale zaraz spoważniał, gdy zobaczył, że przyjaciel ma ze sobą nie tylko konia, ale i objuczonego muła.

– Mówiłeś, że to zrobisz... i najwyraźniej mówiłeś poważnie.

– Tak. Farma sprzedana, spakowałem cały mój dobytek. – Mendeln spojrział na potężnego młodzieńca, którego strofowała właśnie Serentia.

Choć bracia jej byli niewątpliwie bystrzy i zdolni, to jednak ona trzymała ich wszystkich w ryzach. Odwróciła się od rodzeństwa i zobaczyła Mendelna. Podbiegła do nich i niemal natychmiast jej twarz zmieniła się tak, jak to miało miejsce w przypadku jej małżonka.

– Wyjeżdżasz! Och, Mendelnie, nie możesz!

Zebrał się w sobie.

– Uldyzjan zmarł w czasie plagi, a ja nie mam serca do farmerstwa... a wspomnienia są we mnie zbyt wyraźne, bym mógł zostać w Seram.

Serentia uroniła łzę, ale skinęła głową. Achilios odłożył zające i objął żonę.

– Wyślij nam jakieś wieści, jak znajdziesz sposobność – mruknął, świadom, że pewnie już nigdy o Mendelnie nie usłyszą. Świat był rozległy i jeśli ktoś znalazł się dalej niż kilka dni podróży od Seram, kontakt praktycznie był niemożliwy.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł Mendeln. Nie zsiadł z konia – chciał odjechać, zanim puszczą mu nerwy. Serentia podeszła bliżej i ujęła go za rękę. – Oby wasze życie było proste i szczęśliwe – dodał.

Achilios się zaśmiał.

– Tutaj, w Seram, proste życie jest nieuniknione! – Przytulił swą świeżo poślubioną żonę. – A w moim przypadku będzie na pewno szczęśliwe!

Pocałowała go przelotnie i oboje raz jeszcze uścisnęli rękę przyjacielowi. Mendeln skierował konia ku lasom.

– Jedziesz starą myśliwską ścieżką? – spytał Achilios.

– Tak, Parta ucierpiała tak bardzo, że wolę trzymać się z daleka, nawet jeśli wszyscy mówią, że plaga nikomu już nie grozi.

– Mądrze. Niech ci się zatem wiedzie.

– Będę się starał.

Machali mu, gdy odjeżdżał. Spoglądał ku nim, póki mógł, a gdy stracił ich z oczu, popędził konia i muła.

Myśliwska ścieżka była starym szlakiem, który ginął w gęstym lesie jakieś pół mili za Seram. Achilios był przekonany, że Mendeln skręci na południe, bo las na wschodzie i północy był zbyt gęsty dla jego zwierząt. Ale gdy ścieżka się skończyła, Mendeln zsiadł z konia i zapatrzył się na drzewa przed sobą.

Po chwili sięgnął do juków i wyjął kościany sztylet.

– Już tu jestem.

Mendeln zerknął przez ramię i zobaczył Rathmę stojącego na zwałonym pniu. Starożytny miał wciąż włosy poznaczone siwizną, a twarz zmarszczkami, ale jego zachowanie bardziej przypominało Mendelnowi dawnego Rathmę.

– Dziękuję, że zostawiłeś mi pamięć.

– To leżało poza moimi możliwościami. Trag to zrobił.

Mendeln skinął głową.

– Wszystko z nim w porządku?

– Wciąż przeżywa, że musiał ukrywać swoją obecność, gdy aniołowie i demony debatowały nad losem Sanktuarium, ale to wszystko. Już doszedł do siebie po tym, jak próbował zmylić drogę niebiańskich zastępów. Również ubolewa nad twoją stratą, ale szanuje wybór Uldyzjana... tak jak ja.

Mendeln ścisnął mocniej sztylet.

– Widziałem to, Rathmo. Pozwolił mi. Widziałem, jak oddał wszystko, co miał i czym był! Widziałem, jak był szczęśliwy na końcu, czuł bowiem, że stał się częścią czegoś... czegoś wspaniałego. Przykro mi, że nie mogę tego lepiej wyjaśnić, ale więcej sam nie zrozumiałem!

Rathma zszedł z pnia.

– Nie martw się. Wiem tak samo niewiele jak i ty. Trag rozumie o wiele więcej, ale najwyraźniej nawet ja nie jestem gotowy, by się dowiedzieć. Będziemy uczyć się razem.

– *Zaiste* – odezwał się smok. – *Zaiste będziesz, Mendelnie ul-Diomedzie.*

Młody człowiek pokręcił głową.

– Jestem już zmęczony sobą. Umarłem, gdy umarł ostatni członek mojej rodziny. Umarłem wraz z Uldyzjanem. Nazywajcie mnie, jak chcecie, ale już nie tym imieniem.

Rathma sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

– Mendelnie...

– *To jego życzenie... Po prawdzie, skoro pragnie innego imienia, mam dla niego takie, które, mam nadzieję, okaże się go godne.*

Mendeln był zaintrygowany wbrew samemu sobie.

W końcu imię syna Inariususa i Lilith zmieniło się z Linarian na Rathma.

– Jakie?

– Nazwę cię Kalan. W języku takich jak ja oznacza „nauczyciel”, bo potrafisz tak wiele, że już od dawna nie powinieneś być nazywany po prostu uczniem... i potrzebujemy, żebyś przekazał innym prawdę o Równowadze.

Mendeln czuł, że pod wieloma względami podążanie tą drogą pozwoliłoby mu uhonorować Uldyzjana i obronić swój świat przed zdradzieckimi zakusami aniołów i demonów.

– Musi być więcej tych, którzy będą walczyli o zachowanie Równowagi – powiedział doń Rathma. – Równowaga jest największą nadzieją Sanktuarium. Kiedy nadejdzie dzień, w którym powrócą edyremowie, nie mogą po prostu przystać do któregoś z obozów, albowiem wtedy ludzkość stanie się zaledwie ramieniem jednych bądź drugich. Śmierć w imię powodów jednej czy drugiej strony też niczego nie zmieni. Jeśli ludzkość utrzyma się w równowadze między tamtymi dwoma, stanie się panem własnego przeznaczenia.

– *I to jest cel...*

Obaj mężczyźni spojrzeli w górę.

– Co chciałeś przez to powiedzieć? – spytał Rathma równie zmieszany co Mendeln.

Ale smok nie odpowiedział. Wreszcie Rathma zwrócił się do Mendelna:

– Coś jeszcze musisz zobaczyć. Dżungla Kedzanu bogata jest w siłę magiczną, która pomoże uczyć się tobie i twoim uczniom. Trag nas tam przeniesie.

– A wtedy?

– A wtedy przygotuję cię na moje odejście. Dni nefalemów są, jak powiedziano, dawno minione. Jeden po drugim przestajemy istnieć. Jest nas teraz nawet mniej, niż było w czasie bitwy. – Gestem zbył wszelkie pytania ona temat swego rodzaju. – Ważna jest przyszłość. Będziesz musiał nauczyć tylu, ilu zechce cię słuchać. Troje z edyremów, których uczyłeś wcześniej, pierwsi do ciebie dołączą, aczkolwiek nie będą pamiętali tego, co było. To tylko twoje brzemię.

– *Porozmawiamy, gdy wszystko już będzie gotowe* – odezwał się nieoczekiwanie Trag'Oul.

Rathma skrzywił się lekko.

– Jeśliś taki niecierpliwy, o wieczny, będzie najlepiej, jeśli przeniesiesz nas tam najszybciej, jak to możliwe. – I zwróciwszy się do Mendelna, dodał: – To, czego potrzebujesz, także zostanie przeniesione. Zwierzęta znajdą się wśród trzody twoich przyjaciół. Nikt nie zauważy zmiany.

– Jak i innych.

– Nic nie można było tym razem uczynić... ale przyszłość będzie inna. Dopilnujemy tego.

Przeszłość nie zostanie zapomniana.

Mendeln, nie – Kalan, zamierza o to zadbać. Miał już plan, by zapisać na pergaminie i wyryć w kamieniu wszystko, co tylko zapamiętał, nawet jeśli posłuży to tylko tym, którzy pójną jego ścieżką. Świat nie mógł zapomnieć lekcji, której udzielił mu Uldyzjan, i nadziei, jaką dała wszystkim jego ofiara.

– Ruszajmy – powiedział nagle do smoka. – Im szybciej, tym lepiej.

Od Rathmy doczekał się jakże rzadkiego uśmiechu. Od smoka napłynęło poczucie nadziei.

– *Przygotuj się* – ostrzegł go smok.

Kalan zacisnął dłonie na sztylcie, ale jego myśli dalekie były od czaru, który miał go przenieść setki mil dalej. Wciąż były przy Uldyzjanie.

„Dałeś nam szansę na przyszłość, bracie... i bez względu na to, co czeka nas z Królestwa Niebios czy Płonących Piekłach, będziemy pracować, żeby mieć pewność, że to my stworzymy tę przyszłość, nie oni”.

I gdy o tym pomyślał, las wokół niego zbladł. Kalan był pewien, że przez mgnienie oka widział mężczyznę o posturze farmera. Postać była widoczna nawet krócej niż najmniejszy ułamek chwili, zapewne była jedynie wytworem wyobraźni Kalana, ale i tak wzbudziła weń nadzieję.

Edyremowie powstaną raz jeszcze, a czerpiąc naukę z ofiary Uldyzjana, następnym razem będą swymi własnymi panami.

O AUTORZE



Richard A. Knaak znalazł się na liście „The New York Timesa” najlepiej sprzedających się pisarzy. Napisał ponad trzydzieści powieści fantasy oraz ponad tuzin krótkich dzieł, w tym *Legendę o Humie* w serii Dragonlance oraz epicką sagę *Wojna Starożytnych* w świecie WarCrafta. Nie jest mu obcy świat Diablo – spod jego pióra wyszła trzecia powieść w cyklu *Wojna Grzechu* oraz trzy niezależne, w tym *Moon of the Spider*. Do jego twórczości zaliczają się również powieści z autorskiego cyklu Dragonrealm oraz świata Age of Conan, *Wojna Minotaurów* w Dragonlance oraz *Trylogia Sunwell* – pierwsza manga Warcraft. Jego książki są wydawane na całym świecie. Obecnie autor pracuje nad kilkoma projektami, między innymi: kontynuacją *Dnia Smoka* z Warcrafta, kontynuacją *Trylogii Sunwell*, trylogią *Ogre Titans* z Dragonlance. Poza *Fałszywym Prorokiem* jednym z jego ostatnich dzieł jest opracowanie fabuły do najnowszej gry wydanej przez D3P i The Black Talon oraz pierwsza część trylogii *Ogre Titans*. Richard A. Knaak planuje wrócić do uniwersum Sanktuarium i Azeroth w swoich kolejnych powieściach.